

KAMIL CZERNIK



PLEMIĘ

KAMIL CZERNIK

PLEMIĘ



MANUFAKTURA SŁÓW
WYDAWNICTWO

Gdynia 2021

CZĘŚĆ I

PARUJĄCY LAS

Rozsierdzone niebo cisnęło deszczem i piorunem w mieszany las, parujący niczym woda, w której zanurzono rozgrzane żelazo. Gdy przestało lać, bór odetchnął ciężko, jakby brakło mu tchu. Znad koron drzew unosił się biały dym i zlewał w jedno z mlecznoszarą powalą świata. Pijany wiatr zataczał się między drzewami. Strzepywał kiście deszczu z przemokniętych gałęzi, liści i igieł. Szeleścił niczym dziki zwierz w zaroślach.

Mruczyjaskół długo wpatrywał się w parujący las. Czerpał ten widok jak spragniony wodę ze studni. Stał oparty o samotny młody dąb na wąskiej łące, rozciągającej się na szczycie wzgórza i zarośniętej wysoką do kolan trawą.

Stare, zmęczone ciało ugięło się pod ciężarem czasu. Ziemia coraz mocniej ciągnęła je do siebie. Szyja bolała od patrzenia na las po lewicy. Już się nim nacieszył. Nie zapomni go w Niewyśnionej Krainie. Spojrzał przed siebie. Tam, w dole nad zakolem rzeki Sierpicy, otoczone drewnianymi murami, stały Widłoki. Stąd je pożegna, jak i cały świat jaki zna. Pójdzie między przodków.

Tu chciał śmierci wyjść na spotkanie. W tym miejscu chciał odejść, aby, w Przesilenia i Równonoc, gdy wrota Niewyśnionej Krainy otworzą się na ziemski padół, jako duch, z wysokości wzgórza czuwać nad swą krwią, która w synu i we wnukach płynie. Tu pochowani leżą jego ojciec i dziad. Po każdym z nich widnieje w korze dębu nożem wyżłobiona kreska. Teraz we trójkę, gdy nadejdzie czas, czuwać będą. Syn jego, Wichrodzik, trzeci znak wyżłobi, jak Mruczyjaskół naciął go po swoim ojcu, a wcześniej ojciec po dziadku.

Od rana czekał, aż Czwórka zabierze go do siebie. Obudził się i wiedział, że ten dzień będzie ostatnim. Jak wcześniej ojciec i dziad, kazał się tu przynieść i zostawić samemu. Nie chciał widzieć płaczu ani słuchać lamentów. Chciał być sam na sam z Czwórką i jej dziełem stworzenia. Chciał po swojemu odejść w Niewyśnioną Krainę, gdzie miód był po czterykroć słodszy, trawa po czterykroć zieleńsza i woda po czterykroć bardziej orzeźwiająca.

Zamknął oczy. Wyobrażał sobie szczęście, jakie za chwilę go spotka, gdy stanie twarzą w twarz z Czwórką. Spotka żonę, ojca, dziada i wszystkich przodków. Dowie się, kto zapoczątkował opowieść, w której przybrał rolę wnuka, syna, ojca i dziadka. Wszystko zostanie mu wyjaśnione.

Ciężkie ręce złapały się grubej gałęzi dębu nad głową. Stępione upływem czasu oczy, jeszcze raz spojrzwały na Widłoki. Usta dyszały jak przemoczony, parujący las.

Patrzył na osadę, a widział wspomnienia. Przebiegały mu przed oczami jak rączy jeleni przez leśną gęstwinę. Babka, którą ledwo pamiętał; ojciec; matczyne opowieści przy ognisku; podglądanie kąpiących się dziewczyn; pierwsze polowanie; wojna; rany; głowy wrogów zatknięte na palach; żona z powitym synem na rękach; gorejące słońce, gdy pogrzebał ojca; szarzyzna i słota w dniu pogrzebu żony; wnuki; własna twarz marniejąca z biegiem czasu na tafli wody i ręce tracące siłę, niegdyś zdolne ciężkie głązy prznosić, obolałe od rąbania drewna, słabe i łamliwe jak wyschnięte patyki... Puściły gałąź. Stare nogi nie utrzymały ciężaru. Padł na twarz w mokrą trawę. Nim wydał ostatnie tchnienie, dojrzał mrówkę wspinającą się po źdźbło.

Zapatrzył się i ucieszył.

*

Nazajutrz Wichrodzik razem ze swym synem, Deszczylisem, wrócili sędziwego Mruczyjaskóła ziemi, gdzie dziad jego i ojciec wcześniej spoczęli. Pochowali go z kocim sadłem i piórami jaskółki, albowiem gdy się rodził, jaskółki śpiewały i kot

mruczał przy palenisku. Razem z synem i wnukiem pożegnali starca Jastrzębibeż – żona Wichrodzika, oraz dwie córki: Chmurzysosna i Cieniowoda.

Wszyscy uklękli prosili i Czwórkę, aby szeroko otworzyła bramy Niewyśnionej Krainy przez Mruczyjaskółem.

Wichrodzik naciął po ojcu świeżą ranę na dębie, zaraz obok dwóch starych, już dawno zagojonych. Przejechał palcem po wszystkich trzech. W wyobraźni zrobił czwartą.

ŹRÓDŁO POTOKU

Ech, niech to ptaki osrają! – złorzeczył Deszczylis, skacząc zwinnie jak jeleni po kamieniach wystających z płytkiego, za to szerokiego strumienia. Jedną ręką podtrzymywał kołczan przy pasie, drugą żelaziec topora. Przez plecy przewieszony miał łuk. – Ciągłe tylko pod górę i nie wiadomo jak daleko!

– A widziałeś kiedyś, żeby potok płynął z dołu do góry? – zapytał Śnieżyrog przyjaciela, a jego słowa zabrzmiały jak bezwładne ciało uderzające o twardy grunt, oznajmiając koniec walki. On z kolei niósł na plecach niewielki worek związany sznurem. Koniec długiego, solidnego kostura opierał na dnie strumienia, ułatwiając tym sobie przemierzanie terenu. Poza kijem, jedyny jego oręż stanowił nóż za pasem.

Deszczylis szedł przodem. Prężył muskularną klatę i zadzierał lekko głowę, z której spływały długie, jasnobrązowe jak dojrzałe żołędzie włosy. Modre oczy cieszył widokiem złotego słońca odbijającego się na powierzchni wody i migotaniem cieni na wystających głazach. Górował nad przyjacielem wzrostem i szerokością barów.

Śnieżyrog niemal cały czas marszczył brwi i mrużył powieki, jakby raziło go słońce, wypatrywał czegoś w oddali, albo był zwyczajnie zły, przez co jego piwne oczy kurczyły się jak jeź zwiłający się w kłębek. Wysokie czoło i krzaczaste brwi wraz z wspomnianą mimiką czyniły patrzyły młodziana nienaturalnie małymi. Włosy, brwi i rzadką szczecinę ciemne miał jak czarnoziem.

Przyjaciołom towarzyszył duży pies, na czworakach sięgający powyżej ludzkich kolan, o krótkiej, płowobiałej sierści z gęstym włosiem. Pysk i uszy miał ciemne, a oczy koloru miodu. Czujnie rozglądał się na wszystkie strony i obwąchiwał wysoki brzeg porośnięty łopianem i paprocią. Szedł na czele orszaku niczym zwiadowca. Nie zapuszczał się za daleko. Ani na chwilę nie zniknął dwóm przyjaciołom z oczu.

W miarę drogi strumień się zwężał. Strome brzegi, z których zieleń roślin stopniowo ustępowała ciemnej, sypkiej ziemi, ścisnęły przestrzeń jak zamykające się drzwi snop światła. Do tego wznosiły się coraz wyżej. Górowały nad przyjaciołmi jak ludzie nad kurami.

– Wodospad pewnie niedaleko – stwierdził Deszczylis.

– Tak, teraz pamiętam.

– Co nas wtedy podkusiło? Żeby za pacholęcia iść w nieznane, do źródeł potoku? – Deszczylis pokręcił głową nad dziecięcą głupotą.

– Ciekawość.

– Ej, dziecko nie wie tylu rzeczy, z tylu niebezpieczeństw nie zdaje sobie sprawy... Pcha się jak głowa na pniak pod topór. Wilki mogły nas zezreć, Błociarze mogli nas pojmać... Mogliśmy wpaść we wnyki, zabłądzić...

– Niby jak? Szliśmy w górę potoku! Toż to ostatni dureń by się domyślił, że trzeba iść z prądem, żeby wrócić. I jeszcze mieliśmy psa!

– Dobrze, że nas pilnował! Słyszysz, Płowiak? Twój ojciec uratował nam skórę!

Pies natychmiast odwrócił się, gdy usłyszał swoje imię i, widząc wyciągniętą dłoń Deszczylisa, podbiegł i nadstawił głowę do głaskania. Otworzył paszczę. Rytmicznie sapał i cieszył się pieszczotą. Oczy przy tym mu się iskrzyły, jakby mu kto mięso rzucił pod nogi.

– Nie zmyślaj! – zaprotestował Śnieżyróg. – Przecież zwyczajnie się wróciliśmy, bo się ciemno robiło.

– I oberwało nam się za to, żeśmy się wymknęli! Jak mi ojciec dupę i łydki złoił! – Deszczylis skrzywił twarz i pomasował pośladki na wspomnienie lania różgą.

– Mnie babka najpierw sprząła kijem, potem okład z ziół na siniaki nałożyła. Ryczała przy tym i prosiła, żebym więcej tak nie robił. Miałem wtedy ochotę jej kulasy połamać.

– Zgłupiałeś?! Babka hołubiła cię jak nic innego w świecie! Jeden jedyny jej się na świecie ostałeś!

– Ma tego durnego psa!

– A żeś głupi! Przecież wiesz, że...

– Wiem! Znam tą historię na pamięć, jak to przodek tego capa ją uratował! Choćbym nie chciał słuchać, to i tak mi ją opowie ze trzy razy na porę roku, głupia starucha!

– A ja nie o tym chciałem! To mądry pies! O to mi chodziło!

Śnieżyrog skwaśniał i mruknął coś pod nosem. Wyprzedził przyjaciela i popędził stromym brzegiem, ślizgając się po sypkiej ziemi. Pies natychmiast ruszył za nim.

– Czeka! – zawołał Deszczylis.

Skalisty wodospad, wysokością sięgał dorosłemu mężowi powyżej pasa. Spieniona woda spływała po ostrych końcach skał, układających się jak sterta cienkich, drewnianych belek. U podnóża wodospadu, woda wyłobiła niemalże idealnie kolisty stawek. Płowiak zaczerpnął z niego wody.

– I to jest ten wodospad? – prychnął rozczarowany Deszczylis, gdy dogonił przyjaciela. – Wtedy wydawał mi się znacznie większy.

– Wtedy byłeś mały.

– Żeś się zdrzygął mądrością jak krowa pod siebie!

– Jak orzeł z wysokości! – Śnieżyrog poprawił przyjaciela pełnym wyższości tonem.

– No, jak tak bardzo przestworza ci się marzą, to mogę cię w nie wysłać kopniakiem w rzyć!

Śnieżyróg spojrział na przyjaciela z politowaniem, jak dorosły pies na szczeniaka szukającego zaczepki.

– No co? – warknął Deszczylis.

– Pamiętasz, jak wspinaliśmy się na ten dąb, pod którym twój dziad leży?

– A co bym miał nie pamiętać?!

– Byliśmy tak mali, że jeden musiał podsadzać drugiego, bo w pojedynkę żaden nie dałby rady. Tak wysoki dla nas był ten dąb. Teraz każdy z nas wejdzie bez problemu. Tak mi się przypomniało, gdyś narzekał, że wodospad mały.

– Było! – przyznał Deszczylis uśmiechając się do wspomnień. – Podsadziłeś mnie, wlałem a potem sam ci pomogłem. Chciałem czuwać nad Widłokami jak duch pradziada. Marzyło mi się, że się ukaże albo chociaż da jakiś znak.

– I?

– I nic! Przecież to nie była ani Równonoc, ani Przesilenie! Pamiętam tylko, że frajda była ogromna! Pradziad pewnie był zadowolony, patrząc z Niewyśnionej Krainy! Ojciec zawsze powtarza: „Zachowuj się tak, jakby pradziadowie na ciebie patrzyli. Nie będziesz chciał im przynieść ujmy, to i chwalebniej postępować będziesz”. Jak myślisz, co oni teraz robią?

– A skąd mam wiedzieć? Druida się zapytaj!

– Pytałem nieraz.

– I co ci odpowiedział?

– Że tym, w czym są najbardziej pożyteczni i co ich największą napawa dumą... To i ty tam będziesz się jeno głowił, wymyślał i budował.

– A ty co będziesz robił?

– Jak to co?! Czuwał nad Widłokami, jak i moi dziad, pradziad i wszyscy przodkowie! Jak staniemy ramię w ramię, to nikt nam nie da rady!

Śnieżyróg kucnął w przysiadzie i zapatrzył się na spienioną wodę u podnóża wodospadu.

– Co robisz?

– Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał, gdy byliśmy mali.

Deszczylis palnął się dłonią w czoło.

– Ty! Toż niedaleko musi być drzewo! – Popędził przed siebie jak wystrzelony z procy. Wspiął się po brzegu i wyszedł ponad wodospad. Płowiak pobiegł za nim.

Śnieżyróg został. Przyglądał się skałom wodospadu jak kowal, który pierwszy raz na oczy widzi kunsztowny oręż i zastanawia się, w jaki sposób został wykuty. Kiwał się nieznacznie i dumał jak to możliwe, że skały wystają jakby je kto ułożył. Szczekanie psa złapało go w sieć i z głębin zadumy wyciągnęło go na powierzchnię świata.

Płowiak wrócił się po swego pana.

– Zamknij gębę, pchlarzu – mruknął do siebie. Wygramolił się przez brzeg na szczyt wodospadu. Pogłaskał zadowolonego psa po głowie.

Za wodospadem brzegi nie były już tak wysokie ani strome i ogołoczone z zieleni. Rozszerzały się też jak rozkładające się orle skrzydła. Korony drzew przepuszczały więcej światła. Złoty strumień słonecznych promieni rozrzedzał gęstą zieleń liści, łagodził surową brunatność porośniętych zielenią brzegów i osadzał się na powierzchni potoku niczym olej. Światłocień wytyczał granicę między chłodem i ciepłem. Śnieżyróg szedł wzdłuż niej z jedną połową ciała w przyjemnym cieniu, z drugą w jaskrawym słońcu. Skrywał zmrużone oczy pod dachem dłoni przyłożonej do czoła.

Deszczylis czekał pod wspomnianym drzewem. Był to rozłożysty grab, przypominający ludzką rękę. Pięć osobnych drzew niczym palce zamykającej się dłoni z jednego pnia wyrastało. Przyjaciel wpatrywał się w jedno z nich. Przed laty, podczas ich pierwszej nieudanej wędrowki, na pamiątkę wryli na nim znaki.

Deszczylis wskazał je palcem przyjacielowi, gdy ten dołączył do niego. Rany drzewa zdążyły się zagoić, choć blizny widać było jak na dłoni. Przed laty, gdy wyłabiał je nożem w korze, Deszczylis wspinał się na palce i wysoko wyciągał

rękę. Teraz znaki ledwo sięgały mu klatki piersiowej. Wodził po nich palcem, jakby chciał wydobyć z drzewa zapieczętowane w nim wspomnienia.

– Ale byliśmy mali! – westchnął.

– Chodźmy – odparł przyjaciel.

Ruszyli w górę strumienia, nie wiedząc, ile jeszcze drogi przed nimi ani czy zdążą przed zmrokiem, za to pewni, że tym razem dopną swego.

– Dobrze, że nie ma takiej suszy jak zeszłego lata – zagadnął Deszczylis. – Patyk by się zapalił od leżenia na słońcu.

– I oby tak pozostało.

– Żniwa w tym roku będą obfite.

– Czyli na przyszłą wiosnę będzie wojna.

– Co?

– Wojna.

– O czym ty gadasz?!

– O wojnie z Sumami.

– Skąd o tym wiesz?

– Tak przypuszczam.

– A niby z czego?

– Z tego, że jest nas coraz więcej. Coraz więcej myśliwych idzie w las za zwierzyną, zbóż coraz więcej sadzimy, rybacy coraz więcej sieci zarzucają i coraz więcej dzieci się rodzi i przeżywa. Jak tak będzie nas coraz więcej, to niedługo braknie miejsca w osadzie, jedzenia, terenów łownych, pól na zboże i wypasanie zwierząt... Podobno na drugim brzegu Sierpicy ziemia wyjątkowo płodna. Prędzej czy później trzeba będzie zbudować osadę na drugim brzegu. Na to Sumy nigdy się nie zgodzą. Wojna to kwestia czasu.

– I dobrze! Nie po to się człowiek w toporze, łuku i włóczni ćwiczy, żeby te stały w kącie i porastały rdzą!

– Ojciec podziela twój zapal?

– Ech! – Deszczylis machnął ręką. – Według niego żaden mężczyzna, jeśli nie znajdzie ostateczność, w bój iść nie powinien, dopóki potomka po sobie nie zostawi.

– Całkiem to mądre.

– Mówisz?

– Na wojnie czasem mężczyźni przydarzy się śmierć. A wtedy jest już raczej niezdolny babę obsiać jak pole.

Deszczylis parsknął i pokręcił głową.

– Na wojnę idą najsilniejsi i najodważniejsi – kontynuował Śnieżyrog. – Jak bezdzielnie wyginą, to kto ich zastąpi?

– Dzieci tchórzy i słabeuszy?! Ej, lepiej niech mi ojciec szybko babę jaką znajdzie!

– Do chędożenia czy do wojny ci się tak spieszy?

– Do jednego i drugiego! – zawołał wesoło Deszczylis, ściskając powietrze, jakby to były niewieście pośladki.

W miarę drogi potok znów się zwężał, zdawał się znikać pod obrastającą wszystko zielenią. Brzegi ponownie rosły, ale nie górowały już tak znacznie nad przyjaciółmi. Podejście stawało się bardziej strome. Szli w górę wysokiego wzgórza, gęsto najeżonego drzewami.

– I ty żeś się do wojny przyczynił – rzekł znudzony ciszą Deszczylis. – Kto żarna napędzane wodą i narzędzia do szybkiej rozpałki wymyślił? Jak to życie ułatwiło! Teraz ludzie więcej czasu mają na inne rzeczy. To się i mnożą!

– Nie taki był mój zamiar. Nie chciało mi się mieć żaren ani czekać, aż się ogień łaskawie rozpali.

– Chcesz nie chcesz, toś się przyczynił. Choć prędzej czy później i tak by wojna była. Ile to już pokój trwa?

– Bo ja wiem? Może z siedem czterocykli?

– Topory od tego pokoju w Widłokach zardzewieją!

Śnieżyrog zmarszczył brwi i zmrużył oczy.

– Nie ma się co boczyć, przecież przez to każdy w Widłokach cię szanuje. Niejeden ojciec i matka by chcieli takiego męża dla swej córki! Aż ci zazdroszczę!

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Śnieżyróg wskazał ręką w dal.

– Co jest? – zapytał Deszczylis mrużąc oko, jakby z łuku do zwierza celował.

– Patrz tam!

– Co tam?

– Stawek.

– Obejrzę go! – Deszczylis natychmiast pobiegł zbadać nowe odkrycie. Skakał zwinnie po kamieniach i obchodził wodę brzegami. Płowiak ruszył za nim. – To chyba źródło! – zawołał, gdy dotarł na miejsce i obszedł stawek dookoła. – Gdzieindziej woda nie płynie!

Śnieżyróg dołączył do przyjaciela. Kucnął przy stawku.

– Byliśmy wtedy tak blisko i zawróciliśmy – rzekł kręcąc głową z rozczarowaniem. – Wystarczyło pójść trochę dalej.

– No... Ale głodni byliśmy i zmęczeni, a i zbliżał się zmierzch! Kulasy mieliśmy krótsze, to i wolniej żeśmy szli! A i z osady wykradliśmy się dość późno...

Płowiak podszedł do niego i przyglądał się z bliska. Zadowolony, sapał z wywalonym jęzorem. Każde kucnięcie swego pana lub jego przyjaciela, odbierał jako zaproszenie do nadstawienia głowy na czochranie.

– Odejdź, capie! – Śnieżyróg odpędził psa.

– Chodź, Płowiak! – zawołał czworonoga Deszczylis.

Pies nie dał się długo namawiać przyjacielowi swego pana. Łasy był na głaskanie jak niedźwiedź na miód.

– Musi gdzieś spod ziemi wypływać – stwierdził Deszczylis.

– Ta... tylko jak to możliwe?

– Jak to jak? No zwyczajnie... tak po prostu!

– Jak wodę na ziemię wylejesz, to w nią wsiąka. Więc dlaczego ta, co już w niej jest, na powierzchnię wypływa, zamiast głębiej wsiąkać?

– Bo ja wiem...

Śnieżyróg zamyślił się. Spojrzał na kamienie wyścielające koryto strumienia.

– Pod ziemią muszą być skały. Woda się gromadzi i wypływa w miejscu, gdzie ziemia najwęższa.

– Ty to masz łeb! Tylko trochę to źródło...

– Co ci się nie podoba?

– Takie zwyczajne...

– A czegoś się spodziewał?

– Cudów niepojętych! A tu takie nic!

Śnieżyróg uśmiechnął się.

– Przynajmniej będziesz mógł powiedzieć, że byłeś tu pierwszy.

– No chociaż tyle!

WIECZERZA

Wrócili przed zmierzchem. Zeszli w dół strumienia, aż do jego ujścia do Sierpicy. Zatrzymali się nad brzegiem rzeki. Słońce było złote, gdy wybierali się do źródeł. Teraz jego oblicze czerwieniło się niczym dojrzewająca jarzębina. Wieczór niespiesznie wstępował na wartę.

Ludzie zaganiali do osady zwierzęta z pastwisk. Mężczyźni wracali z lasu z sękami drewna, kobiety niosły koszyki jagód i poziomek, rybacy nieśli połów w sieciach. Łączyli się w większe skupiska, jak strumienie w rzekę. Wymieniali opowieściami z minionego dnia i śpieszyli przez otwarte wrota Paszczy, jak nazywano bramę główną w Widłokach. Kto nie zdążył przed zachodem słońca, i specjalnie dla niego trzeba było po zmroku ją otworzyć, następnego dnia, czy to dziecko, chłop czy niewiasta, ćwiczony był różgą na oczach całego plemienia.

Dwaj przyjaciele dołączyli do korowodu „mrówek wracających do kopca” – jak zwykł mawiać Śnieżyróg. Jego druh chętnie z każdym rozmawiał i każdemu opowiadał o wyprawie.

Śnieżyróg jak zwykle został wykąpany w pochwałach, które przynosiły efekt odwrotny do zamierzonego. Wyglądał jakby napadła go chmara komarów, a każdy komplement swędział go jak po ugryzieniu. Odpowiadał zdawkowo i, jeśli nie wymagała tego konieczność, nie otwierał gęby. Za to jego przyjaciel gadał najwięcej i najgłośniejszy, za co Śnieżyróg był mu bardzo wdzięczny.

– Oj, Ptasikwiat, widzę żeś w jeden dzień zapasy na zimę zrobiła! – rzekł Deszczylis do dziewczyny niosącej koszyk poziomek. Wybałuszył przy tym gały

jakby śnieg w środku lata spadł mu na łeb. – Pożyteczna żeś jak pszczołka!

Drobna, czarnobrewa dziewczyna o włosach koloru dojrzałych szyszek, i obliczu łagodnym jak polna łąka adorowana przez zastępy motyli, zakwitła wszystkimi odcieniami rumieńców.

– Dajże garść! – rzekł i sięgnął chciwą łapą w kierunku koszyka.

Dziewczę w porę uchroniło owoce swej pracy przed grabieżą. Przełożyła koszyk do drugiej ręki, poza zasięg chciwej łapy i odważnie zasłoniła poziomki własnym ciałem.

– Trzeba było samemu nazbierać, a nie włóczyć się po lesie, wałkoniu! – odparła rezolutnie. Cisnęła przy tym zwycięskim spojrzeniem zielonych oczu w twarz Deszczylisa.

– Nie bądź taka! – odparł nieporadnie udając, że słowa dziewczyny ubodły go niczym rogi byka. – Myśmy źródła potoku odkrywali!

– I na co wam to było, skoro z pustymi rękami przyszliście?

– Może i ręce puste, za to głowa pełna wiedzy!

– To ją teraz zjedz!

– Jakaś śliczna – zaczął z zachwytem Deszczylis i gdy zobaczył, że na obliczu Ptasikwiatu zaroiło się od rumieńców, natychmiast dodał: – Takaś zołza!

Policzki dziewczyny nabrały powietrza. Czarne brwi zmarszczyły się i kształtem przypominały lecącego w oddali ptaka na niebie. Fuknęła noskiem. Zadarła głowę w drugą stronę. Popędziła przed siebie jakby ścigały ją wściekłe szerszenie.

Usta Deszczylisa wykrzywiły się w kształt sierpa.

– Aś uradowany jak mucha w gównie – zakpił wesoło Śnieżyród.

W odpowiedzi jego przyjaciel pogroził pięścią.

– Jeszcze jest za młoda – stwierdził Śnieżyród. – Będziesz musiał trochę poczekać.

– Ej, gadasz jak baba, co ledwo zobaczy chłopca z dziewczuchą, a już z tego niestworzone historie wymyśla!

Śnieżyróg podskoczył na jednej nodze, drugą zgiął w kolanie i piętą trafił przyjaciela w tyłek. Deszczylis nie pozostał mu dłużny. Wymieniali tego rodzaju uprzejmości, przyciągając ludzkie spojrzenia. Budzili śmiech pobratymców i życzliwe kiwanie głowami nad beztroskimi głupotami.

Za bramą ludzie zatrzymywali się na placu pośrodku osady, gdzie stał Totem Czwórki, w postaci wysokiego na dwóch dorosłych chłopów pala wbitego w ziemię, ociosanego w równe boki zakończone kantami. Każdy przedstawiał inne bóstwo. Kwitna miała oblicze kobiety w wianku z polnych kwiatów, Skwar mężczyzny ze słońcem w postaci wisiora pod szyją. W bujnych lokach Słoty roiło się od liści, Zimny zaś brodę miał z sopli lodu. Totem stanowił centrum osady. To tutaj wymierzano kary, przyjmowano chłopców w grono mężczyzn, obwieszczano narodziny i śmierć, a także decyzje wodza i starszyny. Gdy tylko działo się coś ważnego, zwoływano tu całą osadę.

Ludzie stawali przed Obliczem Czwórki. Wpierw oddawali pokłon Kwitnej, jako że to do niej teraz należała opieka nad ziemskim światem. Dziękowali Czwórcę za przeżyty dzień, za obfite dary lasu, które ze sobą przynieśli, za zdrowe zwierzęta i rosnące zboża i za to, co miało na zawsze pozostać tajemnicą pomiędzy wiernym a Bóstwami.

Dwaj przyjaciele dopełnili obyczaju i, z brzuchami zwiastującymi głód niczym pianie koguta świt, udali się do chaty Deszczylisa. Tam już czekał na nich jego ojciec, Wichrodzik, wraz z dwiema siostrami, liczącymi sobie odpowiednio jedenaście zim i osiem jesieni, Chmurzysosną i Cieniowodą. Zastali tam też Dębisrokę, babkę Śnieżyroga – najstarszą kobietę w Widłokach, razem z Płowiakiem, który ruszył przodem, gdy przyjaciele składali pokłon Czwórcę.

Siedzący na tylnych łapach pies uniósł łeb i polizał pomarszczoną twarz swej pani. Dębisroka jedną ręką objęła mu głowę, drugą czochrała sierść na piersi. Płowiak zmrużył oczy i całkowicie oddał się w ręce staruszki. Siostry Deszczylisa, zajęte do tej pory głaskaniem czarnobiałego kota, przeniosły swe zainteresowanie na Płowiaka. Po chwili psa rozpieszczęły trzy osoby.

Zza otwartych drzwi chaty dochodził zapach smażonych ryb.

– O, zguby się znalazły! – zawołał ojciec na widok wędrowników.

– W samą porę! – dodała babka Śnieżyroga. – Bo już wszyscy głodni, tylko na was czekamy.

– Już się bałem, że znowu trzeba będzie was szukać! – kontynuował zaczepki ojciec. – No i jak? Znaleźliście to źródło?

– Oczywiście! – odparł Deszczylis unosząc się dumą niemalże ponad palisadę w Widłokach.

– I jak ono wygląda?

– W sumie nijako! Jest sobie taki stawek i z niego wypływa woda.

– I tyle?

– Ja też czego innego się spodziewałem!

– Grzybów żeście nie widzieli? – zapytała babka.

– Nie – odparł Deszczylis.

– Zwierza pewnie też, bo nic żeście nie przynieśli – żartobliwie dociął ojciec.

– Przecie nie po to my szli!

– Właśnie dlatego myślałem, że co przyniesiecie... Jakbyście szli na polowanie, to bym sobie nie robił nadziei. – Machnął ręką ojciec.

– No, wreszcie jesteście! – oznajmiła Jastrzębibeż, matka Deszczylisa, wychodząc z chaty. – Siadajcie! – Wskazała na dwa wolne stołki. – Dziewczynki, chodźcie tu! Pomożecie nosić jedzenie.

Siostry zostawiły rozpieszczanie psa i pomogły matce. Dębisroka chciała uczynić to samo, ale Jastrzębibeż stanowczo zaprotestowała.

– Gościem naszym jesteś, babulu!

Po chwili każdy dostał półmisek ze smażoną rybą. Nawet kot z psem zostali nakarmieni.

– Co tak cicho siedzisz? – Wichroczik zapytał Śnieżyroga, zajętego wyciąganiem ości z ust.

Młodzian dał znak ręką, że zaraz odpowie.

– Pewnie znowu się nad czym głowi! – wtrącił się Deszczylis.

– A to w takim razie lepiej nie przeszkadzać – stwierdził Wichrodzik. – Jeszcze z tego głowienia się co pożytecznego urodzi!

– Zastanawiam się, jak wygląda źródło Sierpicy – rzekł wreszcie Śnieżyróg.

– Pewnie życia by ci nie starczyło, żeby tam dotrzeć – odparła jego babka.

– A czemuż to? – zapytał, nie patrząc w jej kierunku.

– Toż to druidzi od zawsze mówili, że Sierpica hen daleko, na samym początku świata, gdzie słońce wstaje, swe źródło bierze i na sam koniec płynie, gdzie słońce się chowa.

Śnieżyróg wrócił do jedzenia.

– A pamiętasz, bablu – zagadnął Wichrodzik – tę wichurę, co to przysła w lecie w ten czterocykl, w którym moja matula zmarła?

– Pamiętam.

– Dawno to było – dodała Jastrzębibeż. – Jeszcze my wtedy mężem i żoną nie byli.

– Strzechę z domów pozrywała i Totem powaliła – przypomniała staruszka.

– Tak, dom Turzynurta miał najgorzej – dodała matka. – Szczyściem nikomu nic się nie stało.

– To był dobry czas – rzekł Wichrodzik kiwając się na stołku. – Nieszczęście się stało, za to ludzie między sobą żyli, jakby jakie święto się zbliżało.

– A było! – przyznała Jastrzębibeż. – Cała osada naprawiała domy i Totem. Wszyscy sobie pomagali, a na wieczór zbierali my się na placu i urządzali ucztę.

– I prawie do świtu się ucztowało, a potem z rana od nowa do pracy każdy szedł uśmiechnięty! – dodał Wichrodzik.

– Między nami żyło się lepiej niż kiedykolwiek – potwierdziła staruszka. – Nawet Turzynurt na ten czas razem z Ziąbiwiatrem nie skakali sobie do gardeł.

– A to to już były dziwy nad dziwami! – Jastrzębibeż złapała się za głowę chcąc dodać wyrazu swoim słowom. – To prędzej bym uwierzyła, że psom skrzydła wyrosną!

– Na szczęście szybko im przeszło! – zaśmiał się Wichrodzik. – Ledwo wszystko my odbudowali, od nowa darli koty! Ej, żeby brat z bratem się tak nienawidził?!

– Jeden drugiemu zazdrościł i na złość robił – wyjaśniła staruszka. – I to od małego tak było. Jak Ziąbiwiatr miał ulubionego królika, to Turzynurt mu go udusił. A ile razy się bili, ile kijów ojciec na nich złamał, to nie wspomnę! I wszystkie nadaremno. Obaj byli siebie warci: wściekli i zawzięci jak osy! Żaden nie chciał ustąpić i uważał, że to ten drugi pierwszy powinien przeprosić. Nawet jak Turzynurt umierał, to ani myślał się pogodzić, dopóki brat się przed nim nie ukorzy. Ziąbiwiatr złorzeczył, że jak go rodzina pochowa w tym samym miejscu, co brata, to ich będzie nękał, straszył i snu spokojnego nie zaznają.

– Ludzie mówią, że to za ich głupotę wnuki ich płacą – rzekła Jastrzębibeż. – U Turzynurta wszystkie martwe, tak samo jak i Ziąbiwiatra! Wszyscy mówią, że to przez to, że dziad jego bratu ustąpić nie chciał.

– Ludzie zawsze coś gadają, zwłaszcza głupoty! – Machnęła ręką Dębisroka. – Przecież druidzi od zawsze powtarzali, że Czwórka sprawiedliwsza od ludzi. To jakby miała niewinnych karać?

– Ano racja, babulu – zgodziła się Jastrzębibeż.

– Miejmy nadzieję, że Czwórka ich pogodziła prośbą, bądź groźbą – stwierdził Wichrodzik.

Chwilowo zapanowało milczenie. Żar słów wygasł. Nikt nie dorzucił do ogniska więcej wspomnień o wicherze ani o dwóch nienawidzących się braciach.

Dziewczynki, które do tej pory w milczeniu pałaszowały smażoną rybę, w chwilowej ciszy, jaka zapadła, wyczuły odpowiedni moment do przejęcia inicjatywy.

– Opowiedz nam coś, babulu! – poprosiła starsza Chmurzysosna. Buzia dziewczynki przeobraziła się we wcielenie słodyczy i łagodności. Oczka zamrugały jak światło na zmierzwionej powierzchni strumienia.

Młodsza Cieniowoda nie pozostawała jej dłużna. Obie napięty miny jak łuki i pełne nadziei spojrzenia wymierzyły w staruszkę. W razie odmowy, oczka dziewczynek groziły puszczeniem cięciwy płaczu.

– Już wam chyba opowiedziałam wszystko. Nawet to, czego już nie pamiętam.

– Prosimy! – zaprotestowała Cieniowoda głosem delikatnym jak ptasie trele. Staruszka zadumała się. Wzdłuż i wszerz przeczesywała zarośla pamięci.

– O, witaj, Ptasikwiat – rzekł ojciec, przerywając córkom na widok dziewczyny, która pokłoniła się z szacunkiem większym niż było trzeba.

– Przepraszam, że niepokoję w porę wieczery...

– Nic nie szkodzi! Zaraz i dla ciebie miejsce się znajdzie!

Speszona dziewczyna wylądowała wzrokiem na ziemi jak ptak na bezpiecznej gałęzi.

– Nie, ja tylko... Matula pyta, czy nie moglibyście nam użyczyć kota na kilka nocy? Strasznie coś w nocy szura i matula spać nie może. Myśli, że to pewnie mysz...

– Ależ oczywiście! – oznajmiła Jastrzębibeż.

Oblicza dziewczynek, którym nie dość, że przerwano, to jeszcze teraz chciano zabrać ulubione zwierzątko, zaszły ciemnymi, gęstymi chmurami.

– Przepraszam, jutro go wam przyniosę – powiedziała Ptasikwiat, najłagodniej jak potrafiła.

Wkrótce czarno-biały kot, z sierścią na dolnej szczęce ciemną jak smoła, a jasną jak śnieg na górnej, nie stawiając oporu, znalazł się na rękach Ptasikwiatu. Minę miał taką jak zawsze: zaspaną i rozczarowaną.

– Ma na imię Ciapek – wykrztusiła z siebie Cieniowoda.

– Bardzo ładne imię! Rano wam go oddam.

Ptasikwiat ukłoniła się ponownie i wróciła z zabójcą gryzoni do swej chaty.

– Porządna dziewczucha – stwierdziła staruszka. – Będzie z niej dobra żona i matka.

– Ona chyba jeszcze za młoda – odpowiedziała Jastrzębibeż.

– Ile ona sobie liczy? – zapytał Wichrodzik i spojrzał zawadiacko na syna.

– Piętnaście wiosen – odparł Deszczylis.

– Poczekałbyś na nią czterocykl? – zapytał Wichrodzik syna, obnażając przy tym wszystkie zęby.

Syn z łatwością sparował przytyk drwiącym spojrzeniem. Jego pewne siebie oczy zdawały się pytać: „To wszystko na co cię stać, ojczulku?”. Wichrodzik groźnie zmarszczył brwi, choć pod nosem daremnie bronił się przed śmiechem. Usta jego drżały i ciskały się na wszystkie strony, niczym piskorz wyrzucony na brzeg.

– Ej, czubicie się jak te koguty! – zganiła ich Jastrzębibeż. – Weź no, babulu, porozstawiaj ich po kątach!

Staruszka wycelowała palec w niebo. Pogroziła nim obydwu winowajcom. Ojciec i syn pokornie zgięli karki, jakby palec staruszki był najstraszliwszym orężem w świecie.

– Babulu, miałaś nam coś opowiedzieć – dopomniała się Chmurzysosna, wyczuwszy znowu odpowiedni moment na atak.

– Oj, tą biedną babulę lubicie męczyć – zganiła córkę Jastrzębibeż.

– Opowiem, opowiem – rzekła Dębisroka i spojrzała na matkę dziewczynek dając jej do zrozumienia, że nic nie szkodzi. – Całe szczęście, że jeszcze jest ktoś, kto mnie, starą babę, chce słuchać!

Najedzony Płowiak legł obok swej pani. Nadstawił łeb do głaskania. Dziewczynki wpatrywały się w staruszkę jak niedźwiedź w pszczele gniazdo.

– Pewnego razu żyła sobie ciekawa świata wiewiórka, która wolała przekonać się sama. Mama i tata pouczyły ciekawą świata wiewiórkę, żeby nigdy obcym nie ufała. Zwłaszcza kunom, bo te na wiewiórki polują. Jednak ta nie zawsze ich słuchała. Nieraz swobodnie czmychała po ziemi, choć tam największe nań mogło czyhać niebezpieczeństwo. Jednak nic się jej nie stało. Matka i ojciec byli w błędzie. Pamięć wiewiórki zaczęła działać jak złe sito. Zapamiętywała tylko te razy, gdy rodziciele się mylili.

Pewnego razu, gdy brykała sobie po gałęziach drzew, na swej drodze spotkała utykającą na tylną łapę kunę. Choć przestrogi rodziciele nie zawsze traktowała jak należy, zastosowała się do tej o kunach ze zwykłego strachu. Bała się zwierza, który, choć przecież do niej podobny, był znacznie większy.

– Pomóż mi wiewiórko, pomóż – błagała ją kuna.

Wiewiórka, choć się bała, zdobyła się na odwagę i, zamiast uciec, podjęła rozmowę. Wszak rodzice nie zawsze mieli rację. Ba! Z tego, co pamiętała, zwykle się mylili.

– Dlaczego miałabym ci pomóc? – zapytała ostrożnie.

– Bom ranna! Cierń wbił mi się w tylną łapę dosięgnąć go nie mogę! Pomóż mi, wiewiórko, wszak jesteśmy niemalże siostrami!

– Jak to, siostrami?

– Obie mamy futerko, puszyste ogonki i oczka ciemne jak spalone drzewo. Pomóż mi wiewiórko, pomóż!

– Obiecuj, że krzywdy mi nie zrobisz!

– Nie zrobię, nie zrobię! Poszukam dla ciebie orzechów i żołądzi, jak mi tylko pomożesz.

Wiewiórka zaufała. Podeszła wyjąć cierń i wtedy kuna ją capnęła!

– Mam cię! – zawołała.

– Przecież obiecałaś!

– Obiecałam, bom widziała, żeś głupia! Kto mądry, ten najpierw obszedłby mnie półkolem, aby zobaczyć, czy naprawdę w mej tylnej łapie cierń tkwi!

– Mówiłaś, że jesteśmy takie same!

– Mówiłam, żeby cię zwabić w pułapkę! A na pierwszy rzut oka widać żeśmy różne. Ty masz siekacze, aby łatwiej ci było jeść orzechy, ja mam kły, aby łatwiej mi było zabijać i jeść takich jak ty!

I kuna wbiła zęby w szyję wiewiórki.

– Rodziciele nie mogli jej uratować?! – zapytała rozczarowana Chmurzysosna.

– Przecież próbowali – odparła staruszka. – Ostrzegali ją i uprzedzali.

– Ale nie mogli się zjawić?!

– Nie zawsze rodziciele są w pobliżu.

– Nie podoba mi się takie zakończenie! – Cieniowoda naburmuszyła się jak to tylko małe dzieci potrafią. – Wolę, jak babula opowiada wesołe historie!

– Nie dąsaj się! – pouczyła ją matka.

– Teraz się dąsa, jak dorośnie, to zrozumie – rzekła dobrodusznie Dębisroka.

– Rację masz, babulu – zgodziła się Jastrzębibeż. – A ty się jej słuchaj, bo to najmądrzejsza baba w Widłokach!

– Nie zawsze będzie tak, jak chcesz, kochanieńka – powtórzyła Dębisroka. – Nieraz, gdy będziesz liczyć na piękny, słoneczny dzień, spadnie ulewa. I cóż zrobisz? Możesz się dąsać, ale ulewa od tego nie przejdzie. Nie zmienisz pogody, za to swoje nastawienie, jak najbardziej.

– Czas już wam spać, maleństwa – rzekł Wichrodzik po tym, jak obejrzał niebo.

Powała światła, nie wiedząc kiedy zaszła granatem, na którym w miejscach nie przesłoniętych przez srebrnoniebieskie chmury, zaczęły zawisać gwiazdy, niczym pachnące, suszone zioła i talizmany strzegące przed lichem. Gwar osady powoli zanikał jak echo krzyku niesione w siną dal.

Dziewczynki, choć niechętnie, zastosowały się do polecenia ojca.

– Pamiętasz babulu, kiedy to ostatnio tyle jedzenia i zapasów w Widłokach było? – zapytał Deszczylis.

Staruszka zadumała się.

– Chyba przed wojną, na której ojciec mój zginął... Ile to czterocykli temu było? Jeszcze wtedy panną byłam.

– A pamiętasz, żeby pokój tyle trwał?

– Nie. I Czwórce dziękować za ten czas. – Zwróciła oczy w kierunku Totemu.

– Nawet Błociarze nie napadają – dodał ojciec. – Zawsze wracali podczas roztopów.

– Może poszli gdzie indziej albo wyginęli? – rzekł Deszczylis.

– Oby zaraza całe to robactwo wypleniała.

Śnieżyróg przysłuchiwał się rozmowie. Przyglądał każdemu z osobna. Oblizał palce.

– Wspaniała ryba – pochwalił.

DĘBISROKA

Widłosiew, najstarszy mąż w osadzie, zatrzymał się przed chatą żony swego dawno zmarłego kuzyna, a zarazem najstarszej baby w Widłokach. Odgarnął siwe włosy z zaoranego bruzdami czasu czoła. Wsparł się mocniej na długim kosturze. Z trudem wdychał rozżarzone upałem powietrze. Spojrzał na palce prawej ręki. Chwiały się jak liście osiki od byle podmuchu.

Zapukał pięścią w drzwi.

– Jesteście tam, Dębisroko?

– Przecież nie odfrunęła!

Otworzyła mu, nim cokolwiek zdążył odpowiedzieć. Pokłoniła się wielkiemu druidowi jak obyczaj nakazywał.

Schylił się w progu. Otwartą dłonią, wskazała mu niski stołek pod ścianą. Stary druid rozsiadł się. Wyprostował przygarbione plecy. Oparł je o drewniane belki ściany.

– Daj co do picia – poprosił staruszkę, która podała mu wiadro wody ze studni i drewniany nabierak. Napił się chciwie. Wytarł usta rękawem lnianej szaty. Rozglądnął się po izbie. – Pies gdzie?

– Ze Śnieżyrogiem poszedł.

– Pewnie znowu siedzi nad rzeką i co główkuje?

– On nic innego by nie robił.

– Jak mąż twój! W głowie miał jeno sidła i wnyki, i tym się tylko chciał zajmować.

Dębisroka rozglądnęła się po izbie za brzęczącą muchą. Owad zamilkł. Wypatrzyła go na ścianie. Podeszła. Machnęła ręką. Mucha uciekła przed nadchodzącym zagrożeniem. Staruszka nie mierzyła jednak w ścianę, tylko ponad nią – tam, gdzie spodziewała się, że owad zrobi unik. Uwięziła muchę w zamkniętej dłoni. Ścisnęła. Zgniotła. Zabiła. Zwłoki wrzuciła do paleniska.

– Oj, ty to masz zdrowie! – pochwalił ją Widłosiew. – Żebym ja tak potrafił!

Usiadła. Przełożyła siwy jak babie lato warkocz przez ramię. Szeleściła końcówkami włosów między palcami.

Stary druid spojrział na gliniane naczynie w kształcie gruszki, z dziurą na wierzchu u szerszego końca, leżące przy palenisku, służące do wzniesienia płomieni. Naczynie w środku było puste, a węższy jego koniec był otwarty. Do otworu na wierzchu wkładało się patyk z rozciętym na czworo końcem, w który wetknięte były dwie cienkie listewki związane sznurkiem. Następnie pocierało się ów patyk dłońmi, tworząc podmuchy powietrza, które z impetem wylatywało przez węższy, otwarty koniec*.

– Jak mu to do głowy przyszło, to dla mnie nie do pomyślenia – skomentował wynalazek Śnieżyroga. – Ja stary człowiek, a głupim się nieraz przy tym chłystku czuję.

Dębisroka spojrzała na naczynie. Niejednokroć, gdy zostawała sama w chacie, wpatrywała się w nie jak w tęczę, gdy była małą dziewczynką. Cuda niepojęte umykały głowie jak woda zaciskającej się dłoni. Duma z wnuka tłoczyła łyzy do oczu.

– Widzę, że to nie o tym chciałaś gadać.

Palce staruszki przestały bawić się warkoczem. Piwne oczy skupiły się na druidzie niczym na chmurach, po których człowiek stara się przewidzieć pogodę.

– Wnuk mój tej zimy w szesnasty czterocykl wkroczy. Żony dla niego szukam.

– Chcesz się mnie radzić?

– Lisimiód wkrótce w czternastą jesień wkroczy. Można by ich teraz zaślubić, a jak dziewczyna będzie dorosła, to jak mąż z żoną żyć będą.

Druid pogładził siwą brodę. Cmoknął. Odetchnął.

– Moja wnuczka dla kogo innego przewidziana.

– Kogo?

– To już nie twoja rzecz – odparł szorstko druid, ale natychmiast złagodził ton.

– Nie masz się co bać. Wnuk twój przez Czwórkę obdarowany. Zasługi wielkie dla ludu poczynił. Niejeden ojciec i niejedna matka chcieliby go dla swych córek.

Staruszka wróciła do zabawy końcówką warkocza.

– Jak cię znam, to już sobie kilka upatrzyłaś – rzekł Widłosiew z przenikliwym uśmiechem. – Za mądra z ciebie baba, żeby wszystkie jaja do jednego koszyka włożyć.

Staruszka uśmiechnęła się samymi ustami. Oczy pozostały bez wyrazu.

– Dobrze wiedzieć, że na stare lata rozum mi całkiem nie spleśniał! – Zaśmiał się nieco sztucznie, jakby potknął się i wywrócił na oczach ludzi, a potem udawał, że to nic wielkiego.

– Jest inna sprawa – wydusiła z siebie.

– Co za sprawa?

– Prawy z ciebie człowiek, stróż Woli Czwórki na ziemi, tajemnicy dochować potrafisz...

– Mówże o co chodzi, a nie kołujesz wokół jak jastrząb po niebie!

– Przysięgnij na Totem, że dochowasz tajemnicy!

– Masz moje słowo.

– Przysięgnij!

– Ale z ciebie uparta baba! Przysięgam na Totem, że co mi teraz powiesz, tajemnicą między nami pozostanie. Niech Czwórka pilnuje jak z danego słowa się wywiąże!

Staruszka odetchnęła z ulgą. Nabrała powietrza jakby przyszło jej zaraz zanurzyć się w głębokiej wodzie.

– Chodzi o Wilczybrzask – szepnęła.

– Co z nią? – zapytał równie cicho.

– Mój wnuk i ona... – Nie dokończyła. Pochyliła głowę. Nakryła oczy pomarszczonymi powiekami.

– Jesteś pewna?

– Widziałam, jak się do niej wymykał. Co kilka nocy do niej chodzi... Niech suka idzie żyć między zwierzętami, jak nad rują zapanować nie potrafi! Mój wnuk mężczyzną się staje, to i szuka! Ale ona?! Ma męża! Wiem, wiem! Odkąd spadł ze skał jest niedołągą, ale przed obliczem Czwórki mu ślubowała! Dopóki ich zaślubin nie zerwiesz, winna mu wierność jak pies!

Druid cmoknął ustami.

– Trzeba jej znaleźć nowego męża! – kontynuowała. – Jest młoda, dzieci rodzic może! A tak jedynie mojego wnuka nęci!

– A twój wnuk woli i rozumu nie ma?

– Musiała go omotać! On na ludziach, tym bardziej na babach się nie zna! Nic poza swoim głowieniem nie widzi! Co będzie, jak ją zbrzuchaci? Trzeba tę wywłokę wygnać albo znaleźć jej nowego chłopca!

– Burzykos to bohater. Jak Czwórka ma sprawować pieczę nad Igłasami, skoro oni sami, nad tymi co wielkie zasługi poczynili, roztoczyć opieki nie potrafią?

– Zwykła wymówka! Na pewno znajdzie się taki, co zechce tę wywłokę z niedołągą!

– Bacz na swe słowa! – Druid syknął jak zaatakowany wąż.

Wstał. Przez większą szparę między belkami ściany rozejrzał się, czy aby nikogo nie ma w pobliżu. Uspokoił się. Usiadł.

Dębisroka wprawnie udała, że skuliła po sobie uszy.

– Dobrze, wróćmy do sprawy. Człek żeś mądry i Czwórce oddany, to i nawet wódcę się ciebie słucha...

– Chcesz, żebym przemówił Śnieżyrogowi do rozumu?

– Jej.

Druid spojrział pytająco. Staruszka natychmiast wycofała się spojrzeniem na podłogę.

– Mój wnuk od razu się domyśli, że wiesz ode mnie... I nie wiadomo co mu do głowy przyjdzie.

– Może i racja... Ona prędzej usłucha, bo bogobojna wielce.

Staruszka parsknęła z pogardą. Druid spojrział gniewnie. Wycofała spojrzenie na podłogę.

Usłyszeli kroki przy chacie.

– Jesteście tam, babulu kochana? – zapytał kobiecy głos, chwiejący się jak liście osiki od byle podmuchu.

Otworzyła drzwi.

– O! To... to ja później przyjdę! – rzekła młoda kobieta, kłaniając się staruszce i druidowi. Już chciała uciec jak spłoszony ptak.

– Nigdzie nie odchodź, Szałwizar! – zaprotestował druid. – Ja już i tak do Sosnowego Kręgu idę. – Wstał i zwrócił się do Dębisroki: – Zrobię jak mówisz. Zimny kamień z potoku na bolące plecy położę.

– Powinno zaradzić – odparła staruszka.

– Mi czas w drogę.

– Bywaj.

– Bywaj, druidzie. – Młoda kobieta nisko schyliła głowę.

Weszły do izby. Szałwizar zajęła wygrzany przez starego druida stołek.

– Ja przepraszam, że głowę ci zawracam, babulu...

– Przecież nie narzekam – odparła ciepło i serdecznie, chcąc tym uspokoić dziewczynę. – Dobrze, że jeszcze ktoś chce starą babę słuchać.

– Tylko głupi by cię nie słuchał, babulu! Przecież tyś najmądrzejsza baba w Widłokach!

Dziewczyna co chwila dawała nura oczami na podłogę. Oddychała szybko, szeroko rozwierając nozdrza. Dębisroce przypomniały się słowa druida o krążeniu wkoło jak jastrzęb.

– Chodzi o dziecko? – zapytała wprost staruszka.

Kobieta zamarła, jakby sama kostucha zajrzała jej w oczy. Po chwili jednak na jej twarzy pojawiła się ulga. Widać ucieszyło ją to, że staruszka pomogła jej zdjąć ciężki, twardy głaz z pleców.

– Już drugi czterocykl będzie w lecie, jak z Dziegociołukiem jesteśmy mężem i żoną, a dziecka dalej nie ma... Już cała jego rodzina krzywo na nas patrzy! Kuzynka moja ledwo wyszła za mąż, już matką została! – Jej głos łamał się jak wysuszone patyki, a z oczu lała się słona woda. – Najgorsze, że on sam zaczyna mnie winić. Czasem w gniewie mówi, żem jałowa ziemia! – Rozpłakała się i schowała twarz w dłoniach.

Staruszka wzięła swój stołek i usadowiła się bliżej kobiety. Położyła jej dłoń na ramieniu. Cierpliwie głaskała rumiane włosy Szalwizaru. Czekala, aż ta się wypłacze i uniesie głowę.

– Jak to robicie? – zapytała, gdy Szalwizar zdążyła się wypłakać i uspokoić. – Ty leżysz na plecach a on na tobie?

Kobieta kiwnęła głową i pociągnęła nosem.

– Trzymasz po wszystkim nogi w górze?

– Tak. Opieram o ścianę i rozmawiam z Czwórką.

– Krwawisz teraz?

– Nie.

– Wydziela ci się wilgotna maź między nogami?

– Jeszcze nie.

– Jak będzie wyglądać jak białko kurzego jajka, wtedy powinniście spróbować.

Kobieta kiwnęła głową.

– Przed wszystkim musisz się uspokoić. Jak będziesz taka roztrzęsiona, to nic nie pomoże. Wieczorem oglądaj zachód słońca albo patrz na las. Piękne widoki

potrafią człowieka ukołysać jak matczyny śpiew niemowlę.

– Dobrze! – przytaknęła z nieśmiałym uśmiechem.

– Wiara uspokaja.

– Wiem, bardzo mi pomaga! Inaczej już całkiem straciłabym nadzieję.

– Coś jeszcze? Na pewno masz coś, co lubisz robić i co byś robiła, nawet gdyby nie było trzeba.

– Szyć i łątać. Wtedy jestem tak cicha i spokojna jak las o świcie.

– To szyj, zanim będziesz obcować z mężem.

Szałwizar kiwnęła głową. W jej oczach przez zimną pokrywę rozpaczy, niczym przebiśnieg, przedostała się radość.

– Mogę cię uściskać, babulu?

Dębisroka otworzyła ramiona przed młodą kobietą. Zastygły w objęciach. Odrobina przestrzeni, której granice wyznaczały ramiona starej kobiety, uwiła dla nadziei Szalwizaru ciepłe, wygodne gniazdo.

– Proś Czwórkę o pomoc i bądź dobrej myśli.

– Dziękuję, babulu! – szepnęła wzruszona. – Jak to dobrze, że cię mamy! Obsiadujemy cię jak pszczoły kwiaty. Czasem pewnie masz nas wszystkich dość!

Przerwała objęcia. Ucałowała staruszkę w policzek.

– Pójdę już.

– Czekał.

– Tak?

– Oczy masz całe czerwone od łez. Od razu będą gadać, ledwo kto przyuważy. Trzeba zimną wodą przemyć. Wiadro masz za sobą.

Szałwizar uśmiechnęła się i pociągnęła nosem.

* Pomysł zaczerpnięty z kanału „Primitive Technology” na Youtube.

WARTA

Piąta – szepnął do siebie Deszczylis, zaczynając stróżowanie. Na próżno próbował przywołać przy tym podekscytowanie, poczucie dumy i odpowiedzialności, jakie towarzyszyły pierwszej warcie – plemiennemu rytuałowi stawania się mężczyzną. Wspomnienia tamtej nocy, choć jeszcze gorące, stygły jak hartowana stal. Chciał je wrzucić do pieca, rozgrzać do czerwoności i chłonąć żar. Chciał choć przez chwilę poczuć wyjątkowość chwili, która jawiła mu się jako brama do innego świata, o jakim słyszał z opowieści ojca i mężczyzn przy ognisku.

Obyczaj nakazywał, aby na pierwszej warcie towarzyszył sędziwy weteran. Padło na Zimnoskała, którego zasługi bliznami wryte były na całym ciele. Czarna opaska zakrywała dziurę po oku i część bruzdy, wyoranej w skórze pługiem wrażego miecza na wojnie z Sumami. Stracił też dwa palce lewej ręki w boju z Błociarzami.

Zimnoskał był dobrym mentorem i wszystko dokładnie Deszczylisowi objaśnił, choć ten sam dobrze wiedział, co czynić trzeba. Przygotowywał się do tej chwili niemal całe życie.

Gęba sędziwemu weteranowi się nie zamykała, co strasznie irytowało młodziana. Zamiast opowieści o wartach i bojach, wolał słuchać ciszy czarnej jak smoła nocy, której powierzchnię, oprócz rubasznego, zachrypniętego głosu weterana, mącił jedynie szelest wiatru, huczenie puszczyka i trzaski pochodni w wieży nad Paszczą – główną bramą Widłoków.

Wolał być sam. Chciał mieć tą chwilę tylko dla siebie.

Poszedł się przejść po drewnianym murze z blankami, wypełnionym ziemią. Nikt nie mącił mu powierzchni ciszy. Gdy ojciec sprawował wartę, Deszczylis po cichu wymykał się chaty, aby mu się przyglądać. Chciał być taki jak on. Dorównać mu w strzelaniu z łuku, rzucie oszczepem i walce toporem. Dzień, w którym ojciec pierwszy raz uczył go strzelać, był jednym z tych najszcześniejszych, które pamięć starannie przechowuje jak plemienne baśnie i legendy. Z pierwszą wartą było podobnie.

Wmawiał sobie, że jest jak pierwsi Igłasi, którym Zimny, Kwitna, Skwar i Słota powierzyli władanie nad tą ziemią. Kazali strzec i bronić przed obcym, obsiać zbożem, hodować zwierzęta i hołubić dary żyznej gleby. W tej smolistej nocy, w której bez pochodni ledwo dojrzał własne ręce, kroczył pewnie jak wilk po swym terenie łowów. Nie czuł się sam. Mógłby przysiąc, że czuje na sobie spojrzenia Czwórki, jak promienie słońca na plecach w upalny dzień. Każdy ruch wykonywał tak, jakby na niego patrzyli. Przykładał się do warty jak do religijnych obrzędów. Czuł, że wypełnia wolę Czwórki.

Zdawał się sobie większy i silniejszy niż zazwyczaj. Drewniany mur stał się nagle strasznie niski. Chaty, wydobyte ze smolistej ciemności przez światło pochodni, wydawały się małe jak dla karłów. Głowę i zmysły miał ostre jak kamień do golenia. Ręce i nogi, choć lekkie, zdawały się dzierżyć siłę tura i poruszać z kocią zwinnością. Serce grzmiało jak piorun. Mógłby z niedźwiedziem brać się za bary.

Pomyślał o ojcu, który nieraz z murów palisady czuwał nad nim, rodziną i całym plemieniem. Teraz on pilnował będzie jego, a także matki i sióstr, śniących dziwy w ciepłe chaty. Czuł ogromną dumę i odpowiedzialność z stania na straży ich spokojnego snu. Chciał przepołować toporem każdego, kto śmiałby go zakłócić.

Nasłuchiwał w nadziei. Błagał Zimnego, Kwitną, Skwar i Słotę, aby coś się stało. Niech chociażby mała grupka koczowniczych Błociarzy się zjawi. Wypatrzy ich. Ostrzeże pobratymców. Albo lepiej, ustrzeli niejednego! Pokaże, że jest

godzien! Piórami wyjętej z kołczanu strzały łaskotał się po karku. Przykładał palec do szpiczastego grotu. Zastanawiał się, jak to jest, gdy strzała wbija się w ciało.

Wyobrażał sobie walkę. Widział, jak obiera cel: wystraszonego Błociarza, obnażonego światłem pochodni. Wraże, niebieskie ślepiec wyróżniają się na oblepionej błotem gębie jak krew na śniegu. Widzi w nich zaskoczenie, potem strach i świadomość końca. Bierze łuk. Napina i mierzy. Wypuszcza strzałę. Trafia w oko. Przebija łeb na wylot.

Całą wartę kursował między fantazjami a opowieściami zasłużonego Zimnoskała. Całą wartę prosił Czwórkę o możliwość pokazania, że jest godzien. Nic jednak tej nocy na zewnątrz się nie wydarzyło. Minęła spokojnie. Przeszła obok osady na placach.

Rano, na oczach całego plemienia zgromadzonego półkolem na placu przy Świętym Totemie, odebrał ostatnie ryty. Druid Widłosiew, sosnową gałązką, najeżoną pachnącymi, zielonymi igłami, zatoczył krąg przed głową Deszczyliisa.

Krąg symbolizował odnawiający się czterocykl i przemienne panowanie Kwitnej, Skwara, Słoty i Zimnego. Gałąź sosny wzięła się z tego, że ta ponad inne drzewa wyrasta i nawet na najsuchszej ziemi rośnie. Igły zaś symbolizowały hart i niezłomność, albowiem, w odróżnieniu od liści, na jesień nie spadały z drzew i nie marły u ich podnóży, a zimą ani mrozowi, ani śniegowi pokonać się nie dały. Takim miał być lud Igłasów i jak igły na sośnie utrzymać się na swej ziemi, niezależnie od przeciwności losu. Takim miał być Deszczyliis.

Gdy druid dopełnił krąg nad jego głową, Deszczyliis poczuł, że oto wypełnia się jego przeznaczenie, a wszystko, czego do tej pory doświadczył, zarówno wspaniałe i okropne chwile, w gruncie rzeczy były dobre, albowiem doprowadziły go do tego momentu. Były częścią większego porządku.

Stał się mężczyzną, w oczach Bóstw, plemienia, rodziny i własnych. Lud wiwatował, od sędziwych starców po dziatwę, co ledwie chodzić zaczęła. Gdziekolwiek nie spojrzeł, widział podziw, uznanie i radość, od zaprawionych

w boju weteranów, po zaczerwienione dziewczęta. Duma i wzruszenie szczypały mu oczy. Dygotał jak golec wystawiony na mróz.

Obiecał sobie, że nie uroni łzy, ale przegrał sromotnie. Widział wiele już takich rytuałów i marzył o tym, kiedy przyjdzie jego chwila i stanie pod Totemem w towarzystwie druida. Spodziewał się dumy i szczęścia rwących jak nurt rzeki. Zmiotła go powódź.

Łza nie tylko jemu, nie tylko matce z siostrami i babom w półkolu, ale i ojcu, a także niejednemu mężowi po policzku spłynęła. Śmiali się z siebie, ściskali, gwizdali na wiwat, wznosili ręce ku błękitowi nieba. I wódz Żbiczygrom pierwszy dłoń mu uścisnął i poklepał po ramieniu.

Poszedł ku swej rodzinie. Padł w objęcia matki, sióstr i ojca. Czuł na sobie poklepywanie po plecach swych współplemieńców, którzy otoczyli rodzinę, wiwatując przy tym i klaskając. Choć wszystko działo się na ziemi, on miał poczucie, że lata w przestworzach z orłami.

Tak zaczął się najważniejszy i najwspanialszy dzień w jego dotychczasowym, liczącym szesnaście wiosen życiu. Na pamiątkę tego wydarzenia dostał od ojca nowy łuk. Nie zdążył go nawet wypróbować, bo ledwo co wszedł do chaty, a już z tego wszystkiego legł wyczerpany i zasnął jak niedźwiedź.

Na drugiej warcie wrażenia były podobne, choć już nie tak intensywne. Jeśli pierwsza była upałem, to druga ciepłym dniem. Przy trzeciej zaczęło się robić chłodno. Zdawało mu się, że wrażenia, do których lgnął jak ćma do płomienia, mieszczą się w wiadrze, w którym dziury pojawiają się jak grzyby po deszczu, a on desperacko stara się je zatkać. Warta nieuchronnie powszedniała. Z wiekopomnej chwili zmieniała się w zwykłą noc, jakich wiele.

Tym razem, na piątej warcie Deszczyliśa, było w miarę jasno i wyraźnie, a wszystko to za sprawą księżyca, osnuwającego noc srebrnym pyłem światła. Mężczyźnie towarzyszył Niebokieł, człek o wytrzeszczonych oczach, nabiegłych rozgałęziającymi się jak konary drzew żyłkami krwi. Był pięć czterocykli od niego starszy i, jak do tej pory, w żadnym poważnym boju nie brał udziału.

Oprócz Paszczy w osadzie znajdowała się jeszcze jedna brama, zwana Ślimakiem. Deszczylis z Niebokłem stróżowali w drewnianej, piętrowej wieży oknami z przodu, nad bramą główną.

– I jak źródło potoku wygląda? – mruknął ponuro starszy mężczyzna. Odkąd ostatniej jesieni zmarli obaj jego synowie, odzywał się tylko w ten sposób. Obydwu zabrała choroba. Żaden nie przekroczył pięciu czterocykli.

– Jest sobie niewielki stawek i z niego woda wypływa.

– I tyle?

– Tyle.

– I warto było tam iść?

– Dowiedzieliśmy się, skąd potok wypływa, to i warto było! Tak by powiedział Śnieżyróg.

Niebokiel przeciągnął się i ziewnął.

– Ech kolejna długa, nudna noc nas czeka. Która to twoja warta?

– Piąta.

– Ho-ho.

– Przejdę się.

– Co chcesz wypatrywać? Ile szcurów się przez palisadę przemknie?

– A tak, kości rozprostuję.

– Idź. Nic mnie tu nie zeżre, poza nudą i ćmami.

Deszczylis przeszedł się po murze najwolniej jak potrafił. Nudził się w towarzystwie Niebokła. Zrządzenie wartownika działało na niego jak rześista ulewa na nastrój chłopca, który chciał bawić się i biegać na słońcu. Dla niego stróżowanie, choć powszedniejsze, znaczyło coś więcej, niż nudny, uciążliwy obowiązek. Wolał przebywać z nocą i głaskać samotność na warcie jak kota. Mierziła go postawa towarzysza. Bał się, że się nią zarazi i z biegiem czasu stanie się taki jak on.

Stąpał powoli. Pochodnię rozrzedzał ciemność. Podziwiał powagę świata. Myślał o słowach przyjaciela o nadchodzącej wojnie. Cieszyła go ta wizja. Od

małego ćwiczył się w walce. Pośród rówieśników nie było nikogo, kto by mu w toporze i włóczni dorównał. Marzyła mu się sława największego wojownika w plemienu.

Nieraz gdy samotnie ćwiczył z prawdziwym toporem, zastanawiał się, jakie to uczucie wbić żeleźce w ludzki czerep. Wyobrażał sobie wszystkie szczegóły: drzewiec zaciśnięty w dłoni, ciężar oręża, ułożenie ciała, siłę ciosu, wreszcie uderzenie w łeb i opór skóry i czaszki wroga. I ciągle obraz wydawał mu się niepełny, niczym smak niedopieczonego mięsa.

Coś usłyszał. Coś jak tupanie.

Podszedł do źródła nocnego hałasu. Wychylił się z pochodnią. Przez myśl mu przeszło, że wystawia się jak głupi. Schował się za blanką. Wyglądął ostrożnie raz i drugi, dopóki się nie upewnił.

Jaskrawa poświata pochodni rozrzedziła ciemność. Rozglądał się jak jastrząb z nieba nad zwierzyną. I wszędzie nic. Sama palisada i ziemia porośnięta trawą.

Oko złapało ruch niczym pies trop. Uszy złowiły tupanie. Cisnął wzrokiem jak oszczepem. Parsknął ze śmiechu.

Wzdłuż palisady szedł jeź.

Raz jednego złapał, przyniósł do domu i chciał zatrzymać. Ojciec i matka go zganili. Dziad powiedział, że chyba tylko na kłopot, bo jeź nie dość, że kurze jaja wyjada, to jeszcze jak tylko pies go dojrzy, to bzika dostaje i potem trzeba mu kolce z pyska wyciągać.

Poryczał się. Dostał lanie. Jeża nie zatrzymał.

Uśmiechnął się do wspomnień. Pomyślał o dziadku i dębie, pod którym spoczywa wraz z przodkami. Rozejrzał się po dachu świata w nadziei, że dziad w Niewyśnionej Krainie patrzy na niego z dumą.

Podreptał do wieży drobnymi kroczkami jak jeź. Niebokieł stał z założonymi rękami oparty o ścianę.

– No, i cóż żeś tam zobaczył? – zapytał.

– Jeż łąził przy palisadzie – odparł sucho. Był pewien, że poczuł od towarzysza miód. Picie na warcie było surowo zakazane. Kogo na tym występku przyłapano, tego potem różgami ćwiczano na oczach całej osady.

– Ho-ho, to nas napadł groźny wróg.

Deszczylis oparł łokcie o parapet okna w drewnianej wieży. Patrzył się na pomarszczoną rzekę w świetle księżyca.

– Oby wszyscy, którzy nas napadną, mieli taką zabawę jak pies, gdy się do jeża dobiera – zamruczał bardziej do siebie, niż do pobratymca.

– Prawisz jak druid.

– Czasem tak słowa same przychodzą do człowieka...

Niebokieł ziewnął, co na jego pobratymca zadziało jak szturchanie kijem leżącego spokojnie psa. Deszczylis zaklął samymi ustami. W rękach czuł znajome swędzenie, na które zaradzić mogło jedynie zderzenie pięści z ludzką gębą.

– Chyba i ja się przejdę – oznajmił Niebokieł.

– Tak bez pochodni idziesz?

– Księżyc świeci!

– Tylko nie pij po drodze.

– Że co?!

– Żebyś nie pił. Czuć od ciebie miód.

– Chyba ci się przyśniło.

– Chuchnij.

Niebokieł przystąpił do młodziana. Deszczylis odwrócił się ku niemu. Wyprostował plecy. Zadarł brodę. Pobratymiec złapał go za fraki.

– Bacz na słowa, gówniarzu!

Deszczylis rozchylił nozdrza, w które zapach miodu wpadł jak ryba w sieć. Uśmiechnął się z wyższością.

Nabiegłe krwią oczy Niebokła przypominały ślepie wilka, na którego teren wszedł osobnik z obcego stada.

– Zabieraj łapska – ostrzegł Deszczylis.

- Ledwo to od ziemi odrosło...
- Zabieraj łapska.
- Bo co?
- Bo ci je połamię jak gałązki.

Wzięli się za bary. Zatupały nogi. Sapnęły gęby. Niebokieł runął na podłogę jak ciężki kloc.

Hałas zadziałał jak pochodnia rzucona na stóg suchej na wiór słomy. Zaszczekał pies, po nim drugi i w końcu wszystkie w obrębie palisady. W mig całe Widłoki zerwały się na równe nogi.

Przybiegli strażnicy z ze Ślimaka. Mężczyźni wyszli z chat. Zjawili się pod drewnianym murem, niosąc ze sobą miecze, tarcze, włócznie, topory i łuki. Kobiety i zbudzone dzieci nasłuchiwały i wyglądały zza drzwi chat.

Deszczylis i Niebokieł stanęli na bacność przed wartownikami.

– Co tu się, krowia rzyć obsrana, dzieje?! – warknął Iglinów, stary wyga i dobry przyjaciel ojca Deszczylisa. Niedawno uścisnął mu dłoń i pogratulował stania się mężczyzną. Wtedy patrzył z uznaniem i radością z sukcesu syna swego druha. Teraz w oczach miał ochotę na zdzielenie Deszczylisa po łbie.

Niebokieł milczał jakby mu kto szmatą gębę przewiązał.

– Co się tu dzieje?! – ryknął wódz Żbiczygrom, a na dźwięk jego głosu winowajcom całego zamieszania skurczyło flaki.

Wyszli z wieży. Z przodu, głodny wyjaśnień, tłum uzbrojonych pobratymców, z gniewnymi minami przyparł ich do muru. Pozostali wartownicy na flankach całkowicie odcięli feralnej dwójce odwrót.

– A nic! – odparł Deszczylis. – Potknąłem się i przewróciłem... Usłyszałem tupanie, o tam! Chciałem prędko sprawdzić, no i się wywaliłem. – Podrapał się po głowie udając głupka.

– Eś, ty capie! – rzucił surowo ojciec, którego Deszczylis od razu rozpoznał w tłumie gawiedzi. Zmarszczone brwi Wichrodzika zapowiadały złozenie skóry.

– Tam nic nie ma! – oznajmił Iglinów, wypatrując za palisadę z pomocą pochodni.

– Pewnie jeź był. One tak tupią.

– Już ja cię tupnę, głąbie jeden! – zagroził ponownie ojciec.

– Cicho! – wrzasnął wódz. – Więcej nie bądź taki prędko jak ręce do cycków! – Roześmiał się skrzekliwie. Tłum przyłączył się do rechotu. – Wracać do chat! Jak jeszcze raz obudzicie wszystkich bez powodu, to wam łydki różgami przećwiczymy!

Rozeszli się. Został tylko ojciec Deszczyliśa, żeby pogrozić synowi ręką.

– Pilnuj się! – nakazał i poszedł.

Osada wróciła do snu, a strażnicy na wartę.

Stali w wieży w milczeniu. Nie patrzyli na siebie. Głowy odwrócili w przeciwne strony. Trzaski pochodni zdawały się mieć czas jak krowi pysk trawę.

– Masz szczęście, że się zjawili! – szepnął gniewnie Niebokieł.

– To nie ja leżałem, gdy nam przerwali.

Niebokieł zrobił krok, ale się zatrzymał. W nabiegłych krwią oczach czaiła się groźba. Deszczyliś patrzył w nie hardo i dumnie.

– Znowu chcesz zrobić zamieszanie?! Drugi raz nie będę cię krył! Ciesz się, że reszta nic nie poczuła!

– Wcalem cię prosił! Gdybyś nie był taką kutwą...

– Trzeba było nie chlać! Zasady są jasne i proste!

Niebokieł wyszczerzył zęby.

– A to myślisz, że tak wszyscy je przestrzegają?

– Jeśli je łamią, to trzeba ich różgami przećwaczyć do krwi! Wódz nasz swego syna należycie ukarał, gdy ten był pijany na warcie!

– Bo mu Szarugil doradził, że jak tak uczyni, to w oczach plemienia za sprawiedliwego uchodzić będzie! A i Białokur był tak zapruty, że nie dało się tego ukryć! Potem pił po cichu, to nikt nie widział!

– Kłamiesz!

– Skąd wiesz? Byłeś z nim na warcie? Bo ja tak!

Deszczylis poczuł się, jakby idąc przez wąską kładkę nad strumieniem, stracił równowagę. Desperacko próbował się chwycić czegokolwiek, byleby nie upaść.

– Po warcie z chęcią obiję ci tę kłamliwą gębę!

– Nie mogę się doczekać!

Patrzyli na siebie jak dwa warczące psy z rozdziawionymi paszczami, z których ściekała spieniona ślina. Niewidzialny postronk obowiązku i widma kary, silniejszy był niż gniew, żądza przemocy i wszystkie mięśnie razem wzięte.

Cisza wisiała nad nimi jak ciemne chmury nawalnicy. Żaden nie mógł jej znieść. Chronili się w słownych utarczkach.

– Ledwo to od ziemi odrosło, a już mu się wydaje, że najmądrzejszy! – zaszydził Niebokieł.

– Na warcie odpowiadasz nie tylko za siebie, ale za wszystkich!

– W dupie ich mam!

– Ty niewdzięczna gnido!

– Gdzie byli wszyscy, gdy mi synowie pomarli? – Niebokieł jęknął jak ranny zwierz złapany w sidła.

– Dębisroka leczyć pomagała! Matka moja twoją żonę pocieszała! Każdy pomagał, jak tylko mógł! Nie było dnia, żebyście sami zostali! I tak się odwdzięczasz plemieniu za troskę?!

– I co mi z tej troski, jak obaj nie żyją?! – warknął tocząc lepka pianę z pyska i słone łzy z oczu.

– A bo to myślisz, że ty jeden?! Siostra umarła, jak byłem mały. Ledwo ją pamiętam. A młodszego brata tylko raz wziąłem na ręce, bo nie dożył końca dnia! Zapytaj innych, powiedzą ci to samo! Każdy tu naznaczony jest ranami głębokimi do kości, ale żyje! Bo jest jak igła sosny, a nie wąty liść!

Niebokieł chwyta za nóż przy pasie. Pięść zaciska się jakby dusiła gęsią szyję. Czerwone oczy rozwierają się jak wrota bramy. Mierzą do Deszczyliisa jak z łuku.

Nozdrza sapią jak byk.

Deszczylis łapie za topór przy boku. Czeka, aż nóż pobratymca opuści pochwę. Wtedy jednym, płynnym ruchem wyciągnie oręż zza pasa i pchnie. Trafi żelźcem w pysk.

Pojedynek rozegrał się jedynie w myślach. Niebokieł zdjął rękę z rękojeści noża. Deszczylis puścił topór.

Niebokieł odwrócił się plecami do pobratymca. Przeszedł się po murze. Bez pochodni. W ciemności rozjaśnianej pyłem księżycowego światła. Dało się w niej słyszeć ciężkie westchnienia i pociąganie nosem.

Nic istotnego na piątej warcie Deszczylisa się więcej nie wydarzyło. Nic, co by zapamiętał.

WILCZYBRZASK

Śnieżywóróg po cichu wymknął się z chaty. Drzwi zamknął z troską, z jaką matka kołderką przykrywa niemowlę. Czy babka spała, czy udawała, lichy wiedziało. Dźwięczała płytkim oddechem, podobnie jak pies.

Odetchnął z ulgą i spojrzał w niebo. Noc była w miarę przejrzysta i głucha. Gdyby nie szelest szeptów wartowników, monotony szum rzeki i hukanie puszczyka, powierzchnia ciszy byłaby całkowicie niezmacona. Wystarczyło jednak jedno chlupnięcie w jej toń – jeden krzyk, szurnięcie po ziemi, wywrócenie się albo kopnięcie nieopatrznie pozostawionego narzędzia – aby na gładkiej powierzchni zaroilo się od fal. Szczekanie psów, hałas zbudzonych ludzi wyglądających z chat i wartowników podnoszących alarm, przeszłyby przez nią jak ulewa i grad.

Śnieżywóróg skradał się jak złoczyńca i nasłuchiwał. Zatrzymywał się w miejscu i rozglądał na wszystkie strony posrebrzanej księżycem ciemności. Prosił w myślach wszystkie psy w osadzie, aby spały niedźwiedzim snem. Groził niemowlętom i dzieciom, że im łapska w gniazdo os wepchnie, jeśli tylko zachce im się ryczeć. Wobec reszty pobratymców zamiary miał jeszcze gorsze. Każdy, kto choćby niechcący śmiał popsuć mu plany, zasługiwał na obcięcie rąk i nóg i pełzanie po ziemi do końca życia jak wąż.

Czuł się pewniej niż zazwyczaj. Raz, że tej nocy wartę sprawował jego przyjaciel Deszczylis, dwa – przyzwyczajenie robiło swoje. Za pierwszym razem mała serca nie wyrzygał. Za drugim też. Od trzeciego już tak nie podskakiwało pod wierzchołek gardła. Nie sięgało wyżej niż gałęzie żeber. Przyzwyczajają się.

Dotarł do celu. Trzy razy zaszurał palcami o szorstkie drzwi. Przezornie, od dołu do góry, na wypadek gdyby z drzwi wystawała pojedyncza drzazga. Razu pewnego, nim jeszcze dziesiątą zimę przekroczył, drapnął z góry na dół po ścianie. Ból, płacz i widok drzazgi wetkniętej niemal pod cały paznokieć pamiętał do dziś. Na samo wspomnienie jeżyła mu się skóra na karku.

Otwarła. Srebrna poświata sypnęła garścią jasności na hożą, białą jak brzoza twarz, zwieńczoną bujnymi, rudymi lokami. Sam na sam, nigdy nie mógł jej się dobrze przyjrzeć. Za dnia, gdy światło ujawniało każdy szczegół jej zdumiewającej, nie mającej sobie równych w Widłokach twarzy, mógł ją oglądać jedynie z daleka. Niejednokroć zdumiewała go pokrętna kolei losu: miała na imię Wilczybrzask, a mógł z nią być jedynie o zmierzchu. Gdy był jej najbliżej, nie mógł ujrzeć jej w czeluściach ciemności. Tylko za dnia, z daleka, tak by nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą w ciemną czeluść chaty. Nie był w stanie zobaczyć własnych dłoni. Poruszał się po omacku. Wilczybrzask przezornie zawsze sprzątała podłogę przed jego przyjściem, tak aby o nic się nie potknął.

Usiedli na sianie przykrytym onucą. Obok siebie. Ramię przy ramieniu. Gdzieś w przeciwnym kącie chaty niemrawo chrapał jej mąż niedołęga.

Wzięła jego dłoń i wplotła w nią swe palce. Oparła skroń na ramieniu Śnieżyroga. Pogłaskała ją po gładkim policzku.

– I jak, byliście u źródeł potoku? – szepnęła cicho.

– Byliśmy.

– I jak ono wygląda?

– Jest sobie niewielki stawek pośrodku wzgórza i z niego wypływa potok. Woda pod ziemią musi spływać w dół. W miejscu, gdzie ziemia jest najwęższa, strumień wydrąży dziurę i wylewa się na powierzchnię. Uwierzysz, że taka prosta rzecz za takimi dziwami się kryje?

– Z chęcią bym tam z tobą poszła, gdybym nie była tu przywiązana jak pies.

– Nie smęć, bo ci to wejdzie pod skórę i zatruje krew jak trupy wodę w rzece.

– Łatwo tak mówić orłowi do kury. Fruwasz wysoko, a ja do ziemi przykuta. Głowisz się nad dziwami i tajemnicami, a ja karmię i wycieram rzyć temu niedołądze.

– Widzisz? Już ci w krew wchodzi smęcenie!

– Jak sobie trochę posmęcę, to mi przejdzie. To jak z ugryzieniem żmii. Trzeba rozciąć ranę i wysączyć jad razem z krwią.

Kołysała się w przód i w tył. Pocierała policzkiem o jego ramię jak krzesiwem o hubkę. Niewidzialny mąż niedołęga chrapał cicho w kącie chaty.

– Co źeś dziś robił?

– Dłubałem w drewnie.

– I co wydłubałeś?

– Łódeczkę.

– Gdzie chcesz płynąć?

– Najlepiej do początków albo do kresu Sierpicy. Skoro mały strumień w wielką rzekę wpada, to jak ogromna musi być woda, do której Sierpica wpływa?

– Jeszcze mi odpłyniesz i nie wrócisz.

Rozplątał uścisk łączący ich dłonie. Wziął ją za ramiona. Pchnął na siennik. Osunęła się bez oporu. Usta wpiły się w siebie jak kleszcz w skórę. Języki wiły się jak węże. Jej ręce obejmowały szyję kochanka. Jego ręce buszowały pod szatą kochanki. Miętosiły jej piersi jakby formowały glinę.

Odrzuciła głowę w bok. Zerwała ogniwa ust.

– Nie tak mocno – szepnęła.

Był młody, łapczywy. Nie panował nad żądzą. Nie miał pojęcia, jak się obchodzić z kobietą. Była jego pierwszą.

Dotyk Śnieżyroga złągodniał. Zaczął sprawiać przyjemność. Nie był jak wichura chcąca wyrwać drzewa z korzeniami, tylko wiatr pragnący je ukołysać. Wpił usta w jej szyję. Przyjemność wydostała się z jej ust w postaci gorącego, głębokiego oddechu.

Zsunął portki. Podwinął jej szatę w górę.

– Tylko nie tryskaj we mnie! Jak zajdę w ciążę, nikt nie uwierzy, że to dziecko mojego męża! Wypędzą mnie z Widłok!

– Nie bój się, nikt się nie dowie... Pomóż mi, nic nie widzę!

– Zaczynaj powoli...

– Tak dobrze?

– Mm...

– Obejmij mnie nogami...

Poczuł jej uda zaciskające się wokół bioder. Objęła go za szyję. Przycisnęła do siebie.

– Mocniej! – szepnęła mu do ucha.

– Co innego mówiłaś przed chwilą.

Zamknęła mu usta swoimi. Ścisnęła mocniej w środku. Stado dreszczy przebiegło mu po całym ciele.

Hałas zjawił się niepostrzeżenie. Coś się zatłukło. Zaszczekały psy. Otworzyły się drzwi chat. Zadźwięczały kroki i oręż. Zakłęty głosy. Rój dźwięków wściekle kąsał ciszę.

– Co to?! – jęknęła przerażona.

Wstał. Naciągnął portki na tyłek.

Mąż niedołęga nabrał haust powietrza jakby się topił. Wymamrotał coś niezrozumiale.

– Śpij spokojnie, Burzykosie – szepnęła roztrzęsiona, bardziej próbując uspokoić siebie niż jego. – To nic takiego... Śpij spokojnie... Co ty robisz?!

– Sprawdzę, co się dzieje.

– Jeszcze cię kto zobaczy!

– Nie bój się, tylko uchylę drzwi.

Przez wąską szczelinę, w ciemną czeluść izby wdarła się posrebrzana poświata. Śnieżyrog kucnął w przysiadzie przy drzwiach. Szerzej uchylił drzwi.

– Nie uchylaj więcej! – jęknęła jak maltretowane zwierzę.

– Zamknij się!

Nasłuchiwali głosów, jakby te miały wywróżyć im los. Zamknął drzwi.

– Nic wielkiego – stwierdził.

Odetchnęła jakby zdjęto jej z piersi ciężki gład.

– Twoja babka się zbudzi! – jęknęła po chwili.

– Niech to szlag! – zaklął i walnął zaciśniętą pięścią w udo. – Trudno! Zresztą i tak nic nie powie! Boi się!

– Ciebie?

– O mnie!

Cudzołóstwo karano różgami przed Totemem, na oczach całego plemienia.

– Ona pewnie innej chce dla ciebie – rzekła.

– Mało mnie obchodzi, co ona chce!

– A jak ma rację?

– Niby w czym?!

– Nie gorączkuj się tak! Głowią tylko, co to dalej będzie... Ja uwiązana jak pies, a tobie wkrótce żony babka szukać będzie...

Puścił powietrze nosem jak rozeźlony byk.

– Trzeba przekonać druida, żeby zwolnił cię z małżeńskiej przysięgi! – oznajmił po chwili.

– I co zrobią z Burzykosem?

– Albo go kto przygarnie, albo zostawią w lesie na łaskę Czwórki.

– Godzi się to tak?

– To czego ty chcesz? Jeszcze niedawno narzekałaś, żeś uwiązana jak pies do tego niedołągi! Uginasz się tak jak wiatr zawieje!

– Mało mi zmartwień! Jeszcze ty mnie drażnij i dorzucaj następnych!

Wstał. Gniew kazał mu iść, żądza zostać z nią. Na przemian chwiał się w każdą stronę. Stał jak słup.

– Usiądźże – powiedziała po chwili.

Przystał na jej propozycję. Gniew dał się udobruchać wymówką, że to ona pierwsza wyciągnęła rękę. Żądza oblizała wargi. Zyskała okazję.

SOSNOWY KRĄG

Do Widłok, przepowiedziany przez wielkiego druida Widłosiewa, zawitał Dzień Przesilenia. Cała osada wstała wcześniej niż zwykle. Ledwo słońce wygramoliło czubek swej tarczy ponad horyzont, wszystkie rodziny zebrały się przed Totemem. Świeżo upieczone matki przyniosły swe niemowlęta. Starcy dotarli z pomocą kosturów. Kto nie dał rady, jak sędziwy, schorowany Gładkodrzew, który już od dwóch czterocykli nie chodził, tego rośli młodzieńcy przynieśli na rękach. Ochotnicy zjawili się przed jego chatą, zanim jeszcze drzwi się otwały i kto w domu zawołał o pomoc.

Rodziny połączyły się ze sobą niczym małe strumienie w wielką rzekę. Płynęły jednym korytem.

Nurt święta zawiódł je pod Totem, aby po raz ostatni tego czterocyklu pokłoniły się Kwitnej. Przed obliczem Bóstwa Widłosiew rozłożył swe ręce jak orzeł skrzydła. Wyrecytował pod nosem tajemne, pradawne słowa znane jedynie druidom, pilnie strzeżone i przekazywane przez pokolenia. Za jego pośrednictwem lud podziękował za łagodną w pogodzie, hojną w zioła, grzyby i owoce wiosnę.

Widłosiew obrócił się do ludu. Zatoczył krąg w powietrzu sosnową gałązką. W ten sposób zakończył rytuał.

Rozpoczęło się uroczyste śniadanie. Każda rodzina przyniosła jadło. Nie brakło suszonego mięsiwa, ryb i grzybów, chleba, soczewicy, grochu i rzepy. Cała osada, w jednym gronie przed obliczem Kwitnej, ucztowała dzieląc się jadłem. Obyczaj nakazywał, aby samemu nie zjeść niczego, co się przyniosło, a jedynie darem

pobratymców się nakarmić. Słońce przeszło pół drogi między świtem a południem, gdy uczta dobiegła końca.

Najedzeni ziemskim pokarmem, nasyceni religijnym obrzędem, natchnieni świętem, napełnieni przekonaniem, że już bliźsi sobie być nie mogą, ruszyli do wspólnego celu. W Widłokach została jedynie drużyna zdolna obronić osadę, chorzy i czuwające nad nimi niewiasty.

Ramię w ramię, ruszył lud w pochodzie, sunącym po ziemi niczym ogromna stonoga, z druidami i wodzem na czele. Szły rodziny całe od dziada po wnuka, od starców wpierających się kijami, po niemowlęta niesione przez matki. Gwar panoszył się w korowodzie niczym pszczoły między kwiatami. Każdy niósł uśmiech jak dobrą wróżbę, albowiem kto na drodze w Przesilenie się gniewał bądź smucił, ten przez resztę lata będzie to robił.

Droga przecinała pola zbóż i pastwiska – bogactwa ziemi ofiarowanej Igłsom przez Czwórkę. Wznosiła się po zielonym wzgórzu, wbijała w las jak strzała w gęste futro zwierza.

Deszczylis wziął Chmurzysosnę na barana, najmłodsze zaś dziecię w rodzinie niósł ojciec. Między dwoma mężczyznami szła Jastrzębibeż. Ich małą grupkę dopełniała wspierająca się kosturem Dębisroka i jej wnuk. Płowiak został w Widłokach. Choć psina jęczała i błagała oczami, aby pani pozwoliła mu iść z sobą, obyczaj zabraniał zabierania zwierząt do świętego miejsca w czas obrzędów.

– Ej, co z ciebie z wnuk, Śnieżyrog? – zagadnął Wichrodzik. – Poniósłbyś swą babkę!

Młodzieniec pozostał głuchy na jego słowa. Szedł ze zmarszczonymi brwiami. Gapił się na piaszczystą drogę.

– Nie chcę! – zaprotestowała Dębisroka. – Ja nie z liści, tylko z igieł! Będę chodzić, póki żyję!

– I to jest duch! – zawołał wesoło Deszczylis. – W babuli siła jak u dziesięciu chłopca! A was trzeba na rękach nosić, wy małe draby!

– Masz krzepę, to noś! – odparła rezolutnie najmłodsza Cieniowoda, górując nad bratem z wysokości ojcowskich ramion.

– Widzisz Deszczylisie – rzekła staruszka – zaofiarowałeś się, to teraz noś! Nie miej pretensji do ptaków, że ci owoce wyjadły, jak żeś je przed chatą zostawił.

– Z twoich słów, babulu, wynika, że siostry moje to darmozjady.

Chmurzysosna palnęła brata w głowę zaciśniętą pięścią.

– Ejże, siostrzyczko! Bo jeszcze się wywrócę, a ty ze mną! – Wierzgnął ramionami.

Chmurzysosna zachwiała się i zapiszczała. W panice złapała za głowę brata przesłaniając mu oczy.

– Bo się wywrócę! – przestrzegł ją Deszczylis.

– Ej, jeno wygłupy wam w głowie! – zganiła ich dobrotliwie matka.

– A co, mamy się smucić? – zapytał syn. – Radość Czwórce miła, inaczej by jej Igłasom nie dali!

– Właśnie! – dorzuciła najmłodsza Cieniowoda.

– Jeszcze przed chwilą brat nazwał cię darmozjadem, a już po jego stronie stajesz? – zapytał ojciec.

– To jeno świadczy, że uraza osobista nie przesłania jej tego, co słuszne! – Deszczylis mrugnął okiem do siostry.

Odpowiedziała uśmiechem od ucha do ucha.

– Widzisz jak łatwo cię przekabaca na swoją stronę? Dobrze, że ojczulek i matula pieczę nad wami sprawują! Inaczej całkiem by wam zamącił w głowie!

– Nie słuchajcie! – zaprotestował Deszczylis. – Ja was strzegę jak Płowiak babulę! – Potrząsnął lekko ramionami. – A ty, Chmurzysosna, wolisz mnie, czy ojczulka z matulą?

– Przed chwilą groził, że cię zrzuci! – przypomniała córce Jastrzębibeż.

– To tylko żarty były! Powiedz no, kogo wolisz?

– Babulę! – pisnęła Chmurzysosna.

– O ty mały tchórze! – oskarżył ją brat. – Unikasz odpowiedzi, żeby się nikomu nie narazić?! Ciekawe, jak by brzmiała twoja odpowiedź, gdybyś szła pieszo?

– Wolę babulę, bo mi nie każe wybierać!

Pociągnęła nosem i przetarła oczy.

– Nie smuć się, kruszynko – przemówiła Dębisroka. – Twój brat tylko żartuje.

– Bez przekomarzania się nie byłoby tak wesoło! – stwierdził Deszczylis.

– Żebyś ty był taki dobry w wartowaniu, jak w przekomarzaniu! – Wichrodzik zakpił i prychnął.

Ręce Chmurzysosny, obejmujące czoło brata, poczuły jak ściera się na nim skóra. Krok nabrał ciężaru i gwałtowności. Uderzał w ziemię jak siekiera w pniak po przepołowieniu drewna.

– Co mowę ci odebrało? – zapytał żartobliwie Wichrodzik.

Równie dobrze mógłby gadać do kamienia. Deszczylis uparcie milczał, siejąc między grupą niewygodną, śwędzącą jak ukąszenie komara ciszę.

Łódź rozmowy, w której razem wiosłowali słowami, stanęła w miejscu. Każdy nagle stał się sam. Każdy nagle zajęty był rozglądaniem się po bukach i olchach otaczających drogę, mrużeniem oczu, aby lepiej dojrzeć co się dzieje w oddali albo patrzeniem pod nogi.

Dryfowali osobno.

– Dzień pogodny na dobrą wróżbę – rzekła Dębisroka.

– Racja, babulu – przyznał Wichrodzik. – Skoro ostatnim razem w Przesilenie była burza, a lato było spokojne i obfite, to jak dobre będzie tym razem?

– Widłosiew mówił – wtrąciła Jastrzębibeż – że Skwar tym lud chciał przestrzec, aby prowadził się jak trzeba. Ten posłuchał to i Skwar lato dał dorodne!

– To by znaczyło, że teraz z ludu zadowolony być musi. Dawno żniwa nie były tak hojne jak zeszłego czterocyklu. Dzięki tobie, Śnieżyrog, łatwiej i szybciej żeśmy ziarno na mąkę przerobili. Ilekroć widzę młyn i to jak działa, to się nadziwić nie mogę, jak żeś mógł na to wpaść.

– Zwyczajnie. – Młodzieniec wzruszył ramionami. – Nie chciało mi się mieć w żarnach, to znalazłem sposób jak temu zaradzić.

– Słuchaj, to może niech odechce ci się chodzić, to wymyślisz żebyśmy mogli latać?

Młodzieniec uniósł wzrok z piaszczystej drogi. Oczy jego ożywiły się jak ciemna izba, w której zapalono łuczywo.

– Nie mieszaj mu w głowie, ojciec – wtrącił się Deszczylis. – On teraz łodziami zajęty.

– Będziesz rybakiem? – zapytał Wichrodzik.

– Tak – młodzieniec odparł z rozbawieniem.

Dębisroka ukradkiem spojrzała na wnuka, co ten natychmiast wyczuł. Czmychnęła przed wzrokiem Śnieżyroga jak mysz przed kotem.

– Zatem nie pozostaje mi nic innego tylko życzyć ci, aby nie chciało ci się łowić.

Młodzieniec zaśmiał się dziwacznie, jakby wymuszenie.

– Postaram się – odpowiedział.

Słowa przestały wiosłować. Łódź znów przystanęła.

– Czemu tak brwi na złość marszczysz, Cieniowodo? – zapytała ją staruszka.

– A bom ujrzała kogoś, kogo nie lubię...

– Któż to śmie cię mierzić, siostrzyczko? – zapytał Deszczylis. – Zaraz mu pokażę.

– Ta głupia, co mi Ciapka zabiera!

Zaśmiali się wszyscy, poza Cieniowodą. Nawet Śnieżyród uśmiechnął się pod nosem. Dziewczynka naciągnęła brwi na oczy i wypchała rumiane policzki powietrzem.

– Przecież rano ci go oddaje, jak obiecała – przypomniał jej ojciec surowym.

– Ja lubię spać z Ciapką!

– Nie ubędzie ci kota, jak kilka nocy spędzi poza domem. Żyjemy razem i trzeba sobie pomagać!

– No nie wiem, czy nie ubędzie – wtrącił się Deszczylis. – Jak Ptasikwiat lepiej go karmi, do jeszcze się u niej zadomowi jak ptak w gnieździe.

– Już się uspokój! – skarciła go matka, widząc jak oczy córki nabierają wody. – Nie słuchaj go, kochana! On tak mówi tylko po to, żeby jątrzyć!

– Ptasikwiat to dziewczucha porządna i słowna – zapewniła dziewczynkę Dębisroka. – Nie masz się co martwić.

– Martwić się w Przesilenie to zły omen! – przestrzegł Cieniowodę ojciec. – Uśmiechnij się, kochaniutka!

Wierzgnął ramionami i podrzucił córkę kilka razy.

– Lepiej? – zapytał.

– Lepiej.

– Cichutko! – przestrzegła wszystkich Jastrzębicz. – Zbliżamy się!

Drzewa przestały zastawiać drogę. Niebo wąskim korytem płynące nad drogą, rozlało się w wielki staw, na którego powierzchni dryfowały mleczone chmury. Pochód był niemalże u celu.

Gwar przykryła fala ciszy i powagi.

Wrota lasu otwarły się na oścież. Korowód wszedł na wielką, okrągłą, wykarczowaną polanę, na której wcześniej skoszono trawę. Siano, na dobry omen, rozdano każdej rodzinie w plemienu.

Na środku polany mieścił się Sosnowy Krąg, ustawiony z drzew zasadzonych w równych odstępach, tak że trzy dorosłe osoby mogły się w nich zmieścić. W centrum kręgu, wbity w ziemię, stał Totem z Twarzami Czwórki.

Święte miejsce od zawsze gościło w swym obrębie cuda i wszelakie rzeczy, od których rozum przepoławia się jak kloc drewna toporem przecięty. Ludzie mdleli, klękali i uśmiechali się w błogim zachwycie, jakoby płótno ziemskiego świata się przed nimi rozdarło, i zajrzeli w Niewyśnioną Krainę. Chorzy zdrowieli, ranni szybciej wracali do sił. Ludzie słyszeli tu różne głosy, a niektórzy przysięgali, że zmarli im się ukazali.

Lud ustawił się półksiężycem przy Twarzy Skwara. Tu każdy miał przywitać bóstwo przejmujące władzę nad ziemią. Stąd każdy miał zanieść jego błogosławieństwo do własnej chaty.

W Kręgu podczas obrzędów obowiązywało milczenie. Jedynie druid miał prawo przemawiać i, w imieniu plemienia, prosić bóstwo o łaskę. Nikt słowem nie pisnął. W uświęconej ciszy dałoby się usłyszeć pająka owijającego siecią złapaną muchę.

Lud wyostrzył wzrok. W poruszeniu gałęzi, padającym cieniu, przelatujących owadach starał się dojrzeć znak. Uszy, niczym rybackie sieci, łowiły chór świerszczy, kwilenie jastrzębia w oddali, skrzywienie uginanych wiatrem drzew, w nadziei, że między nimi usłyszą szept Bóstwa.

Wielki druid wystąpił z półksiężycu ludu. Stanął przed Twarzą Skwara. Rozłożył ręce jak orzeł skrzydła. Inkantował pod nosem tajemną formułę. Choć ni słowa lud zrozumieć nie potrafił, wysilał uwagę i wolę, aby wspomóc Widłosiewa i wzmocnić siłę jego zaklęć.

Druid odwrócił się do swego ludu. Zatoczył krąg w powietrzu sosnową gałązką. W ten sposób zakończył rytuał.

Rozpoczęło się dumanie. Czas sam na sam z bóstwem. Każdy mógł w duchu prosić Skwara, podziękować albo pomyśleć nad swoim miejscem w świecie przez Czwórkę stworzonym.

Lud dumał. Nasłuchiwał i wypatrywał znaków. Czy komu się objawiły, czy słusznie je odgadł – odpowiedzieć miała przyszłość. Na koniec każdy z osobna, gdy już uznał swą zadumę za skończoną, pokłonił się Twarzy Skwara.

Gdy lud wrócił do Widłok, druid ze swoimi uczniami powiedli następny pochód – tych co wcześniej na straży osady bądź przy chorych zostali. Każdy, kto własnych siłach chodzić potrafił, musiał iść złożyć hołd Skwarowi.

Na wieczór znów wszyscy spotkali się pod Twarzami Czwórki na placu. Żegnali dzień tak jak go zaczęli, wspólnym ucztowaniem. Wieczerzali przy

ognisku. Dzielili się jadłem, napitkiem i opowieściami z bezdenne go worka codziennych trosk, nadziei, ludowych legend i dawnych dziejów.

PTASIKWIAT

Dziękuję, że użyczyłyście nam kota – powiedziała Ptasikwiat dwóm dziewczynkom, przekazując im ulubionego czworonoga. – Więcej nie będziemy go potrzebować.

Chmurzysosna wzięła Ciapka na ręce, a Cieniowoda pogłaskała ukochanego futrzaka po głowie.

– I co, mysz? – zapytała Jastrzębibeż w progu chaty.

Ptasikwiat pokłoniła jej się bardziej niż było trzeba.

– Nie wiem, na oczy nie widziałam! Jeśli była, to się wyniosła!

– To dobrze! Przydał się na coś nasz kocur. Widzę, że i dbałaś o niego, bo zawracasz grubszego niż był.

Dziewczynki chmurnie spojrzały na matkę. Urażone były w imieniu Ciapka, który i tak nic nie rozumiał. Mrużył oczy i mruczał. Łaskawie przyjmował pieszczoty sióstr.

– Spisał się, to nie można powiedzieć, że jadł za darmo – Ptasikwiat odparła rezolutnie.

Odwróciła się w stronę dziewczynek. Z przewieszzonego po skosie przez ramię tobołka wyjęła dwa rzemyki z nawleczonymi na nie kulkami bursztynu.

– To w podzięce za to, że użyczyłyście nam Ciapka.

– Nie trzeba! – zaprotestowała Jastrzębibeż ku wielkiemu rozczarowaniu swoich córek.

– Owszem trzeba! – Ptasikwiat wręczyła dary dziewczynkom. – Wdzięczność należy okazywać! I co by mi było z obrabiania bursztynu, skoro nikt by go nie nosił?

Dziewczynki podziękowały i uściskały Ptasikwiat.

– Możesz sobie zawsze pożyczać Ciapka – oznajmiła Cieniowoda z właściwym dzieciom afektem.

Jastrzębibeż pokręciła głową z politowaniem.

– Dziękuję, maleństwo – rzekła Ptasikwiat do dziewczynki. – Daj, zawiążę ci na szyi.

– Mm!

– Mnie też! – zażądała Chmurzysosna.

– Oczywiście!

Po chwili obydwie dziewczynki przyglądały się swoim bursztynowym wisiorom. Zapomniały o kocie, który legł na brzuchu i wygrzewał się na słońcu.

– Ty to masz rękę do takich ozdób – rzekła Jastrzębibeż.

– Dziękuję!

– Zajrzyj do chaty na chwilę.

– Chętnie, ale kiedy indziej? Muszę pomóc matuli!

– Tylko na chwilę! W razie czego, zaświadczę, że się ciebie uczepliła jak rzep psiego ogona i spokoju nie dałam!

– Skoro mam wymówkę...

– Pobawcie się z kotem! – matka kazała swym córkom. – Tak żeście za nim tęskniły, a teraz co?

Weszły we dwie do chaty. Jastrzębi bez zamknęła drzwi. Usiadły na stołkach naprzeciw siebie.

– Oj, pamiętam, jak jeszcze byłaś maleńka, a tu taka śliczna z ciebie dziewczyna wyrosła! Jaką masz buzię hożą i gęste włosy! A jaka pracowita i zręczna!

Oczy dziewczyny zajarzyły się jak świetliki w nocy. Zamrugały od komplementów. Wpatrzyły się w Jastrzębibeza jak dziecko, które pierwszy raz widzi motyla.

Opuściła głowę.

– Dziękuję – wyszeptała cała w rumieńcach.

Jastrzębibeza westchnęła jak człowiek mający przeskoczyć przepaść. Ptasikwiat spojrzała na nią nieśmiało. Kobieta wyraźnie była czymś zatroskana.

– Coś się stało?

– Najlepiej będzie, jak powiem wprost: chcę cię za synową!

Oczy dziewczyny otwarły się na oścież niczym staranowane drzwi. Twarz zamarła w bezruchu. Policzki ogarnęła pożoga.

Jastrzębibeza odetchnęła z ulgą.

– Jak byłam mniej więcej w twoim wieku, matka Wichrodzika wzięła mnie na stronę i powiedziała to samo. Zanim jeszcze się z moimi rodzicielami rozmówiła, chciała, żebym pierwsza się dowiedziała. Żebym się oswoiła z myślą, że jej syn może być moim mężem. Obiecała, że zachowa naszą rozmowę w tajemnicy. Dotrzymała słowa... I ja też ci to przyrzekam!

Ramiona dziewczyny zwinęły się w kłębek jak jeź zaczepiony przez psa. Dłońmi ścisnęła uda. Oczami szukała na podłodze miejsca na zapadnięcie się pod ziemię.

– Nikomu nie powiem! – zapewniła Jastrzębibeza. – Od dawna myśleliśmy o tobie wraz z mężem. Pewni jesteśmy, że lepszej żony dla naszego syna nie znajdziemy!

Gdyby policzki Ptasikiwatu polano zimną wodą para buchnęłaby pod samą powałą.

– Wierzę, że się sobie nadacie! Syn mój, jak i ojciec, czasem w gorącej wodzie kąpany i wygłupy mu w głowie, ale ty do wiotkich nie należysz! Złagodniej przy tobie jak Wichrodzik przy mnie... Chłop to taki dziki zwierz, którego trzeba udomowić! Mój syn silny i polegać zawsze na nim będziesz mogła!

Jastrzębibeż mówiła nieporadnie, chwiejnym tonem. Tak bardzo jej zależało na przedstawieniu małżeństwa z jej synem w jak najlepszym świetle, że cała się trzęsała. Im bardziej wątpiła, tym bardziej się starała. A im bardziej się starała, tym gorzej jej wychodziło.

– Ja wiem jaki on jest – wyszeptała Ptasikiwat. – Przecie znam go od małego...

– Zatem sama wiesz, że to dobry chłop! Dobrze będzie wam razem... Oj, wybac mi! Taka jestem przejęta, tak bardzo bym chciała, żebyśmy były rodziną, że prędzej gadam niż myślę! Zawstydzam cię niepotrzebnie!

Ptasikwiat przełknęła ślinę.

– Już coś zaradzę! – rzekła Jastrzębibeż.

Wzięła kawałek materiału, którym zwykła łątać ubrania męża i dzieci. Zamoczyła go w wiadrze wodą. Przyłożyła zimny okład na gorący policzek dziewczyny.

– To usunie rumieńce.

– Dziękuję.

Przetarła dokładnie twarz i szyję dziewczyny. Szturm rumieńców został odparty.

– Choć i tak twoi rodziciele zdecydują, chciałam żebyś ty pierwsza wiedziała.

– Dziękuję.

– I, przyrzekam ci na Czwórkę, ta rozmowa zostanie między nami.

– Dziękuję...

– Nie miej za złe matce, że dla syna chce jak najlepiej.

– Nie mam... Naprawdę powinnam już iść.

*

Skończyła wieszać zioła u powały. Przyniosła wody ze studni na dwóch wiadrach zawieszonych na koromysłach. Wlała wodę do kociołka zawieszzonego nad paleniskiem na piramidce z trzech pali drewna. Szybko rozpała ogień. Użyła

narzędzia wymyślonego przez Śnieżyroga. Nalała wody do niewielkiej miski. Ubrudzone ręce zanurzyła w tłuszczu zwierzęcym, a potem w popiele z drewna. Obmyła je w misce. Obrała i pokroiła rzepę na zupę. Wrzuciła warzywo do kociołka.

Odetchnęła zadowolona. Przetarła czoło.

– Uwijasiz się dzisiaj jak mrówka – powiedział jej matka.

– A jakiś taki dzień, że mi się robić chce...

– I cała żeś czerwona. Może ty chora jesteś?

– Nie... Gorąco mi trochę i tyle...

– To siadaj, napij się wody.

– Do Dębisroki bym poszła zanieść jej wisiołek. – Wzięła ozdobę i pokazała matce.

– A ten nie miał być dla ciebie?

– Ja sobie zawsze zrobić mogę... A tak, staruszka będzie mieć. Coś się jej za to wszystko, co dla nas robi należy!

– Jaką dobrą mam córuchnę.

– Wcale nie – odparła skromnie przykrywając powiekami oczy. – Ja całkiem zwyczajna jestem.

– Idź. Ja popilnuję zupy.

Przy chacie staruszki, zanim zapukała do drzwi, rozejrzała się dyskretnie na wszystkie strony. Miała wrażenie, że cała osada ją obserwuje i przenika wzrokiem jak południowe słońce przez liście lipy. Nie patrzyła ludziom w oczy. Bała się, że po jednym spojrzeniu odgadną wszystko.

– O, witaj! – Staruszka przywitała dziewczynę uśmiechem.

– Możemy porozmawiać?

– Wchodź.

– Nie zajmę ci wiele czasu. – Przeszła próg. – Chciałam ci tylko...

– Chodzi o zamążpójście? – zapytała staruszka ledwo dziewczyna zamknęła drzwi.

Na jej pytanie Ptasikwiat była przygotowana jak golas na śnieżycę w środku wiosny. Dziewczyna zamarła, jakby jej kto grot włóczy do serca przystawił.

– Skąd wiesz?

– Może jestem pomarszczona jak suche jabłko, ale głowa mi jeszcze nie spleśniała. Nie ty pierwsza z tym do mnie przychodzisz. Od razu was rozpoznaję. Siadaj! – Staruszka wskazała niewysoki stołek.

Miejsce było wygrzane. Wnuk jej pewnie znowu coś wymyślał nad strumieniem, zatem ktoś inny musiał staruszkę wcześniej odwiedzić.

– Za kogo to chcą cię wydać?

– Jeszcze za nikogo, tylko...

– Tylko?

– Czy... czy...

– Tak?

Ptasikwiat patrzyła na własne, niespokojne, splecione, siłujące się ze sobą dłonie.

– Jak mi nic nie powiesz, to ci nic nie odpowiem – rzekła staruszka z uśmiechem.

– Czy Deszczylis i ja byśmy się sobie nadali?

– Jedno baba, drugie chłop; pewnie, że się sobie nadacie.

Odpowiedź staruszki zaskoczyła dziewczynę nie mniej niż pytanie o zamążpójście. Osłupiała w bezruchu jakby zobaczyła skrzydlatego jelenia.

– Myślałam, że powiesz coś więcej...

– Mężczyzna silny z niego i odważny, kiedy trzeba będzie, to cię obroni. Hardy jest i wytrwały, to będziesz mogła na niego liczyć w potrzebie. Lubi podjudzać i się czubić, to smętno wam razem nie będzie. On cały ojciec. Przyjrzyj się jaki im się z Jastrzębikiem żyje, a będziesz wiedzieć, co cię czeka.

Dziewczyna odruchowo pokiwała głową i mrugnęła oczami.

– Jastrzębik narzeka na swój los? – zapytała staruszka.

– Nie.

– Sama widzisz! Jakby twoi rodziciele do mnie przyszli pytać się o radę, to bym im Deszczylicy wskazała. A po twojej twarzy widzę, że taka odpowiedź jest ci co najmniej...

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy. Wstrzymała oddech. Serce taranowało jej żebra. Wyczekiwała słów staruszki niczym na znak od Czwórki. Spodziewała się, że od Dębisroki zyska wiedzę o sobie samej, o jakiej wcześniej nie miała pojęcia. Zdradzi jej sekrety własnych uczuć. Staruszka oczywiście wszystko to przejrzała. Dlatego przeciągała odpowiedź. Bawiła się jak kot upolowaną myszą.

– Co najmniej... – Spojrzała w powagę z zadumaną miną. Cmoknęła ustami. – Co najmniej...

– Zlituj się, babulu!

– Co najmniej niewstrętna.

Z dziewczyny zeszło powietrze.

– Nie takich słów się spodziewałam...

– Ty już wiesz. Chcesz tylko, żebym cię utwierdziła w przekonaniu, co już zresztą zdążyłam zrobić, gdy rzekłam, że Deszczylicy poleciłabym jako twego przyszłego męża, gdyby twoi rodziciele poprosili mnie o radę. Jednak to nie wystarcza żarowi twego serduszka, które pragnie więcej słów na opał.

Staruszka wstała. Udała się w stronę drewnianego wiadra. Podobnie jak wcześniej Jastrzębibezy, tak i Dębisroka przyniosła dziewczynie mokry kawałek materiału.

– Masz, przyłóż sobie do policzków, bo na twoich rumieńcach mięso można by usmażyć.

Ptasikwiat przyjęła zaoferowaną pomoc z zaciśniętymi ustami.

– Nie gniewaj się, że tak sobie z ciebie drwię. Ilekroć widzę przestraszone panny przed zamążpójściem, od razu przypominam sobie siebie sprzed lat. – Skrzywiła się jakby przeżuwała soczyste, kwaśne jabłko. – Bałam się bardziej niż ty, a teraz się z tego śmieję.

– O właśnie! Mam dla ciebie prezent! – Ptasikwiat nagle zmieniła temat.

– Dla mnie?

Dziewczyna pokazała staruszce wisiorek z bursztynem.

– Zapnę ci na szyi – zaproponowała.

– Do czego chcesz mnie nakłonić tym prezentem?

– Nie... Tak daję ci... za to wszystko, co dla nas robisz! I jak?

– Dziękuję, bardzo ładny.

– Cieszę się. Tyle dla nas robisz, że... Coś ci się za to należy!

Staruszka pokiwała głową z figlarnym uśmiechem, jakby chciała dziewczynę ponownie uszczypnąć słowem. Rozmyśliła się. Spoważniała.

– Młody mężczyzna nosi w sobie gwałtowny żywioł. Ów żywioł jest jak ogień – dziki i niekontrolowany spopieli dom, osadę i całe lasy. Gdy jednak odpowiednio się go spożytkuje, ludzie się przy nim ogrzeją, rozjaśnią ciemności, upieką mięso, wypalą gliniane naczynia, wyrobią broń. Mężczyznom trzeba ów żywioł pomóc spożytkować. Od tego są jego rodziciele, lud, żona i dzieci. Rodziciele przekazują mu obyczaje. Lud pilnuje, aby ich przestrzegał. Gdy zostaje mężem i ojcem, rozumie, że nie jest sam i nie tylko dla siebie żyje. Odpowiedzialność za żonę i dzieci motywuje go do tego, aby jak najlepiej spożytkować żywioł, który w nim drzemie. Tak było z Wichrodzikiem i tak będzie z jego synem... To tyle, co ci może rzec stara baba. Pewnie tego jest więcej, ale nie wszystko spamiętam. Starość ma swoje prawa.

– Nie wiem, jak ci dziękować! – Ptasikwiat ujęła rękę Dębisroki. Wyglądała jak zagubione w lesie dziecko, któremu nagle ukazała się droga do domu.

Dębisroka pogłaskała ją po policzku.

– Już podziękowałaś tym wisiorkiem. Teraz wracaj do swoich zajęć. Stara baba jest zmęczona. Musi się zdrzemnąć.

Czy to prawidłowość dziejów, czy zrządzenie losu, Ptasikiwiat, wracając do domu, natknęła się na Deszczyliśa z ojcem. Nie zauważyli jej, choć szli z przeciwka. Zajęci byli dyskusją o tym, jaką strawę przyrządzić z upolowanego jelenia, którego Deszczyliś dumnie niósł na szerokich barach.

Schowała się za chatą. Z ukrycia przyglądała się Deszczylisowi. Choć znała jego twarz od dziecka, nigdy nie widziała na niej tylu szczegółów. Ukazywały jej się jak kielichy kwiatów porannemu słońcu.

AMOK

Śnieżyrog nie poszedł ani nad rzekę, ani nad strumień. Zwykł codziennie z rana udawać się do jednej ze swych samotni, aby tam głowić się, wymyślać i konstruować. Został w osadzie, co bardzo zasmuciło Płowiaka. Psina uwielbiała towarzyszyć młodzieńcowi.

– Zamknij się – odpowiadał na błagalne jęki, kładzenie pyska na ziemi i smutne spojrzenie czworonoga.

Siedział z założonymi rękami oparty o ścianę chaty. Wpatrywał się w dom Wilczybrzasku. Oczami dźgał ściany jak nożem. Mruczał pod nosem przekleństwa i groźby. Wypluł przeżute źdźbło trawy. Tupiąca noga pędziła jak drapieznik za raną zwierzyną.

W nocy był u niej. Nie otwarła. Na marne szurał palcami po drzwiach. Słyszał chrapanie jej męża. Pięść chciała rozwalić drzwi. Zaciskała wszystkie mięśnie niczym powróż na szyi.

Stał bezradnie. Choćby nie wiadomo jak bardzo chciał, gdy tylko uniósł pięść, żeby walnąć w drzwi, ręka traciła całą siłę i zawziętość.

Wściekły wrócił do chaty, skradając się przy tym jak kot. Leżał na plecach z rękami pod głową. Gapił się w czarną czeluść nocy. Złość i gniew stanęły na drodze snu. Obsiadły myśli jak wrony i kruki padlinę. Dziobały i rozrywały Wilczybrzask na strzępy.

Gdy zaczęło świtać usiadł przed chatą. Tam wreszcie dopadł go sen. Uwiesił się rzęs jak gałęzi. Ciągnął powieki w dół. Sklejał rzęsy. Prowadził Śnieżyroga między

majaki, w których młodzieniec grzązał jak w bagnie. Czuł, jak zapada się w głąb ciała, a świat za jego granicami rozmywa się i znika.

Obudziło go jęczenie psa. Płowiakowi pewnie zdawało się, że Śnieżyróg idzie nad rzekę wcześniej niż zwykle. Pisk czworonoga wyciągnął go z za wątych murów snu. We łbie dudniło, jakby dostał kołkiem.

Utkwił wzrok w chacie Wilczybrzasku. Czekał, aż ta wyjdzie.

Słońce niemal całkiem rozrzedziło mrok. Już piały kury i osada budziła się do życia. Babka wypuściła psa. Pytała, czy nie chce co jeść.

– Nie! – odburknął, nie spuszczać wzroku z chaty Wilczybrzasku. Więcej babka o nic go nie pytała. Unikała go jak rozjuszonego szerszenia.

Pies szczekał, jęczał, siadał, zrywał się na równe nogi. Starał się jak mógł zwrócić na siebie uwagę, ale szybko wyczuł nastrój Śnieżyroga. Skulił się. Czekał. Zrezygnował. Wrócił do chaty.

Śnieżyróg zaciskał zęby. Klął do siebie. Bił pięściami w uda. Ciskał spojrzeniami jak oszczepem. Gniew bulgotał w nim jak woda w kotle. Raz za razem bliski był wykipienia. Wstanie. Pójdzie do niej. Wygarnie suce. Na zamiarach się jednak kończyło. Szarpały się niczym wściekły pies uwiązany na postronku.

Niemoc piekła go jak oparzenie gorącym żelazem. W oczach stawała mu wczorajsza noc i drzwi, w które tak bardzo chciał walnąć, ile tylko miał sił. Teraz był pewien, że rozniósłby je w perzynę.

Wstał. Stawiał kroki jakby rozdeptywał robaki. Chodził w tam i z powrotem. Trzy razy zabierał się, żeby do niej iść. Trzy razy nic z tego nie wyszło.

Z każdą chwilą było gorzej. Z każdą chwilą coraz więcej ludzi wstawało i mogło go zobaczyć, gdy do niej pójdzie. Piały koguty, odzywały się ludzkie głosy, podnosił się gwar poranka. Już słyhać było otwierającą się bramę. Lud szedł na grzyby, łowić ryby, wypasać zwierzęta. Wszystko to kłuło go w uszy. Pluło w twarz. Grzebało ostrym kamieniem w świeżej ranie. Musiał coś zrobić. Cokolwiek. Choćby i walnąć łbem o ścianę.

Gniew zerwał się z postronka strachu. Ruszył. Nie zawahał się ani trochę. Zachłysnął się przyływem odwagi. Zdawało mu się, że stąpa ponad domami, że jest olbrzymem między mikrusami.

Pchnął drzwi. Wszedł. Wszystko okazało się tak śmiesznie proste, gdy przepędził strach jak ujadającego kundla.

Wilczybrzask stoi przerażona, jakby całe plemię przyłapało ją na niewierności. Cofa się przed Śnieżyrogiem pod ścianę. Przechodzi mu przez myśl, jakie to dziwne, że pierwszy raz od dawna widzi ją z bliska. Pierwszy raz od dawna pożera wzrokiem gładką, białą twarz, obsianą skromnym, jasnym piegiem i niebieskie jak bławatki oczy. Najchętniej złapałby ją za włosy, rzucił na łóżko i wziął jak wój branke.

Wilczybrzask zatrzymuje się w kącie. Dalej nie ma gdzie uciekać. Drży ze strachu. Kątem oka patrzy na męża niedołęgę, który bełkocze nieskładne słowa. Śnieżyróg prychnął z pogardą.

– Dlaczego? – syczy jak wąż. Choć w oczach ma gwałtowną burzę, jeszcze nad sobą panuje.

– Ja... nie...

– Nie co?

Oboje mówią szeptem. Oboje wiedzą, jak fatalnie może się skończyć wyjścia na jaw ich tajemnicy.

– Nie powinniśmy... Czwórka nas ukaże...

Łapie ją za ramiona. Palce wpijają się w skórę jak żelazne kleszcze. Wilczybrzask oczami błaga o litość.

– Moja babka z tobą gadała?!

Milczy. Z trudem łapie powietrze. Patrzy na niego jak zbity pies. Śnieżyróg popycha ją na ścianę. Ból szpeci jej śliczną twarz.

– Pytam, czy moja babka z tobą gadała?!

– Nie.

– To dlaczego?!

– Czw... Czwórka nas ukaże...

Burzykos, mąż niedołęga, bełkocze coraz głośniej.

– Każ mu się zamknąć albo mu wszystkie kości połamię!

– Nic się nie dzieje, Burzykosie – mówi głosem, któremu sama by nie uwierzyła. – Siedź spokojnie...

– Tak nagle się rozmyśliłaś?! – Łapie ją za szyję. – Pytam się!

Zamyka oczy. Przez szparę między wrotami powiek wyciekają łzy. Czeka na najgorsze.

Burzykos łapie napastnika za ramię. Śnieżyrog odwraca się jak użądłony w plecy. Pcha niedołęgę na podłogę. Kopie leżącego.

– Błagam cię, przestań! – słyszy błagalny szept Wilczybrzask za plecami.

– Co, boisz się, że cała osada się dowie? – Kpi z niej pogardliwie. Depcze niedołęgę. – Moja babka z tobą gadała?! Mów albo zaraz będziesz miała cała Widłoki na głowie!

– Widłosiew.

Gniew osłabł jak ognisko zalane oberwaniem chmury. Poczuli się całkowicie bezradny, jak uwiązany na postronku pies.

– Skąd wiedział?!

– Nie wiem.

– Pewnie ta głupia starucha mu powiedziała!

– Błagam cię, idź już! Już dość nieszczęść się na mnie zważyło! Czemu dokładasz mi następnych?!

Podszedł. Złapał za szyję.

– Sama przede mną nogi rozłożyłaś, to teraz nie udawaj niewinnej! Jeszcze raz nie otworzysz drzwi nocą, a całą chatę puszczę z dymem. Zrozumiałaś?!

Pokiwała głową. Oczy miała mokre jak bławatki po ulewie. Puścił ją. Osunęła się na podłogę. Ukryła twarz w dłoniach. Chlipała jak dziecko.

Wyszedł. Słońce podrażniło oczy. Szedł wściekły nie zważając, czy kto go widział, czy nie. Gwar osady brzęczał jak uporczywa mucha, którą chętnie by

zmiądzzył między palcami.

Wszedł do chaty.

– Nie wybierasz się nad rzekę? – zapytała Dębisroka zajęta łątaniem szaty.

Wzdrygnęła się przerażona. Pies zapiszczał z bólu. Schował się za Dębisroką.

– Coś ty mu zrobił?!

Nie odpowiedział. Ruszył, aby poprawić czworonogowi. Zastąpiła mu drogę.

– Na Czwórkę, opamiętaj się!

W oczach miał tylko chęć zadawania bólu każdemu, kto nawinie się pod rękę.

Na opamiętanie nie było w nich miejsca.

– Ty namówiłaś druida, żeby namącił Wilczybrzaskowi w głowie?!

– Poprosiłam go, żeby przemówił jej do rozumu!

– Po coś się wtrącała, głupia starucho?!

– Jak śmiesz, gówniarzu! Jeszcze cię Czwórka ukaże za te słowa! Obmywałam ci tyłek od niemowlęcia. Hołubiłam...

Pchnął ją na bok. Wywróciła się. Kopnął psa.

– Nie rób mu krzywdy! – zajęczała, jakby to ją uderzył.

– Jeszcze raz wtrąć się tam, gdzie cię nie trzeba, a utnę temu kundlowi łeb na pniaku!

– Jak tak możesz, gdyby nie Płowiak...

– Gówno mnie to obchodzi!

Podeszła na czworakach do skamlącego psa. Objęła go i pogłaskała. Oddychała ciężko. Ocierała łzy.

– Jakby się w osadzie wywieździeli, to by was oboje różgami obito! Ona ma męża i jemu wierność winna!

Splunął w kierunku babki.

– Chuć ci rozum przesłania! Ta dziewczka to tylko kłopoty! Nie szukaj sobie baby pod brzuch, tylko taką, co się nadaje na żonę i matkę!

– Pewnie już jakąś sukę sobie dla mnie sobie umyśliłaś, co?!

– Kiedyś zrozumiesz...

– Kogo?

Wtuliła się w psa. Cicho łkała i głaskała czworonoga.

– Gniewu Czwórki się nie boisz?!

– Kogo?! Nie każ mi powtarzać trzeci raz, bo ten kundel będzie się poruszał na trzech łapach!

– To już prędzej mnie uderz!

– Z chęcią bym to zrobił, ale na sucho by mi to nie uszło.

– Tchórz!

– Zabawne, że mówisz to ty, która trzęsie się na samą myśl, że ktoś może zapytać o piski psa. Jaką odpowiedź sobie wymyślisz? Że nastąpiłaś mu na łapę? Zrobisz wszystko, żeby mnie chronić, nawet jeśli tobą pomiatam! Jesteś tak żałosna i głupia jak twój pies!

Pociągnęła nosem.

– Nigdy więcej nie wtrącaj się... Co do cholery?!

Świat za drzwiami chaty, który znikł im z pola widzenia, wtargnął do izby jak wiewiórka do ptasiego gniazda. Podniosła się wrzawa jaka zwykle zwiastuje zagrożenie. Pisk niewiast podszył strach. Wołanie mężów rozkazywało chwycić za broń.

Rogi trąbiły na alarm.

STALOOCY

Obcy byli. Takich jak oni jeszcze w Widłokach nie widziano. Rośli, o płowych i rudych brodach, zaplecionych w grube warkocze. Twarze, niebieskim pigmentem, wymalowali w niezrozumiałe znaki.

Nosili hełmy ze stalowymi obręczami wokół oczu. Dzierżyli okrągłe tarcze, miecze, włócznie i wielkie, oburęczne topory. Przy płynęli z północy, by zabijać, palić i grabić.

Zjawili się niespodziewanie. Z łodzi z wysokimi palami pośrodku, z których zwisało nadymane wiatrem płótno, wysypali się jak mrówki z kopca. Ich tłuszczka pokryła brzeg Sierpicy jak rozlane mleko stół. Zdzierali gardła jak dzikie bestie. Huk i wrzask uderzył w palisadę jak podmuch wichury w wątłe drzewo. Ziemia zachwiała się posadach, jakby deszcz głazów spadł z nieba.

Szczęściem wcześniej alarm podniesiono. Rybacy wypatrzyli ich na rzece i zadęli w rogi. Porzucili sieci i pierzchli do Widłoków jak przestraszone dziecko w matczyne ramiona.

Znad brzegu, z pól i z pastwisk ludzie gnali jak spłoszone sarny za bezpieczną ścianę palisady. Zanim obca tłuszczka dopadła do niej jak wygłodniały wilk do rannej sarny, większości udało się schować. Nielicznych pochłonęła jak stado kowali szerszenia.

Gromady strzał wyszły obcym na spotkanie. Ostre groty wczepiły się w drewniane tarcze, odbiły od hełmów, utkwily w okach żelaznych sieci.

Jazgoczące mrowie cofnęło się jak wilk odganiany pochodnią. Szydziło ze strzał nie mogących ich dosięgnąć. Zakotłowało się w nim jak w ulu.

Tłuszcza wypluła przed siebie z pięć dzikich bestii, szarpiących schwytaną dziewczynę. Pętle sznurów wpiły się w wiotką skórę jej nadgarstków i kostek. Cztery zwierzęta w ludzkich skórach rozciągnęły jej ręce i nogi. Ostatni zwyrodnialec roztargał jej szatę i obnażył od stóp do głowy. Brał ją od tyłu. Szarpał za włosy. Miętosił i plugawił.

Ryk śmiechu przeszedł przez tłuszcę jak echo przez dolinę. Dziki ryk, bydlęcy rechot i plugawe wiwaty zlały się w jeden jazgot, który kłuł każdego, kto stał na murach Widłoków jak żądła os.

Nagle tłuszcza zastygła jak człek dech biorący przerażeniu. Bestie rozstąpiły się jak kałuża, w którą ciśnięto kamień. Zwolnione ręce dziewczyny opadły jak ptasie skrzydła. Na białej skórze zaroilo się od brązowych strzał. Zachwiała się. Padła przed siebie.

Zaskoczona tłuszcza zwróciła się tam, skąd strzały przybyły. Dojrzała niewielką grupę łuczników, która wyszła z flanki za palisadę. Strzelcy, jawni jak czerwona krew na białym śniegu, pierzchli z powrotem do osady. Tłuszcza zwęszyła okazję jak drapieźnik ranną zwierzynę. Bezmyślnie rzuciła się w pościg. Jedyne garstka została, widać opamiętana rozkazem ichniego wodza.

Hałas z tupotem szarpały chwiejącą się ziemią. Najeźdźcy rozciągnęli się jak wyprostowany, obślizgły wąż. Jego łeb z ociekającymi jadem zębami zaczął sięgać uciekających mężów. Ci ile tchu biegli ku bramie, wystającej z palisady jak dziura w muszli ślimaka. Na odsiecz przybyły im oszczepy i strzały z murów, starające się spowolnić pościg dzikiej cizby.

Łucznicy wpadli do środka. Wrota nie zdążyły się zamknąć. Tłuszcza rozwarła je jak grot włóczni połacie skóry. Cizba wdarła się do środka jak sztych miecza między żebra.

I wpadła w pułapkę. Za bramą, której wrota specjalnie otwarte zostały, wiódł korytarz do następnej. Ta zamknęła się w porę za łucznikami. Tłuszcza

bezsukutecznie na nią natarła.

Skończył się pościg. Zaczęła się rzeź. Gdy tylko wraże mrowie wypełniło korytarz jak rzeka koryto, pobratymcy wychylili się zza murów. Na najeźdźców spadły oszczepy. Kąsały jak rój wściekłych os. Raniły ręce, wbijały się w oczy, szyje i zabarwiały krwią ziemię korytarza. Wraz z nimi poleciały ciężkie, gruchoczące kości głązy. Rozgniatały torsy, golenie i stopy jak łupiny orzechów. Rozłupane czaszki wypluwały kawałki mózgów oblepione gęstym szkarłatem. Do oszczepów i głązów przyłączyły się strzały.

Wąż najeźdźców chciał zawrócić, ale własny ogon pchał go pod bramę, w głąb korytarza, ku zgubie. Ledwo tyły dzikiego mrowia spostrzegły sytuację, same musiały odpierać atak z zaskoczenia.

Z Paszczy wypadły dwie drużyny. Pierwsza szaatakowała od tyłu uwięzionych w Ślimaku. Raniła włóczyniami, toporami i mieczami. Napierała tarczami. Wepchnęła tyły dzikiego mrowia w głąb korytarza, prosto pod oszczepy, głązy i strzały. Wycięli w pień niemal wszystkich. Pozostali przy życiu najeźdźcy, widząc nieuchronną klęskę, padali na własne miecze. Dwóch nawet odgryzło sobie języki, gdy brano ich w niewolę.

Druga drużyna napadła na resztę wrogów, którzy nie dali się wciągnąć w pułapkę i, widząc nieuchronną klęskę, natychmiast rzucili się ku łodziom do ucieczki. Daremna była to próba. Łapano ich, zanim zdążyli do celu, ściągano z łodzi, zarzynano mieczami, rąbano toporami, dźgano włóczyniami, topiono żywcem w rzece.

*

– Wracaj na mury! – rozkazał ojciec Deszczylisowi, co syn przyjął ze skrzywioną gębą. Palił się do bitwy. Chciał razem z drużyną zająć wroga od tyłu i rozwałać łby toporem. – Biegnij na Ślimaka!

Rozkaz ojca zabolął Deszczyliśa jak policzek, ale usłuchał. Otwarto bramę. Drużyna poszła w bój.

– Głupi cap! – warknął pod nosem Deszczyliś, biegnąc na mur.

Cała osada wrzała jak kipiąca woda. W hałasie nie dało się rozróżnić pojedynczych głosów. Choć w uszach królował chaos, oczy widziały współpracę, rygor i porządek. Kobiety zbierały dzieci i chowały do chat. Mężczyźni nieśli broń, biegli na mury. Wódz i jego zastępcy dowodzili obroną. Każdy zdawał się wiedzieć, co do niego należy.

Spojrzał w niebo. Było czyste i spokojne. Nawet jedna chmura nie zakłócała błękitu.

Wszedł na mur. Wraz z mrowie kotłowało się na dole jak rój. Ryk, jęki rannych i konających, świst strzał chybiających celu, wbijających się w drewniane tarcze i wbijających się w nieosłonięte miejsca, szczęk broni i huk głazów gruchoczących kości, zdawały się dobiegać z jego głowy, jakby działały się między uszami Deszczyliśa. Stał jak głaz w strumieniu.

– Na co czekasz?! – wrzasnął Zimnoskał, dowodzący obroną odcinka, na który przybył młody mężczyzna. – Nie gap się jak na gołe cycki! Pomóż głazy zrzucić!

Deszczyliś ocknął się. Pobiegł do pobratymca, obróconego do niego plecami, który z starał się podnieść ciężki głaz. Złapał z drugiej strony. Spojrzał pobratymcowi w oczy. Był to Niebokieł.

– Na raz, dwa! – nakazał starszy.

Podnieśli. Pchnęli głaz za mur. Ujrzeni w dole wroga wyjącego z bólu. Głaz zmiażdżył i przygniótł mu nogę. Nie zdążył się nacierpieć. Strzały zakończyły jego męki.

Deszczyliś poczuł, jakoby wyrósł ponad chmury. W każdym mięśniu czuł moc rozłupującą skały jak orzechy. Byłby gotów uwierzyć, że ściągnąłby słońce z nieba i zgasił je w wodach Sierpicy.

– Do roboty! – zrugął go Niebokieł.

Złapali za następny kamień.

– Na raz, dwa! – wrzasnął starszy.

Głaz położył dwóch. Wróg, spychany w głąb korytarza, ścisnął się i gniótł. Stanowił łatwy cel.

Deszczylis i Niebokieł, ramię w ramię, uwijali się za trzech. Gdy skończyły im się ciężkie głazy, rzucali mniejszymi kamieniami, podawanymi na mury przez wyrostków, a nawet starców, jeśli starczyło im sił. Każde pokolenie przyłożyło się do zwycięstwa, które, w momencie gdy wróg dał się wciągnąć w pułapkę, stało się jedynie kwestią czasu. Obcy walczyli już tylko o chwalebny śmierć w boju. Większość padła na własne miecze. Kostucha odsiała ich od tych, którzy chcieli żyć.

Wiwaty rozległy się na murach, obwieszczając całym Widłokom zwycięstwo. Mężczyźni wznosili ręce ku niebu i dziękowali Czwórcę. Padali sobie w ramiona i ściskali jak najbliższych. Kobiety wychodziły z chat i zrzuciły ciężkie kamienie z serc. Tuliły swe dzieci, ścisnęły się ze wszystkimi i całowały policzki wszystkich, którzy znaleźli się zasięgu ich wzruszenia i radości.

Pierwsza warta nie mogła się równać z ze zwycięstwem. Wyjątkowość chwili uderzyła Deszczylisowi do głowy. Dała poczucie jasnego miejsca w niepojętym świecie. Zdawało mu się, jakby z ziemi pod nim wyrosła ogromna góra, a nocą, z jej szczytu, mógłby zrywać gwiazdy jak owoce z jabłoni. Jego życie wydało mu się proste i doskonale uporządkowane. Nigdy nie był bardziej szczęśliwy.

Nawet Niebokieł był jakiś inny, bardziej podniosły i godny miana pobratymca. Podali sobie ręce. Nigdy nie zostaną przyjaciółmi. Wrogość, jaka stanęła między nimi podczas pamiętnej warty, łatwo nie przeminie, jeśli w ogóle. Jednak teraz obaj byli pewni, że gdy wraza siła zagrozi Widłokom, ramię w ramię stawiają jej czoła.

Deszczylis zszedł z murów. Chciał z ojcem podzielić się tą niepojętą radością. W ślad za nim poszli inni. Otworzyli bramę, aby biec do zuchów, którzy odcięli wrażym plugawcom drogę ucieczki, uściskać ich i razem świętować zwycięstwo. Powódź Igłasów wylała się z osady.

W kącie oka ukazała mu się dziewczyna, pojmana przez wrażą dzicz, którą wcześniej widział z murów. Wszyscy zdawali się o niej zapomnieć: dzielni obrońcy za palisadą, wojownicy, którzy zepchnęli wroga w głąb Ślimaka i ci, co nad rzeką wycięli pierzchających w popłochu. Ciekawość zwyciężyła. Pierwszy dotarł na miejsce. Zaraz zaczęli gromadzić się wokół niego inni.

Była naga, najeżona strzałami, naznaczona śladami po plugawych łapskach. Leżała z twarzą w trawie. Niektóre pociski się złamały, drugie wyglądały jakby wypadły z ciała, gdy runęła na tamten świat. Trzy przy uderzeniu o ziemię przebiły ją na wylot i, zakrwawionymi grotami, wystawały ponad plecy.

Połamiał wszystkie i urwał końcówki. Wziął za ramię stygnące ciało. Obrócił ją na plecy. Miała minę, jakby obudziła się w obcym miejscu i nie wiedziała, gdzie jest. Zagubione, zielone oczy szukały czegokolwiek, co jest im znajome.

– Ptasikwiat – wyszeptał ktoś za jego plecami.

Deszczylis poczuł we flakach ścisk, jakby śmierć przechadzała się tuż obok i lodowatym palcem przejechała mu po plecach w dół kręgosłupa.

Wyciągnął strzały z dziewczyny. Zdjął koszulę i przykrył nią obnażone piersi i łono. Patrzył półprzytomnie oczy Ptasikwiatu. Jego własne niczym gładka powierzchnia stawu odbijały zdezorientowanie i zagubienie, jakie śmierć zamroziła w spojrzeniu dziewczyny.

Ktoś coś szeptał za jego plecami. Wrócili wojowie znad rzeki, ale to wszystko działo się gdzieś indziej, jakby pod powierzchnią wody, zniekształcającą kształty i dźwięki.

Zostawił ją. Poszedł w stronę Ślimaka. Rozglądał się w poszukiwaniu znaków, które podpowiedzą mu, że to sen. Czyste niebo, roziskrzona tarcza słońca i zieleń traw na pozór były takie, jak na co dzień. Uszczypnął się w rękę. Choć nie śnił, nie mógł się pozbyć wrażenia pomieszania jawy z dziwnym, nieprzyjemnym snem, po którym oddycha się z ulgą po przebudzeniu.

Przybył. W pierwszej chwili nie rozumiał, co się dzieje. Nie dotarło do niego. Karki pobratymców uginały się na jego widok. Nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy

poza Iglinowiem. Podążył za spojrzeniem pobratymca na pobojuwisko i bezwładne ciała. Ściekająca z nich jucha, czerwonymi kałużami, wsiąkała w ziemię. Oczy zatrzymały się jak wędrowiec przed zwałonym drzewem.

Padł na kolana. Złapał się za głowę. Wrzeszczał wniebogłosy. Pruł gardło jak wyschniętą szatę. Wpijał palce w głowę jakby chciał przebić czaszkę. Jednak ani od krzyku, ani od bólu, świat nie pękł ani nie rozbił się na kawałki jak gliniany dzban ciśnięty o skały.

U jego kolan leżał ojciec z toporem wbitym w głowę. Broń weszła poziomo w ciało zaraz pod hełmem, przepoławiając ucho. Zatrzymała się dopiero za nosem.

Ojciec usta miał otwarte, jakby przerwano mu w pół słowa, a w oczach, wyryte przez śmierć, konanie w bólu.

Deszczylis popłakał się jak zbite dziecko. Przywarł czołem do niemego serca Wichrodzika. Wył. Chlipał. Pociągał nosem. Nie zwracał uwagi na poklepujące go ręce współplemieńców, razem z nim pogrążonych w żalu.

Podniósł głowę. Mokre oczy dojrzały jeńców. Źródło łez błyskawicznie wyschło. Wstał. Wytargał topór z głowy ojca. Długi, oburęczny, z rozległym ostrzem wystającym ponad drzewiec, zupełnie inny niż te robione w Widłokach.

Powłóczył toporem po ziemi. Upatrzył sobie jednego z włosami jak lisia kita i takąż brodą, zaplecioną w warkocz. Miał związane ręce i nogi, a w ustach knebel ze sznura, na wypadek gdyby chciał odgryźć sobie język. Siedział na ziemi z kolanami przy torsie.

Nikt nie zatrzymał Deszczylisa. Każdy rozumiał. Nikt nie odwrócił wzroku, gdy złapał jeńca za kudły. Ciągnął go po ziemi na kawałek wolnej przestrzeni, gdzie mógł go spokojnie ubić.

Puścił. Jeniec pełzł jak dżdżownica. Obracał się, jakby chciał turlikać z góry. Knebel ze sznura tłumiał jego bełkot. Może wzywał swoje bóstwa, może błagał o litość. Nikt słowa nie zrozumiał.

Pierwszy cios trafił go w łydkę. Deszczylis poczuł, jak ostrze zagłębia się w kości. Jucha wsiąkała w portki jeńca. Zabarwiła mięso w otwartej ranie.

Jeniec wył i pełzył dalej. Łapał ostatnie tchnienia. Następny cios trafił niemal dokładnie w to samo miejsce. I następny aż wreszcie odrąbał nogę od ciała. Tak był z następną nogą. Potem rąbał na oślep aż ciężkie ostrze, ciosem w potylicę, przepołowiło czaszkę.

Po wszystkim pierwsze, co przyszło Deszcylisowi do głowy to, że na pniaku byłoby łatwiej. Ta myśl wydała mu się obca, zupełnie jakby podszeptał ją ktoś inny.

*

Jeńcy, konkretnie dwudziestu trzech, mówili niezrozumiałym językiem. Kim byli? Skąd przybyli? Nie było jak się wywiedzieć torturami. Wszystkich złożono w ofierze Czwórcę tego samego dnia. Obcięto im głowy na pniaku przed Totemem. Potem nabito je na cienkie pale, aby napatrzyły się na potęgę Bóstw, które ocaliły Widłoki.

Nazajutrz po egzekucji pochowano wszystkich poległych Igłasów.

Ptasikwiat legła w ziemi razem z ptasimi piórami i wiązanką polnych kwiatów. Albowiem przyszła na świat na łące zakwitłej kwiatami o wszystkich kolorach tęczy, a na niebie, zaraz gdy tylko matka wzięła córkę na ręce, ukazała się chmara ptaków.

Wichrodzik spoczął pod dębem, tam gdzie sam niedawno pogrzebał swego ojca. Pochowano go z kłami dzika i garścią kurzu wzbijanego w powietrze przez wiatr na drodze. Albowiem gdy się rodził wichur był straszny, a dnia poprzedniego jego ojciec upolował dzika.

Deszcylis naciął na dębie czwartą kreskę.

NARADA

Noc już zapadła nad Widłokami, gdy wódz Żbicygrom wciąż naradzał się ze starszyzną. Mężowie i niewiasty niecierpliwie wyczekiwali ich postanowień, zgromadzeni półkolem pod Totemem, oświetlanym płonącymi wokół ogniskami. Lud patrzył z nadzieją to na chatę wodza, to na Totem wymierzony w nabijany ćwiekami gwiazd, granatowy materiał nieba, zawieszony wysoko poza zasięgiem ludzkich rąk.

Plotki i domysły frunęły od jednej głowy do drugiej, niczym pszczoły z kwiatu na kwiat. Ludzie prześcigali się w przewidywaniu, co przyniesie przyszłość.

– Pójdziemy na Sumów – rzekł Iglinów i dorzucił drwa do wielkiego płomienia.

– Tak myślisz? – zapytał Bazigrad, świeżo upieczony mężczyzna, co pierwszą wartę odbył kilka dni temu, a i w bitwie z najeźdźcami brał udział.

– To już było pewne, zanim obcy się zjawili! Teraz, kiedy mamy ich łodzie i broń, łatwiej będzie Sumów najechać! A swoją drogą to powinieneś pęcznieć dumą jak... jak najedzony brzuch! – Chciał powiedzieć „portki na widok gołej baby”, ale w porę sobie przypomniał, że przed Totemem stoi. – Dziad twój, Prawdzirak, wpadł na pomysł ze Ślimakiem i dzięki niemu w dużej mierze odnieśliśmy zwycięstwo! Szkoda, że staruszek nie dożył tej chwili!

– Gdyby zima go nie zabrała...

– I po co ta wojna? – rozsierzdziła się Burzylas, matka Bazigrada. – Baby mężów, synów i wnuków oplakują, a wam już do rozlewu krwi się spieszy?!

– Żeś córka Prawdziraka, to w język się ugryzę – odparł Iglinów, choć wyraźnie go korciło, aby dopieć kobiecie ciętym słowem.

– Nie chcę twojego łaskawego szacunku, tylko tego, żebyś mi wytłumaczył, po co niby ta wojna?! Przecież Sumy pokoju przestrzegają! Nie lepiej byłoby się sprzymierzyć przeciw obcym?! Razem łatwiej byłoby się bronić przed najeźdźcami!

– Wojna jest kwestią czasu. Jak dwie watahy wilków dzielą jeden teren, to żrą się, dopóki jedna z nich nie wygra! Nam trzeba ziemi na drugim brzegu! Ziemi na zboże i nową osadę! Sumy nigdy na to nie pozwolą, przeto lepiej zaatakować ich, gdy się nie spodziewają!

– A to brak nam pól albo zapasów?

– Na razie nie, ale jak dalej się tak będziemy rozrastać, to wkrótce zaczniesz! Jak na drugim brzegu Sierpicy wybudujemy osadę, to łatwiej nam przed najeźdźcami obronić się będzie, bo zawsze jedna z odsieczą drugiej przyjść może! A i po trzecie, Czwórka nam tę ziemię dała we władanie! O innych nie było ani słowa! Przed Totemem kwestionujesz Jej Wolę? Chcesz nieszczęście na nas sprowadzić?!

Pomruki i szepty podniosły się w małej grupce, przysłuchującej się rozmowie. Zadźwięczały jak deszcz o strzechę. Burzylas niemal zwinęła się w kłębek. Jej głowa poleciała przed siebie jak ścięte drzewo. Nie śmiała jej podnieść ani spojrzeć nikomu w oczy.

– A ty co myślisz, babulu? – zapytała Dębisrokę, aby odwrócić od siebie uwagę.

Oczy niemal wszystkich zwróciły się ku staruszce. Posłuch pośród ludu miała niewiele mniejszy niż druid czy wódz.

– Nie znam się na wojnie. Stara jestem i chcę jedynie dożyć prawnuków.

– Nie masz się co martwić, babulu – rzekł Iglinów. – Twój wnuk za młody, na wojnę nie pójdzie. No chyba...

– Chyba że co?

– Taka mądra głowa się przydała.

- Mało dobrego zrobił dla Widłok?!
- Nie unoś się, babulu, ja tylko tak gdybam...
- Gdzie on teraz jest? – zapytał Bazigrad.
- Z Deszczylisem.
- A... no tak... Dobry z niego druh.

Rozmowa ucichła. Głosy oddały pole trzaskom płomieni, śpiewowi świerszczy i innym odgłosom nocy.

– Ale skąd tych czartów przywiało?! – odezwał się Dziegciółuk, mąż Szalwizaru, który do tej pory siedział cicho.

- Z daleka – odparł Iginów.
- Tyle to sam wiem! – warknął Dziegciółuk. – Gdzie jest to daleko?! Iginów wzruszył ramionami.

– A i czemu oni tacy dziwni? – zapytała Burzylas, patrząc na, nabita na kij głowę jednego z obcych. – Czemu te policzki mają takie wysokie? I czemu brody w warkoczach zaplatają?

- Żeby wszy się miały gdzie lęgnąć! – Iginów wyszczerzył kły.
- Nie wstyd ci przed Totemem głupoty gadać?!
- Przecież nie Czwórce bluźnię, tylko tym bydlętom co napadły Widłoki!
- Jak myślisz, babulu, skąd oni się wzięli? – zapytał staruszkę Dziegciółuk.
- Nie wiem... Ale skoro my mamy swoją osadę, Sumy swoją, to i pewnie więcej jest ludów i osad na całym świecie.
- Ciekawe, jaki on wielki?
- To pytanie do Czwórki, a nie starej baby.
- Trzeba będzie się przygotować na następny najazd...
- Czemu? – zapytała przestraszona Burzylas.
- Na pewno mają pobratymców. A ci będą się zastanawiać, dlaczego nie wrócili.

– Do wiosny mamy spokój! – Iglinów stwierdził bez zawahania. – Musieli przybyć z daleka, to i wyprawa sporo czasu zająć musiała. Mamy lato, pewnie dopiero na jesień zaczną się domyślać. Wtedy będzie już za późno! Przynajmniej do wiosny mamy spokój!

– I tak trzeba się na nich przygotować.

– Najpierw Sumy!

– Będzie, jak wódz rozkaże.

– Idą! – zauważył Bazigrad.

Wódz Żbicygrom, w asyście swego syna Białokura i swej prawej ręki, Szarugila, stanął przed Totemem. Trzej mężczyźni pokłonili się Czwórcę. Zwrócili się ku ludowi.

Wódz cierpliwie zaczekał, aż zamilkną poruszenie i słyhać będzie jedynie świerszcze i rzekę w oddali. Rozejrzył się po twarzach ludu, oświetlonych płomieniami ognisk. Wpatrywali się w niego jak głodny pies na pana, który w ręku trzyma kawał mięsa. Przeciągał ten moment. Sycił się nim jak pierwszymi kęsami soczystej pieczeni.

Wsparł się pod boki. Wypiął klatkę piersiową i dorodny brzuch.

– Pójdziemy na Sumów! – oznajmił.

Rozległy się wiwaty nie mniejsze, niż gdy udało im się odeprzeć najeźdźców. W ich cieniu, pomruki zwątpienia przeszły niezauważone, jak śpiew kwiczoła przykryty szczekaniem sarny. Wódz zaczął wydawać rozkazy i rozdzielać zadania odnośnie gromadzenia żywności, dowodzenia i przeprawy na drugi brzeg rzeki.

– Śnieżyróg!

Wywołany nie odpowiedział. Zrobiła to za niego babka.

– Czuwa nad rodziną Wichrodzika.

– Aha... W bój jeszcze iść nie może, ale pójdzie z nami. Może wymyśli, jak najprościej przedostać się przez mury otaczające Kotlasy.

Staruszka kiwnęła głową, a raczej jej głowa schyliła się jak źdźbła traw na łące, rozczesywane porywistym wiatrem. Wysłuchiwała do końca słów wodza, patrząc

ponuro to na płonące ogniska, to na głowy najeźdźców. Razem z druidem i resztą wzniosła prośby do Czwórki o pomyślność w walce.

Gdy lud zaczął się rozchodzić, poszła do chaty Wichrodzika. Obyczaj Igłasów nakazywał, aby w pierwszych dniach po śmierci zawsze ktoś czuwał nad rodziną zmarłego. Nawet jeśli ktoś nie mógł, to przychodził choćby zaoferować pomoc, rzec dobre słowo, pocieszyć jak tylko potrafił. Małe rzeczy zbierały się jak kupka drewna, z której rodzina zmarłego mogła rozpalić ogień i obronić się przed chłodem bólu i rozpacz. Dębisroka z tego obyczaju swego ludu była najbardziej dumna.

– Zaczekaj – zatrzymał ją głos Szarugila. Prawa ręka wodza, człek kościsty, o włosach siwiutkich jak pajęczyna i oczach ciemnych jak zwęglone drzewo, spojrzał przyjaźnie na staruszkę, niczym syn na matkę, który stara się ją zapewnić, że wróci z wojny cały i zdrowy. – Ręczę za bezpieczeństwo twego wnuka! Na pewno przyczyni się do zwycięstwa i wróci opromieniony chwałą! Bądź spokojna!

– Jesteś pewien, że wygramy?

– Inaczej nie dążyłbym do wojny. – Położył dłoń na ramieniu staruszki. – Przed twoim wnukiem wielka przyszłość!

Pewność Szarugila ją przekonała. Dobroduszny spokój, jaki bił od twarzy prawej ręki wodza, niczym na tafli wody odbił się na obliczu staruszki.

– Dzięki ci za dobre słowo. Pójdę do chaty Wichrodzika.

– Robisz dla ludu nie mniej niż druid czy wódz.

– Robię tyle, ile może stara baba.

Szarugil zaśmiał się przyjaźnie.

– Nie zatrzymuję cię dłużej.

– Bywaj.

Deszczyliśa i swego wnuka zastała przed chatą razem z psem, który natychmiast nastawił łeb, gdy staruszka wyciągnęła dłoń, żeby go pogłaskać.

– Wódz zdecydował, że pójdiesz na wojnę – rzekła beznamiętnie do wnuka. –
Masz...

– Wiem – odparł, próbując dojrzeć w mroku własną stopę grzebiącą w ziemi. –
Przysłuchiwaliśmy się.

– Jak matka? – zwróciła się do Deszczyliisa.

– Śpi – odparł głosem człowieka wycieńczonego dźwiganiem wielkiego głazu
na plecach. – Już z nią lepiej.

– To dobrze.

– Niepotrzebnie się uparła, żeby zobaczyć ojca. – Zadrżał mu głos. – Nikt go
nie powinien oglądać w takim stanie...

Pochylił się na widok wyciągniętych rąk staruszki. Pomarszczone kończyny
skrzyżowały się na karku Deszczyliisa. Przycisnęły go mocno do staruszki.

OJCIEC

Deszczylis siedział na grubej gałęzi dębu, pod którym spoczywali jego przodkowie. Tępo wpatrywał się w dół, na udające się na spoczynek Widłoki, zmęczone przygotowaniem do wojny.

Cieszył się z niej. Była lepsza niż mozolne gojenie ran po stracie ojca i przyzwyczajenie się do pustki po nim. Nie mógł pojąć, jak to w ogóle możliwe, że świat dalej trwa po jego śmierci. Rosa na trawie pojawia się z rana, słońce praży w południe, krowy dają mleko, ryby wpadają w sieci i ludzie zajęci są swoimi sprawami. Życie toczyło się dalej, choć według Deszczylisa, świat powinien runąć jak ścięte drzewo. A przynajmniej pokazać, że stratę Wichrodzika odczuł nie mniej niż Deszczylis i jego rodzina. Owszem, lud oddał mu należną cześć jako bohaterowi, który poległ w obronie plemienia. Potem jednak przeszedł nad śmiercią ojca do porządku dziennego. Życie toczyło się dalej.

Ojciec słynął z tego, że nikt w Widłokach w ostrzeniu dorównać mu nie mógł. Topór, kamień do golenia, miecz, groty strzał, nóż – wszystko potrafił naostrzyć tak, że włos można było rozdzielić na dwoje. Ludzie przynosili mu broń i narzędzia. Odwdzięczali się jedzeniem, napitkiem i czym tylko mogli. Teraz, gdy go zabrakło, ostrzyli sami albo zanosili do kogo innego. To najbardziej mierziło Deszczylisa: inni, gorsi od ojca, kontynuowali robotę, w której nie mogli mu dorównać. I jak ludzie mogli im dziękować i chwalić ich wysiłek? Przecież żaden tak jak ojciec naostrzyć nie umiał.

Widłoki musiały sobie jakoś radzić bez niego. I całkiem dobrze im to szło, czego Deszczylis nie mógł ścierpieć. Rozumiał, że przecież lud się nie załamie z powodu śmierci jednego człowieka, jakkolwiek wspaniały by nie był. W końcu był jak igły sosny, a nie wątle liście. Jednak tkwiąca głęboko w trzewiach Deszczylisa zadra, uparcie trwała przy swoim. Musiał się jej pozbyć. Wierzył, że ta wyjdzie z niego na wojnie, gdy zatraci się w szczęku broni i zanurzy w przelanej krwi.

Topór w głowie ojca, szal, gniew, płacz matki i sióstr, żądza krwi... Walnął pięścią w udo, jakby chciał powiedzieć dość. Tamte obrazy obsiadały go jak rój wściekłych, żądzących na oślepie os.

Spojrzał w ciemniejące niebo, ozdobione rzadkim pasmem chmur, jakby ich biały puch przesypano przez sito.

– Dlaczego Czwórka mieszka u góry? – Przypomniął sobie pytanie, jakie zadał ojcu będąc jeszcze małym chłopcem, który niewiele odrósł od ziemi.

Ten wtedy zadumał się chwilę, która małemu dziecku wydawała się trwać zdecydowanie za długo.

– Jak spojrzysz w dół, to co widzisz?

– No... no ziemię!

– A co tej ziemi jest najbliżej? Pająki, węże i robaki! Stworzenia niższe od nas! Zatem Czwórka, jako od nas lepsza musi być hen, tam daleko w górze! Ku Nim głowy zwracamy i jak Oni być chcemy. Chcemy być mądrzejsi, silniejsi, bardziej prawi, nie zaś bardziej obrzydliwi i plugawi, jak stworzenia biesom mieszkającym pod ziemią bliższe!

Deszczylis otarł łzę. Wspomnienia o ojcu wyskakiwały na powierzchnię pamięci jak bąble w gotującej się wodzie. Gdzie by nie poszedł, gdzie by nie spojrzął, zawsze trafiał na coś, co się z nim kojarzyło. Łuk przypominał o wspólnych polowaniach, niebo o mądrych słowach, potok o laniu jakie otrzymał za wspólną wędrówkę ze Śnieżyrogiem, wrota bramy ostatnią chwilę razem i rozstanie, którego żałował i za które potępił się bez litości. Czuł jakby oczy, uszy

i serce zarzucały sieci i z setek słów, widoków, uczuć i zdarzeń wyławiały tylko te, które wiążą się z ojcem.

Zaczynało się ściemniać. W Widłokach płonęły pochodnie.

– Ćwicz się w postanowieniach, albowiem one kształtują charakter! – rzekł mu ojciec, gdy był jeszcze mały. – Tego nauczyli mnie twój dziad i pradziad! Gdy ćwiczysz umiejętność, czy to strzelanie z łuku, czy wspinanie się na drzewa, z czasem stajesz się w tym lepszy. Nie inaczej jest z postanowieniami. Gdy będziesz je ćwiczył, staniesz się lepszy w byciu mężczyzną! Zaczynaj od małych rzeczy. Postanów sobie – dzisiaj będę dobry dla mamy. Zobaczysz jak dumny będziesz z siebie, gdy w nim wytrwasz. Potem stawiaj sobie nowe cele!

Stało się, jak ojciec mówił. Był dobry dla matki. Wytrwał w postanowieniu, choć rodzicielka zganiła go za to, że mało kociołka nie wywrócił. Kładąc się spać, nie posiadał się z radości. Ledwie mógł zasnąć tej nocy z podekscytowania. Potem były inne postanowienia. Nie wszystkie spamiętał, nie we wszystkich wytrwał.

– Nie ma się co przejmować, jak się czasem nie uda – mawiał dziad, a ojciec powtarzał to samo. – Czasem po prostu tak bywa. Czasem gdy człek chce zboże kosić, to deszcz spadnie i nic z tego.

Właściwie Deszczylis zawsze żył, stosując się do ojcowskiej rady, choć nie zawsze o tym pamiętał. Zwyczajnie weszła mu w krew, jak umiejętności nabyte podczas ćwiczenia strzelania z łuku czy walki toporem.

Wiedział, co ma robić. Wiedział, że jego obowiązkiem jest iść w bój, a po powrocie zadbać o matkę i siostry. Wojować potrafił. Ćwiczył się w tym od małego. Bycie głową rodziny szło mu lepiej niż spodziewał. Jakoś instynktownie wiedział, jak ma się zachować. Jak zadbać o matkę i siostry. Jak je wesprzeć i pomóc im w codziennym znoju. Jak być przydatnym.

– Masz to po ojcu – wytłumaczyła mu Dębisroka.

KOTLASY

Gównozjady wielką przysługę nam oddali tym najazdem – miał powiedzieć wódz Żbicygrom do swej prawej ręki, Szarugila, komentując zdobyczne łodzie.

O wiele większe od tych, na których pływali Igłasi, napędzane dziesięcioma parami wiosł i wiatrem dmuchającym w duże płótno, rozpostarte na drewnianym palu na środku łodzi, zapewniały szybki transport wojów. Niestety było ich tylko pięć – za mało, aby przewieźć na nich wszystkich czterystu wojów jednocześnie. Postanowiono na przyszłość zbudować więcej. To jednak musiało poczekać. Zdobycie Kotlasów, osady Pogórców, pogardliwie nazywanych przez plemię Igłasów Sumami, przez wzgląd na wąsiska jakie nosili ichniejsi mężczyźni, miało pierwszeństwo.

Wieczorem dnia poprzedzającego atak, przeprowadzono większość ludzi i trzydzieści koni na drugi brzeg rzeki. Wyruszyli jeszcze o zmroku. Dowodził nimi sam wódz. Druga drużyna, na czele której stał Szarugil, skoro świt, wypłynęła ku Kotlasom.

Pogórcy zostali kompletnie zaskoczeni. Długi czas pokoju musiał utrzymać ich w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Drużyna Żbicygroma wyszła lasem od północnej strony wrażej osady. Rozbiła obóz przy polach zbóż, odcinając Kotlasy od źródła żywności. Dodatkowo konnica zagarnęła trochę bydła z okolicznych pastwisk. Przy okazji pojmała kilku Pogórców. Od razu wzięto ich na tortury. Przypalanie twarzy, stóp i genitaliów rozgrzanym w ognisku żelazem rozwiązało

im języki. Nie powiedzieli jednak nic przydatnego. Zginęli jeszcze przed południem. Nadziano ich na wysokie pale, tak by pobratymcy w Kotlasach mogli oglądać ich męki.

Drużyna Szarugila bez trudu opanował brzeg rzeki. Łodzie rybackie Pogórców wyciągnięto na brzeg i wyrąbano w nich dna. Potem użyto do zrobienia barykady wokół własnych łajb.

Obydwie drużyny otoczyły swe obozy palisadą i niewielką fosą. Gdy były już gotowe, zabrano się do zamknięcia Kotlasów w pierścieniu wału. Dopiero po jego ukończeniu planowano rozpocząć oblężenie.

W międzyczasie wódz Pogórców, Mardej, wysłał posłów z zapytaniem, czego Igłasi tu chcą i czy nie pamiętają, że przecież pokój ślubowali. Odpowiedź była prosta: bezwarunkowe poddanie. Na drugie pytanie wódz Żbicygrom nie raczył odpowiedzieć.

Pierwszego dnia obyło się bez walki. Nie było szturmów ani zaciętej obrony. Zamiast świstu strzał i szczęku oręża, zabrzmiały topory na drzewach. Zamiast krwi z otwartych ran, na czoła wypłynął pot.

*

Śnieżyróg łąził po pokładzie zdobyczej łodzi. Przyglądanie się i głowienie nad jej konstrukcją było jedyną rzeczą, która cieszyła go w tej całej wyprawie na Sumów. Wymknął się pod byle pretekstem, gdy tylko nadarzyła się okazja.

Wolałby siedzieć nad rzeką ze swoim głupim psem i zastanawiać się choćby i nad tym, dlaczego dąb pośród innych drzew rośnie wysoki, a gdy sam, jest niski i rozłożysty. A tak musiał łązić za Szarugilem jak Płowiak za nim i przyglądać pracom nad oblężeniem, które nic go nie obchodziło.

Łajb na wszelki wypadek pilnowała niewielka grupa zbrojnych. Zamienił z nimi kilka słów, konkretnie tyle, ile było to konieczne. Rozmowa była stratą czasu. Odwracała uwagę od rzeczy najistotniejszej – konstrukcji łodzi. W głowie

rozbierał ją na kawałki, obmyślał zmiany i zastanawiał się nad zrobieniem mniejszej, takiej tylko dla jednej osoby.

– Śnieżyróg! – usłyszał znajome wołanie Szarugila.

– Obyś zdechł, pindolcu! – szepnął pod nosem młodzieniec. – Słucham! – zawołał donośnie, jak dzielny wojak gotów do służby.

– Chodź tu!

Zszedł z łajby, przeklinając w myślach Szarugila od szczytopijca, srakowącha co woli chłopów od bab i którego gęba nadaje się jedynie na sracz dla świi.

Przechadzali się w milczeniu wzdłuż brzegu rzeki, z daleka od zgiełku. Młodzieniec podążał za prawą ręką wodza, garbiąc przy tym plecy.

Szarugil zatrzymał się. Odwrócił w stronę Śnieżyroga. Rozglądnął dookoła. Słońce przywdziewało krwistą czerwień. Dzień ospale mrużył oczy, zaciemniając obraz rzeki, wzgórza i lasów. Byli całkiem sami.

– Dzięki łodziom rozwiązaliśmy problem z zaopatrzeniem – stwierdził, patrząc na łajby w oddali. – W razie potrzeby możemy swobodnie uzupełniać zapasy z Widłok. Widzę, że bardzo cię ciekawią.

– Ktoś naprawdę bystry je obmyślił – odparł Śnieżyróg, a w oczach jego zaiskrzyła fascynacja. – Samo to płótno... Pomysł jest tak prosty, a jednocześnie tak mądry i skuteczny! Dlaczego nic podobnego wcześniej nie przyszło mi do głowy? – mówił z zapałem, jaki tylko okazują mistrzowie swojego fachu, gdy zada się im pytanie na temat rzemiosła, na którym znają się jak orzeł na niebie. – Taką łodzią można by popłynąć i na koniec świata!

Szarugil uśmiechnął się pobłaźliwie, czego nie zauważył jego młody interlokutor, bez reszty pochłonięty zachwytem nad konstrukcją łajby.

– Są wspaniałe! W przyszłości zbudujemy więcej. Może nawet sam wymyślisz lepsze! Jednak teraz fascynacja nimi może zostać nie najlepiej odebrana...

Śnieżyróg zrobił wielkie oczy.

– Widać tak to już jest z ludźmi bystrością przez Czwórkę obdarzonymi, że zapominają, iż chodzą po ziemi. Z twoim dziadkiem było podobnie. Gdy tylko

zaczął się nad czymś zastanawiać, zdawało się, że żyje między duchami.

– Nie rozumiem – wybełkotał Śnieżyróg. W mgnieniu oka domyślił się, o co chodziło Szarugilowi. Udawał głupiego.

– Na wszystko jest czas, młodzieńcze. Oglądanie łodzi, podczas gdy twoi pobratymcy harują w pocie czoła, może znacznie osłabić ich morale.

Śnieżyróg zniżył wzrok. Zacisnął usta.

– Pobratymcy patrzą na ciebie z podziwem i szacunkiem. Dzięki twojej głowie ich życie stało się łatwiejsze. Warto jej użyć do tego, aby to oblężenie również do wielce trudnych nie należało.

– No tak... w końcu po to mnie... w końcu po to tu jestem.

Szarugil odczekał chwilę, chcąc się upewnić, czy młodzieniec nie ma jeszcze czegoś do powiedzenia. Po wbitych w ziemię oczach Śnieżyroga domyślił się, że nie.

– Nikt nie oczekuje, że od razu wpadniesz na fortel, który da nam zwycięstwo. Raźniej natomiast będzie twoim pobratymcom, gdy zobaczą, iż nieustannie się nad nim głowisz. W ten sposób należny ci podziw i szacunek, zapuści w pobratymcach jeszcze głębsze korzenie. A oni z większym zapałem pójną w bój. Podczas żniw, gdy pięciu kosi, a jeden buja w obłokach, wtedy praca nie idzie tak szybko, jak gdyby wszyscy harowali równo. W takiej sytuacji niezgoda i uraza sieje się jak chwast. Gdy wszyscy są zaangażowani, nie tylko idzie szybciej. Grupa zwartą się staje, bo dzieli jeden trud i cel.

– Rozumiem. – Śnieżyróg trzymał ręce za plecami. Kciukiem drapał wnętrze lewej dłoni. Nudził się.

– Czwórka obdarowała cię przeogromną bystrością. Wierzę, że daleko cię ona zaprowadzi, a i Igłasom wielce się przyda. Kto wie, może kiedyś nawet zostaniesz wodzem?

Śnieżyróg skrzywił się jakby urażony.

– Co to za mina?

– Nie zwyczajnie... Nigdy mi coś takiego przez głowę nie przeszło! Więc to tak... No nie wiem... Jakby mi kto powiedział, że człowiek może latać.

Szarugil uśmiechnął się dobrodusznie.

– Jeszcze nie raz życie cię zaskoczy. A na pewno wtedy, gdy najmniej się będziesz tego spodziewał.

Śnieżyrog przytaknął kiwając głową.

– Cóż... niespodziankom losu nie ma się wpływu, ale można nauczyć się sobie z nimi radzić. Nie mamy wpływu na deszcz, ale zbudowaliśmy dachy, aby nie zmoknąć. Nie mamy wpływu na zimno, ale rozpalamy ogień, aby nie zmarznąć. Nie mamy wpływu, kiedy ktoś nas zaatakuje, ale wykuliśmy broń i zbudowaliśmy mury, żeby się przed obcym obronić. Gdy pojawia się wyzwanie, stawiamy mu czoła, bo, jak przykazała Czwórka, jesteśmy jak igły sosny, a nie wątle liście... Spójrz choćby na swojego przyjaciela, Deszczylisa. Gdy stracił ojca, stał się opoką rodziny.

– Wolałbym, żeby nie szedł w bój...

– Jest mężczyzną. Jego obowiązkiem jest walczyć. I on tego chce. Sam dobrze wiesz, w końcu znasz go o wiele lepiej niż ja.

– Kto będzie opoką rodziny jak zginie?

– Matka albo jedna z sióstr. Zresztą nie są same i nigdy nie będą. Plemię już o to zadba... jak zadbało o twoją babkę, gdy jej syn, a twój ojciec się utopił.

Śnieżyrog tępo gapił się w nic. Wyglądał, jakby wyciosano go w ciężkim gładzie. Naprawdę się nudził.

– Mój jedyny syn zginął tak samo – westchnął Szarugil. – Zszedł z tego świata nie zostawiając potomka. – Ostatnie słowa wypowiedział łamiącym się głosem. Zamilkł na chwilę, aby zebrać myśli i ująć emocje w karby. – Łączy nas nieszczęście, młodzieńcze. Razem z twoją babką chcemy, aby połączyła nas głębsza więź. Taka, która przyniesie dumę nie tylko nam, ale przede wszystkim naszym przodkom, potomkom, całemu plemieniu i Czwórcie.

Śnieżyróg przejechał zębami po dolnej wardze, jakby chciał zeszkrobać z niej wierzchnią skórę.

– W zimie odbędziesz pierwszą wartę i staniesz się mężczyzną. Potrzebna ci będzie żona. Ty i moja córka, Piórosen, moje jedyne, ostatnie dziecko... połączycie dwa strumienie krwi w jedną rzekę.

DRUŻYNA

Deszczylis obudził się jeszcze przed świtem. Nie czuł się ani zmęczony, ani obolały, choć cały wczorajszy dzień harował za dwóch. Nic nie doskwierało mu, gdy leżał w słodkim półśnie.

Podniósł powieki do połowy. Słońce zabarwiło czerwienią cienkie płótno chmur za Kotlasami. Odchylił głowę i spojrzał w tył, w stronę rzeki. Tam jeszcze było ciemno, a na niebie widział okrągły bochen księżyca.

Przenosił wzrok z chmur na księżyc. Zdawało mu się, że to dziwy niepojęte. Zapomniał się w zachwycie, jak gdy biegał boso po rosie, gdy był mały. Podziękował Czwórcę za tą chwilę. Prosił ją o łaskę dla współplemieńców – żywych i poległych.

Patrzył w rozjaśniające się niebo. Zwyczajnie cieszył się, że żyje. Nic go nie bolało, nic nie smuciło, niczego na tą chwilę nie potrzebował. Wszystko było w należyтым porządku.

Leżał tak, niby w półśnie błędzącym na granicy nocy i świtu, dopóki pobratymcy się nie pobudzili i na dobre nie zaczął się dzień.

– Ogoliłbyś mi pysk – rzekł Iglinów do Deszczylisa i wyciągnął oszlifowany kamień.

Deszczylis od razu rozpoznał ojcowską robotę. On musiał go ostrzyć.

– Nie boisz się, że ci skóry nie przetnę? – zapytał.

– Przecie nie golisz mi fajfusa!

Dziegciołek i Bazigrad zaskrzeczeli ze śmiechu. Deszczylis zabrał się do roboty. Miał wprawę. Nieraz golił ojca, a on jego. Wspomnienia tamtych chwil, które przesłoniły mu Iglinowia i resztę pobratymców, nie były podszyte bólem, a jedynie lekkim jak liść na wietrze smutkiem, tęsknotą i dumą.

Zabrał się do roboty.

– Zjedzcie, wyszczajcie się, powzdychajcie do babskich cycków, bo wkrótce idziemy budować wał – ogłosił Iglinów, zadzierając gębę do góry. – Dzisiaj trzeba go skończyć!

– Nie lepiej by było palisadę postawić? – zapytał Bazigrad. – Przecie taki z poziomo ułożonymi belkami jest słabszy...

– Nie budujemy tu osady – pouczył go Dziegciołek. – To ino tak, żeby jako tak ich nocne wypady powstrzymać i odciąć dostęp do żarcia.

– Zmiażdżymy sukinsynów! – rzekł Iglinów wykorzystując fakt, iż Deszczylis zdmuchnął zarost z kamienia. – Wychędożymy im żony, córki i...

– Babki? – zagadnął złośliwie Dziegciołek.

– Ejże, lep...

– Nie kłap paszczą, bo cię zatnę! – przerwał Deszczylis.

– Mardej i reszta pewnie robią pod siebie! – rzekł Bazigrad. – W dupach mają nawałnicę!

Iglinów zapał się przed śmiechem, jak drzwi chaty przed toczącym pianę z pyska niedźwiedziem.

– A wiesz jak Sumy wodza obierają? – zapytał Dziegciołek.

– Nie – odparł Bazigrad.

– Krowom w dupska łapy wsadzają i który większe gównno wyciągnie, ten wygrywa!

Deszczylis w porę odsunął kamień od szyi Iglinowia, zanim obaj zarechotali do czerwoności i łez. Hałasu narobili przy tym tyle, że cały obóz patrzył na nich z ciekawością.

– Chcesz mnie zabić, fajfusie?! – wydusił z siebie Iglinów i pogroził ręką.

Dziegciołek położył swą prawicę na sercu.

– Ani mi się śni! – obwieścił z przesadną powagą. – Jedyne dbam o twoje morale!

– Swoją drogą, to w życiu żem tyle słów od ciebie nie usłyszał, co przez ostatni dzień – stwierdził Deszczylis.

– Nie było okazji – odparł Dziegciołek rozkładając ręce.

– No, bo na co dzień chodzisz naburmuszony, jakby ci rzyć korkiem zatkało i byś się własnymi gazami dusił! – wtrącił Iglinów.

– Nadstaw głębę – nakazał mu Deszczylis.

– Nadstawia to się krowa do dojenia!

– Nie uławiasz mi roboty!

Iglinów łaskawie zamilkł i zadarł głowę.

– Kiedy będziemy atakować? – zapytał Bazigrad.

– Jak nam rozkażą – odpowiedział Dziegciołek.

– Żbiczygrom porządny wódz – stwierdził Iglinów. – I Szarugil cwany wyga, na pewno coś wymyśla.

– Prędzej Śnieżyróg co poradzi – zaproponował Dziegciołek.

– Po to tu jest – dodał Bazigrad.

– Może i bystry, ale co on tam się na wojnie zna? – rozsierdził się Iglinów. – W życiu na żadnej nie był!

– Gotowe! – oznajmił Deszczylis skończoną robotę.

Iglinów przejechał dłonią po całej głębie.

– No, nawet ci to wyszło!

– Uważaj, jak oceniasz moją pracę – zażartował Deszczylis. – Gdy mnie chwala, to jestem w dobrym humorze. Jak jestem w dobrym humorze, to mi ręka nie drgnie.

– Gdybyś nie był taki użyteczny, to bym ci złożył dupsko jak bachorowi, pyskaczu! Ja wami dowodzę, lepiej niż własne jaja traktuję, to mi się szacunek należy!

– Lepiej niż własne jaja? – zdziwił się Dziegciołek. – A, to już teraz wiem czemu tak śmierdzą!

Bazigrad z Deszczylisem zarechotali do łez.

– Zamknij gębę! – Iglinów pogroził zaciśniętą pięścią. – Bo ci siniaki na tym głupim ryju zasadzę!

Dziegciołek schylił głowę. Bynajmniej nie z pokory. Musiał jakoś ukryć tępy, złośliwy uśmiech, który wykrzywił mu czerwoną jak jarzębina gębę.

Obóz na dobre zaczął drugi dzień oblężenia. Najedzona drużyna, dowodzona przez Iglinowia, udała się ścinać drzewa na pale. Zabrali ze sobą ekwipunek jak w bój. Oprócz toporów i mieczy, nieśli okrągłe tarcze na plecach, zamocowane na sznurkach przewieszonych przez ramię.

Deszczylis zawdziął na głowę zdobyczny hełm po najeźdźcach. Topór zaś, który wyciągnął z głowy ojca, został w Widłokach. Wolał krótszy, do używania razem z tarczą. Do takiego był przyzwyczajony. Postanowił, że gdy wróci ze zwycięskiej wojny, drzewiec broni, która zabrała mu ojca, porąbie na kawałki, a żelaziec przetopi na groty do strzał.

Szli we czterech, albowiem tyle osób liczył sobie najmniejszy oddział igłaskich wojów. Oprócz nich, jeszcze z sześć takich drużyn poszło zająć się ścinaniem drzew, z którym potem strugano pale i nadziewano nimi podnóże wału.

– Dlaczego nie zaatakowali w nocy? – zapytał Bazigrad, który rąbał ścięte drzewo razem z dowódcą drużyny.

– A bo ja wiem? – odparł starszy pobratymiec. – Ostatnim razem prawie w ogóle nie robili wypadów... Pewnie wierzą w swoje mury! – Iglinów jako jedyny brał udział w poprzedniej wojnie.

– Mają ku temu dobre powody – powiedział Dziegciołek.

– Już siejesz zamęt?!

– Jeno mówię, że łatwo nie będzie.

– Ej, gładzisz jak nieujeżdżana baba! Mamy łodzie, więc jak co trzeba, to z Widłok sprowadzimy! Ha, nawet zboże im zagarnęliśmy!

– Ja bym je podpalił w nocy – stwierdził Deszczylis.

– Własne zboże?! – zdziwił się Bazigrad.

– Przestało być ich, gdy je zagarnęliśmy.

– Jeńcy nic nie powiedzieli – stwierdził Dziegciołuk. – Przydałoby się wiedzieć, na ile Kotlasom starczy jedzenia.

– Jakbyśmy zaatakowali ich na wiosnę, moglibyśmy wziąć ich głodem – rzekł Deszczylis.

– Ostatnim razem próbowaliśmy i nic to nie dało! – odparł Iglinów. – Musieliśmy się wycofać przed zimą. Pewnie teraz liczą na to samo.

– Jeśli mają tyle zapasów, co ostatnio – wtrącił Dziegciołuk.

– Tym lepiej! Będzie więcej dla nas! Wkrótce zeżjemy ich pieczeń! Wypijemy ich miód i wychędożymy ich baby!

– Tylko jak się na mury dostać? – zapytał Dziegciołuk. – Łodziami od najeźdźców na nie wpłyniemy.

– Aleś palnął! – oburzył się Iglinów. – Starszyzna coś wymyśli!

– Oby! Inaczej po drabinach będziemy musieli iść.

– A nawet jeśli, to co? Tchórz cię obleciał?! Przyjechaliśmy tu zdobyć wrażę osadę, a nie orać pole!

Diegciołuk nie raczył odpowiedzieć. Za to większą siłą i zapalem rąbał toporem.

– Na wojnie się ginie i każdy powinien być na to przygotowany! – rzekł Iglinów. – Dzieje się tylko to, co z Woli Czwórki wynika! Nikt nie wie komu co wybrała!

– Gada jak druid – zażartował Deszczylis.

– Cóż ja poradzę, żem z nas wszystkich najmądrzejszy? – Iglinów rozłożył ręce.

Ziemia zadrżała. Grunt pod nogami zachwiał się w posadach. Echo poniosło dudnienie końskich kopyt. Po nich przyszedł dziki, wściekły wrzask zwiastujący rozlew krwi.

Otwarte wrota osady Pogórców, wypluły z siebie jeźdźców. Pędzili wprost na odcinek wału, stawiany niedaleko obozu nad rzeką.

– Do broni! – wrzasnął Iglinów.

Łapią za tarcze leżące na ziemi. Kto ma hełm, ten na głowę zakłada. Wszystkie drużyny biegną na odsiecz.

Ziemia się chwieje. Wiatr gwizdże tuż obok ucha. Przedzierają się przez zarośla powietrza, które drażnią oczy jak prószący śnieg. Serca dudnią w rytm wrażliwych kopyt.

Widzą wrogich jeźdźców z włóczyniami. Widzą, jak objeżdżają koniec wału, żeby przejść przez stawiających go pobratymców jak ostra kosa przez wiotkie źdźbła trawy.

– Idą na ostwie! – krzyczy ktoś za Deszczylisem.

Szarugil przewidział atak. Przewidział, że uderzą konno, napsują krwi ile się da i zawrócą, zanim odsiecz przyjdzie. Kazał z zastruganych pali zrobić ostwie jak do suszenia siana i schować je nocą za wałem, tak by z murów w Kotlasach trudno je było dostrzec. Iglasi schowali się za nimi, gdy Pogórcy zaatakowali.

Jeźdźcy na przedzie wpadli na ostwie. Wywrócili się razem z pokiereszowanymi końmi. Iglasi przykryli ich jak kowale szerszenia.

Reszta Pogórców zdążyła się zatrzymać. Dźgnęli włóczyniami Iglasów mordujących ich współplemieńców, nim ci uciekli poza ich zasięg. Iglasi odpowiedzieli oszczepami i łukami. Trup wyścielał ziemię jak zwalone zboże.

Z obozu Szarugila nadeszły posiłki. Znad lasu biegli wojowie z drużyną Iglinowia na czele. Pogórcy pierzchli w popłochu, nim zdążono ich otoczyć. Większość umknęła przed wrogiem jak kot przed zamykającymi się drzwiami. Resztę dopadły drużyny znad lasu.

Deszczylis staje na drodze jeźdźca. Instynkt każe się odsunąć. Umyka wierzgających kopyt, które rysują po tarczy jak patyk po piasku. Koń rży. Zrzuca jeźdźca. Sum pada na ziemię przebity oszczepem.

Deszczylis dopada go, nim ten zdąży się podnieść. Zatapia topór we wrażeńszy. Łapie za oszczep wystający z prawego boku jeźdźca. Zapiera się nogą. Wyciąga.

Rozgląda się. Nie widzi jeźdźców, tylko spłoszone konie, uciekające z pola bitwy. Oczy błyskawicznie rozpoznają, kto obcy, a kto swój. Widzi. Rzuca. Oszczep wbija się w żebra wroga, który walczy z Dziegciółukiem. Sum pada. Pobratymiec go dobija.

Spoglądają na siebie. Usta odbijają uśmiechy jak powierzchnia wody. Deszczylis wyciąga topór z trupa. Dołącza do Dziegciółuka.

Igłasi dobijają wrogów.

Zostaje ich dwóch. Są otoczeni. Opierają się o siebie plecami. Już po nich. Są bezradni jak dziecko, które wpadło w głęboki rów o pionowych ścianach. Miecze, oszczepy, włócznie i topory czekają na okazję.

Sumy obracają miecze. Dzierżą je w dwóch rękach ostrzami w dół. Unoszą ramiona ponad głowy. Ostrza zanurzają się w żebrach jak ostre gwoździe w jabłkach.

Przewracają się jak ścięte drzewa. Leżą na gołej ziemi połączeni orężem i śmiercią. Ich krew miesza się ze sobą na zielonej trawie.

Padli na własne miecze. Wybrali szybką śmierć, zamiast niewoli, upokorzeń, tortur i konania w mękach.

Przez chwilę trwa cisza jak na szczytach gór, gdzie nie ma żywej duszy, a przemawia jedynie porywisty wiatr.

– I to są te Sumy? – Deszczylis szepnął do siebie. Obraz wrogów, jaki ulepił sobie z opowieści ojca i innych członków plemienia, nie przystawał do tego, co ujrzały oczy. Owszem, mężczyźni mieli długie wąsiska. Nie byli natomiast brzydki, ohydni ani tchórzostwo nie uwiło sobie gniazda w ich charakterach.

Padli jak mężczyźni.

– Na co się wszyscy gapicie? – wrzasnął Iglinów. – Trupów nie widzieliście? To se popatrzcie! – Podszedł do złączonych mieczami Pogórców. Wyjął nóż. Złapał

jednego za kudły. Ukroił głowę jak pajdę chleba. – Macie! – Pokazał wszystkim wszem i wobec łby z sumiastymi wąsami, z których czerwona krew kapała jak deszcz ze strzechy. – A teraz do roboty! Pomóście rannych opatrywać! – Wyrzucił łeb za siebie.

Deszczylis zastosował się do rozkazu. Rozsunął ostwie. Wszedł na wał. Nim zrobił dwa kroki, trafił na zwłoki pobratymca. Całą klatkę piersiową, w której tkwiła śmiertelna rana, miał czerwoną od krwi.

Mężczyzna, w ostatnim tchnieniu, wytrzeszczone, czerwone oczy skierował ku niebu, jakby szukał w nim pomocy. Był to Niebokieł.

Deszczylis zamknął martwemu pobratymcowi powieki. Rozglądnięt się za miejscem na pochówek.

FORTEL

Śnieżyróg siedział na tyłku. Rękami obejmował kolana. Tupał. Mrużył oczy. Rozgryzał i żuł źdźbło trawy. Szarugil zabronił mu opuszczać obóz. Przynajmniej łaskaw był mu przekazać, że po potyczce z Sumami Deszczylis żyje i ma się dobrze.

Na poszedł na łódź. Wczorajsza rozmowa z Szarugilem wynurzała się z pamięci, gdy tylko spojrzał w kierunku rzeki. Siedział zatem i przeklinał swój los. Utyskiwał na obłączenie, wodza, Szarugila, babkę, wielkiego druida i wszystko, co tylko przeszkadzało mu w spokoju siedzieć nad strumieniem i dumać.

Szarugil kazał mu wpaść na pomysł zdobycia Kotlasów. Młodzieniec, poza waleniem łbem o drzewo, nie mógł sobie wyobrazić gorszej formy spożytkowania własnej głowy. Zmusił się jednak do wyteżenia umysłu na rzecz zwycięstwa. I on miał w tej wojnie coś do stracenia: przyjaciela. Potyczka, którą oglądał zza obozowej palisady, szybko zmieniła jego nastawienie. Dopiero teraz w pełni dotarło do niego, że Deszczylis jest w ciągłym zagrożeniu. Śnieżyróg zły był na siebie, że tak późno to sobie uzmysłowił.

– Człowiek boi się żmii, dopiero gdy pełnie u jego stóp, a nie gdy jest dziesięć kroków od niego – szepnął do siebie. Spodobało mu się to porównanie. Nawet się uśmiechnął. Na chwilę. Gdy obudził się z własnych myśli jak ze snu, a oczom jego na nowo ukazał się obóz nad rzeką, spochmurniał i zmrużył oczy.

Zajął się tym, co mu rozkazano. Wszedł na podest otaczający palisadę. Przyjrzał się wrażej osadzie.

Kotlasy stały na wzgórzu przypominającym starannie usypany, okrągły po bokach i płaski na szczycie kopiec o stromych, wysokich na dwóch chłopów, niemalże pionowych ścianach. Identyczne jak w Widłokach, drewniane mury z blankami, zdawały się wyrastać z kopca jak paznokcie z palców. W palisadzie była jedna brama, do której prowadziła pochyła droga o dość stromym podejździe.

Wpierw przyszedł mu do głowy podkop. Pomysł nawet mu się spodobał, ale zapal Śnieżyroga zgasł szybciej niż pochodnia wrzucona do rzeki. Nawet jeśli Iglasi przedostaną się podkopem do środka, to Sumy na miejscu zarzną ich jak prosięta. A jakby podpalić mur od spodu? Tylko czym? Można sprowadzić z Widłok tłuszcz zwierzęcy... Tylko że to dwie ściany drewna wypełnione ziemią. Jaka jest pewność, że się zawalą? Nie miał pojęcia. Nigdy nie podpalał murów od spodu. Nigdy też nie brał udziału w oblężeniu.

Potem przyszło mu do głowy, aby przekopać wielką fosę od rzeki po Kotlasy, zalać wzgórze i czekać, aż ziemia całkiem rozmoknie i się osunie. To mu się nawet spodobało. Już miał nawet iść z tym pomysłem do Szarugila, jednak rozmyślił się po drodze. Wątpliwości przyssały się jak pijawki. Nie mógł się od nich odpędzić. Przekopanie takiego terenu nie wiadomo jak wiele czasu zajmie, a przed zimą muszą zdobyć Kotlasy. Poza tym nie miał pewności, czy to wystarczy, żeby ziemia się osunęła. Nigdy czegoś podobnego nie robił.

Machnął ręką.

– Niech to wszystko szlag trafi! – przeklął szeptem. – Jak dostać się na mury?! Drabinami?! Już to widzę, jak im się uda! Spasiony knur wymyśli sobie oblężenie, ale już jak zdobyć tę zasraną wioskę, to nie wie! Trzeba jakoś się dostać na mury... Zrobić podjazd? Do tego trzeba by ziemi, a i przecież i tak Sumy zniszczą. Trzeba by coś ruchomego jak wóz i wysokiego jak drzewo...

Klasnął w dłonie.

Pobiegł do Szarugila. Nie zastał go jednak w obozie.

– Jest na miejscu potyczki – powiedział jeden z wojów.

Śnieżywóróg wściekł się. Jeszcze ma na niego czekać? Gdyby nie Deszczylis, nie kiwnąłby palcem, aby pomóc Szarugilowi. Gdyby nie Deszczylis...

– Przekaż mu, że wiem... że mam pomysł, jak zdobyć Kotlasy.

– A co, sam nie możesz? – Mężczyzna oburzył się, że smarkacz śmiał mu wydawać polecenia.

– Zabronił mi obóz opuszczać! – podniósł głos poirytowany. – Tu o zwycięstwo chodzi!

Woj skrzywił gębę, ale poszedł powiadomić Szarugila.

Śnieżywóróg czekał z założonymi rękami. Obmyślał szczegóły. Tupał nogą. Zdażyła go rozboleć, zanim zjawił się Szarugil.

– No wreszcie! – młodzieniec warknął na jego widok.

– Słucham! – rzekł Szarugil, gdy się zbliżył. – Co takiego wymyśliłeś?

Śnieżywóróg zatoczył półokrąg po twarzach wojów towarzyszących starszemu mężczyźnie.

– Nie chcesz, żeby wszyscy słyszeli?

– Wolałbym na osobności – mruknął młodzieniec.

– Dobrze.

Przeszli kawałek wokół palisady.

– Mów.

– Zbudujemy ruchomą wieżę.

Szarugil skrzywił się w niedowierzaniu.

– Wzniesienie, na którym stoją Kotlasy, jest niemal pionowe jak same mury. Łatwo będzie pod nie podjechać i woje...

– Jak coś takiego chcesz zbudować?

Śnieżywóróg zdziwił się, jakby go kto zapytał, jak to się dzieje, że na wiosnę topnieją śniegi.

– Zwyczajnie. Zrobi się wieżę na kołach jak u wozu. Podjedzie się nią pod mury i...

– Jak chcesz to zrobić, żeby się nie zawaliła?

– Zrobi się piętra jak w Paszczy! A, i jeszcze dzięki temu łatwiej będzie zgromadzić wojów na jej szczycie, niż gdyby mieli wszyscy po jednej drabinie iść!

– A jak na mur wejdą? Potrzebna będzie kładka.

– No...

– Jak ją zrobisz?

– Na ostatnim piętrze zrobi się drzwi... tylko z zawiasami od spodu! Kładka opadnie, a woje wejdą na mury!

Szarugil pokiwał głową w zamyśleniu.

– Trzeba będzie zrobić przerwę w wale, tak żeby wieża mogła się zmieścić... Zbuduj jedną. Potem zobaczymy. Przydzielę ci ludzi.

– Deszczylis bardzo by mi się przydał...

*

Deszczylis sypał ziemię do dołu, w którym na zawsze spocząć miał Nieboskał i inni polegli, gdy zjawił się Iglinów i rzekł, że cała ich drużyna, na rozkaz Szarugila, ma się stawić w obozie.

Na miejscu czekał na niego Śnieżyróg. Przyjaciel strasznie był zadowolony na widok Deszczylisa. Uśmiechał się, wspierał rękami boki i mrugał okiem. Ostatnim razem, gdy zachowywał się w ten sposób, namówił Deszczylisa, aby dokończyli wyprawę sprzed lat i odnaleźli źródła potoku.

– Macie słuchać Śnieżyroga – oznajmił Szarugil drużynie Iglinowia. – Od dziś będziecie robić, co wam powie. Nie rozgadujcie nikomu, co będziecie robić. Jak jego fortel się powiedzie, do końca życia będą w Widłokach kłaniać się wam w pas!

Poszli za Śnieżyrogiem na niewielką polanę, osłoniętą od oczu Pogórców ramieniem drzew, zakrzywiającym się jak półksiężyc. Młodzieniec wytłumaczył im w najdrobniejszych szczegółach, na czym jego fortel polega.

– Ty to masz łeb! – stwierdził Iglinów.

– A jak to ma się utrzymać? – zapytał Dziegciółuk. – Taka wieża na kółkach łatwo może się wywrócić.

– Trzeba ją wesprzeć.

– Jak?

Śnieżyróg nie mógł zrozumieć, że zadano mu takie pytanie. Dla niego wszystko było oczywiste.

– Zrobi się piętra – oznajmił.

Pobratymcy pokiwali głowami.

– Sumy jak ją zobaczą, to od razu będą chcieli podpalić – zauważył Dziegciółuk.

– Psiakrew! – przeklął Iglinów.

– To można skóry zwierzęce namoczyć w wodzie i poprzybijać do przedniej ściany – rzekł Bazigrad.

– Mamy łodzie, to transport nie stanowi kłopotu! – stwierdził Deszczylis. – Skóry, gwoździe, narzędzia – wszystko można z Widłok przywieźć.

– No pewno! – zakrzyknął Iglinów. – A przy okazji podpalania: jakby na jej szczycie paru łuczników postawił, to mogliby podpalonymi strzałami trafić w strzechy i pożar w środku wzniecić!

– Da się zrobić – przyznał Śnieżyróg.

– Za mało nas do takiej roboty – stwierdził Dziegciółuk.

– Co ci się tak gęba rozwiązała? – zapytał Iglinów.

– Na razie Szarugil dał mi was. Jak ukończą wał, to przydzielą więcej. Szarugil chce, żebym objaśnił mój pomysł wodzowi. Wieczorem zabierze mnie na naradę.

– Pamiętaj, że my pierwsi pomagaliśmy! – stwierdził Iglinów, wymierzając wskazującym palcem w niebo.

– Już byś chciał zasługi dla siebie zagarnąć! – dogadał mu Dziegciółuk.

– A co?! Sam Szarugil nas wybrał, bo wiedział, żeś chwat!

Śnieżyróg spojrział na przyjaciela. Deszczylis uśmiechnął się w ten sam sposób, co on.

WÓDZ I SYN

Wieczorem Szarugil zabrał Śnieżyroga na naradę, aby ten mógł objaśnić wodzowi swój fortel. Wcześniej dokładnie poinstruował młodzieńca, jak się zachowywać w obecności Żbicygroma i jego syna Białokura. Szarugil zdawał się pokładać nie tylko w całym planie, ale i osobie Śnieżyroga ogromną nadzieję. Na co dokładnie? Sam zainteresowany nie raczył się tym przejąć. Chciał mieć całą tę wojnę jak najszybciej za sobą.

Na naradę, jak wszystko podczas oblężenia, udał się niechętnie. Nie dość, że dał Szarugilowi to, po co go wziął na tą wojnę, to jeszcze teraz ma z nim łączyć do wodza. Był przekonany, że Szarugil traktuje go jak matka bachora, który zaczął mówić i chodzić wcześniej niż rówieśnicy, dlatego chwali się nim przed całym plemieniem.

Sam fakt, że musi się kogoś cały czas słuchać, doprowadzał Śnieżyroga do szału, który rozładowywał rąbiąc drzewa na wymyśloną przez siebie wieżę. Nikt od niego tego nie wymagał. Rąbał, bo sam tego chciał. Wyobrażał sobie, że wbija topór w gębę starszego mężczyzny. W ten sposób łatwiej było mu znieść Szarugila.

Jaśniej swego fortelu nie mógł wytłumaczyć. Nawet głupie dziecko by zrozumiało. Żbicygrom kiwał głową z rozdziawionymi oczami. Za to Białokur, kropla w kroplę podobny do ojca nie tylko z twarzy, ale i z tuszy, minę miał gorzką, jakby w słodkiej gruszy trafił na robaka.

– Łeb rzeczywiście masz nie od tego, żeby babka miała co palnąć! – rzekł jowialnie Żbicygrom. – Ile czasu potrzebujesz na zbudowanie tej swojej ruchomej

wieży?

– Nie wiem, nigdy takich rzeczy nie budowałem – odparł i wnet przypomniał sobie, co Szarugil mu poradził. – Im więcej ludzi zaangażuje się do roboty, tym szybciej stanie.

– Ilu byś chciał?

– Ze stu.

– Stu?! – odezwał się Białokur. Zbliżył młodzieńca i zajrzał mu w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy Śnieżyroga nie obleci tchórz. – To nie są żniwa, że wszystko inne trzeba rzucić precz!

– Odstąp – rozkazał mu ojciec. – Przecie sam nie wyczaruje tej swojej wieży. A i co się tak pieklisz?

– A jaką mamy pewność, że się ta cała wieża nie rozwali? – nie dawał za wygraną Białokur.

– Bo ja ją obmyśliłem – odparł buńczucznie Śnieżyróg.

– Ho-ho! – skomentował wódz.

– Też mi zapewnienie! – prychnął Białokur, po czym zwrócił się do wodza: – Proszę cię, zastanów się ojczy! Musimy mieć pewność, że ów fortel zadziała, inaczej poniesiemy ogromne straty... A i co będzie, jak Sumy podpalą całą tę wieżę?

– Sprowadzimy skóry z Widłok i nasączymy je wodą – rzekł Szarugil, który do tej pory siedział cicho. – W ten sposób powinniśmy się zabezpieczyć przed podpaleniem.

– Dobrze mówisz – skwitował wódz.

– Czyli co, do czasu, aż powstanie owa wieża, która nie wiadomo, czy się nie rozleci po drodze, będziemy siedzieć beczynnienie?

– Mamy Sumów w potrzasku – rzekł Żbiczygrom. – Nie musimy się spieszyć. Zaczniemy od tego, że skosimy ich własne zboże. Albo to całkiem złamie ich ducha, albo zdecydują się na jakiś desperacki czyn. Aż dziw bierze, że nie próbowali w nocy odbić pól.

– Może nie brak im zapasów – stwierdził Szarugil.

– Ojczy, pozwól mi zaatakować! – rzekł Białokur.

– Źeś prędko do walki jak łapska do babskiej dupy.

– Pozwól mi powiedzieć! – nalegał syn. – Widok utraconego zboża złamie ich ducha! Wtedy będzie najlepsza pora na atak! Pozwól mi, ojczy! Poprowadzę szturm i zdobędę dla ciebie Kotlasy!

Żbiczogrom wyglądał jakby nie mógł się zdecydować i wciąż się wahał, czy ulec synowi, czy palnąć go w łeb.

– Cóżes ty taki prędko? – Głos wodza zabrzmiał niepewnie. Przypominał kroki człowieka, który stąpa po grząskim gruncie.

Białokur od razu spostrzegł słabość ojca.

– Jeśli tylko dasz mi szansę, klnę się na mój honor, że zdobędę dla ciebie Kotlasy!

Wódz spojrział na swą prawą rękę. Szarugil nie powiedział nic. Na jego twarzy nie poruszył się ani jeden mięsień.

– Dobrze! – zgodził się Żbiczogrom. – Jak się nie powiedzie, to poczekamy, aż nasz bystrzak zbuduje swoją wieżę.

– Nie będzie potrzebna! – zapewnił Białokur.

Szarugil przytaknął mrugnięciem oczu. Śniezyróg ugryzł się w język. Za plecami ścisnął nadgarstek lewej dłoni jak szyję znienawidzonego wroga.

Patrzył na Białokura.

– Dobrze – postanowił Żbiczogrom. – Zatem szturm!

– Jeśli to wszystko, to wrócimy do naszego obozu – powiedział Szarugil.

– Bywajcie.

– Bywajcie i wy.

Wracali do obozu w towarzystwie zachodzącego słońca, czerwieniącego niebo jak komplementy policzki niewiasty. Nieśmiały zefir kręcił się wokół. Aż ciężko było pomyśleć, że są na wojnie. Tak przynajmniej wydawało się Śniezyrogowi.

– Białokur chyba nie za bardzo cię lubi – szepnął.

Szarugil uśmiechnął się pogodnie.

– Jesteś za bystry, żeby nie pojąć sytuacji.

– Wódz wydaje się nieść koromysła. Do jednego wiadra nalewasz ty, do drugiego jego syn. Żbiczygrom stara się jakoś zachować równowagę. Mam wrażenie, że Białokur chce nalewać do obydwu... albo samemu nosić koromysła.

– Ostrożnie, młodzieńcze – przestrzegł go Szarugil. – Taki pokaz bystrości umysłu może cię kiedyś wpędzić w kłopoty. Lepiej uważaj, komu zdradzasz swoje myśli.

Tak jak ty? – przyszło na myśl Śnieżyrogowi, ale ugryzł się w język. Zastosował się do rady. Pokierował rozmowę z dala od swego pytania.

– Dlaczego nie oponowałeś, gdy wódz zgodził się na szturm?

– Nic bym nie wskórał. Nie warto spierać się tylko po to, żeby zademonstrować własne zdanie.

– Szturm powinien... Jeśli skończy się porażką i nasz fortel stanie się...

– Nasz fortel? Schlebia mi, że chcesz się podzielić własnym osiągnięciem.

Śnieżyróg był pełen podziwu nad umiejętnością nieodpowiedzenia na pytanie Szarugila. Wrażeniem tym jednak nie raczył się podzielić ze swoim rozmówcą.

– Bez twego wsparcia mój pomysł przepadłby jak kamień w wodzie.

Szarugil zaśmiał się jowialnie.

– Nie widziałem, żebyś wcześniej przywdziewał szatę skromności i pokory – rzekł żartobliwie. – Ba, w rozmowie z Białokurem zdawałeś się raczej prezentować zgoła przeciwne przymioty.

Śnieżyróg w mgnieniu oka pojął, że najlepiej porzucić temat.

*

Śnieżyróg i Deszczylis stali nad brzegiem Sierpicy. Wyciągali z rzeki płaskie kamienie i puszczali kaczki na powierzchni wody. Deszczylisowi udały się cztery. Śnieżyróg puścił sześć.

- Farci ci się dzisiaj – skomentował złośliwie Deszczylis.
- Przyjmij porażkę jak mężczyzna! – odparł buńczucznie Śnieżywór.
- Żebyś zaraz nie musiał przyjąć kopa w dupę!
- Zad mam twarde jak skały, jeszcze sobie kulasy połamiesz!
- Nadstaw się, to zobaczymy!
- Nadstawia to się baba do chędożenia!
- Pięć! Masz szczęście, że mi wiatr kamień zwał, bo inaczej byłoby z osiem!
- Ta, dwadzieścia od razu!
- Może i bystry jesteś, ale puszczaniu kaczek jestem lepszy!
- Jakoś tego nie widać!
- Jeszcze nie pokazałem wszystkiego, na co mnie stać!
- Nic żeś nie pokazał!

Deszczyli wziął zamach nogą. Śnieżywór w porę uniknął kopniaka, w którym moc drzemała tak ogromna, że nawet na musze nie zrobiłoby wrażenia.

- Nie uciekaj! – Deszczylis pogroził pięścią.

Śnieżywór wystawił język. Uśmiali się aż gęby zaboląły.

- A żeś wymyślił z tą wieżą!
- No...
- Skąd ci takie rzeczy do głowy przychodzą?
- Najzwyczajniej w świecie jestem najmądrzejszy.
- I jaki skromny!
- Na pewno mądrzejszy niż ci, co nami dowodzą.
- A co ci się w nich nie widzi?
- Przybyli tu walczyć między sobą nie mniej niż z Sumami.
- Co?

– Szarugil chce zaczekać, aż zbudujemy wieżę. Białokur chce zdobyć Kotlasy, zanim to nastąpi. I przeciąga ojca na swoją stronę. Gra tu idzie nie tylko o zdobycie

osady, ale kto pierwszy to zrobi i większą chwałą się okryje. Wola głupiego Żbiczygroma przechyla się tam, gdzie kto mocniej ją przeciągnie!

– Bzdury gadasz!

– Szkoda, że nie było cię ze mną na naradzie.

– Przepraszam, że nie jestem pupilem Szarugila...

– Jakbym miał na to jakiś wpływ! Wziął mnie tutaj, choć nie chciałem! Kazał wymyślić, jak tu zdobyć Kotlasy – zrobiłem! Jestem tylko jego narzędziem! Białokur i Szarugil chcą ściąć drzewo. Pierwszy używa miecza, a drugi topora. Ja robię za topór.

– Możesz i bystry, ale na wojnie i dowodzeniu się znasz jak ryba na bieganii!

Śnieżyróg z politowaniem graniczącym z pogardą spojrział na przyjaciela.

– Zobaczmy, czy tak będziesz mówił, kiedy wkrótce przyjdzie ci na drabinach wspinać się na mury Kotlasów.

– A co cię to obchodzi?! I tak będziesz obserwował z dala, bezpieczny jak pisklak w gnieździe!

– Jak i cała starszyzna! Tylko ja nie będę szastał twoim życiem według własnego uznania!

– Obowiązkiem wojów jest walczyć, a wodzów rozkazywać!

– Tylko głupiec broni tych, którzy posyłają go na śmierć!

Deszczylis doskoczył do przyjaciela i złapał go za fraki. Śnieżyróg wpierw się wystraszył, ale szybko odzyskał rezon. Butnie rzucał wyzwanie gniewnemu spojrzeniu przyjaciela.

Deszczylis odstąpił. Śnieżyróg poprawił ubranie.

– Ciesz się, że tego nie słyszeli! – warknął Deszczylis.

– Cieszę się, inaczej nie powiedziałbym tego, co myślę!

– To nie myśl tyle! Zajmij się swoją wieżą!

– Nie rozumiesz, że od ich decyzji zależy twoje życie?! Białokur chce zdobyć Kotlasy przed zbudowaniem wieży, żeby przypisać sobie całe zasługi. Szarugil nie

protestuje, bo wie, że skończy się to klęską i na tym zyska! Nikomu z nich nawet przez myśl nie przejdzie, ilu Iglasów padnie trupem z powodu ich zatargu!

– Tobie to przecież też na rękę! Jak szturm się nie uda...

– Na rękę mi jest to, żebyś przeżył!

– Obejdę się bez twojej troski! – rzucił Deszcylis. Obrócił się na pięcie. Oddalił się od przyjaciela, aby nie wyładować na nim złości pięściami.

SZTURM

Ruszyli nocą. Skradali się jak koty. Własne oddechy słyszeli wyraźniej od kroków. Dudniące serca czuli mocniej niż ziemię pod stopami, oręż przy boku i hełmy na głowach.

Deszczylis niósł drabinę z Iglinowiem, Dziegciółkiem, Bazigradem i czterema innymi pobratymcami. Szedł na samym przedzie. Wpatrywał się w rosnące w oczach, czarne Kotlasy, oświetlone pochodniami na murach. W wolnej ręce trzymał okrągłą tarczę.

– Ubijemy ich jak świnie! – zagrzął szeptem pobratymców do boju Iglinów.

Słuchali go jak wierni druida. O wojnie nikt z nich nie wiedział tyle, co on. Wszak był weteranem, który ostatnie boje z Sumami, sprzed siedmiu czterocykli pamiętał.

– W otwartym polu rozgnietliśmy ich jak orzechy tłuczkiem. To się potem schowali w tej swojej norze. Tym razem puścimy ją z dymem...

– Cicho! – szepnął Dziegciółuk. – Przecież zakazali gadać!

– I tak nas sukinsyny zauważą.

– Im później, tym lepiej!

– Tyle to i ja wiem!

Kłótnia współplemieńców rozkojarzyła strach. Deszczylis nie miał czasu myśleć, jak to będzie, gdy śmierć wyjdzie im na spotkanie.

Słychać hałas pod murem. Sumy coś krzyczą.

Wznosi się ogromny ryk. Ciarki od niego przechodzą po plecach. Gardła Iglasów prują ciszę jak suchą szmatę. Krzyk przechodzi przez wojów jak fala powodzi. Rozprzestrzenia się jak pożar. Krzyczą wszyscy.

Atakują.

Deszczylis wrzeszczy, choć sam nie wie dlaczego. Strach pierzchnie przed krzykiem.

Strzały lecą w ich kierunku. Zasłania głowę tarczą. Drabina ciąży mocniej. Ktoś krzyczy. Bazigrad pada na ziemię. Trzyma się za nogę.

– Do ataku! – wrzeszczy Iglinów.

Nogi podążają za rozkazem. Biegną jak ścigana zwierzyna. Dłonie zaciskają się na tarczy i drabinie niby na gałęzi na skale nad przepaścią. Uszy zalewa fala krzyków, jęków, strzał lądujących na tarczach, brzękających o hełmy i wbijających się w ciała. Instynkt przejmuje władzę.

Dopadają do murów. Stawiają drabinę.

Deszczylis wspina się po szczeblach jak pająk po ścianie. Dziwi się, że ma tyle siły w nogach. Zasłania głowę tarczą. Trzyma ją pod kątem. Kamienie ześlizgują się po drewnianym pancerzu.

Idzie w górę z desperacją rannego zwierza. Wyciąga miecz zza pasa. Chciał wziąć ulubiony przez siebie topór, ale Iglinów mu odradził. Mówił, że w ścisku na murach mieczem będzie łatwiej manewrować. Patrzy w dół. Pobratymiec idzie za nim.

W szparze między tarczą a drabiną dostrzega wraże łapy. Sięga mieczem. Jeno draśnięcie. Za to wystarczy, aby Sum odsunął łapę.

Nie ma czasu się bać. Nie myśli. Działa.

Wspina się wyżej. Jest prawie u szczytu. Dwa Sumy górują nad nim z wysokości muru. Oświetleni płomieniami pochodni przypominają pół ludzi, pół zwierzęta.

Ciosy mieczy spadają jak grad. Przywiera piersią do drabiny. Razy dudnią jak deszcz o kamień. Przyjmująca ciosy tarcza uderza w hełm. Dostrzega wrażą nogę

w wąskiej szczelinie między blankami. Dźga mieczem. Trafia w pachwinę.

– Właź! – krzyczy za nim Iglinów.

Odchyła tarczę. Drugi Sum walczy z jednym z pobratymców, który nagle pojawił się jak spod ziemi.

Wchodzi na mur. Wbija miecz w plecy Suma.

Obraca się w stronę ranionego wcześniej wroga. Ten już nie żyje, dobity nie wiadomo przez kogo. Wszystko dzieje się szybciej niż potrafi zrozumieć.

Iglinów już stoi na murze. Formują półokrąg razem z pobratymcami, którzy weszli po drabinie obok. Opierają się Sumom, których przybywa jak śniegu podczas zamieci.

Pobratymiec po lewicy Deszczyłisa pada raniony w brzuch. Sumy rozrywają szyk po jego prawicy. Zostaje oddzielony od Iglinowia. Nacierają na niego dwie tarcze. Zasłania się własną. Jakby trafił go kłoc drewna. Impet odrzuca go w tył. Przebiera nogami. Grunt się chwieje jakby kilka razy kręcił się w kółko.

Czuje na tarczy ostrze orające drewno jak pług. Nic nie widzi. Pcha mieczem na oślep w okolice nóg. Sztych rozdziela powietrze.

Czuje następne zderzenie tarczami. Grunt kończy się pod nogami. Coś gwałtownie ciągnie go w dół. Miecz wypada z rąk.

Widzi beznamiętne, przejrzyste niebo obsypane gwiazdami i poświatę pochodni na murach. Oddalają się nieubłagane. Wiatr świszczy w uszach. Flaki się kurczą. Zwijają w kłębek. Gęba krzywi się od nadchodzącego rąbnięcia o ziemię.

Zatrzymuje go coś w miarę miękkiego. Jakby złapało go kilka rąk. Potem trafia w twardą ziemię. Słyszy przekleństwa i wywracające się ciała. Nic nie widzi. Ból zaciska mu powieki. Plecy rwą jakby kto w nie grubym kijem przyłożył.

– Żyjesz? – Pytanie pobratymca przedziera się do Deszczyłisa przez twardą pokrywę bólu. Zna ten głos. Świerszczyżąb?

– Żyję – wydusza z siebie. – Zaraz sukinsynów wyzabijam! – dodaje, choć rwący ból każe mu płacić za każde wypowiedziane słowo.

– Masz ducha! – dodaje drugi. Jego też zna. Ciemnowilk?

– No, zawzięty jak wściekły pies! – Tego głosu nie kojarzy.

– Wracać do walki! – To bez wątpienia Dziegciółuk. – Zabiorę cię stąd – słyszy go bliżej.

W nozdrza uderza zapach przetrawionego miodu. Uszy kłuje szczęk broni i wrzask. Otwiera oczy. Widzi pobratymca i beznamiętne niebo, bardziej odległe, niż jeszcze przed chwilą.

– Zaraz mi przejdzie – odpowiada przez zaciśnięte zęby. – Zaraz wracam do walki...

– Do dupy! Zabieram cię stąd!

Deszczylis podniósł się, choć ból kazał mu leżeć. Poczłł ręce, nogi i resztę ciała. Zrobiło się lżej.

– Dam radę – zapewnił.

– Masz! – Dziegciółuk wręczył mu bukłak. – Napij się! Uśmierzy ból!

Deszczylis przyłożył naczynie do ust. Przechylił głowę w tył. Wykrzywił gębę z nagłego ukłucia bólu. Duszkciem wlał w siebie miód.

Ktoś runął z murów. Odbił się od stromego wzniesienia i poturlał w dół.

– Muszę wracać! Iglinów jest na murze!

– Martw się o siebie!

– Muszę wracać!

– Nie dasz rady, głąbie jeden!

– Dam! – odparł i wziął swą tarczę.

– A miecz?

– Gorący piach! – ktoś krzyknął.

Deszczylis odruchowo zasłona głowę ręką przed deszczem rozgrzanego pyłu. Piecze lewa dłoń i przedramię. Cofa się nieporadnie. Płaczą się nogi. Wywraca się.

Krzyk odbierającego rozum bólu wdziera się w jego uszy jak powódź do wątlej chaty. Patrzy, co się stało.

Dziegciółuk leży na ziemi. Piszczyc z bólu. Trzyma się z oczy.

Deszczylis idzie do niego na czworakach. Stara się złapać ręce pobratymca, ale trzęsie się, jakby to sam cierpiał. Krew z pianą toczy się z ust pobratymca. Dławi się nimi i charczy. Ciałem wstrząsają dreszcze jakby oplatały je zmię. Krew zalewa podbródek i policzki.

Deszczylis łapie za jego miecz. Bierze tarcze. Nie czuje bólu w plecach. Żądza krwi nie daje mu dojść do głosu. Serce rąbie w żebra jak topór w drzewo.

Wspina się pod drabinie. Idzie w górę. Widzi jednego pobratymca, oświetlone pochodniami mury, wysokie aż do samego, beznamiętnego nieba.

Drabina się przechyla. Pobratymiec na jej końcu wrzeszczy z przerażenia. Deszczylis zeskakuje. Pada na jakieś ciało. Leży na martwym pobratymcu.

Plecy rwą jak powódź wąty brzeg. Poparzona dłoń i przedramię dopominają się uwagi. Podwija rękaw. Przykłada ją do ziemi. Leży. Oddycha jakby miał wyzionąć ducha.

Coś uderza tuż obok. Dostrzega kamień wzdrygający bezwładnym ciałem martwego pobratymca.

Czołga się w ciemność. Błaga Czwórkę o życie.

GORYCZ I GNIEW

Dłoń i ćwierć przedramienia porosły bąble. Plecy wciąż bolały, zwłaszcza gdy się poruszał, ale nie było to nic strasznego. Tak przynajmniej sobie wmawiał.

Chodził po obozie. Wypytywał o Iglinowia i Bazigrada. Po pierwszym zaginął ślad i lepiej niech nie robi sobie nadziei, że wróci; drugi na pewno nie żył – tak mówili pobratymcy, którzy przeżyli szturm.

Usiadł brzegiem rzeki. Tam, gdzie ostatnio puszczali kaczki ze Śnieżyrogiem i rozstali się w gniewie.

Tu odnalazł go przyjaciel. Przysiadł się.

– Miałeś rację – rzekł Deszczylis. – Byłem głupi i zaślepiiony. Musiałem w coś wierzyć. Po śmierci ojca nie zaznałem tyle spokoju i radości, co tu, na wojnie. Razem z... ze wszystkimi jadłem, stawiałem obóz, walczyłem. – Głos uwiązł mu w gardle. Oczy szczypały. Słowa chwiały się zamiast prosto zmierzać do sedna. – Ja, Iglinów, Dziegciółuk, Bazigrad i reszta byliśmy taką dobrą zgrają... Mieliśmy wspólny cel, polegaliśmy na sobie. Jeden za drugim skoczyłby w ogień... Wszystko to nadawało tej wojnie jakieś większe znaczenie. Była dobra i mądra, albowiem pośród współplemieńców czułem niepojęte szczęście, porównywalne tylko z narodzinami sióstr i tym podczas religijnych obrzędów. Ład i wspaniałość świata jawiła mi się w prostych rzeczach. We wspólnej pracy, głupich żartach i zasypianiu przy ognisku. Czułem, że jestem tu, gdzie powinienem. Ani trochę

nie bałem się o siebie, jedynie o pobratymców. A ty mi to wszystko zmaćciłeś. Ściągnąłeś mnie z obłoków i cisnąłeś w błoto.

– Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

– Nie zrobiłeś nic złego! Nie twoja wina, żeś głupi... Pamiętasz, jak gdy szliśmy do źródeł potoku, gadaliśmy o tym, że zdaniem mojego ojca żaden bezdzietny mężczyzna nie powinien iść w bój?

– Pamiętam.

– Teraz dopiero rozumiem, jak ojciec mądrze myślał. Moi... oni polegli ich krew wygasła... Nic żywego już po nich po ziemi chodzić nie będzie. Ludzie będą pamiętać, ale miną dwa, trzy pokolenia i zapomną. Nic po nich nie zostanie.

– Zostaną rezultaty ich czynów. Ich śmierć coś znaczy, bo ty się nią przejmujesz. Ona motywuje cię to tych słów. Zza grobu mają realny wpływ na to, co dzieje się tu... Gdy pokonamy Sumów, osiedlimy się na drugim brzegu Sierpicy. Będziemy mieć więcej osad, pól uprawnych, terenów łownych. Śmierć kompanów będzie częścią całego procesu, jak sianie zboża jest częścią procesu, który kończy się bochenkiem chleba.

Deszczylisowi przypomniał się ojciec. Poczował dziwne ciepło. Chwila miała słodko-gorzki smak. Gorycz utraty ojca i słodycz wspomnień o nim, zrównały się ze sobą niczym światło i ciemność w równonoc.

– Ty to naprawdę masz łeb – rzekł do przyjaciela.

– Spostrzegawczy jesteś.

Deszczylis pokręcił głową jak matka nad urwisem, który dba o to, aby nie brakowało jej zmartwień. Masował przy tym opatrunek na poparzonej dłoni, aż grymas bólu wykrzywił mu twarz.

– Zostaw tą ranę w spokoju! – pouczył go Śnieżyrog.

– Kiedy lubię.

– Co? Gdy boli?

– Lubię wiedzieć, że jest sprawna i czuje. Nie wiem, skąd się to bierze, ale nawet jak mam zwykłe zadrapanie, to lubię je dotykać.

– Głupiś po prostu!

– Czekaj, tylko mnie plecy przestaną boleć!

Śnieżyróg wstał. Wyciągnął z wody w miarę płaski kamień. Puścił kaczkę. Odbiła się cztery razy od powierzchni rzeki.

– Wierzysz w swój fortel? – zapytał Deszczylis.

– Owszem... tylko to nie takie proste! Bronić się za murami jest łatwiej niż atakować.

– No... obcy się o tym przekonali pod Widłokami... tak jak my tu. Jest jak mówiłeś, bronić się łatwiej niż... – Słowa stanęły w gardle, oczy otwały się na oścież, zastygły bez wyrazu jak u śniętej ryby. – Bronić się łatwiej niż atakować – powtórzył. – Dlaczego zatem wtedy, gdy napadli nas obcy, Żbicznygrom kazał wciągnąć ich w pułapkę? Przecież za murami byliśmy bezpieczni.

– Żeby zdobyć ich łodzie.

– Tak myślisz?

– Ja bym tak postąpił. Z powodu ojca to, co mówię może cię zabołec, ale...

– Ojciec znał ryzyko. Był igłą sosny. Jego poświęcenie ocaliło Widłoki i dało nam te łodzie. Teraz trzeba zdobyć te przeklęte Kotlasy i wyrznąć tych sukinsynów, żeby poświęcenie współplemieńców nie poszło na marne! Rano zabierzemy się za budowę wieży!

– Wpierw niech ci się rana zagoi.

– Przecie mi ręka nie odpadnie! A bezczynności nie zniosę! Zeżre mnie od środka jak czerwce padlinę! Nie muszę robić, ale chce być przy budowie! Mogę choćby i nawet nosić wodę w wiadrze, jak się chłopom zachce pić!

– Aleś uparty. – Śnieżyróg uśmiechnął się złośliwie. W głowie zaświtała mu kąśliwa uwaga. – Gdyby mnie ktokolwiek lubił, lepiej dobierałbym sobie przyjaciół.

– A kopa w dupę chcesz?!

Śnieżyrog wyobrażał sobie, jak by to było wydłubać Białokurovi oczy. Jak by to było zanurzyć paluchy w oczodołach, wepchać je za gałę i powoli wyciągnąć. Patrzył ukradkiem na syna wodza. Uświadomił sobie, że wydłubując mu oko, ubrudziłby sobie palce jego juchą. Wzdrygnął się z obrzydzenia.

Ponownie stawiał się razem Szarugilem u Żbicygroma. Wódz i jego prawa ręka rozważali, co dalej. Białokur nic się nie odzywał. Zajęty był rzucaniem zawistnych spojrzeń w stronę Szarugila. Śnieżyrogowi kojarzył się z bezsilnym, uwięzonym na postronku psem. Wyobraził go sobie na czworakach ze sznurem wokół szyi, ujadającego na wszystkich dookoła.

Uśmiechnął się błogo.

– To ilu ludzi chciałeś?

– Śnieżyrog! – Szarugil podniósł głos.

– Tak?

– Wódz zadał ci pytanie.

– Przepraszam.

– Nie bujaj zbyt długo w obłokach, bo się o własne nogi potkniesz – zażartował Żbicygrom. Roześmiał się i rozejrzał po wszystkich. Na każdej gębie wywołując uśmiech, wymuszony lub szczery. – Pytam się, ilu to ludzi ostatnio chciałeś?

– Stu.

– Dostaniesz dwustu. Zbudujesz dwie wieże.

– Dziękuję.

– Oby było warte zachodu – wtrącił Białokur, ale jedno spojrzenie ojca odebrało mu ochotę do dzielenia się myślami.

Śnieżyrog pochylił nisko głowę, żeby ukryć pełen pogardy uśmiech. Zastanowił się, jak by to było brudne od psiego gówna buty czyścić na twarzy Białokura.

– Plan był prosty! – oznajmił Żbicygrom tonem nie uznającym żadnego „ale”.

– Jeśli szturm się nie powiedzie, to decydujemy się na fortel Śnieżyroga!

– Wdarliśmy się na mury! – zaoponował Białokur. – Niewiele brakowało do zwycięstwa!

– Dosyć!

– Ale...

– Rzekłem!

Białokur ustąpił.

– A ty, bystrzaku, bierz się do roboty! – wódz zwrócił się do Śnieżyroga.

– Na chwałę Czwórki! – zawołał dumnie młodzieniec. Miał nadzieję, że jego entuzjazm zaboli Białokura jak kuksaniec w nabity guz.

Syn wodza rzucił mu nienawistne spojrzenie. Śnieżyróg nie posiadał się z radości.

– I to jest postawa! – pochwalił go wódz. – Nie dziwię się, że chcesz go za zięcia, Szarugilu. Gdybym miał córkę, pewnie bym cię ubiegł!

– Na moje szczęście Czwórka pobłogosławiła cię męskim potomstwem.

– Ha-ha! – rozweselił się wódz. Poklepał się ręką po kroczu. – W tych jajach jeno męskie nasiona siedzą!

Rubaszny śmiech rozlał się po zgromadzonych jak miód pitny po rogach i kielichach.

– Czeka cię wielka chwała, bystrzaku, jeśli twój fortel da nam Kotlasy! – oznajmił wódz.

Śnieżyróg kiwnął głową.

– Mogę coś zasugerować? – zapytał Szarugil

– Mów.

– Warto by było, abyś rozważył postawienie Totemu. Oddasz w ten sposób ziemię pod opiekę i panowanie Czwórki, a i wiarą napelnisz ludzi.

– Tak zrobię!

WIEŻE I MURY

Zgodnie z radą Szarugila, mniej więcej w pół drogi między obozami, postawiono prosty Totem, w postaci pala, na którym wyryto z każdej strony symbole Czwórki: wianek, słońce, liście i sople lodu. Z Widłok, na jeden dzień, sprowadzono Widłosiewa, który poświęcił Totem sosnową gałązką. Czyn ten, jak i gorąca przemowa starego druida tchnęły nowego ducha w wojów. Dorzuciły drewna do przygasłego ogniska.

Śnieżyróg dostał obiecanych przez wodza ludzi. Praca nad budową wieży ruszyła na całego. Z Widłok łodzie przywiozły zwierzęce skóry, lniane sznury i co tylko było potrzebne.

Żądni zemsty za nieudany szturm i poległych towarzyszy, natchnieni wiarą, pracowali jak mrówki. Nikomu nawet przez myśl nie przyszło się obijać, zwłaszcza widząc przykład Deszczyliisa, który, choć wciąż bolały go plecy, nosił wodę, narzędzia i pomagał wszędzie tam, gdzie tylko mógł. Najchętniej pracowałby w pocie czoła z resztą, ale każdy mu odradzał i mówił, żeby zachował siły na szturm.

Szybko zaczęto się go słuchać jakby im wszystkim przewodził. Widząc to Śnieżyróg mianował go swą prawą ręką. Scedował na przyjaciela praktycznie całe dowodzenie pracą. Deszczyliis wydawał rozkazy i instrukcje podyktowane wcześniej przez przyjaciela.

Codziennie po śniadaniu Igłasi gromadzili się przed Totemem na złożyć pokłon Czwórce, a potem szli pracować w pocie czoła nad zwycięstwem. Praca szła tak

dobrze, że aż Deszczylis się bał, iż nie zdąży wrócić do pełni sił przed ukończeniem wież.

Pogórcy, żeby złamać ducha wrogów, następnej nocy po nieudanym szturmie wyrzucili za wał Igłasów odcięte głowy ich poległych współplemieńców. Pośród nich Deszczylis odnalazł Iglinowia, Dziegciołuka i Bazigrada.

Na twarzach Iglinowia i Bazigrada nie było ran. Oczy mieli zamknięte. Wyglądał na pogodzonego ze swym losem. Na twarz Dziegciołuka wolał nie patrzeć. Nad rzeką obmył mu usta z krwi, a oczy przewiązał kawałkiem szmaty. Pochował głowy na polanie, na której budowali wieże. Gdy je ukończono, mało się nie popłakał.

Łzy również stanęły mu w oczach, gdy Szarugil, za cichym wstawiennictwem Śnieżyroga, mianował go dowódcą drużyny. Przydzielono mu do niej trzech mężczyzn: Ciemnowilka, Gruszypiacha i Świerszczyzęba. Wszyscy w podobnym do Deszczylisa wieku. Znali się dobrze, wszak razem dorastali. Każdy doświadczył boju podczas obrony Widłok, jak i podczas nieudanego szturmu. Ciemnowilk i Gruszypiach stracili swego dowódcę i jeszcze jednego pobratymca. Świerszczyzęb, podobnie jak sam Deszczylis, z drużyny ostał się jeden.

Dzień zakończono zadumą przy Totemie. Podczas jej trwania na niebie nad Kotlasami pojawił się jastrząb. Kołował wokół murów jakby między nimi upatrzył sobie zwierzynę. Obrano to za znak od Czwórki. Po nim nikt nie śmiał wątpić w zwycięstwo.

Nocą Igłasi przepchali wieże pod pierścień wału, którym otoczyli wrazą osadę. Rano, gdy słońce zdjęło ciemną kołdrę nocy ze świata, nieznane w Kotlasach dziwy ukazały się Pogórcom.

*

Wrazę strzały świszczą w powietrzu. Przebijają mokre skóry. Wbijają się w drewno. Serce podskakuje na ich dźwięk jak przestraszony kot. W dole

pobratymcy pracują jak mrówki. Zawzięcie pchają wieże. Przekleństwa parują im z ust.

Przygotowują się. Czekają. Czas toczy się jak ciężki głaz pod górę. Dłonie same zaciskają się na broni. Strzały świszczą i dudnią na drewnie. Hałas otacza uszy.

Wieża staje.

Deszczylis prostuje plecy. Odchyła się w tył. Mierzy ból. Przewyższa go siłą. Rozgląda się po swych nowych kompanach. Widzi gotowość do boju, wiarę w zwycięstwo i żądzę krwi.

– Na chwałę Czwórki! – wrzeszczy.

– Na chwałę! – odpowiadają mu chórem Ciemnowilk, Gruszypiach i Świerszczyżab i reszta pobratymców w wieży.

Kładka opada. Zanim dotknie wrażeń murów, ryk Igłasów wznieca się jak kurz na suchej drodze za galopującymi rumakami. Krzyczą wszyscy. Zagłuszają resztki strachu. Dolewają oleju do wojennego płomienia.

Drewno uderza o drewno.

Ruszają. Dudnią po kładce niby stado dzikich rumaków. Wyłaniają się z wieży jak wściekłe osy z zrzuconej z drzewa bani. Wylewają się na mury jak powódź na wątlą tamę. Pierwszy szereg ściera się z Sumami.

Zwierają się tarcze. Miecze uderzają o drewno, żelazo i ludzką skórę.

Deszczylis wyciąga zakrwawiony sztych z podbrzusza Suma. Wraże ciało pada na ziemię. Rzuca okiem przez ramię. Mrowie współplemieńców garnie się na mury.

Głowa wraca do walki. Dźga w bok Suma zajętego walką z Ciemnowilkiem. Ten tnie wroga po szyi, gdy się odsłania. Przecięta tętnica pluje krwią.

Deszczylis patrzy na pobratymca. Rozumieją się bez słów.

Szeregi wroga rozdrabniają się jak przesiane przez sito. Tworzą się małe grupki, pojedyncze walki. Pobratymców na murach przybywa jak wody w stawie od ciągłej ulewy.

– Czwórka jest z nami! – krzyczy Deszczylis. Odpowiada mu ryk współplemieńców.

Rzuca się w bój. Przechodzi przez szeregi wroga jak szarańcza przez zboże. Ma wrażenie, że Czwórka prowadzi jego tarczę i miecz. Bez wysiłku kładzie trupem wrogów. Ich ruchy wydają mu się przezroczyście jak woda. Widzi ich zamiary jak kamieniste dno strumienia.

Tnie po skosie. Jednocześnie zasłania tarczą rękę z mieczem i lewy bok. Sum nadstawia swoją tarczę. Ostrze Deszczylisa w połowie drogi pikuje. Zatrzymuje się na kolanie. Ciągnie miecz do siebie. Otwiera skórę. Wyciąga krew na wierzch. Jednocześnie pcha krawędzią okrągłej tarczy w pancerz wroga. Uprzedza kontrę. Pchnięcie Suma ociera się o okrągły pancerz Deszczylisa. Tarcza Igłasa trafia w krawędź osłony wroga. Pancerz przekręca się. Odślania lewy bok Suma. Miecz Deszczylisa wchodzi między żebra wroga. Dociera do serca.

Sum nadchodzi z toporem. Deszczylis potyka się o trupa. Ugina kolano. Wróg uderza toporem z góry na głowę Igłasa. Deszczylis zasłania się. Ustawia tarczę po skosie. Impet topora zjeżdża w dół jak kamień po stromym brzegu. Deszczylis kontruje pchnięciem w udo. Wstaje i naciera tarczą. Sum pada na plec. Miecz zostaje w jego udzie. Deszczylis znajduje na ziemi następny zaraz obok trupa, o którego się potknął. Zanurza go w żebrach rannego Suma.

Ludzki gąszcz się przerzedza. Igłasi karczują Sumów. Ciężko nie potknąć się o trupa. Z pustej przestrzeni między zabijającymi się ludźmi, docierają do jego oczu chaty w osadzie. Ich dachy płoną.

Ogląda się na wieże. Podpalone strzały lądują fruną z ich szczytów. Lądują na strzechach wrażeń chat.

Czuje zwycięstwo.

Igłasi zrzucają Sumów z ich własnych murów. Wrogowie wycofują się. Kto pośród nich żyw, gromadzi się w jednej kupie między dwoma rzędami chat. Tarczownicy stają w pierwszym szeregu. Zza ich pleców wylatują strzały. Lądują na murach. Trafiają wroga, swoich i trupy.

– Za mną! – krzyczy Deszczylis na swoją drużynę. Ciemnowilk, Gruszypiach i Świerszczyzab idą za nim. Zeskakują z murów. – Zajdziemy ich od tyłu! – wrzeszczy Deszczylis. Okrężną drogą, prowadzi swych ludzi między dwa najdłuższe rzędy chat.

Biegają ile sił w nogach. Dobijają pałętających się rannych Sumów po drodze. Wizja zwycięstwa na wyciągnięcie ręki, niczym jabłko wiszące na niskiej gałęzi, dodaje im odwagi i sił.

Docierają do celu. Trafiają na pobratymców scierających się z Sumami, którzy zabezpieczają tyły. Walczą do upadłego. Wiedzą, że padną, ale chcą razem ze sobą zabrać jak najwięcej Igłasów.

Deszczylis rzuca okiem na chaty.

– Za mną! – mówi zachrypniętym głosem do swych kompanów. – Chodźcie ze mną!

Zostawia walkę. Idzie do rzędu obok. Wpada do pierwszej lepszej chaty. Słyszy pisk kobiet i płacz dzieci. Ktoś idzie na niego z uniesioną ręką. Zatrzymuje ją cięciem miecza. Ciało pada na ziemię. Widzi starą babę z siekierką w dłoni. Przelana krew dolewa oleju do pisku i płaszczu. Buchają na całą chatę.

Deszczylis rozgląda się. Znajduje czego szukał.

– Bierzcie drabinę!

Wychodzą. We czterech przystawiają drabinę do strzechy.

– Zawołaj tu kogo tylko się da! – daje rozkaz Świerszczyzabowi.

Wspina się. Ciemnowilk i Gruszypiach idą za nim. Jest na dachu. Widzi tyły Sumów. Ma ich wystawionych jak niczego nieświadomą sarnę. Czeka niecierpliwie na posiłki.

Wreszcie nadchodzą. Świerszczyzab biegnie wraz grupą około dwunastu ludzi. Deszczylis sięga po zwycięstwo.

Zjeżdża po strzesze w dół. Pobratymcy za nim. Atakują w sam środek. Sumowie orientują się. Są bezradni. Igłasi rozdzierają ich szyk na dwoje. Otaczają. Wycinają co do jednego.

Tyły Sumów na drugim końcu rzędu chat stoją przed nimi otworem.

Idą powoli. Skradają się jak lisy. Dopiero gdy jeden z wraźych łuczników ogląda się za siebie, ruszają niczym koń uderzony w zad. Wbijają się w Sumów jak oszczep w zwierza. Wycinają sobie drogę do własnych współplemieńców.

Jest już po bitwie. Miecze wznoszą się ku niebu. Okrzyk zwycięstwa na obcej ziemi smakuje Deszcylisowi bardziej niż miód. Ból w plecach przypomina o sobie. Rwie, ale da się znieść.

Sapie jak wilk, który uszedł obławie. Widzi pobratymców padających sobie w ramiona. Myśli o ojcu. Wie, że byłby z niego dumny. Klepie po ramieniu każdego, kto się nawinie. Ściska się z Ciemnowilkiem, Gruszypiachem i Świerszczyzębem. Razem z nimi chwali Czwórkę.

Jedni idą otworzyć bramę przed Żbiczygromem. Prześcigają się który pierwszy przywita w Kotlasach wodza. Drugich ciągnie do grabieży i gwałtu. Wdzierają się do chat. Mordują starców. Z dziewcząt zdzierają ubranie, wywlekają z chat i biorą jeden za drugim.

Deszcylis patrzy w niebo. Myśli o poległych pobratymcach. Patrzy na swój miecz. Nawet rękojeść brudna jest od krwi. Wbije go w ziemię w miejscu, gdzie pochował poległych towarzyszy.

Przychodzi mu do głowy, żeby znaleźć wodza Sumów, Mardeja. Idzie przez osadę jak lis przez kurnik. Rozgląda się. Szuka wodza w chatach. Nie wie, jak wygląda, ale wydaje mu się, że od razu go rozpozna.

Zagląda przez otwarte drzwi. Kobieta na kolanach błaga z płaczem o litość. Zimnoskał, z którym Deszcylis odbył pierwszą wartę, rozrywa jej szatę na piersi. Dwóch Igłasów przygwaźdża ją do podłogi. Zimnoskał gwałci ją na oczach przerażonego dziecka.

W następnej ktoś podrzyna starcowi gardło. Deszcylis przeciera oczy. Widzi na niebie czarny dym. Ogień obzera się strzechami domów. Wydają mu się niemal takie same jak w Widłokach.

Widzi zamknięte drzwi. Kopie w nie. Napotyka opór. Ktoś zapiera drzwi plecami. Robi kilka kroków w tył. Szarżuje jak wściekły byk. Tarczą osłania ramię.

Wdziera się do środka z hukiem. Na podłodze dziewczyna o płowych włosach leży powalona upadkiem. Cofa się na rękach i nogach.

Lewo, prawo – nic, zupełnie pusto. Są sami. Deszczylis podchodzi bliżej. Nóż jak zaczarowany zjawia się w rękach dziewczyny. Wstaje. Cofa się. Opiera o ścianę. Złączone ręce na rękojeści noża mierzą w gardło Deszczylisa. Trzęsą się w trwodze.

– Gdzie wódcz? – pyta Igłas.

Dziewczyna trzęsie się jak ryba dogorywająca na brzegu. Deszczylis podchodzi bliżej. Dzielą ich już tylko dwa kroki. Dziewczyna przystawia nóż do swej szyi.

Wtedy dopiero widzi kobietę, a nie obcą. Przedziwne, zielone jak liście brzozy przeszywane słońcem, zieją nienawiścią silniejszą od strachu przed śmiercią. Nóż wpija się w gładką szyję barwy miodu. Gęste, złote jak pszenica w południe włosy opadają do falującej gwałtownie pod szatą piersi.

Stoi sparaliżowany, jakby zmija pełzła mu wokół stóp. Wie, że nie chce jej śmierci ani krzywdy. Wydaje mu się raczej zjawiskiem niż istotą żywą.

Cofa się o krok. Chowa miecz za pas.

– Gdzie wódcz? – pyta łagodnie.

Nóż odchyła się od szyi. Oddech się uspokaja.

Ciska tarczę pod jej nogi. Dziewczyna podskakuje ze strachu.

Dopada do niej. Łapie za nadgarstki. Rozdziela ręce. Nóż zostaje w lewej. Puszczą jej wolną rękę. Łapie za szyję. Ściska. Dziewczyna traci dech. Palce zwalniają uścisk rękojeści. Deszczylis bez wysiłku wyjmując nóż z jej dłoni.

Dziewczyna osuwa się na podłogę. Dłońmi obejmuje zgięte nogi. Czołem przywiera do kolan. Ukrywa twarz w potarganych włosach. Płacze. Pociąga nosem.

ZWYCIĘSTWO

Kotlasy doszczętnie złupiono. Zabrano zboże, zwierzęta, narzędzia, broń i wszystko, co tylko mogło się przydać. Zamordowano wszystkich dorosłych mężczyzn. Wyrostków zaś wzięto w niewolę. Od tej pory mieli pracować na polach Igłasów. Zamordowano stare baby i młode kobiety po tym, jak je zgwałcono. Nieliczne, które przeżyły, Igłasi wzięli jako branki.

Gdy już złupiono ostatni bochenek chleba, doszczętnie spalono osadę razem z wieżami, które ją zdobyły. Został jedynie prosty Totem z symbolami Czwórki na pamiątkę zwycięstwa.

Wodza Sumów, Mardeja, starego, siwego, zmęczony ciężarem lat mężczyznę, znaleziono martwego. Leżał przebity mieczem razem z dwoma synami. Widać woleli zginąć na własnej ziemi niż zostać straceni przed Totemem.

Łodzie pływały tam i z powrotem między Widłokami a zgliszczami Kotlasów, z których przywożono zapasy, niewolników i broń. Dopiero gdy cały łup znalazł się w osadzie Igłasów, rozpoczęto świętowanie zwycięstwa.

Wpierw na placu przed Totemem, ku chwale Czwórki, nadziano na pal głowy wodza Sumów i jego synów.

Duszna, ciasna masa tłoczyła się w żarze południa, wznosząc do góry pięści i okrzyki. Pojedyncze głosy zlewały się w jeden niezrozumiały zgiełk rodem z ula, który słyhać było daleko poza murami osady. Wrzawa płoszyła ptaki ze strzech, dudniła w uszach, unosiła kurz z ziemi, wzniecała emocje tłumu, który nie mógł się

doczekać rozpoczęcia spektaklu. Już widział smażone w miodzie owoce, już wyciągał po nie rękę.

– Chwała Czwórcę! – Słowa Żbicygroma roznosiły się po Igłach jak ogień po suchym na wiór sianie. Okrzyki dotarły pod las, nad rzekę i zdawały się sięgać nieba.

– Chwała Czwórcę! – zakrzyknął Białokur, a tłum mu zawtórował. – Chwała Czwórcę, albowiem dała nam zwycięstwo! Chwała bohaterom, którzy zdobyli Kotlasy! Chwała naszemu wodzowi, Żbicygromowi, że powiódł nas do zwycięstwa!

Wódz razem z synem grzali się w blasku tłumy.

– Chwała Czwórcę! – zakrzyknął wódz Żbicygrom a tłum mu zawtórował. – Chwała memu synowi, że tak dzielnie dowodził! Chwała zwycięskim wojom! Chwała Szarugilowi, że zawsze dobrą radą służył!

Prawa ręka wodza dołączyła do nich. I on chwałę Czwórki w pierwszych słowach wygłosił.

– Chwała poległym! – dodał po chwili, a tłum odzwierciedlił jego powagę i zadumę. – Chwała poległym, albowiem ich ofiara przyczyniła się do przyszłej pomyślności, niczym ziarno zasadzone w ziemi! Chwała memu przyszłemu synowi, Śnieżyrogowi! Jego fortel przyczynił się do zwycięstwa!

I Śnieżyrog dołączył do nich. Stał nieco przygarbiony i ściśnięty jakby utknął w wąskiej szczelinie. Rozglądał się nerwowo po tłumie.

Jak poprzednicy, pochwalił Czwórkę.

– Chwała wszystkim, którzy mi pomagali! – zawołał. – Bez nich nic by z mego fortelu nie było! Chwała Deszczylisowi, który wsławił się męstwem na murach Kotlasów, pomocnością przy pracy, nawet gdy był ranny!

Deszczylis nie zapomniał o poległych towarzyszach.

– Chwała Iglinowiowi, Dziegciolukowi, Bazigradowi i wszystkim poległym! Ich ofiara nie poszła na marne! Pamiętajmy imiona bohaterów, którzy życie swe

oddali za plemię! I chwała mym pobratymcom z drużyny! Ciemnowilk, Gruszypiach i Świerszczyzab wielką okryli się chwałą!

Igłasi jeszcze długo wywoływali się z imienia i głosili chwałę Czwórki. Dopiero przed zmierzchem, gdy słońce czerwieniło się na horyzoncie, rozpoczęła się uczta. Trwała do świtu.

Śnieżyrog wymknął się, gdy tylko nadarzyła się okazja, co nie było łatwe, gdyż każdy gratulował mu jako bohaterowi i przyszłemu mężowi Piórosen. Młodzieniec udawał wdzięczność najlepiej jak potrafił, choć sama wzmianka o małżeństwie działała na niego jak uządlenie osy.

Między chatami było zupełnie pusto. Cały lud zgromadził się przed Totemem. Odetchnął z ulgą.

– Jak przyjemnie tu jest, gdy ludzi nie ma wokół – rzekł do siebie.

Zaszedł pod chatę Wilczybrzasku. Na wojnie nie miał czasu o niej myśleć. Budowa wież niepodzielnie rządziła jego głową i czasem. Dopiero gdy przekroczył bramę Widłoków, wszystko wróciło. Żądza buchnęła jak para wody, w której zanurzono rozgrzane żelazo.

Zatrzymał się przed drzwiami. Spojrzał w obie strony. Wszedł do środka pewnym krokiem.

Nikogo nie było. Wodził pustym wzrokiem po suficie i ścianach. Zatrzymał się tam, gdzie podłoga wyłożona była miękkim sianem, przykrytym prześcieradłem. Brutalna pustka nie zgadzała się z oczekiwaniami pamięci.

Wyszedł z chaty. W głowie brzęczało mu jak w bani os. Szedł przed siebie. Rozglądał się za ludźmi.

Usłyszał wesoły, dziewczęcy śpiew. Dojrzał nierozłączne siostry Deszczylisa. Trzymały się za ręce. Śmiały się i podskakiwały.

– Burzykosa już tu nie ma? – Wskazał na chatę.

– U Midiołosa jest – odparła Chmurzysosna.

– U druida?

– Tam mieszka! Wilczybrzask teraz jest żoną Miodołosia! – dodała Cieniowoda. – Razem się opiekują Burzykosem.

– Aha...

– Nie idziesz na ucztę? – zapytała Chmurzysosna.

– Zaraz przyjdę.

Dziewczynki w podskokach ruszyły ku Totemowi.

Śnieżyróg gapił się tępo przed siebie. Grzęzł w poczuciu beznadziei jak w bagnie. Drętwiał od środka. Wszystko wydawało mu się marnością.

MAŻ

Wilczybrzask otworzyła oczy. Na rzęsach spoczywały resztki snu jak woda na koronach drzew po deszczu. Wszystko było w nim przyciemnione jak podczas zapadającego zmroku. Szła brzegiem pod prąd rzeki. Droge zagroziła jej żmija. Obie się zatrzymały. Wąż podniósł się z ziemi. Sięgał jej do piersi. Zaczął syczeć. Uderzyła żmiję. Gad ustąpił.

We śnie nie mogła pojąć, dlaczego w ogóle się nie bała. Potraktowała węża jak wątłe, spróchniałe drzewo stojące na drodze. Senny czar zamienił śmiertelne zagrożenie w zwykłą błahostkę. Rozkoszowała się wspomnieniem zwycięstwa za cienkimi murami powiek.

Mąż charknął i wybełkotał niezrozumiałe słowa. Otworzyła oczy. Leżała na wyścielanym sienniku w swej chacie w Widłokach. Obróciła głowę ku drugiemu końcowi izby, gdzie leżał jej mąż.

Czasem zastanawiała się, jakby to było, gdyby umarł. Czasem żałowała, że przeżył upadek, choć w najtrudniejszych chwilach troszczyła się o Burzykosa i żarliwie modliła o jego wyzdrowienie. Wtedy żyła nadzieją. Dziś nie miała jej ani krzty.

Już dawno zapomniała, jakim kiedyś Burzykos był znakomitym myśliwym i wojownikiem, podziwianym i szanowanym przez całe Widłoki. Szczęście, które podłożyło ogień pod jej serce, zdawało się mieć miejsce dawno, dawno temu, niczym dzieje opisywane w plemiennych legendach. Tamto życie odeszło w siną dal.

W myślach przestała używać jego imienia. Przestała też nazywać go mężem. Nosił miano: on.

Oboje byli sierotami, dlatego została z nim sama. Pobratymcy przychodzili i pomagali jak mogli, co wprawdzie przynosiło jej ulgę i otuchę. Szybko jednak zaczęło przeszkadzać. Wolałaby, żeby wszyscy o nim zapomnieli, żeby nikt nie był świadkiem nędzy, w jaką wpędziło ją zrzędzenie losu. Wciąż była młoda, przepiękna, a tkwiła uwiązana przy niedoładzie jak pies. Czuła się okradziona z życia.

Najgorzej było z żądzą. Przychodziły dni, że czuła się jak kotka podczas rui. Od przypadkowego otarcia o mężczyznę robiła się wilgotna. Rozgrzane łono było głośniejsze niż serce.

Musiała ją ugasić. Potrzebowała mężczyzny. Przyglądała się chłopom w plemienu. Wyobrażała sobie, jak obejmuje ich nogami, jak dyszy im do ucha, gdy biorą ją w zbożu. Czuła ich pieszczoty, słyszała zachwyty. Błądziła w omamach fantazji jak w oparach gęstej, gorącej mgły.

Śnieżyrog patrzył na nią najłapczywiej. Przekonała się o tym, gdy zrobił dla niej narzędzie do rozpalania ognia. Przyniósł je, chwiejącym się głosem dokładnie wytłumaczył, co na czym polega. Słuchała, podziwiała i chwaliła bystrość chłopca.

Udawała, że nie widzi, iż oczy młodzieńca zdzierały z niej ubranie i rzucały się na nią jak wygłodniały pies na mięso. Nie potrafił ukryć swej żądzy. Ujął ją w karby i ujarzmić. Wszak był jeszcze chłopcem... za to wyjątkowym.

Choć jeszcze nie zdążył stanąć na warcie, choć jeszcze nie przyjęto go w poczet mężczyzn, w Widłokach nie znalazł się nikt bystrzejszy od niego. Całe plemię go podziwiała. Chodził skąpany w pochwałach i podziwie. Nic dziwnego, wszak jego zasługi dla plemienia były ogromne. Dzięki Śnieżyrogowi i jego głowieniu się, każdemu w Widłokach żyło się lepiej.

Wszystko zaczęło się od jednego pytania: jak by to było? Jak by to było być pierwszą kobietą najbystrzejszego chłopca w Widłokach? Jak by to było rozkoszą wyrzeźbić w jego pamięci swoją twarz? Jak by to było być jego kobietą? Fantazja

na oścież otwarła przed nią wrota do uniesień, których mogła doświadczać jedynie w marzeniach i snach.

Przeglądała się w pożądaniu Śnieżyroga jak w odbiciu na powierzchni wody. Jak przy żarze paleniska w siarczysty mróz, wygrzewała się w świetle chciwych spojrzeń młodzieńca. Lgnęła do podziwu jak ćma do płomienia.

W jego obecności poruszała się z kocią gracją. Poprawiała rude loki jak gdyby nigdy nic. Uśmiechała się ustami i bławatkowymi oczami. Słuchała z przejęciem jak mówił o zwykłych bzdurach. Nie robiła tego w określonym celu. Nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Zwyczajnie zagłębiała się w przyjemności bycia pożądaną, jak w miąższu słodkiego, soczystego jabłka.

Zapominała o swoim losie.

Chłopca w końcu poniosła śmiałość. Złapał ją w pasie i przycisnął do siebie. Poczowała dudnienie jego serca na własnej piersi. Ziemia zakołysała się pod nogami jak łódka na wodzie. Świat zniknął w ciemności, przez którą prześwitywała wąska szczelina. Widać w niej było jedynie piwne, zachmurzone od pożądania oczy Śnieżyroga.

Wpił usta w jej usta. Uległa mu. Ich języki splotły się jak węże w złączonych, gorących pieczarach ust. Niepojęta rozkosz przejęła nad nią władzę. Niosła ją jak prąd wezbranej rzeki.

Przyszedł w nocy. Czekwała na niego. Otworzyła na umówiony znak. Legli ze sobą jak mąż z żoną.

Rano wszystko się zmieniło. Strach porwał szczęście na strzępy. Bała się ogromnie. Cudzołóstwo karano publicznym laniem różgami. Jeszcze jako dziewczynka była świadkiem takiego zdarzenia. Przed Totem doprowadzono kobietę i mężczyznę, którzy wystąpili przeciw Woli Czwórki. Zdarto z nich ubranie. Stali nadzy, przykurczeni. Rękami zasłaniali wstydlive miejsca. Druidzi chłostali winowajców różgami od karku po stopy.

Jednak gwałtowne uczucia, jakie związały ją ze Śnieżyrogiem, ani myślały pierzchnąć przed strachem. Rozkosz i bliskość wynagradzały wszelkie chwile,

w których z przerażenia serce chciało wyłamać żebra. Pomagały jej przebrnąć przez codzienność. Łatwiej było jej znieść opiekę nad mężem wiedząc, że noc wynagrodzi jej trud.

Nocny alarm zniszczył wszystko. Była tego pewna. Wkrótce potem zjawił się u niej druid Widłosiew. Wiedział wszystko. Skąd, mogła się tylko domyślać. Podejrzewała babkę Śnieżyroga. Nieraz Dębisroka patrzyła na nią jak na muchę, której chciałaby wyrwać skrzydła, choć ta zawsze okazywała jej szacunek. Musiała się domyślać. W tę noc z fałszywym alarmem pewnie nabrała pewności.

Nie otworzyła Śnieżyrogowi, gdy przyszedł w nocy. Schowała się pod przykryciem. Zatkaną uszy i łkała. Strach w końcu pokonał rozkosz i bliskość. Strach przed karą pobratymców i karą Czwórki.

– Czwórka potępia tych, co plugawią się jak zwierzęta – przestrzegł ją Widłosiew. – Za to wyciąga rękę do tych, co zrozumieli swój błąd i nie przewinili więcej wobec Niej. Masz szczęście! Równie dobrze mogłabyś zostać obita różgami przed Totemem! Czwórka wyciąga do ciebie pomocną dłoń! Lepiej jej nie odtrącaj!

Po napadzie gniewu Śnieżyroga nie opuściła chaty. Bała się, że wszyscy wiedzą i tylko czekają, aż wystawi nogę za próg. Wydawało się jej, że jest jak ptak w wiklinowej klatce, szturchany patykami w każde czułe, bolące miejsce.

Co, jeśli się dowiedzą? Przed tym pytaniem uciekała jak spłoszona sarna. I wciąż na nie trafiała, jakby zastawiło na nią sidła. Zatykała uszy. Przylegała czołem do kolan. Błagała Czwórkę o wybaczenie.

Objęła męża niedołęgę. Wtuliła się w niego i cicho łkała. Po raz pierwszy od dawien dawna miała z niego pożytek. Ciepło ciała, którego miała już dość, pomogło jak gorący okład na spuchnięte ucho. Chociaż na chwilę przyniosło ulgę.

I wtedy obcy napadli Widłoki. Rozegrała się bitwa. Przeczekała ją wtulona w niedołęgę. Wiwaty zwycięstwa wzbudziły w niej nadzieję. Nieśmiało otworzyła drzwi.

Ludzie ściskali się i całowali. Radość przelewała się z jednego do drugiego jak woda z wiadra do wiadra. Pragnęła tego samego, jak przemoknięty, wyrzucony

za próg pies domowego ogniska i bliskości człowieka.

Poszła między współplemieńców. Ścisła się ze wszystkimi i płakała. Pod pretekstem radości ze zwycięstwa, mogła ukryć prawdziwy powód swych łez i wypłakać się na ramionach bab. Głaskano ją po głowie. Klepano po plecach. Mówiono, że już wszystko dobrze. Nigdy tak bardzo nie czuła się częścią plemienia. Nigdy tak bardzo nie kochała swoich pobratymców.

Ulga była niepojęta.

Śnieżyróg nie przyszedł w nocy. Słyszała, że zginął ojciec Deszczyłisa. Miała nadzieję, że będzie wspierał przyjaciela. Miała nadzieję, że jakoś to będzie. I było. Zawsze jakoś to jest. Czy ulewa, czy upały, czy dobrze, czy źle, życie płynie dalej i jakoś to jest.

Nie przyszedł też następnej nocy. Nie przyszedł w ogóle. Jego groźby okazały się jedynie buńczucznym porywem gniewu, słowem bez poparcia czynem.

Potem wyruszył na Sumów. I jakoś to było. Głównie byle jak, byle przeżyć do snu... Młodsze przed Totemem ślubowały swym mężom. Kobiety w jej wieku nosiły drugie dziecko na rękach. W rodzinach przybywało ludzi jak wody w Sierpicy podczas roztopów. Ona żyła z niedołągą.

Czekała. Ufała słowu druida.

Widłosiew zjawił się jak na wezwanie. Przed południem zapukał do chaty. Pokłoniła mu się należycie. Zaprosiła do środka. Dała zimnej wody, o którą poprosił. Przyglądała mu się bacznie i niecierpliwie, jakby gdzieś w zaroślach jego siwych włosów i brody, niczym bażant do upolowania, kryło się jej wybawienie.

– Mąż zdrów? – zapytał.

– Zdrów jak zawsze! – odparła żarliwie, a jej oczy pełne były nadziei.

– Dbasz o niego jak należy.

– Staram się.

– I słusznie, albowiem jak Czwórka przykazała, obowiązkiem żony jest dbać o męża w potrzebie.

Pokornie pochyliła głowę.

– Acz obowiązkiem kobiety jest być nie tylko żoną, ale i matką. Tak przykazała Czwórka.

– Niczego bardziej nie pragnę!

– Popytałem się wśród ludzi. Każdemu kazałem przysiąc na Czwórkę, że zachowają milczenie, więc nikt na języki cię nie weźmie. Uczeń mój, Miodołoś, gotów jest przyjąć cię pod swój dach i być ci mężem. Razem zaopiekujecie się Burzykosem.

Odetchnęła z ulgą. Mogło być znacznie gorzej.

– Mój uczeń to prawy człek, Czwórcę należycie oddany. Oboje żeście sieroty, to i matka jego ani ojciec psioczyć na ciebie nie będą. Oboje żeście zdrowi, to i dzieci wasze takie będą. O...

– Zgadzam się.

– Długo żeś się nie zastanawiała – zażartował jowialnie druid.

– Ja tu jak drzewko na suchej ziemi. Nie ma co się dumać, gdy chcą mnie przesadzić na taką, gdzie zieleń traw i polne kwiaty. Mogę tylko dziękować Czwórcę.

– Rad jestem, że tak wszystko się kończy. Ogłoszę przed Totemem, że rozwiązuję więzy małżeńskie między tobą a Burzykosem i że będziesz żoną Miodołosia. Ludzie zrozumieją.

– Mam nadzieję.

– Kto by cię winił za to, że chcesz tego, co wszystkie baby? Zresztą Czwórka jest po twojej stronie.

– Zaiste łaska Czwórki jest niepojęta! Nie spodziewałam się już niczego dobrego w życiu, gdy nagle odmieniła mój los!

– Dlatego trzeba zawsze mieć wiarę. Ilekroć sobie pomyślę, że jużem stary i wkrótce umrzeć mi przyjdzie, wtedy przypominam sobie, że przecież Czwórka jest nade mną i czeka w Niewyśnionej Krainie. Od razu moje obawy strasznie śmiesznymi mi się wydają.

– Dobrze, że mamy w tobie ostoję. Obyś żył jak najdłużej!

Widłosiew roześmiał się jowialnie.

– Chcesz, żeby dłużej starzec się męczył? Cóż ja ci takiego uczyniłem, że źle mi życzysz?

– Nie mów tak! Przecie wiesz, że z dobrego serca zdrowia i lat ci życzę.

Widłosiew spojrzał na jej życzliwą, przepiękną twarz. Na chwilę wpadł jak w kamień w wodę. I staremu druidowi zakręciło się w głowie od zbyt długiego patrzenia na Wilczybrzask. Nie dziwił się Śnieżyrogowi. Ucieszył się, że jest już stary i чуć nie wpędzi go w kłopoty.

OBCA

Jastrzębibeze ze łzami w oczach przywitała syna. Natomiast ze zgrozą przyjęła do wiadomości fakt, że Deszczylis z wojny wrócił z dziewczyną Sumów.

Syn też nie wiedział do końca, jak to matce przekazać. Zrobiło mu się bardzo głupio. Na wojnie igrał ze śmiercią, brał strach za łeb i zanurzał go pod wodą. Teraz miał się trząść przed własną matką? Postawił na swoim. Nie chciał wyjść przed dziewczyną na tchórza.

Siostry nie wiedziały, jak obchodzić się z nowym mieszkańcem ich chaty. Szybko pojęły, że dziewczyna jest przyczyną chmurnego milczenia między bratem i matką. Nie chciały nadepnąć na odcisk żadnemu z nich.

Niepewność wkradła się do ich chaty, która jeszcze na początku lata tętniła radością i życiem. Deszczylis zdawał sobie sprawę, że to wszystko za jego sprawą. Jednak miał zamiar wytrwać w swoim postanowieniu. Powtarzał sobie, że jest jak igła sosny, a nie wątki liść.

Wtedy, po zdobyciu Kotlasów, położył dłoń na ramieniu dziewczyny i obiecał, że nie zrobi jej krzywdy. Wziął ją ze sobą. W świetle Prawa Czwórki była jego łupem. Nikt, nawet sam wódz, nie miał prawa mu jej zabrać.

Tego dnia coś się w nim zmieniło. Podobały mu się dziewczyny w plemienu. Polował wzrokiem na ich wdzięki jak skradający się lis, zwłaszcza gdy kąpały się w rzece, nieświadome tego, że podziwia je z daleka. Z nią było inaczej. O nią chciał się troszczyć.

Dawał jeść, choć odmawiała. Przypominała mu ptaszynę ze złamanym skrzydłem, którą opiekował się jeszcze jako dziecko.

Śnieżyróg o dziewczynie nie mówił nic. Zwyczajnie przyjął do wiadomości, że jego przyjaciel wziął sobie brankę. Zachowywał się jak gdyby nic się nie zmieniło. Nie gapił się chciwie ani nie dogadywał. I za to Deszczylis był mu wdzięczny.

Pierwsza dzień w domu była najtrudniejszy. Matka i siostry traktowały obcą jak powietrze. Nawet nie patrzyły w jej stronę.

Wziął dziewczynę ze sobą, ochronił ją przed własnymi pobratymcami, to nie ugnie się pod matczyną presją. Ilekroć nachodziły go wątpliwości, że źle zrobił, że może lepiej dziewczynę komuś oddać, natychmiast kazał iść im precz. Wyrывał te myśli jak chwasty. Duma z obstawania przy swoim napawała go samozadowoleniem równym bohaterstwu, jakim wykazał się w walce.

Skoro świt matka wraz z siostrami wybrały się na grzyby. Przedtem Jastrzębibeż zbudziła syna, żeby rozmówić się z nim w cztery oczy. Stanęli razem przed chatą. Matka kazała dziewczynkom iść przodem. Zostali sami.

– Po coś ją tu sprowadził? – zapytała.

Nie wiedział. Zwyczajnie wziął ją ze sobą i nad niczym się nie zastanawiał. Czuł, że tak musi i tyle.

– Jest moja – odparł, żeby cokolwiek rzec.

– Ale po coś ją tu sprowadził? – nalegała Jastrzębibeż.

Gapił się beznadziejnie w oczy matki. Chciał w nich ujrzeć zrozumienie, a dostrzegł jedynie złość.

– Rozumiem! Młody jesteś, za babami ci oczy gonią, czas ci żonę znaleźć! Użyj ją sobie, a potem oddaj komu! Wymień za broń czy inne...

– Nie.

– Że co?!

– Nie. Ona zostanie ze mną.

– Postradałeś rozum?! Dobrze, że ojciec tego nie widzi, bo by ci kijem tę sukę wybił z głowy!

– Twoje obelgi nic nie zmieniają.

– Jesteś głową rodziny, pamiętasz?! Jesteśmy pod twoją opieką! Nie żyjesz tylko dla siebie!

– Skoro jestem głową rodziny, to nie kwestionuj moich decyzji.

Słowa te ukłuły matkę jak wystająca zadra.

– Baby ci się zwyczajnie chce! Dobrze, wychędoż ją sobie jak zwierz i pozbądź się jej! Zobaczysz, znajdę ci porządną żonę...

– Już ją sobie znalazłem.

Matka cofnęła się i złapała za serce. Zabrakło jej tchu. Mało nie runęła na ziemię. Na twarzy Deszczyliisa nie było żadnych wątpliwości. Mówił poważnie.

– Naprawdę postradałeś rozum! Żeby dla obcej suki...

Powietrze syknęło. Nozdrza Deszczyliisa gwałtownie je wciągnęły. Powieki rozwarły się na oścież. Gniew wyłupił oczy.

– Rzekłem – oznajmił.

– Ona jest obca!

– Ona jest moja!

– Nieszczęście chcesz na nas sprowadzić?! Czwórka nas ukaże, że wroga pod dach przyjmujemy!

– Gdy przyjmie Czwórkę, stanie się jedną z nas.

– Nigdy nie będzie jedną z nas! Gdyby ojciec żył...

– Powołujesz się na jego pamięć, żeby wyrzucić u mnie posłuszeństwo? Na pewno jest zadowolony, że używasz go jak narzędzia, jak siekierki do...

Wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Dziewczynki czekają – zwrócił jej uwagę jak gdyby nigdy nic.

– Jeszcze nieszczęście na nas sprowadzisz! – rzuciła na odchodnym.

Wrócił do chaty. Miał chwilę spokoju. Przyglądał się śpiącej dziewczynie. W nocy leżał przy niej i powtarzał szeptem, że nic jej nie grozi.

Obudziła się jak z koszmaru. Te przedziwne, zielone oczy wyłupione strachem rozejrzały się po izbie. Aż ciarki przeszły mu po plecach, gdy ich spojrzenia stanęły naprzeciw siebie.

Spostrzegła, gdzie jest. Odsunęła się nieufnie. Żołądek dopominał się o jedzenie. Zaradził coś na to. Postawił przed nią miskę z suszoną rybą.

Głód pokonał strach.

Kiedy był małym chłopcem, przypatrywał się pszczole buszującej w czerwonym kwiecie maku. Skrzydlaty owad wydawał mu się czymś niewyśnionym, niczym stworzenia z legend opowiadanych przez Dębisrokę przy ognisku. W dodatku był prawdziwy. Nie mógł uwierzyć, że takie cuda dzieją się na jego oczach. W ten sam sposób patrzył na dziewczynę.

Skóra jak miód, włosy jak pszenica i oczy jak liście brzozy skąpane w porannym słońcu. Tyle zapamiętał z pierwszego spotkania. Jej rysy na dobre jeszcze nie zdążyły wyryć się w jego pamięci. Pamiętał jedynie, że wydawała mu się tak piękne, że aż nieprawdziwa.

Wrażenie go nie opuszczało. Znowuż jednak nie mógł się dobrze przyjrzeć dziewczynie. Zajęta była łapczywym jedzeniem.

– Możesz zjeść ile chcesz – powiedział łagodnie, niczym do dziecka. – Nie braknie ci niczego.

Pochyliła głowę. Ukryła twarz za złotymi jak pszenica w południe włosami. Przypominała mu płaczącą wierzbę. To i tak lepiej. Wczoraj cały czas siedziała w kącie skulona jak jeź, obejmując nogi i przywierając czołem do kolan.

Wtedy przypomniało mu się, że na warcie, na której mało nie wzięli się za łby z Niebokłem, jeź tupał przy murze. Może to Czwórka wtedy chciała mu coś podpowiedzieć?

– Jak ci na imię? Ja jestem Deszczylis, bo jak się urodziłem to padało, a ojciec dzień wcześniej lisa upolował.

– Limwa.

– Słucham?

- Limwa me imię.
- Bardzo ładne, takiego jeszcze nie słyszałem. Co ono znaczy?
- Nie wiem. Tak mi dali na imię, to takie mam.
- Ile czerocykli sobie liczysz?
- Nie wiem co to.
- No to wiosna, lato, jesień i zima razem wzięte.
- My... Pogórcy mówią rok.

Zdziwił się na dźwięk słowa Pogórcy, ale potem przypomniał sobie, że przecież w ten sposób Sumy siebie samych określali.

- Czemu tak?
- Nie wiem. Tak mówili wszyscy, to i ja mówię. Jeść... i pić mi się chce.

Przyniósł następną rybę, wiadro z wodą i kubek.

- Jedz i pij ile chcesz.

Nie trzeba było ją długo namawiać. Wypiła duszkiem trzy kubki. Oblizła suche usta. Wróciła do pałaszowania.

- Co to za pal stoi na placu? – zapytała.

– Totem, symbol Czwórki, która sprawuje władzę nad światem. Wiosną Kwitna, latem Skwar, jesienią Słota, a zimą Zimny.

Zjadła wszystko.

- Chcesz jeszcze?

- Zjem.

Przyniósł jeszcze większy kawałek suszonej ryby. Zjadła do ości. Popiła wodą.

Odgarnął jej włosy i zawinął za ucho. Zielone oczy spojrzały na niego pytająco, niczym zbity pies, który nie wie, czy zbliżająca się do jego głowy dłoń chce go po głaskać, czy uderzyć.

Wreszcie mógł jej się dobrze przyjrzeć. Tak cudnej dziewczyny w Widłokach nie było. Wąski nos, wydatne usta, podbródek ścięty do szpica niczym sztych miecza, razem z tymi przedziwnymi oczami tworzyły niezwykle harmonijną

całość. I to było to, czym się tak zachwyił. Wyglądała jakby ją wymyśliła sama Czwórka i na twarzy nie zostawiła ani jednej niepotrzebnej rysy.

– Co ze mną będzie?

– Będiesz moją żoną – rzekł bez cienia wątpliwości. – Będę dbał o ciebie jak należy. Nigdy nie będziesz chodzić głodna ani zmarznięta. Niczego ci nie zabraknie.

– Deszczylis! – usłyszał znajomy głos za drzwiami.

Dziewczyna natychmiast się skuliła jak napadnięty jeź.

– Nie bój się – uspokoił ją i wyszedł kompanowi spod Kotlasów na powitanie. Gdy otworzył drzwi, oprócz Ciemnowilka, który go zawołał, zobaczył Świerszczyzęba. – Witajcie! – Poklepał przyjaźnie po ramionach współplemieńców, którzy ramię w ramię walczyli z nim pod Kotlasami.

Ciemnowilk nie wyglądał na zadowolonego. Świerszczyżab zaś oczami szukał po ziemi nie wiadomo czego.

– Mówże! – ponaglił go Deszczylis.

– Białokur... Białokurowi wpadła w oko twoja branka – odezwał się Ciemnowilk. – Gotów jest dać ci za nią...

– Nie.

– Jeszcze przecież ci nic nie rzekłem...

– Nie interesuje mnie jego propozycja – rzekł i poczuł, jakby urósł ku wierzchołkom strzelistych sosen.

Ciemnowilk zdębiał, jakby kto przy nich Czwórki się wyparł. Ukradkowe spojrzenia Świerszczyżęba zdradzały zaś podziw wobec pobratymca.

– Ale toż to syn wodza! – przypomniał Ciemnowilk.

– Nie.

– Białokurowi się to nie spodoba.

Deszczylis zbliżył się do Ciemnowilka. Ich gęby dzieliła odległość ludzkiej dłoni. Górował nad pobratymcem o pół głowy. Skupił spojrzenie na kompanie jak drapieżnik na wypatrzonej zwierzynie.

Ciemnowilk zniżył wzrok. Cofnął się.

– Spokojnie! – Świerszczyząb próbował złagodzić sytuację. – On przecież tylko powiedział.

– Prawem Czwórki jest moja i tylko Czwórka może mi ją odebrać – powiedział głośno, powoli i spokojnie. – Następnym razem jak Białokur będzie czegoś chciał, to niech sam przyjdzie.

– Nie złość się! – poprosił Świerszczyząb. – Myśmy jeno zrobili, co nam kazano.

– Przeto do ciebie o nic nie mam pretensji – odparł, nie odwracając wzroku od ukorzonego Ciemnowilka, który w środku kipiał ze złości. Nie mógł znieść, że ustąpił. – Na co czekacie? Idźcie przekazać wiadomość!

ŻONA

Śnieżywóróg siedział przygarbiony w wyciągniętej na brzeg łodzi Stalookich, jak zwykła obcych nazywać matka Bazigrada. (Nazwa szybko się przyjęła). Towarzyszył mu Płowiak zajęty obwąchiwaniem wnętrza łajby.

Śnieżywóróg patrzył na rzekę. Wyobrażał sobie, jak płynie po niej hen daleko, gdzie tylko prąd zanieśie. Po tym jak Wilczybrzask została żoną druida Miodołosia, wizja podróży w nieznane jeszcze bardziej go nęciła. Gorycz rozczarowania podlala ją jak wiosenne deszcze rozkwitającą przyrodę. Nadała kolorów, zapachów i życia.

Najchętniej popłynąłby sam, ale łódź po Stalookich była za duża. Potrzebowałby ludzi do pomocy. A oni mieli swoje proste, zwyczajne życie wypełnione codziennymi sprawami. Martwili się, czy żniwa będą udane, czy dach nie przecieka i czy zapasów na zimę wystarczy. Nie w głowie im była pomoc przy wędrówce w nieznane.

Ileokroć przypominała mu się Wilczybrzask, tupał, jakby chciał wybić dno, pesząc przy tym psa. Nie winił jej. Zawsze uważał ją za słabą i głupią. Nie zdziwił się, że uległa biadoleniu Widłosiewa. To właśnie do niego i do własnej babki żywił zapiekłą nienawiść. Ileokroć przypominał sobie wspólne noce z Wilczybrzaskiem, jej miękkie usta, piersi, ciepłe wnętrze i obejmujące go nogi, miał ochotę utopić staruchów w wiadrze wody. Rzecz miała się podobnie z Szarugilem. Gównozjad uzgodnił z babką małżeństwo z Piórosnem ponad nim.

– Żałosne gnidy nie mają prawa o mnie decydować! – syknął przez zaciśnięte zęby. Wpił palce w głowę, jakby chciał przebić nimi czaszkę. Bezsilność była nie do zniesienia.

Dzięki jego dumaniu i pomysłom całemu plemieniu żyło się lepiej. Ba, dzięki niemu zdobyto Kotlasy, wycięto w pień wraże plemię. Igłasi zdobyli nowe tereny, rozrosną się jak rozłożysty dąb. Mimo tego wszystkiego, babka i Szarugil śmiały decydować o jego losie!

Na domiar złego dziś Śnieżyroga i babkę miała odwiedzić Piórosen z rodzicielami. Mieli się lepiej poznać przed zaślubinami, które wyznaczono na zimę, zaraz po pierwszej warcie Śnieżyroga. Piórosen była młodsza od niego o dokładnie dwa czterocykle. I tyle też czasu miało minąć po zaślubinach, zanim mieli żyć ze sobą jak mąż z żoną.

Nie miał ochoty wracać. Najchętniej zamieszkałby w lesie. Zaczął zastanawiać się nad zbudowaniem chatki na drzewie. Żyłby ze znalezionych grzybów i złapanych w sidła zwierząt. Dobrze wiedział, że nic z tego nie będzie, ale brnął w mgłę złudzeń. Zanim na dobre opadnie, gdy wróci do Widłok, chociaż na chwilę przyniesie ukojenie i ulgę niczym zimny kamień ze strumienia, przyłożony do policzka z bolącym zębem.

Wychodził z chaty jak tylko się obudził i wracał, gdy był głodny. Nawet zaczął zastawiać sidła na zające, choć jak do tej pory żaden nie raczył w nie wpaść. Zabiłby go, oskórował, wyciął mięso, usmażył na rozpalonym ognisku. Nie musiałyby wracać do staruchy.

Nie odzywał się do niej od dnia, w którym Staloocy najechali Widłoki. Nawet na nią nie patrzył. Każdą chęć pogodzenia, każde dobre słowo ze strony staruchy przelatywało przez niego jak przez powietrze. Wiedział, że babka nie może znieść jego obojętnego milczenia i za wszelką cenę chce się z nim pogodzić. Ugnie się do samej ziemi, byleby między nimi było dobrze. Dlatego był obojętny. Czerpał przyjemność z jej bezsilnych prób, które rozbijały się jak kurze jajko o skały.

– Jestem z ciebie dumna – raz rzekła. Musiał jej to przyznać, nie najgłupsza była z niej baba. Wiedziała, jak go podejść. Wiedziała, że te słowa wejdą mu pod skórę jak drzazga pod paznokieć. Gdyby go przeklinała i groziła, że się go wyrzeknie, słuchałby jej jak śpiewu ptaków o poranku. Dumna z niego? Gorszej obelgi nie mógł sobie wyobrazić.

Mało brakowało, a dałby się złapać w jej sidła. Gniew prowadził do wyzwisk i gróźb. Wymiana słów, nawet najgorszych, przerwałaby impas. Wylałaby się gorycz, wysączył jad. Wet odpowiadałby na wet. Słowo stanęłoby naprzeciw słowa, a to zawsze mogło się zakończyć pogodzeniem. Milczenie i ignorowanie prowadziło jedynie do dusznej, uciążliwej dla babki męki.

Pies położył mu łapy na udach. Pogłaskał go. Płowiak wyłożył się na dnie łajby i wyeksponował brzuch na pieszczoty. Wywalił jęzor i piszczał ze szczęścia, gdy Śnieżyróg podrapał ulubione miejsce.

– Ty tępy kundlu – powiedział czule do psa. – Można tobą pomiatać i cię kopać, a wystarczy tylko cię pogłaskać, już cieszysz się jak głupi. Zupełnie jak babka.

Trzy razy powtórzyła mu, że przysła żona odwiedzi go z rodzicielami i zaklinała, żeby pamiętał. Jej biadolenie to za mało, żeby do czegokolwiek go zmusić. Dobrze o tym wiedziała, dlatego pewnie zmówiła się z Szarugilem, bo dzień wcześniej odwiedził go, gdy Śnieżyróg siedział nad rzeką. Nie omieszkał mu przypomnieć, że jutro odwiedzi go z córką.

Z prawą ręką wodza musiał się liczyć. Pozycja Szarugila w plemiennej hierarchii wymuszała posłuszeństwo. Uciekał przed nim w marzenie o domku na drzewie i życiu z dala od ludzi. Tylko na tyle pozwalała mu bezsilność.

Wrócił do Widłok. Pies pobiegł przodem prosto do chaty. Śnieżyróg poszedł okreśną drogą. Zatrzymał się nieopodal chaty, w której mieszkał druid Miodołoś. Wpatrywał się w drzwi. W myślach kazał im się otworzyć. Kazał wyjść rudowłosej krasawicy. Nie widział jej od tej chwili, gdy wtargnął do jej dawnej chaty w dzień ataku Stalookich.

Myśli o babce i starym druidzie żądliły go jak osy. Płomień gniewu karmił się ich obliczem. Czuł się jak wilk złapany w sidła, osaczony przez ludzi, wściekle toczący pianę z pyska na widok zbliżających się myśliwych.

Wrócił do chaty. Zajął się rąbaniem drewna. Ręce przepoławiały klocki, a wyobrażenia ludzkie twarze.

– Głodnyś? – zapytała babka.

– Jak to dobrze, że człowiek nie podąży za każdą myślą, jaka mu do głowy przyjdzie – rzekł i rąbnął ile sił w klocek drewna, aż ostrze siekiery weszło w pniak.

– Co mówisz?

Uśmiechnął się do siebie. Rąbał dalej na coraz to mniejsze kawałki. Gniew uchodził z niego jak para z wrzącego kociołka. Ocierał pot z czoła. Wydychał rozżarzone powietrze. Nagłałe serce i ból mięśni wywoływały uśmiech na twarzy. Przynajmniej dobrze się czuł we własnym ciele.

– Widzę praca wre – rzekł głośno Szarugil i wyciągnął Śnieżyroga z krainy myśli.

Towarzyszyła mu żona, Sarnimech, i córka, Piórosen. Babka przyjęła ich z otwartymi ramionami. Przyszłą żonę wnuka uściskała i ucałowała w obydwie policzki.

Zostawiono ich samych, w takiej odległości, żeby młodzi mogli swobodnie ze sobą porozmawiać, a jednocześnie dobrze było ich widać.

Śnieżyród siedział przygarbiony i marzył o domku na drzewie. Na dziewczynę nie zwracał najmniejszej uwagi. Jeszcze mógłby ją polubić.

– W domu używamy dmuchawy do rozpalania ognia.

Miała bardzo ładny głos. Słuchało się go jak śpiewu leśnych ptaków, szumu strumienia i trzasków ogniska w ciemną, gwieździstą noc. Tyle już wiedział wcześniej. Coś wiedzieć o niej musiał, nawet jeśli nie zwracał na nią zbyt wiele uwagi. W końcu żyli w tej samej osadzie.

– Rad jestem, że pożytek z niego macie – odparł pół grzecznie, pół sucho, tak żeby nie było się do czego przyczepić, a jednocześnie żeby dziewczyna nie odczuła, że ta rozmowa mu się podoba.

– Jak żeś to wymyślił?

– Z nudów.

Korciło go niemiłosiernie, żeby coś palnąć, urazić dziewczynę, przestraszyć, sprawić, że ucieknie z płaczem. Złego słowa o niej nie mógł powiedzieć, ale nie miał nic przeciwko użyciu jej jako narzędzia zemsty na babce. Widzieć przerażenie w oczach staruchy, gdy małżeństwo zostaje zerwane przed samym ślubem, jak wszystkie jej starania w jednej chwili zostają zmiażdżone niczym orzech ciężkim kamieniem. Uśmiechnął się rzewnie do tej myśli.

– Słyszysz mnie?

– Co mówiłaś?

– Pytałam, w jaki sposób wpadłeś na pomysł z tą dmuchawą?

– Wiatr wieje to wznieca ogień. Wystarczy go wywołać i skierować na płomień.

Choć głowa starannie ułożyła złośliwe, nikczemne słowa, które miały doprowadzić dziewczynę do łez, język nie chciał się im podporządkować. Czuł jakby stał przed uchylonymi drzwiami, za którymi kryło się to, czego pragnął – wolność robienia czego tylko się chce. Wystarczyło je tylko otworzyć. Jeden prosty gest dzielił go od władzy nad własnym losem.

I nic. Trzymał dłoń na drzwiach, a mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Widmo konsekwencji wisiało wysoko ponad nim, niczym ciemne, niedosięgnięte chmury, gotowe w każdej chwili cisnąć w niego błyskawicą.

Nienawidził siebie.

– Możesz mi opowiedzieć coś o wieży, dzięki której zdobyliście Kotlasy?

Dziewczyna zadawała pytania, które miały wydrążyć dziurki w wysokiej, szczelnej tamie, za jaką ukryty był Śnieżyróg. Ojciec musiał ją dobrze poinstruować.

Nie chciał pomagać. Zacznie się od jednej dziurki, potem szybko zrobi się tuzin. W końcu woda się wyleje.

– Wóz jeździ na kołach, to i wieża pojedzie.

– Dla ciebie to wszystko takie proste?

– No.

Zmieszała się. Otworzyła usta, ale nie powiedziała nic. Spojrzała w kierunku rodziców i Dębiszki, potem w ziemię.

– Nie lubisz mnie? – zapytała.

Spojrzał na nią pierwszy raz, choć dłuższą chwilę siedzieli sami. Była podobna do matki, niemalże identyczna, tylko ciemne oczy miała po ojcu. Niczym specjalnie się nie wyróżniała. Była zupełnie zwyczajna. Nie mogła się równać z Wilczybrzaskiem.

– Lubię własne myśli.

– Nie chcesz mnie?

Teraz miał okazję. Wystarczyło jedno słowo, żeby zdeptać plany Szarugila i babki. Zaśmiać im się w oczy i napluć w twarz. Jedno słowo otworzy bramę do nieziemskiej satysfakcji. Jedno słowo. Padły dwa.

– Nie wiem.

Gdyby tylko nie była córką prawej ręki wodza! Gdyby tylko jej ojciec nie miał władzy, która mogłaby pokrzyżować jego plany podróży w nieznane! Tylko o to się bał. I ta obawa trzymała go na postronku. Wyznaczała, jak daleko może się posunąć.

Brzydził się sobą i wszystkim dookoła.

– Nic w tym dziwnego – rzekła Piórosen. – Ojciec z matką też wprawdzie nie wiedzieli, czy im ze sobą dobrze będzie. Za to jak już żyć z sobą zaczęli, to się ku sobie przekonali.

– Ciekawe.

– Matula mawia, że to jak z tkactwem: wymaga pracy i cierpliwości. A gdy we dwoje się nad czym pracuje i wdać tego efekty, wtedy szczęście pojawia się samo.

– A ty co sądzisz o małżeństwie ze mną? – zapytał, patrząc jej w oczy śmiejąc, niż pozwalał na to obyczaj.

Zaczerwieniła się. Speszyła. Ukryła ciemne oczy pod powiekami jak młodej dziewczynie wypadało.

– Ja... znaczy się... Ufam ojcu! Mówi żeś najbystrzejszy człek w Widłokach! On by nigdy nie wybrał dla mnie źle!

– A jak się pomylił?

– On zna się na ludziach!

– A jak go oszukałem?

– Nie jesteś w stanie!

– Skąd to wiesz?

– Bo znam swego ojca!

– W to nie wątpię. – Śniezyróg uśmiechnął się złośliwie. – Rzekłaś, że twój ojciec twierdzi, żeś najbystrzejszy człek w Widłokach...

– Tak mówi.

– Zatem bystrzejszy jestem od niego.

Zmarszczyła brwi. Widać nie po myśli było jej przyznać, że ojciec komukolwiek w czymkolwiek ustępuje.

– Skoro jestem od niego bystrzejszy, co sam ojciec twój twierdzi, powinienem być w stanie go oszukać. Inaczej nie mógłbym być bystrzejszy od niego. Nie sądzisz?

Zbladła.

– Czemu mi w głowie mącisz? – rzekła z przeuroczym, niemalże dziecięcym dąsem.

Uśmiechnął się. Pożałował tego. Dał się wciągnąć.

Stali sami nad rzeką. Patrzyli w zmarszczoną toń Sierpicy.

– Dobrze ci poszło – stwierdził Szarugil żartobliwie. – Udało ci się nie przestraszyć ani całkiem nie zniechęcić do siebie mojej córki.

Śnieżywóróg uśmiechnął się sztucznie. Nie miał ochoty na rozmowę. Czekał, aż Szarugil da mu spokój.

– Nie lubisz się dzielić swoimi myślami.

Śnieżywóróg wlepił wzrok w ziemię.

– Wiele można poznać po twoich podziękowaniach, młodzieńcze. Nie podziękowałeś mi, gdy wziąłem cię ze sobą na wojnę i dałem okazję okrycia się chwałą, co zresztą zrobiłeś. Nie podziękowałeś mi, gdy ci swoją córkę za żonę oferowałem. Podziękowałeś mi dopiero wtedy, gdy twego przyjaciela uczyniłem dowódcą drużyny.

Śnieżywóróg spojrzał na starszego pobratymca. Pierwszy raz poczuł do niego coś, co mógłby nazwać szacunkiem.

– Twój dziad i mój ojciec całkiem się lubili. Pamiętam, że jak zachorowała twoja babka, moja mama się nią opiekowała. Ja jej w tym pomagałem. Za wszystko twój dziad podziękował nam jak za pożyczonego kota do złapania myszy. Natomiast kiedy mój ojciec dał mu... już nie pamiętam za dobrze... Chyba chodziło o coś do wnyków. W każdym razie wtedy twój dziad podziękował mu, jakby mój ojciec życie mu ocalił. Jesteś bardzo do niego podobny. Poza twoim przyjacielem, dumaniem i wymyślaniem, nic i nikt cię nie obchodzi. Bynajmniej cię nie potępiam. Każdy w plemienu ma swoją rolę i pożytek przynosi w taki czy inny sposób. Ty zaś przyczyniłeś się do pomyślności Igłasów bardziej niż kto inny... Gdzie chciałbyś popłynąć?

– Słucham?

– Gapisz się na łodzie Stalookich niczym chłystek na hożą dziewczkę. Gdzie chcesz płynąć?

– Choćby i na koniec świata.

Szarugil zaśmiał się, za co Śnieżywóróg chętnie wyłupiłby mu oczy.

– A wiesz chociaż, jak daleko to stąd?

– Nie. Dlatego chcę popłynąć.

– Wszystko przed tobą. Okryłeś się chwałą, ludzie z podziwem patrzą na ciebie, zatem będą gotowi iść ci na rękę. Wystarczy tylko umiejętnie się im przysłużyć, a przychylą ci nieba.

– W to raczej wątpię.

– Skąd w tak bystrym człowieku tak mało wiary? Znasz swoje zasługi dla plemienia. Wkrótce staniesz się mężczyzną. Na następną wiosnę poprowadzisz budowę osady na drugim brzegu. Gdy nadejdzie czas, założysz rodzinę. Ugruntujesz swą pozycję. Ludzie będą cię słuchać. Łatwiej nakłonisz ich do wyprawy.

– Nie znam się na budowaniu osady.

– To błędne myślenie, młodzieńcze. Zwyczajnie jeszcze nie odkryłeś, że się do tego nadajesz.

PRAWO CZWÓRKI

Zycie Igłasów płynęło jasno wytyczonym korytem codziennych spraw. Ludzie gnali krowy i kozy na pastwiska, na rzece rybacy zarzucali sieci, a z Widłok dochodził gwar, na który zazwyczaj Deszczylis nie zwracał uwagi. Dopiero teraz, gdy wrócił z wojny, wlał się w jego uszy niczym dźwięki lutni. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go cieszy.

Jedynie niewolnicy, gnani kijami na pola, nie pasowali do Widłok, jakie pamiętał. Przydadzą się. Nie było mu ich ani trochę żal, w końcu to obcy. Limwa jest z tej samej krwi, ale to co innego. Ją widział inaczej, jako swoją.

Wracał od kowala. Zaniósł mu żeleziec wrażego, oburęcznego topora, od którego zginął ojciec. Chciał go przetopić na groty strzał. Drzewiec porąbał i wrzucił do rzeki.

Usłyszał jej krzyk. Pobiegł na miejsce jak pies, który usłyszał intruza.

Limwa wyrywa się dwóm mężczyznom, matka ciągnie ją za włosy. Nie zastanawia się. Dopada do drabów.

Ciemnowilk leży z rozkwaszonym pięścią nosem, zanim na dobre pojmie, co się dzieje. Deszczylis depcze mu krocze jak robaka. Pobratymiec zwija się z bólu.

Matka puszcza włosy dziewczyny jak oparzona. Świerszczyżab usuwa się z drogi. Poza strachem w jego oczach widać coś jakby ulgę, że Deszczylis przyszedł w porę.

– Myśmy tylko robili, co nam kazano! – mówi.

– Zabierz go i wynocha! – Deszczylis warczy jak szturchany kijem pies, który ma już dość. Wskazuje ręką poturbowanego Ciemnowilka. – Powiedz Białokurowi... Powiedz temu tchórzowi, że czekam przed Totemem!

Świerszczyżab kiwa głową z przerażeniem.

Limwa osuwa się po ścianie chaty. Deszczylis bierze ją na rękę. Wnosi do środka. Zostawia w jej ulubionym kącie.

– Spokojnie – pociesza dziewczynę i głaszcze jej włosy. – Nikt ci nic nie zrobi.

Wstaje. Dostrzega przerażone siostry. Unikają jego wzroku jak myszy kota. Słyszy krok. Widzi przerażoną matkę w progu. Kobieta nie ma siły mówić. Łapie dech jakby miała wyzionąć ducha.

– Jak mogłaś?!

– Ja... ja nie...

– Nie kłam!

– Przez nią tylko nieszczęście!

– Przez twoją głupotę!

– Czwórki się nie boisz?

Parsknął z pogardą.

– Syna własnego zdradzasz i na Czwórkę się powołujesz? Może jeszcze kogoś okradnij i powołaj się na przyzwoitość!

Wziął topór i tarczę.

– Co zamierzasz?! – jęknęła matka.

– Nie twoja rzecz!

– Jestem twoją matką!

– Już nie!

Rozdzierający duszę na pół szloch matki wypełnij izbę. Siostry chlifały i pociągały nosami.

– Zamknijcie się choć na chwilę! – wrzasnął.

Matka i siostry zakryły głowy rękami jak ze strachu przed nadchodzącym ciosem. Zapanowała cisza.

– Niech żadna stąd nie wychodzi, dopóki nie wrócę – oznajmił chłodno, po czym zwrócił się do matki: – Spróbuj tylko ją tknąć, to ci kulasy połamię!

Minął zapłakaną matkę. Zamknął drzwi. Razem z progiem, przekroczył granice strachu. Gniew i nienawiść wystrzeliły Deszczylisa jak strzałę z łuku. Celowały w czyn.

Przemierzał Widłoki jak ogromny głaz pędzący ze stromej góry, rozgniatając krzewy i łamiąc drzewa po drodze. Nikt nie śmiał stanąć na jego drodze. Lud rozstępował się jak skóra upolowanego zwierza przed ostrzem noża otwierającym brzuch.

Stanął pod Totemem.

– Ludzie! – rozdarł gardło jak starą, suchą szmatę. – Ludzie, zaklinam was na Czwórkę! Chodźcie tu wszyscy!

Jeszcze zanim zaczął wzywać całe plemię pod Totem, Igłasi podążali za nim zwiedzeni nadchodzącą burzą. Nosy czuły, że święci się coś niesłychanego. Chciwe oczy Ignęły pod Totem jak ćmy do płomieni. Języki ostrzyły sobie apetyt na wydarzenie, o którym Widłoki długo jeszcze będą mówić.

Zgromadzili się półkolem. Ostatnim razem, gdy Deszczylis stał w tym miejscu przed plemieniem, odbierał od druida ryty wprowadzającego go do grona mężczyzn. Tym razem jego oczy nie nabierały wody, a ciskały gromy od których jeżyły się i uginały karki.

Rozglądał się. Widział Śnieżyroga, Szarugila, widział wiele znajomych twarzy, ale nigdzie nie dojrzał syna wodza.

– Białokur! – wrzasnął ile tylko gardło mogło wytrzymać. – Wyłaź, tchórze!

Ryk Deszczylisa przeszedł przez tłum jak echo błyskawicy, która trafiła tuż obok. Śmiał na oczach wszystkich nazwać tchórzem syna wodza? Tu nie mogło obejść się bez rozlewu krwi. Baby kryły twarze w dłoniach z przerażenia. Chłopom opadały gęby. Co chciwsi z błyskiem w oczach zapatrywali się na rozwój wydarzeń.

– Białokur! Wyłaź, tchórze!

– Jak śmiesz, gnido! – odpowiedział wreszcie syn wodza, gdy zjawił się razem z drabami, którzy przyszli odebrać Deszczylisowi brankę. Białokur splunął pod nogi.

Łeb syna wodza tak bardzo prosił się o to, żeby go odrąbać albo wdeptać w ziemię. Deszczylis ledwo się opamiętał.

– Na świadków biorę Czwórkę i was, pobratymcy, że tylko swego bronie! – zawołał. – Kto łup zdobył, nie czyniąc przy tym krzywdy pobratymcowi, temu nikt go odebrać nie może! Tak stanowi Czwórka! Mam rację, Widłosiewie?

Nagle całe oczy tłumu zwróciły się na starego druida. Plemię rozstało się przed nim, osaczyło spojrzeniami jak wataha wilków samotną zwierzynę.

– Czemu milczysz, Widłosiewie? – podniósł głos Deszczylis. – Prawdę mówię, czy nie?

– Prawdę mówi! – rozległ się krzyk w tłumie.

– Co tu się wyprawia, od sumskiej rzyci?! – zawołał Żbiczygrom. Tłum rozstał się przed nim, a wódz stanął naprzeciw Deszczylisa. – Co tu robisz z toporem i tarczą?!

– Bronię Prawa Czwórki – odparł młody mężczyzna, mierząc się z wodzem wzrokiem jak równy z równym.

– A niby to jakiego?!

– Kto łup swój zdobył, nie czyniąc przy tym krzywdy pobratymcowi, temu nikt go odebrać nie może! Tak stanowi Czwórka! A syn twój, Białokur, na mój łup nastaje! Moją brankę chce zagarnąć! Pod chatę wysłał Ciemnowilka i Świerszczyzęba, gdy byłem u kowala! Szczęściem wrócił w porę, inaczej by już ją zagarnął!

Wódz spojrzał na syna.

– Prawda to?

Białokur splunął pod nogi.

– Prawda to?!

– Zapytaj Ciemnowilka i Świerszczyzęba – rzekł Deszczylis. – Niech położą dłonie na Totemie i mówią!

– Zamknij gębę! – wrzasnął Białokur. – Prawo Czwórki też głosi, że woda i jego syna trzeba słuchać, a ty przeciw niej występujesz!

– Podstępem moją brankę chciałeś zagarnąć, jak podstępem chwałę za zdobycie Kotlasów chcesz sobie przypisać!

– Bacz na... – wódz nie dokończył. Krzyk Białokura zagłuszył jego głos.

– Jeszcze jedno słowo, a obetnę ci język!

– Przez twoją głupotę Iglinów, Dziegciółuk, Bazigrad i inni poległ! Szturmu ci się zachciało! Nie mogłeś poczekać, aż Śnieżyróg ukończy ruchomą wieżę, bo wtedy większa chwała przypadłaby Szarugilowi, który wspierał jego fortel! A po powrocie mieniłeś się ojcem zwycięstwa, gnido!

– Ty sukinsynu! – Białokur rzucił się na rywala, a zatrzymał się w porę, gdy ten zasłonił się tarczą i podniósł w górę topór.

– Prawdę mówię! – wrzasnął Deszczylis. – Jeśli nie, zadaj mi kłam przed Totemem! Zadaj mi kłam przed Obliczem Czwórki!

– Obaj zamknijcie gęby! – wrzasnął wódz. – O obcą dziewczkę za łby się chcecie brać?!

– Tu już nie tylko o nią chodzi! – odparł gniewnie syn. – To ludzkie pomyje śmie mnie obrażać!

– Śmiesz powiedzieć głośno to, o czym wszyscy co zdobywali Kotlasy wiedzą! – zabrzmiała odpowiedź Deszczylisa. – Zadaj mi kłam przed Obliczem Czwórki! Czemu tego nie zrobisz?! Strach cię obleciał?!

– Ty gównozjadzie, ty psi pomiole, sukinsynu...

– Zamknąć się obydwaj! – Żbiczygrom jak mógł starał się zapanować nad sytuacją. – Dwoje mężczyzn, a zachowujecie się jak chłystki! Jeden przeprosi drugiego, a nie to zaraz różgami was przećwiczę!

Deszczylis uderzył toporem w tarczę. Zanim przemówił, rozejrzał się po tłumie. Czuł, że Czwórka jest po jego stronie. Wolał stracić głowę niż się ugiąć.

– Czwórka mi świadkiem, że prawdę rzekłem! A za nią przepraszać nie mam zamiaru! Niech ten knur się przede mną ukorzy!

Tłum wstrzymał oddech, jakby słońce z niebios spadło na ziemię. Jeszcze w Widłokach nie widziano, żeby kto zdanie wodza na oczach całego plemienia kwestionował. I sam Żbiczygrom nie mógł uwierzyć własnym uszom. Do tego, że ktoś mu się sprzeciwia, był tak przyzwyczajony jastrzęb do bycia zwierzyną kury.

– Niech rozsądzi ich Czwórka! – Z tłumu wyszedł Szarugil. Przy jego boku stanął Śnieżyróg. Młodzieniec wpatrywał się w starszego pobratymca, jakby całemu plemieniu chciał przekazać, że stoi za nim murem. – Niech rozsądzi ich Czwórka! – powtórzył Szarugil. – Obaj rację mają, powołując się na Jej Prawo, nieprawdaż Widłosiewie?

Wszyscy przypomnieli sobie o starym druidzie, który sprawiał wrażenie, jakby chciał zamienić się w kreta i schować w tunelu pod ziemią.

– Prawda... – przyznał niemrawo.

– Głośniej! Niechaj cały lud Igłasów cię usłyszy!

– Prawdę rzekłeś!

– Prawo przeciw prawu, jak nam, zwykłym śmiertelnikom, pojąć komu pierwszeństwo Czwórka przypisze? Czy lepiej zostawić to Kwitnej, Skwarowi, Słocie i Zimmemu? Niechaj przed Totemem Czwórka zadecyduje, czyja racja w tym sporze.

Żbiczygrom otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nim zdobył się na słowa, dwa wściekłe basiory warknęły pierwsze.

– Zgoda! – bez wahania zakrzyknął Deszczylis.

– Zgoda! – natychmiast przytaknął Białokur. – Tarczę i topór! I to szybko! Ubiję tę gnidę!

– Dosyć tego, gówniarze! – wrzasnął Żbiczygrom. – Ja tu rządę, póki jestem wodzem. Różgą obiję...

– Przeciw Woli Czwórki występujesz! – wrzasnął Deszczylis. – Rządzisz z Jej nadania! Jej prawu jesteś winien posłuszeństwo, choćbyś był panem całego świata!

– Giń, sukinsynu! – krzyknął Białokur. W rękach dzierżył już topór i tarczę podane przez usłużnych pobratymców.

Kurz wzbija się z ziemi niczym woda z kałuży, w którą ciśnięto kamień. Białokur naciera jak wściekły zwierz. Topór leci w dół, niczym kamień zrzucony z klifu. Ląduje na tarczy. Żelaziec uderza o drewno. Lud wstrzymuje oddech.

Białokur odstępuje.

Trzymają dystans. Kołują jak jastrzębie na niebie. Wypatrują okazji. Ciszę mącą jedynie ich kroki. Nikt nie śmie zabrać głosu. Widłoki milczą. Czują, jak kostucha przechadza się wokół Totemu.

Deszczylis odsłania głowę. Zaprasza do ataku. Białokur nigdzie się nie kwapi. Obchodzą się. Wybrzydzą okazjami do ataku. Podpuszczają nawzajem.

– Tchórz! – rzuca Białokur z pogardą.

– Rzekł ten, co chowa się za ojcowskimi jajami!

Białokur naciera. Deszczylis bez wysiłku przyjmuje cios na tarczę. Białokur wpada na niego swoją. Okrągłe osłony zderzają się. Blokują możliwość ataku.

Deszczylis puszcza topór. Drzewiec oręza zsuwa się między palcami. Łapie u samego żelźca. Miejsca ma w sam raz. Pcha żelźcem w czoło. Czuje zgrzyt żelaza o kości. Syn wodza cofa się otumaniony. Chwieje się jakby szedł po linie.

Deszczylis podrzuca topór. Łapie za koniec drzewca. Naciera. Uderza pionowo z góry.

Białokur kuli się. Zasłania tarczą głowę, ramię i bok. Żelazo zachacza o krawędź tarczy. Gwałtowna siła szarpie tarczą i ręką. Jest już po nim. Nawet nie zdąży pojąć, co się stało.

Deszczylis nie uderzył. Zahaczył jedynie żelźcem topora o tarczę. Szarpnął. Ręka Białokura wraz z pancerzem otwarły się niczym drzwi na oścież. Podniósł głowę. Zobaczył tarczę Deszczylisa zmierzającą pionowo prosto na jego twarz.

Impet odrzucił głowę w tył. Odbiła się od karku i wróciła na swoje miejsce. Oczy nie dojrzały topora. Żelaziec wbił się pod skosem w szyję tuż przy obojczyku. Siła zgięła kolana.

Deszczylis wydarł topór z pokonanego, zapierając się nogą o jego tors. Krew z przeciętych tętnic i żył chlusnęła z ciała niczym woda rozdzierająca wążką tamę.

Białokur padł.

Nieludzki wrzask, a potem jęk podobny umierającego zwierza rozległ się po całych Widłokach. Wódz rwie włosy z głowy. Przegryza wargę do krwi. Ból odbiera rozum. Rzeźbi w twarzy nieuczki, bestialski szal.

Łapie za topór i tarczę martwego syna. Tłum wstrzymuje oddech. Kobiety zakrywają dłońmi usta. Mężczyźni łapią się za głowy.

Jest jak na murach Kotlasów. Deszczylis znów ma wrażenie, że zamiary przeciwnika są przezroczyte. Widzi je jak kamieniste dno płytkiego strumienia.

Gniew gubi wodza. Trzyma tarczę na wysokości ust. Za blisko. Idzie na pewną śmierć.

Deszczylis unosi tarczę. Uderza krawędzią w krawędź zasłaniającą usta. Impet pcha tarczę wodza we własną twarz. Odrzuca głowę. Macha ślepo toporem. Przecina powietrze.

Deszczylis jest po jego lewicy. Po uderzeniu tarczą natychmiast uskoczył w bok, spodziewając się kontry. Uderza. Żelaziec zagłębia się w głowie wodza jak w opornym drewnie. Krew barwi włosy.

Żbiczogrom pada na ziemię. Jeszcze żyje, choć topór tkwi mu w głowie. Jeszcze dycha. Jeszcze wydaje z siebie rżenie. Wszyscy wiedzą, że już po nim.

Przestaje się ruszać.

Nowy ład spadł na Igłasów jak deszcz wielkich, ciężkich, ostro zakończonych kamieni ze słonecznego nieba. Do ludu jeszcze całkiem nie dotarło, że pod Totemem właśnie padli martwi wódz wraz z synem. Dzień zapowiadał się jak każdy inny, podobny do poprzedniego jak dwie szyszki. Nic nie zwiastowało, że jeszcze przed południem świat zrobi fikołka i wyląduje na głowie.

Lud rozdziawił przerażone oczy jak pies paszczę. Pod Totemem szukał pana, który rzuci mu pod nogi mięso nadziei. Ludzie wyglądali pomocy jak zgubione w lesie dziecko swego ojca i matki. Wola tłumu wisiała jak dojrzałe jabłko. Czekala, aż ktoś po nią sięgnie.

– Czwórka zdecydowała! – zagrział Szarugil. – Wszyscy jesteście świadkami, że Deszczylis swego prawa bronił, a Kwitna, Skwar, Słota i Zimny stanęli po jego stronie!

– Morderca! – zawyła kobieta w tłumie, który rozstąpił się przed nią jak ciemność przed ogniem. – Morderca! – powtórzyła Kwiecimgła, żona Białokura.

– Zabierzcie ją stąd! – rozkazał Szarugil. – Ból jej rozum odebrał! Zabierzcie ją stąd, nim Czwórka straci cierpliwość i jej bluźnierstwa ukarze!

Kobieta zawyła, zdzierając gardło jak suche na wiór płótno. Ciskała się jak piskorz i gryzła jak ranna bestia, gdy zabierano ją sprzed Totemu.

– Czwórka zdecydowała – przemówił Szarugil, gdy zrobiło się cicho. – Rację Deszczylisowi przyznała w sporze z Białokurem. Nieszczęściem Żbicygrom z bólu rozum stracił i na Deszczylisa się rzucił. Czwórka go ukarała. Gdy pobratymiec na pobratymca życie nastaje, tego prawem i obowiązkiem jest się bronić, nawet jeśli krew przelać musi. Każdy druid to poświadczy, nieprawdaż Widłosiewie?

Roztrzęsiony wielki druid nie mógł oderwać wzroku od trupów pod Totemem. Nie słyszał Szarugila, nie widział tłumu wyczekującego jego słów, jak głodna rodzina powrotu ojca z polowania. Do starca docierała jedynie krew wsiąkająca w ziemię.

Zieloryś, ulubiony uczeń wielkiego druida, złapał starca za ramię. Szepnął mu na ucho. Usta swe zakrył dłonią.

– Prawda! – ogłosił Widłosiew.

– Zatem wyjaśnione! – zakrzyknął Szarugil. – Kto Deszczylisa mordercą nazywa, ten przeciw Woli Czwórki występuje!

Deszczylis ciągle trzymał tarczę i topór, z którego ściekała zmieszana krew ojca i syna. Zwycięstwo zawróciło mu w głowie. Czuł się olbrzymem zdolnym złapać niebo i cisnąć nim o ziemię. Zadarł głowę. Groźnym spojrzeniem przecesał tłum jak wichura łąkę. Karki kładły się jak źdźbła traw. Nikt nie śmiał spojrzeć mu w oczy.

Jednak trafił na śmiałka, swego przyjaciela. Śnieżyróg z ulgą uśmiechał się do niego. Deszczylis złagodniał na widok przyjaciela.

– Teraz zaś rozstrzygnąć musimy, kto po Żbicygromie wodzowanie w Widłokach przejmie – zakrzyknął Szarugil.

– Sianokarp! – zawołał Widłosiew, któremu imię syna Białokura podszeptał Zieloryś.

– Słusznie mówisz, wielki druidzie! Z racji krwi Sianokarp wodzem być powinien, ale on jeszcze za młody? Ile sobie czterocykli liczy?

– Dziesięć – odpowiedział Zieloryś.

– Dziesięć – powtórzył za nim Szarugil. – Zatem dopiero za sześć mężczyzn się stanie. Ktoś musi przez ten czas władzę w Widłokach sprawować. Za kim opowie się lud?

– Za tobą! – rzekł Deszczylis.

Cisza każdemu Iglasowi położyła palec na ustach.

– Szarugil na wodza! – zawołał Deszczylis.

– Szarugil na wodza! – powtórzył ktoś w tłumie. Nawoływanie rozmnożyło się w pośród ludu jak króliki na wiosnę. Wkrótce lud mówił jednym głosem, którego nikt nie zdołał przekrzyczeć. Tłum obwieścił swą wolę.

Widłosiew dał ręką znak, że chce przemówić.

– Niechaj i tak będzie! – obwieścił. – Do czasu gdy Sianokarp mężczyzną się stanie, Szarugil panem będzie na Widłokach.

– Szarugil wodzem! – podniósł się okrzyk w tłumie.

Wywołany z imienia wznosił rękę w górę. Zamilkli wszyscy.

– Jeśli taka jest wola ludu, przyjmę na siebie obowiązki wodza – rzekł pokornie. Odwrócił się twarzą do Totemu. – Niechaj Czwórka mnie prowadzi!

WIDŁOSIEW

Widłosiew ciężko dychał. Ze skroni spływała strużka potu, wypełniając głębokie koryta zmarszczek. Zapął przecenił możliwości starego ciała.

Wybrał się skoro świt do Sosnowego Kręgu razem ze swym ulubionym uczniem, Zielorysiem, któremu to swą wnuczkę chciał oddać za żonę, a samego zaś druida uczynić swym następcą.

Wielki druid chciał zostać sam na sam z Czwórką. Poprosić Bóstwa o przewodnictwo i pokierowanie jego rozumem tak, aby uporządkował chaos, jaki w nim panuje po śmierci Żbicznygroma i Białokura.

Dziad jego zwykł odwiedzać to miejsce w tym samym celu, jeszcze zanim Sosnowy Krąg postawiono. Mówił, że tu łatwiej o natchnienie od Czwórki. On też wyszedł z pomysłem, aby to w tym miejscu postawić Totem i wokół niego zasadzić sosny.

Gdy Widłosiew przyszedł na świat, Krąg był już gotowy. Dziad przyprowadzał go tu i uczył, że jeśli tylko coś go dręczy, to niech przyjdzie tu, przed oblicze Czwórki, i дума nad ową udręką. Którekolwiek z Bóstw by władzy nie sprawowało, prędzej czy później podsunie odpowiedź. I nie mylił się! Zawsze coś się w głowie zjawiało, choćby i drobna myśl, promyk światła w ciemnej jaskini ukazany przez wąską szparę, którą potem Widłosiew drążył i nabierał więcej jasności.

– Co by się nie działo, zawsze jest Sosnowy Krąg! – mawiał jego dziad, a stary druid powtarzał owe słowa, gdy tylko udręka uczepliła się go jak pijawka gołej

skóry. Łatwiej zasypiał z myślą, że skoro świt uda się do Sosnowego Kręgu, a Czwórka objawi mu rozwiązanie.

Szedł za szybko jak na swój wiek i siły. Nawet ćwierć drogi nie przeszli, a rozboleły go golenie. Mięśnie dudniły jakby kto bił w nie młotem. Wściekł się na siebie.

– Czekaj – wydusił między sapnięciami, wspierając się na długim kosturze. – Nogi mnie rozboleły. Usiąść muszę.

Zieloryś pomógł mu posadzić stary zadek na trawie.

– Ech, takim prędko do Sosnowego Kręgu, aby myśli uporządkować i natchnienia szukać, zem całkiem zapomniał jak stare nogi mnie dźwigają!

– Mogę cię zanieść.

– Zawsze do Sosnowego Kręgu o własnych siłach szedłem, to i tym razem zajdę! – Otarł pot z czoła. – I po coś mi wtedy szepnął, żebym się z Szarugilem zgodził?!

– Nie było innego wyjścia. Lud pragnął spokoju jak przestraszone dziecko matczynych ramion. Siejąc niezgodę tylko byś go do siebie zraził.

– Ta zmija wszystko ukartowała!

– Szarugil jedynie wykorzystał to, co Białokur mu podarował.

– Jeszcze go bronisz?!

– Mówię jak sprawę widzę.

– To umyj oczy!

Uczeń pokornie zgiął kark. Stary druid wymruczał niezrozumiałe słowa. Siedzieli w milczeniu długi czas, tocząc zacięte spory we własnych głowach. Odmierzali czas, wsłuchując się w pracę dzięcioła i wołanie kukułki.

– Ech, masz rację – przemówił wreszcie druid i wylał z siebie wszystko, co nagromadziło się w nim podczas milczenia. – Białokur był zbyt butny i porywczy... a Szarugil zawsze to wykorzystywał. Wychodził z pomysłem z góry wiedząc, że Białokur stanie okoniem. Nie sprzeciwiał się, nie opowiadał za swoim, tylko czekał na rezultaty, które na ogół kończyły się źle dla Białokura. Nieważne,

jakby to się odbiło na plemienu! Tej żmii chodzi tylko o to, aby jego było na wierzchu, aby dzierżyć w rękach prawdziwą władzę, aby lepić w losie plemienia jak w glinie... Teraz będzie miał okazję!

– Przez sześć czterocykli.

Wielki druid prychnął lekceważąco.

– Na sześciu nie poprzestanie! Wykorzysta je, aby zabić Sianokarpia! Już pewnie coś knuje! Ja go znam!

– Sianokarp z matką są pod naszą opieką. Zresztą Szarugil prędko się na to nie poważy.

– No tak! Wpierw się umocni, zadba o lud, przekona go, jakim to wspaniałym jest wodzem. Wtedy łatwiej przyjdzie ludziom przymknąć oko, gdy Sianokarpia spotka jakie nieszczęście.

– Wola ludu jest jak strumień. Kto w niego wejdzie, tego nurt pcha w jednym kierunku... Za to nurt można zawrócić.

– Szkopuł w tym, że strumienia Szarugil pilnuje!

– Za to my Sianokarpia.

– Chociaż tyle! Ech, wszystko to przez obcą sukę! Jak można było ją postawić ponad własnym pobratymcem?!

– Deszczylis miał po swojej stronie Prawo Czwórki, Białokur jedynie własną butę i ojca wodza.

Widłosiew sapnął jak podjudzony byk. Pogrzebał palcem w pępku. Wiedział, że Zieloryś się tym brzydzi. Uczeń natychmiast odwrócił głowę, jakby mu obślizgłe czerwie pod nos podsunięto.

– Masz rację – przyznał stary druid po chwili. – Gniew i złość osąd mi zaślepiają. Myślę tylko jak tu dać im upust, zamiast zastanowić się, co czynić trzeba. Dobrze, że mam ciebie!

Zieloryś pokłonił się. Ohyda jeszcze zniekształcała mu twarz.

– Uczeń jest rad, że na coś się nauczycielowi może przydać – rzekł z pokorą.

– Nie tylko rozumem mi dziś pomożesz! – Widłosiew wyciągnął rękę. – Pomóż mi wstać! Dość już siedzenia na grzędzie! Jeno mnie pilnuj, abym zbytnio nie śpieszył!

Na drodze wielki druid rozejrzył się wkoło. Zdradliwy wzrok, podszyty podejrzliwością, podsuwał mu ludzkie kształty przebiegające między drzewami lub wystające z zarośli.

– Ktoś tam jest? – zapytał swego ucznia. – Spójrz no!

– Nikogo nie ma.

– Ech, oczy już nie te.

– Za to rozum całkiem dobry.

– Jak go złość nie przesłoni!

– Tym bardziej dobry, skoro zdaje sobie sprawę z tego, co mu osąd mąci. I wie, jak się tego pozbyć.

– Mogę tylko dziękować Czwórcę. Tak... Szarugil pewnie myśli Śnieżyroga uczynić swoim następcą – rzekł Widłosiew. – Po to pewnie go z własną córką ożenić chce. – Zaśmiał się i pokręcił głową. – A wiesz, że Dębisroka chciała swego wnuka z Lisimiód swatać? Odmówiłem, to i do Szarugila poszła!

– Nie ma się co jej dziwić. Chce dla wnuka jak najlepiej.

– Nie jesteś zły, że dopiero teraz ci mówię?

– Dałeś słowo, że Lisimiód będzie moją żoną. To mi wystarczy.

Widłosiew uśmiechnął się z samozadowolenia.

– Śnieżyróg, bardziej niż z ludźmi, żyje z własnymi myślami – rzekł Zieloryś.

– I?

– Warto by go mieć po swojej stronie. Nie dość, że dobrodziej plemienia, to jeszcze bohater spod Kotlasów.

– I przyjaciel Deszczyliś!

– On też bohater... Lud uwielbia bohaterów.

– Z wrogiem chcesz się bratać?!

– Zjednując sobie ich przychylność, zjednamy sobie przychylność ludu.

– Biadolisz! Deszczylis ubił ojca i dziada Sianokarpia. Jak to będzie wyglądać, gdy nadskakiwać mu będziemy? Kwiecimgła z szału gotowa...

– A co ona ma do gadania?!

– Niby nic, ale matką jest Sianokarpia.

– I w jego uszy jad sączy.

– Dziwisz się jej?!

– Nie, ale wcale to nie znaczy, że słusznie robi. Sianokarp powinien się jawić pobratymcom jako przysły wódz, co należycie plemię poprowadzi, a nie mściwy syn, co tylko na okazję czeka! Tej babie również przydałoby się iść do Sosnowego Kręgu!

Przeszli kilka kroków w milczeniu.

– Jak ty to widzisz, z Deszczylisem się bratać? – zapytał stary druid. – Wszak on pewnie na życie Sianokarpia pierwszy będzie nastawał!

– Wątpię! Jego ojciec był prawy człek. On jest taki sam. Jak Sianokarp dorośnie, będzie mężczyzną i po ojcu zemsty chciał szukać będzie, stanie z nim do walki.

Widłosiew złapał się za głowę.

– Na to Szarugil pewnie liczy! – wyszeptał, jakby obawiał się, że las zdradzi komuś jego słowa.

– Dlatego trzeba Sianokarpiowi wybić z głowy zemstę, a Deszczylisa przeciągnąć na naszą stronę. Gdyby się obydwaj pojednali...

– No teraz to już przesadziłeś! Wiatr nadciąga, a ty chaty ze słomy chcesz stawiać!

Zieloryś zamilkł. Kroczył spoglądając w drogę.

– Wiem, że chcesz dobrze – rzekł Widłosiew. – Nie zaszkodziłoby mieć po swej stronie Śnieżyroga i Deszczylisa... Ech! Cóż mam ci biadolić? Dotrę do Kręgu, pomodłę się do Czwórki, rozum oczyszczę, to ci odpowiem! Teraz lepiej się zastanowić, co ta żmija knuje!

– Pewnie nic. Sam mówiłeś, że ma czas. Zajmie się codziennymi sprawami. Na wiosnę na drugim brzegu Sierpicy osadę stawiać zaczniesz. Wcześniej pewnie nic się nie wydarzy. Na jesień lud gromadzi zapasy, potem będzie zima... Ludzie przyzwyczajają się do nowego wodza. Czas wiele zmienia.

– Nie możemy pozwolić, aby lud zapomniał, komu się władza należy!

Zieloryś potarł podbródek.

– Zapomni jedynie na chwilę – rzekł. – Zapomni jedynie z początku. Co dzień będzie widział, jak Sianokarp dorasta, a im bliżej będzie chwili, w której mężczyzną się stanie, tym bardziej będzie się czuł niepewnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że niby przyzwoli na usunięcie Sianokarpia?! Rozum postradałeś?!

– Wybacz mi, wielki druidzie. Staram się jedynie rozważyć każdą możliwość, nawet tą najgorszą. Nie wiadomo, na jakie rzeczy musimy być przygotowani.

– Przesadzasz! Mnie gniew osąd mąci, tobie zaś przesadna ostrożność! Przyda ci się zejść do Sosnowego Kręgu.

– Oby Czwórka natchnęła mnie mądrością – odparł pokornie Zieloryś.

Słowa ucichły przed leśnymi odgłosami. Bzyczenie natrętnych much, śpiew wilgi, zięby i kukułki, praca dziecięcia i szelest liści na koronach drzew zastąpiły rozważania nad losem plemienia. Droga mijała jak białe chmury na błękitnym niebie, przesuwane porywistym wiatrem.

– Raz opowiadałeś o swoim przyjacielu z dzieciństwa... Kurokrzak, tak mu było? – zapytał Zieloryś.

– Co ty z nim tak teraz wyskoczyłeś jak zwierz z zarośli?

– Tak mi się przypomniał.

– Ech... w Widłokach mało kto go będzie pamiętał... Może Dębisroka i paru innych.

Zieloryś, widząc, że smutny wzrok wielkiego druida zaszedł mgłą wspomnień, zamienił się w słuch.

– Był prędko do wszystkiego – zaczął starzec po chwili. – W miejscu usiedzieć nie potrafił. Byliśmy razem jak bracia... Poza tobą nikt nie wie. Nikomu innemu nie powiedziałem... Znaleźliśmy raz roślinę o pięknych, białych jak mleko płatkach, purpurowych zaś na dnie kielicha kwiatu. Miała też owoce, co kształtem przypominały łupiny kasztana. Kurokrzak zerwał jeden i otworzył. W środku były czarne nasiona. Chcieliśmy spróbować. Ja wyplułem ledwo żem na język wziął, albowiem okropnie gorzkie były. On zaś stwierdził, żem tchórz i zjadł ich garść całą, choć gębę mu krzywiło, jakby żołądek zawartość swą chciał wypluć. Ech, gdybym go wtedy powstrzymał...

– Cóż dziecko wiedzieć mogło?

– Ano cóż... Co śmierdzi człek, od małego się nie tyka, bo zgnite albo wstrętne jest. Co po ziemi sunie i nie ma ani rąk, ani nóg, od tego z dala się trzyma, albowiem jedno ukąszenie zabić może. Człowiek to po prostu wie, uczyć go nie trzeba. Wyplułem, bo okropnie gorzkie było. Mogłem się domyślić...

– Nie zapominaj, że dzieckiem byłeś.

– No byłem... Już zanim doszliśmy do Widłok, pić mu się strasznie zachciało. Pamiętam, że ze studni wciąż wodę nabierał i pił jakby gardło suchym piachem mu zaszło. Bredził też coś bez przerwy. Mówił jakby do duchów. Uciekał przed czymś, choć nikt go nie gonił. Na Totem się wdrapywał jak na drzewo. Ściągnięto go siłą. Ojciec i matka jego w płacz wpadli. Ludzie nie wiedzieli, co robić. Druidzi myśleli, że lichy go opętało. Próbowali je wygonić, ale nic to nie dało. Umarł przed zachodem słońca. A ja nic nie powiedziałem. Bałem się. Tylko ryczałem i bezradnie patrzyłem, jak te czarcie nasiona odbierają mi przyjaciela... Ile razy błagałem go, aby mi wybaczył... Oby w Niewyśnionej Krainie wynagrodzono mu krótkie życie i okrutną śmierć.

– Gdzie ta roślina rosła?

– Za Sosnowym Kręgiem. Niedaleko miejsca, w którym spoczywają nasi pobratymcy zabici przez Błociarzy, gdy byłem mały. Zresztą już jej nie ma. Wszystkie wyrwałem z korzeniami i rozdeptałem.

– Mądrze postąpiłeś.

– Ech, tyle niebezpieczeństw czeka na człowieka na tym świecie. Z tyłu nie zdaje sobie sprawy. Dobrego grzyba z trującym pomyli, niechcący na żmiję nadepnie, na niedźwiedzicę z młodymi natrafi... Człowiek żyje jak gdyby nigdy nic, a tu zniemacka... O, na miejscu jesteśmy!

Ciasne ściany lasu otaczające koryto drogi rozwarły się w kształt obszernej polany, na której stał Sosnowy Krąg.

– Czasem, jak mi się spieszy do świętego miejsca, to aż się boję, że ono zniknie! – rzekł Widłosiew. – Radość i szczęście w Sosnowym Kręgu są tak niepojęte... Boję się, że prysną jak sen, a święte miejsce razem z nimi.

– To typowe bać się o coś, na czym nam bardzo zależy.

Widłowiew przytaknął kiwaniem starej głowy.

– Zaczekaj. Pójdę pierwszy.

Stary druid popędził do Sosnowego Kręgu niemalże jak rączy jelen. Ukląkł przed Totemem, a potem położył na brzuchu. Czoło oparł na złączonych dłoniach. Prosił Czwórkę o natchnienie.

Zieloryś obszedł święte miejsce dookoła. Patrzył w górę na strzeliste sosny, które zdawały się rozdzierać błękitne płótno nieba. Potem przyjrzał się trawie na polanie. Urosła sporo ponad łydki i trzeba było ją skosić.

Coś zmąciło mu myśli. Zbliżył się do źródła hałasu. Westchnął z ubolewaniem. Widłosiew chrapał.

WOLA CZWÓRKI

Wola Czwórki zaprawdę jest niepojęta – rzekła Dębisroka do Szarugila. – Wracalesz jako bohater, a w parę dni potem jesteś wodzem. Ile przez jedną obcą dziewczkę się stało.

– Czwórka nie bez powodu musiała umieścić ją w Widłokach.

Siedzieli w chacie staruszki. Niemrawe światło pochmurnego dnia przeciskało się przez szpary w ścianach. Śnieżyrog poszedł gdzieś razem z psem. Szarugil i Dębisroka zostali we dwoje.

– Może i po to, aby wszystkim Igłasom uświadomić, jaka kara czeka za łamanie Jej Prawa? – zapytała staruszka.

– Mogła i tak zasądzić. Pozostaje nam jedynie dumać i wpadać w osłupienie nad niepojętym. Dopiero w Niewyśnionej Krainie wszystko zrozumiemy.

Zgarbiona staruszka kiwała się lekko w tył i w przód.

– Dzięki ci, żeś stanął po stronie Deszczylisa – rzekła.

– Stanąłem po stronie Prawa Czwórki – odparł bez namysłu. – Nie ty jedna mi dziękujesz. Śnieżyrog gotów by mnie na rękach nosić.

– Przecie przyjaciele są z Deszczylisem. Ech, niełatwy jego los. Ojca stracił, wodza ubił w obronie Prawa Czwórki, teraz matkę przeklął... Jastrzębibeż głupio postąpiła. Wydać dziewczynę Białokurowi za plecami syna? – Staruszka pokręciła głową. – Trzeba było jakoś inaczej go odwieść.

– Od czego?

– Ponoć Deszczylis chce pojąć dziewczkę za żonę.

Ciemne oczy Szarugila urosły i rozjaśniły się od bieli gałek.

– Szalony to czyn, ale on gotów się na niego zdobyć – rzekła Dębisroka.

– Odwagi mu nie brak. Nie wiem, czy w Widłokach drugi taki się znajdzie.

Tylko że ślubu jeno druid udzielić może, a ci muszą słuchać się Widłosiewa. Wątpię, żeby się zgodził.

– Może to i dobrze? Sama nie wiem, co o tym sądzić... Jeśli Czwórka z zamiarem dziewczkę do Widłok sprowadziła, tedy żoną Deszczylisa będzie. – Westchnęła. Kiwała się dalej. – Widłosiew dobrze miał. Żbiczygrom rządził twardą ręką. Ręka słuchała się głowy, a głowa uszu. Mógł szeptać do nich, co zechciał. W twoim przypadku uszy służą głowie.

– Dlatego z tobą mówię, babulu.

Dębisroka zaśmiała się.

– A cóż takiego od starej baby usłyszysz, czego ci własna głowa nie podpowie?

– Znasz Widłosiewa dłużej niż ja.

– Znam, ale nie powiem ci nic, czego sam byś nie wiedział. Znasz się na ludziach lepiej niż ja.

– Pochlebiasz mi.

– Prawdę mówię i tyle! Nie jego bym się obawiała. On do najbystrzejszych nie należy, w przeciwieństwie do swego ucznia.

– Zieloryś? – zdziwił się Szarugil.

– Na moje oko obaj myślicie podobnie.

– Mówisz?

– Jak by to powiedzieć... Gdy Widłosiew idzie drogą i zagrozi mu ją zwalone drzewo, będzie na nie utyskiwał i przeklinał swoje pieskie szczęście. Ty i Zieloryś ugryziecie się w język i od razu zaczniecie szukać sposobu, jakby to drzewo z drogi usunąć.

Szarugil zaczął kiwać się w tym samym rytmie, co staruszka.

– Lata pokoju przyzwyczyły lud do wygody – rzekła. – Z jednej strony to dobrze, bo i cieszy mnie, że mojemu wnukowi lżej się żyje niż mi w jego wieku, z drugiej... Bez trudów człowiek gnuśnieje.

– Dobrze je mieć, byleby nie były zbyt wielkie.

– Z ust mi to wyjąłeś... Nie wiem, czy mi to starość w pamięci mąci, ale dawniej więcej bab w połogu umierało. Mróz i choroby zabierały więcej ludzi, zwłaszcza dzieci i starych. Teraz jakby mniej...

– I twoja w tym zasługa! Większość porodów w Widłokach odebrałaś!

– Aż tyle to nie! Robiłam, co mogłam... Wiesz, że nie pamiętam, kiedy Piórosen odebrałam?

– Przy takiej ilości nikt by wszystkich nie spamiętał.

Staruszka podniosła się ze stołka. Wyszukała dziecięce ubranka.

– To dla dzieci Piórosen i Śnieżyroga – oznajmiła. – Niech coś ze mnie mają, bo pewnie jedynie z Niewyśnionej Krainy będę je oglądać.

Szarugil autentycznie się wzruszył. Czule uściskał staruszkę.

– Wspaniała z ciebie kobieta, babulu! Ale głupot nie gadaj! Tobie żyć i prawnuki bawić!

– Chciałabym, ale przecie sama wiem, że sił już coraz mniej. Jeszcze dwie wiosny temu sęki z lasu targać mogłam, a teraz? – Machnęła ręką. – I tak dożyłam więcej niż ktokolwiek. – Przetarła oczy. – Męża, syna, synową... Dobrze, że chociaż wnuk mnie pochowa... Sam wiesz, przecież syna też żeś stracił.

– Dzieci powinny nas chować w ziemi, a nie my ich.

– Tak powinno być! – Przetarła oczy. – Niepotrzebnie ci biadolę!

– Mówisz, co ci się unosi na powierzchni duszy, a ja z chęcią słucham. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

– Aś skromny, że aż wstyd! – rzekła z cwany uśmiechem. – Wnuka mi wzięłeś pod opiekę! Dzięki tobie bohaterem stał się na wojnie i córkę mu za żonę oddajesz! Chociaż tyle – dobre sobie!

– Przykro mi, ale nie twoim dobrem się kierowałem, babulu. – Szarugil odwzajemnił cwany uśmiech. – Zrobiłem to też dla siebie, mej córki i Widłok. Z jego głową mieliśmy większe szanse wygrać. A Piórosen mu za żonę oddaję, bo lepszego dla niej nie znajdę.

– Dobrze, że jesteś. Śnieżyróg potrzebuje kogoś, kto nim pokieruje.

Szarugil uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie wygląda na takiego, kto by chciał mieć kogokolwiek nad sobą.

– No... on jak mój mąż.

– Nawet oczy mruży i ręce za plecami chowa jak Huczybrzask!

– Żebyś wiedział! Czasem to jak się na niego zapatrzę, to aż mi się w głowie mąci, bo myślę, że mi mąż ożył! – Uśmiech staruszki zwiądnął. Westchnęła i spojrzała smutno w gołą ścianę. – On krnąbrny i zdziwaczały.

– I z takich ludzi plemię może mieć pożytek.

– Dobrze, że ma kogoś nad sobą! Gdyby robił, co chciał, to aż boję się pomyśleć... Dobrze, że jest Czwórka, wódz i plemię... Słuchać ciebie musi, to i dobrze! Znajdź mu jakieś zajęcie! Niech zbyt długo nie zostaje sam na sam z własnymi myślami. Niech дума nad tym jak zrobić co mu kazałeś. Chociaż...

– Tak?

– Na razie niech nad rzeką siedzi... Powiedz swej córce, aby mnie odwiedziła. Powiem jej, co zrobić powinna. Niech odwiedzi mego wnuka nad strumieniem i zapyta o różne dziwy. Niech się Śnieżyróg głowi nad odpowiedziami.

– Chylę czoła przed tobą, babulu!

– E, nie gadaj! Przecie każdy by na to wpadł!

– Teraz ty żeś skromna, że aż wstydy!

Roześmiała się donośnie.

– No żeś mnie przyłapał! Taka to ze mnie baba wredna, że drugiemu wypomni, czym sama zawini!

– Swoją drogą Piórosen powinna cię odwiedzać i bez względu na twój fortel. Wiele się od ciebie może nauczyć.

– Niech przyjdzie! Co tylko wiem, com pojęła, co mnie życie nauczyło, to jej przekażę! Niech ktoś to ode mnie weźmie, bo i na co mi się to w ziemi przyda?

– Miałaś nie biadolić, babulu.

– No tak! – przyznała i chytrze się uśmiechnęła. – Ale wiesz z pamięcią u mnie nie najlepiej! Starość ma swoje prawa! Mogę nawet się sfajdać pod siebie i wszystko na karb wieku zrzucić!

Szarugil roześmiał się pobłaźliwie. Dębisroka przyłożyła dłoń do czoła.

– No przecież! – rzekła i zaczęła się krzątać po izbie. – W gościach cię mam, a jeszcze miodem nie poczęstowałam! Co za podłe babsko ze mnie! – Nalała do drewnianych kubków.

– Przedni jak zawsze!

– No, ja to się nawet chłopom nie dziwię, że ich tak do miodu ciągnie. Przecie to takie dobre! Sama jak spróbuję, to mam ochotę wydoić cały dzbanek jak krowę!

– Naucz Piórosen.

– No pewno, że nauczę! Co tylko umiem i wiem, to przekażę!

– Twoje zdrowie!

– I twoje, wodzu!

– Dziwnie to brzmi.

– Czemu?

– Nie zdążyłem się jeszcze przyzwyczaić.

– Nie wiem, czy będziesz miał na to czas. Widłosiew i jego uczeń już pewnie myślą o dołkach, jakie pod tobą wykopać.

– Czy ja wiem? Na ich miejscu na razie zdecydowałbym się na żadne gwałtowne kroki. Lud wciąż jest oszołomiony i kręci mu się w głowie. Lepiej pomóc mu dojść do siebie. Zresztą im samym zmartwień pewnie nie brakuje. – Uśmiechnął się jak urwis udający niewiniątko.

– Kwiecimgła?

– W istocie. Druidzi wzięli ją pod swoją opiekę, to teraz się przekonają, jak to jest chronić dziecko i oswoić matkę.

– To ona aż tak charakterna?! Wiem, że zawsze jej krew jak kocioł wrzała, ale w umiarze.

– Owszem, w umiarze... Inaczej Białokur ją kijem ćwiczył. Teraz nie ma kto tego robić.

– No tak! – Staruszka wróciła do kiwania. – Przecie jej ojciec był zawistny, kłótlivy i jad w obmowę sączył. Matka nie lepsza, z tego co pamiętam. Po kim to miałoby być dobre? Biedny Sianokarp. Jak ojciec ponad Prawem Czwórki chciał stać, a matka jędza, to co z niego będzie?

Szarugil cmoknął ustami.

– Czas pokaże – rzekł.

– Ano jak zawsze... Widłokom trzeba wodza rozważnego. A temu dziecku pewnie matka już do uszu nienawiść sączy... Oj, tak... Dzieje się tylko to, co może. Tylko to, na co Czwórka pozwoli. Oby właściwemu człowiekowi pozwoliła rządzić po kres jego dni. Za to wypiję.

Szarugil przychylnie skinął głową i zamoczył usta w miodzie.

– Może ci dolać? – zapytała Dębisroka.

– Z chęcią! Sobie nie nalewasz?

– Lepiej sobie odmówię. Nie chcę potem na czworakach chodzić. A i do Szalwizaru zajrzeć muszę. – Pokręciła głową. – Niepojęta jest Wola Czwórki. Dziegociołuk na wojnę poszedł i zginął, ale przedtem zostawił jej podarunek. W ciąży jest.

– Jak to wszystko Czwórka dziwnie wyrównuje – zamyślił się na głos Szarugil.

– W jednej rodzinie zabrała i zaraz podarowała życie.

NOWY DOM

O d śmierci ojca wszystko wydawało mu się na półprawdziwe, jak podczas snu o różnych dziwach, w które nie chce się wierzyć. Nagle stał się głową rodziny. Wspierał matkę z siostrami. Potem trafił na wojnę, na której zżył się mocno ze Iglinowiem, Dziegciolukiem i Bazigradem, których utracił podczas pierwszego szturmu. Wszystko z winy wewnętrznych rozgrywek między Białokurem i Szarugilem. Budował wieżę, dzięki której zdobyto Kotlasy. Wsławił się podczas oblężenia męstwem i odwagą razem z nowymi kompanami w nowej drużynie. W zdobytej osadzie znalazł dziewczynę, w której zadużył się bez reszty. Zabrał ją ze sobą. Białokur oferował mu za nią łupy wojenne. Odmówił. Matka go zdradziła. Za plecami chciała dziewczynę wydać Białokurowi. Tchórz nie miał odwagi wziąć jej sam. Musiał wysłać Ciemnowilka i Świerszczyżęba, bohaterów z jego drużyny. Bronił swych praw przed Totemem, powodowany krzywdą i nienawiścią do człowieka, którego obwiniął za śmierć trzech kompanów. Położył trupem Białokura i Żbicygroma.

Jednego lata wydarzyło się więcej niż przez całe jego dotychczasowe życie. Nie poznawał samego siebie. Deszczyliś z czasu, gdy razem ze Śnieżyrogiem szli ku źródłom potoku, wydawał mu się kimś nie mniej odległym, niż gdy był małym brzdącem.

Ludzie też inaczej na niego patrzyli. Wpierw współczuli mu straty ojca, potem podziwiali jako bohatera, teraz mało kto śmiał spojrzeć mu w oczy. Wszyscy pokornie zginali karki albo odwracali wzrok. Budził postrach pośród swoich.

Usuwali mu się z drogi. Upajał się tym i wypinał pierś do przodu. Szerzej rozkładał ramiona, gdy szedł przez Widłoki.

Po wydarzeniach przed Totemem, opuścił rodzinną chatę. Nie mógł przeboleć matczynej zdrady. Nie chciał jej więcej widzieć. Razem z dziewczyną zajął chatę po Burzykosie i Wilczybrzasku. Byli zdani na siebie, co objawiło się w najprostszycch sprawach.

Limwa potrzebowała się umyć. Zwykle kobiety w plemienu zbierały się w większa grupę i kąpały w rzece. Wątpił, żeby ot tak przyjęły obcą w swoje grono. Bałby się zresztą powierzyć im Limwę.

Zabrał ją nad rzekę.

Gdy szli przez osadę, czuł na plecach spojrzenia pobratymców. Od dziewczynki po starą babę, od chłopca po staruszka, wszyscy chcieli zobaczyć tą, przez którą przelała się krew pod Totemem, a Widłoki stanęły do góry nogami. Nikt jednak nie ośmielił się patrzeć twarzą w twarz. Strach wycinał drogę między pobratymcami jak miecz zarośla.

Limwa szła wtulona w jego ramię. Obejmowała jego rękę i mocno przyciskała do piersi. Obejrzał się za siebie. Ludzkie spojrzenia natychmiast uciekły jak przepędzone ptaki. Czuł ogromną siłę. Zdawało mu się, że mógłby twarde skały kruszyć w dłoniach na pył.

– Już niedaleko – rzekł do dziewczyny, gdy wyszli za osadę. – Przejdziemy kawałek między drzewami wzdłuż brzegu. Tam będzie płycizna. Będę stał na straży. Odwróć się plecami. Nie będę podglądał.

– Nie musisz. W końcu i tak będę twoja to...

Deszczylisowi przypiekło policzki.

– Czwórka zdecydowała, żeś moja – powiedział. – A i Czwórka nakazuje, aby swą przyszłą żonę nagą widzieć jedynie po zaślubinach.

– Skoro twe bogi tak potężne, to pozostaje ich słuchać...

– Potężne, acz sprawiedliwe!

– Nasze widać za słabe – rzekła smutno.

Pogłaskał ją po głowie.

– Razem z Czwórką będziesz musiała przyjąć nasze imię...

– Nadaj mi je.

Przyszło mu do głowy, żeby zapytać o coś, co lubi albo o jakieś ważne wydarzenie w jej życiu. Zatrzymał słowa, zanim te wprawiły język w ruch. To jakby pytać się pogorzela, co najbardziej ukochał w zgliszczach swej chaty. Nagle gorzycz wlała się w krew i zatrzała myśli. Żałował wojny, chwały i zwycięstwa.

– Znajdziemy jakieś – rzekł, nie dając po sobie nic poznać. – Możemy zacząć od twoich oczu. Jak pierwszy raz w nie wejrzałem, to mi się wydały tak zielone jak liście brzozy prześwietlone promieniami słońca!

Dziewczyna przycisnęła mocniej jego rękę do swych miękkich piersi ukrytych pod szatą. Wir dreszczy zakręcił się wnętrzościami Deszczyłisa. Mało nie wciągnął rozumu.

Oswobodził swą rękę z jej uścisku. Drugą ujął jej nadgarstek i podniósł na wysokość twarzy. Przeplótł swe palce przez jej.

Szli razem za rękę. Spoczęła głowa na jego ramieniu.

– Włosy piękne i dorodne masz jak dojrzałe zboże. Jakby to połączyć... Brzozołan? Łanobrzozą? E, to brzmi tak nijako...

– Um...

Podrapał się po głowie.

– Mówiłeś, że jak się rodziłeś to deszcz padał.

– Tak ponoć było.

– Niebo było jasne i przejrzyste, gdy mnie tu... gdy tu przybyłam.

– Niebołan?

– Ładne.

– Za dnia nad ziemią niebieskie łany na niebie kwitną.

Ścisnęła jego rękę.

– I to wystarczy? – zapytała.

– Do czego wystarczy?

- No żeby przyjąć Czwórkę?
- Nie wiem, muszę druida zapytać.

Szli przez chwilę w ciszy.

- To prawda, żeś przeze mnie swego wodza i syna zabił?
- Kto ci powiedział?
- Słyszałam, jak ludzie gadali.

Wziął ją za ramiona. Odwrócił w swoją stronę.

– Nic przez ciebie się nie stało – powiedział łagodnie jak do dziecka. – Prawo Czwórki było po mojej stronie, więc zwyciężyłem, nikt nie może tego kwestionować! Białokur... znaczy syn wodza zginął, bo był chciwy, pyszałkowaty i nikogo ponad sobą nie uznawał. Czwórka ukarała go za to śmiercią. Gdyby zachowywał się jak na syna wodza przystało, dalej chodziłby po ziemi.

Kiwnęła głowa na znak, że rozumie. Wyglądała jak mały kotek, który aż się prosi, żeby go przytulić i głaskać. Oparła głowę na jego ramieniu, w wygrzanym przez swą skroń miejscu.

Przeszli po kładce przez potok.

– Ten strumień z lasu wypływa – pochwalił się wiedzą. – Razem ze Śnieżyrogiem doszliśmy do samego źródła! Kiedyś cię tam zabiorę.

– Um...

Weszli w las nad brzegiem rzeki. Dziewczyna rozglądała się na obie strony udeptanej ścieżki.

- Czego szukasz?
- Grzybów.
- Tu raczej nie rosną.
- A gdzie?
- Pokażę ci jutro.

Wyszli nad porośnięty trawą, łagodnie opadający brzeg. Zdjął z ramienia świeżą, czystą szatę i dał ją dziewczynie.

– Idź. Popilnuję.

Odwrócił się. Usiadł na ziemi.

Słyszał, jak jej szata opada na ziemię, a stopy pluszczą w wodzie. Nagle patrzenie przed siebie na stanowiło nie lada wyzwanie. Szyja mu zdrętwiała i prosiła się o ruch. Przechylił głowę na boki kilka razy.

Przysiągł Czwórce, że nie odwróci głowy w stronę Niebołanu, choćby niedźwiedzia za plecami słyszał.

Przypomniało mu się, jak kiedyś tu podglądał kąpiące się dziewczyny. Krew w nim zawrzała. Wypatrywał między drzewami draba, który śmiałby zerkać na Niebołan. Złapałby nicponia, wytargał za ucho i złożył skórę tak żeby przez dziesięć dni smarkacz nie był w stanie na tyłku usiedzieć. Domniemanego podglądacza wyobraził sobie jako małego chłopca, jeszcze nawet nie wyrostka, czyli jak siebie, gdy zaczynał się tu na baby.

Nagle miał ochotę wrócić do tamtych czasów i wymierzyć samemu sobie siarczysty policzek.

Usłyszał jej stopy na trawie.

– Już?

Pociągnęła nosem. Szczękała zębami.

– Już? – powtórzył niepewnie. Milczenie dziewczyny otworzyło mu w głowie drzwi, przez które strach wdarł się jak zamieć w mroźną zimę. Wyobraźnia zobaczyła Niebołan z ostrym kamieniem w ręku, zamierzającą się na niego. Serce zagłuszało odgłosy świeżej szaty, nasuwającej się na ciało.

– Już – powiedziała wreszcie.

Odwrócił się. Westchnął nad własną głupotą.

Z opuszczoną głową i opadającymi, mokrymi włosami wyglądała jak płacząca wierzba. Zbliżyła się. Objęła go w pasie. Wtuliła głowę w tors. Płakała.

Myślał, że pewnie przypomniała sobie o domu, którego już nie miała. Jej ojciec lub bracia mogli zginąć w boju, być może nawet z ręki Deszczylicy. Kto wie, czy jej matka żyła, gdy zdobywali Kotlasy. Zastał ją przecież całkiem samą. Wolał nie pytać o te rzeczy. Jeszcze mógłby zdrapać strup z gojącej się rany.

Kiedyś miała na imię Limwa, teraz Niebołan, była zdana tylko na niego i chciał ją chronić ze wszystkich sił. Tylko tyle wiedział. Nie umiał znaleźć słów, które by ją pocieszyły.

Pogłaskał ją po mokrych włosach. Wydawało mu się, że ma kamienie zamiast dłoni, a Niebołan jest jak skorupka jajka. Nigdy nie przykładął tyle starań do tak prostej czynności.

POLEGLI

Deszczylis z goryczą patrzył na drzwi chaty Burzylas, matki poległego podczas szturmowania Bazigrada. Gdy stanął przed nimi, dziwne, niepojęte poczucie beznadziei ścisnęło jego bebechy jak żelazne szczypce wąż kurczę.

Wróciły wspomnienia spod Kotlasów.

Rozmawiali o tym, czy smaczniejsza jest kuropatwa, czy bażant. Zagadywali niepokój przed szturmowaniem. Bazigrad mówił, że jego matka zawsze podczas burzy gadała jak najęta. Cichła tylko wtedy, gdy się błyskało. Nie mogła znieść ciszy i wyczekiwania, kiedy piorun rozświetli ponurą szarość, bądź gęstą ciemność.

Ruszyli w bój. Biegli obok siebie. I nagle go już nie było. Nie minęło nawet mgnienie oka. Chwila, która przeciekła jak woda przez palce, oddzieliła żywe od martwego. Gdzie dostał? Umarł od razu, czy konał w mękach? Na zawsze pozostało tajemnicą. Dane mu było jedynie zobaczyć odciętą głowę Bazigrada, którą Pogórcy wrzucili za wał.

Ocknął się. Wspomnienia porwały go jak gwałtowny nurt rwącej rzeki. Na chwilę wyrwały go ze świata niemalże z korzeniami.

Znów miał ręce, nogi i stał przed chatą matki poległego. Już wcześniej chciał ją odwiedzić jak i rodzinę Dziegciółka, ale bieg wydarzeń zdecydował inaczej. Niebołan, najście Ciemnowilka i Świerszczyżęba nasłanych przez Białokura, zdrada matki, Totem, Szarugil...

Od śmierci ojca życie ciskało w niego gromy. Zajęty był sobą. Zapomniał o poległych. Przypomniał sobie dopiero dziś rano, na widok matki Bazigrada niosącej wiadro z wodą.

Palił go wstyd.

Zapukał do drzwi.

– Jesteście tam, Burzylas?

Drzwi uchyliły się na szerokość stopy. Wyjrzała zza nich kobieta o smukłej, dostojnej twarzy, naznaczonej pierwszymi zmarszczkami przez czas i podkrążonych, czerwonych oczach, które wyżywała rozpacz.

Cofnęła się. Spojrzała na niego jak dziki zwierz starający przejrzeć zamiary intruza, który wkroczył na jego teren.

Pochylił głowę z pokorą.

– Upolowałem bazanta – wydusił z siebie nieporadnie. Uniósł upolowanego ptaka na wysokość jej głowy. – Przepraszam, że nachodzę. Chciałem podarować i... jakby czego było ci trzeba, to pomogę...

– Wejdz.

Wyprostował kark. Smutne oczy patrzyły na niego życzliwie. Przeształ próg.

– Trochę tu bałagan – powiedziała.

– Ja jeszcze gorszy robię! – wydusił z siebie chwiejnym głosem. – Baby potrafią dbać o porządek, a chłop to jak dzik w lesie!

Usiedli.

– Przestraszyłam się ciebie w pierwszej chwili... A jednak to ty wyglądasz na... na speszonego.

– Wcześniej powinienem przyjść!

– Razem z moim synem...?

– W tej samej drużynie walczyliśmy.

– Widziałeś, jak zginął?

Westchnął boleśnie.

– Nieśliśmy drabinę pod mur Kotlasów. Strzały zaczęły świszczeć. Upadł. Musieliśmy biec dalej. Następnej nocy Pogórcy wyrzucili... wyrzucili głowy poległych za wał. Bazigrad, Dziegciółuk i Iglinów... Wszyscy z mojej drużyny. – Pociągnął nosem. Ukradkiem spoglądał na matkę poległego kompana. Uciekał przed jej oczami jak kret przed rażącym słońcem. – Pochowałem wszystkich nad rzeką. Przed zdobyciem Kotlasów postawiliśmy Totem przed obozem... Spoczywają na ziemi uświęconej obecnością Czwórki.

Czekał, co odpowie. Pociągnął nosem. Przełknął ślinę. W srogiej ciszy wydały mu się głośnie jak chlupot kamienia w wodzie.

– Zabierzesz mnie tam?

– Kiedy zechcesz... Tylko...

Spojrzała na niego jak konający z głodu, który nie ma siły mówić.

– Zabiorę! Zabiorę! Przysięgam na Totem! Tylko chciałem powiedzieć, że jeszcze rodzinę Dziegciółuka odwiedzić muszę. Ich też zapytam, czy nie chcą odwiedzić...

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Dziękuję – szepnęła wątłym głosem.

– To mój obowiązek! Już wcześniej powinienem cię odwiedzić, tylko...

– To prawda, coś wtedy rzekł przed Totemem? Że do szturm poszliście, bo Białokur chciał chwały tylko dla siebie?

– Tak mi rzekł Śnieżyróg i ja mu wierzę! Był na naradzie. On wpadł na pomysł z ruchomą wieżą. Nalegał, aby poczekać, aż ją zbuduje i dopiero wtedy szturm przypuścić. Szarugil go popierał. Białokur zaś chciał zdobyć Kotlasy od razu, aby jemu chwała przypadła.

– Dobrze zrobiłeś! – warknęła zajadle. Choć rzęsy miała mokre od smutku, oczy były bezwzględne jak u wilka, który ostrymi kłami rozpruwa sarni kark. – Dobrze zrobiłeś, żeś ich zabił! Czwórka ukarała jednego i drugiego.

Chciał powiedzieć, że jedynie Prawa Czwórki bronił, ale wobec rozpaczki matki poległego wydały się mu one nie tylko niewłaściwe, ale i głupie. Choć przecież

taka była prawda. Nie był żadnym mścicielem poległych towarzyszy. Gdyby nie Białokur nie nastawał na Niebołan, a jego matka go nie zdradziła, nie doszłoby do rozlewu krwi. Żbiczygrom dalej byłby panem na Widłokach, Białokur pyszniłby się cudzą chwałą, a on żyłby z matką i siostrami pod jednym dachem. I pewnie nikomu by nie powiedział, kogo obwiniął za śmierć Bazigrada, Dziegciółka i Iglinowia.

Brzydził się sobą.

– Twoja branka... ludzie po cichu gadają, że to wszystko jej wina. W twarz ci tego nie rzekną, bo się boją!

– Błuznię przeciw Prawu Czwórki! Sam Widłosiew przyznał, że jeno broniłem swego!

– Ja ci wierzę! – rzekła serdecznie, aż Deszczylisowi zrobiło się błogo na duchu. – Nie musisz mnie przekonywać. Jeśli nawet to wszystko przez nią, to chwała jej za to! Odwiedź mnie z nią. Przyjdźcie, kiedy chcecie. Ode mnie zaznacie tylko dobro.

– Obiecuję.

Pociągnęła nosem. Runęła czołem na jego ramię jak ścięte drzewo. Chlipała. Roniła łzy. Wyła jak ranne zwierzę. Położył jej dłoń na plecach, jak zwykła to czynić matka, gdy biegł do niej z płaczem, po tym jak rozdarł sobie skórę na kolanach do krwi.

Uspokoila się.

– Dziękuję – wyszeptała. – Słyszałam, że z matką... Jak chcesz mogę z nią porozmawiać...

– Nie.

Uśmiechnęła się serdecznie. Spojrzenie promieniejącej ciepłem twarzy wysuszyło oblicze Deszczylisa ze smutku i gniewu.

– Jeszcze od mojego płaczu w babę się zamienisz! Idź i porozmawiaj z rodziną Dziegciółka.

– Tak zrobię! – rzekł nieco swobodniej, ośmielony ulgą jej i swoją.

- Tylko uważaj.
- Tak?
- Tam nie za dobrze w domu się dzieje.
- Coś się stało?
- Ojciec Dziegociołuka pomiata wszystkimi. Jak syn żył, to się go bał.
- Nie widziałem.
- Tu każdy takie rzeczy ukrywa.
- Ano jest tak...
- Idź już. I przyjdź do mnie kiedy ze swoją branką.
- Ma na imię Niebołan.

Burzyłas zrobiła wielkie oczy. Nie słyszała nigdy, aby dziewczyna Sumów nosiła igłaskie imię.

- Takie jej nadałem.
- Poważnie o niej myśleć musisz.
- Poważnie – rzekł stanowczo.
- Niech wam Czwórka szczęści.
- Dziękuję. Słowa dotrzymam. Zabiorę cię pod Kotlasy. Dam znać wcześniej kiedy popłyniemy.
- Dziękuję!

Deszczylis czuł się przedziwnie. Z jednej strony duch jego był lekki, albowiem wszystko, co w nim zalegało od wstydu i gniewu na siebie, wysączyło się jak jad z krwią z rozciętej rany, zaś z drugiej nogi miał ciężkie a ciało wątłe jakby zmogło go jakie choróbsko. Gapił się w ziemię. Nie zauważał ludzi schodzących mu z drogi. Dopiero po chwili spostrzegł się, że idzie w niewłaściwym kierunku.

Nogi zabrały go do chaty Iglinowia, w której teraz mieszkała inna zupełnie rodzina, albowiem mężczyzna nie miał własnej. Nikt się po nim na tym świecie nie ostał. Dzieci jego nie chodziły po ziemi. Żona, brat albo siostra za nim nie płakali. Deszczylis nie miał kogo pocieszyć ani komu zanieść wieści o tym, jak zginął. Stał jak kołek. Przygryzał wargę.

Poszedł do rodziny Dziegciółuka. Drzwi otworzyła mu Olchoskra, matka poległego pobratymca. Przestraszyła się na jego widok, jakby rozwścieczony, toczący pianę z pyska wilk stanął w jej progach.

– Kogo tam niesie?! – zaskrzeczał męski głos z głębi chaty.

– Nie bójcie się – powiedział Deszczylis głosem cienkim i pokornym, niczym dziecko tłumaczące się przed rodzicielami z wyrządzonych psot. – Dziegciółuk i ja w jednej drużynie walczyliśmy. Chciałem odwiedzić i... Wpuściecie mnie?

Matka poległego pobratymca odwróciła głowę. Zajrzała w głąb chaty. Męski głos zamruczał coś pod nosem. Chmurzytraw, ojciec Dziegciółuka, ukazał się za swą żoną.

Deszczylis uklonił się pokornie.

– Odwiedzić was chciałem. Ja i wasz syn w jednej drużynie byliśmy... Wpuściecie?

Otworzyli drzwi, choć po minach widać było, że nie bardzo chętni są przyjąć Deszczylisa w gości. Ponura atmosfera osaczyła go jak opary mgły. Wszystko, od twarzy ojca i matki Dziegciółuka, po stęchły zapach w środku, po ciszę uwierającą jak kamień w bucie, przygniatało jak ciężki gład. Odbierało ochotę do czegokolwiek. Żałował, że przestąpił próg. Nie chciał tu zostawać dłużej niż trzeba.

We wnętrzu chaty Szałwizar siedziała oparta o ścianę. Skubała kurę.

– Zabieram Burzylas na mogiłę, w której jej syn spoczywa. Tam też leży Dziegciółuk z Iglinowiem. Ja ich pochowałem. Przyszedłem zapytać, czy i wy nie chcecie się zabrać?

Szałwizar i Olchoskra spojrzały na Chmurzytrawę.

– Kiedy chcesz płynąć? – zapytał starszy mężczyzna.

– Jutro albo pojutrze z rana.

– Popłynę.

– A wy? – Deszczylis zapytał kobiety.

Spojrzały na Chmurzytrawę.

– Ja brzemienna... Mateczka dba o mnie, jakbym ze skorupki jajka była.
Jedynie ciężarem byśmy byli.

– Żaden ciężar mi nie straszny. Będzie trzeba, to was na barana zaniosę.
Czwórka nakazuje pokłon zmarłym złożyć.

Zapytały spojrzeniem Chmurzytrawa. Deszczylis poszedł ich śladem.
Wymierzył do starszego mężczyzny wzrokiem jak z łuku.

– Racja, tak Czwórka każe – przyznał starszy mężczyzna.

– Popłyniemy – wydusiła z siebie matka.

– Tak trzeba – przytaknęła Szałwiżar.

STARA I MŁODA

Płowiak trzymał głowę na udach dziewczyny i poddawał się głaskaniu jej drobnych dłoni. Spoglądał przy tym na swą wzruszoną panią.

– On się zna na ludziach – stwierdziła Dębisroka. – Nic dziwnego, że cię lubi, kochaniutka.

Piórosen skromnym skinieniem głowy przyjęła komplement babki swego przyszłego męża. Samymi opuszkami dwóch palców pogłaskała czubek głowy Płowiaka. Pies zmrużył oczy.

– Musisz zadbać o niego – rzekła staruszka. – U Łuczyskry mają sukę niemal identyczną jak Płowiak. Już się z nimi zmówiłam. Jak suka będzie mieć młode z Płowiakiem, weźmiesz szczeniaka i dasz mu takie same imię, jakie ojciec jego nosi.

– Zrobię, jak sobie życzysz – odparła serdecznie dziewczyna. – Wiem, jak wiele on znaczy. Ojciec mi mówił.

– To dobrze. Wiesz, stara jestem i wkrótce do Niewyśnionej Krainy odejść mi przyjdzie, zatem mam już tylko dwa zmartwienia na tym świecie: mojego wnuka i psa. Jak o nich zadbasz, to stamtąd – wskazała palcem w górę – postaram ci się odpłacić jak tylko mogę. A i tu, póki jeszcze żyję, nieba ci przychylę jak umiem.

– Proszę, nie mów tak.

– Mój czas się kończy. Matula twoja cię nauczy jak, być żoną i matką, ale mego wnuka nie zna tak dobrze jak ja. Powiem ci, co robić powinnaś. Niech jeszcze będzie ze mnie jakiś pożytek.

– Proszę, nie mów tak, babulu! Pożytek z ciebie nie mniejszy niż z druidów i wojów. Ojciec mój zawsze tak powtarza a on człek mądry! Mówi mi, że ludźmi można rządzić za pomocą strachu albo szacunku. Ty wzbudzasz w Iglasach szacunek i on chciałby tak samo.

Staruszka wstała z niewielkiego stołka. Pocałowała dziewczynę w skroń. Skinieniem dłoni przywołała Płowiaka do siebie. Pies natychmiast spełnił życzenie swej pani. Teraz poddawał się jej pieścizotom.

Staruszka uśmiechnęła się do dziewczyny i westchnęła rzewnie. Dziewczyna zamieniła się w słuch.

– Wiesz, czasem nie mogę wyjść ze zdumienia nad tym, jak to odmiennymi kobiety i mężczyzn Czwórka uczyniła. Między sobą otwarcie dzielimy się swoimi troskami, radościami, uczuciami i wszystkim tym, co nasze serca wypełnia jak rzeka koryto, mężczyźni zaś... Pamiętam, że nie mogłam zrozumieć, gdy przysłuchiwałam się rozmowom twojego dziada i mojego męża. Cały dzień przy pracy potrafili rozmawiać o tym, jak sidła na zająca zastawić. Ani słowa o rzeczach, o których my zwykle mówimy. Nie mogłam się nadziwić, jak to możliwe, że choć od tej strony prawie nic o sobie nie wiedzą, mogą tak się do siebie zbliżyć, gadając o zwykłych rzeczach. Tacy są i już. Dziwowanie nic a nic tego nie zmieni... Mój wnuk jest nieco gorszym przypadkiem. Nie to, że jest zły człowiek z niego, nic z tych rzeczy! – Uśmiechnęła się i zaprzeczyła ruchem ręki. – Jest jeszcze bardziej zdziwaczały niż mój mąż. Bardziej niż ludzie obchodzi go to, gdzie strumień ma swe źródło i skąd się woda w ziemi bierze. Zajdź do niego, gdy nad rzeką siedzi. Przebiegle kieruj rozmową tak, aby miał okazję opowiedzieć o tym, co tak jego głowę zajmuje. Będziesz zdziwiona, jak mocno się do ciebie przywiąże.

Piórosen słuchała uważnie. Zanim otworzyła usta, upewniła się, że staruszka skończyła mówić. Za nic w świecie nie chciała jej wejść w słowo.

– Jak to zrobić?

– Możesz go zapytać, dlaczego wiatr ogień podsyca? To go na pewno zaintryguje. No... Patrzyłam się na twoje narzędzie do rozpalania ognia i tak się zastanawiałam, jak to się dzieje, że wiatr ogień wznieca? Tak mu powiedz. W ten sposób zasiejiesz ziarno w jego głowie, a gdy będzie je podlewał myślą, nieuchronnie ty mu się przypomnisz.

Piórosen wlepiła oczy w staruszkę jak niedźwiedź w pszczele gniazdo.

– Nie bądź nachalna. Nie przychodź codziennie. Pojaw się raz, a potem daj mu odczekać ze dwa, trzy dni. Zjaw się na czwarty i znowu zniknij. Zacznie mu brakować twoich pytań i głowienia się nad nimi... Tak... Śnieżyróg chowa się za twardymi, ostrymi skałami. Nie ma co próbować się przebić przez nie siłą i krzykiem. Musisz posłuchać, jak wiatr wieje, a znajdziesz szczelinę, przez którą przecisniesz usta i powiesz, co trzeba. Wtedy go zwabisz do siebie.

Dziewczyna oniemiała z wrażenia. Teraz lepiej niż kiedykolwiek rozumiała, co jej ojciec miał na myśli mówiąc, że Dębisroka sprawuje władzę za pomocą szacunku.

– Tylko o mnie z nim nie rozmawiaj, dobrze? Dobrze?! – powtórzyła z naciskiem.

– Dobrze!

– Najlepiej w ogóle nie mów z nim o ludziach, bo go to tylko nudzić będzie... Mój wnuk to dziwoląg, ale jak się znajdzie sposób, żeby do niego dotrzeć, to dobry człowiek. Sama widzisz, jak o Deszczyliisa dba. Za przyjacielem gotów byłby wskoczyć w ogień.

– Odkąd pamiętam, byli nierozłączni.

– Dlatego, choćby nie wiem co, nigdy źle o Deszczylisie przy nim nie mów.

– Nigdy bym nie śmiała!

– Racja. Przecie dziewczę z ciebie mądre po ojcu. Wybacz, że ci tak nudzę, ale tak bardzo mi zależy na tym, żeby ci się żyło dobrze z moim wnukiem. – Zbliżyła się do dziewczyny i pogłaskała ją po rumieniącym się policzku. – Gdzieżbym lepszą żonę dla niego znalazła?

Rzęsy dziewczyny zatrzepotały jak chciały unieść Piórosen pod powałę.

Staruszka udała się pod ścianę, a ciekawski pies podążył za nią. Wyciągnęła coś spośród stosu ubrań. Odwróciła się do dziewczyny. Owo „coś” schowała za plecami. Z serdecznym, acz nieco zawadiackim uśmiechem wręczyła dziewczynie małe ubranko.

– To dla waszego dziecka.

Wzruszona dziewczyna uściskała staruszkę i wycalowała jej policzki. Gdy usiadła i przyjrzała się ubranku, ciekawski Płowiak obwąchał szatę, za co został skarcony przez Dębisrokę.

– Niech coś po mnie ma, bo nie wiem, czy dożyję chwili, gdy na świat przyjdzie – rzekła staruszka.

– Nie mów tak, babulu! Tobie żyć jak najdłużej!

– Chciałabym, ale to już raczej nie ode mnie zależy – rzekła z uśmiechem i spojrzała w górę.

– O siebie tak dbać powinnaś jak o nas!

Staruszka pogłaskała młodą dziewczynę po głowie.

– O mnie? A przecież mnie już nic nie trzeba! Jako dziecko żyłam dla siebie, potem jako żona dla siebie i męża, jako matka dla dziecka, na starość dla wnuka. Wolałam sobie od ust odjąć, byleby tylko syn i wnuk byli najedzeni. I ani trochę tego nie żałuję! Ba, dumna jestem! Sama zrozumiesz jak będziesz na moim miejscu... Ale nie ma co biadolić! Jesteś młoda i życie jest twoje! Pamiętaj tylko, co ci mówiłam o moim wnuku.

– Zapamiętam, babulu!

PRZYSŁUGA

Deszczylis zastał swego przyjaciela tam, gdzie się go spodziewał – nad rzeką. Jesienią liście spadały, zimą śnieg zasypywał Widłoki a Śnieżyróg siedział albo nad brzegiem rzeki, albo potoku. I zazwyczaj towarzyszył mu Płowiak. Tak było i tym razem.

Deszczylis zabrał ze sobą Niebołan. Po pierwsze, chciał ją poznać ze swym przyjacielem; po drugie, nie chciał jej zostawiać samej. Bynajmniej nie z obawy o jej bezpieczeństwo. Po tym, co wydarzyło się pod Totemem wątpił, aby ktokolwiek śmiał ją tknąć. W samotni czterech ścian pewnie czułaby się jak kot na drzewie otoczonym przez szczekające psy. Z lękiem przysłuchiwałaby się głosom dobiegającym spoza chaty.

Pies pierwszy ich przywitał. Zostawił swego pana wpatrującego się w łodzie i podbiegł do Deszczylisa. Zadowolony, wywalił jęzor i nadstawił głowę do głaskania, na które nie musiał zresztą zbyt długo czekać. Przyjrzał się dziewczynie i zaznajomił z jej zapachem.

- Jaki piękny – zachwyciła się Niebołan.
- Ma na imię Płowiak.
- Czemu tak?
- Sierść ma płową.
- Jaką?
- Płową.

– Tak się u was mówi na kolor suchej słomy?

– Tak. – Uśmiechnął się troskliwie. – Śmiało, pogłaskaj go!

Niebołan poczochnęła szyję zadowolonego psa. Wniebowzięty Płowiak położył się na grzbiecie i nadstawił brzuch na dalsze pieszczoty, które spadły na niego niczym oberwanie chmury. Zmrużył oczy. Wywalił jęzor. Piszczął z radości.

– Dawno żeś swej gęby nie pokazywał – rzekł Śnieżywóróg, niezauważony przez parę skupioną na jego psie.

Niebołan odsunęła ręce od czworonoga jak przestraszona. Przyłgnęła do ramienia Deszczyłisa. Wstali oboje. Rozczarowany pies patrzył na nich smutnymi oczami.

– Jestem Śnieżywóróg – przyjaciel przedstawił się jak gdyby nigdy nic.

Deszczyłis odetchnął z ulgą.

– Głaskaj sobie psa ile chcesz – Śnieżywóróg zwrócił się do Niebołanu. – To nie żarcie, żebym go skąpił.

– Dziękuję – odparła speszonym głosem.

– To Niebołan – przedstawił przyszłą żonę Deszczyłisa.

– Ładne imię.

– Deszczyłis mi je nadał – rzekła, rozpieszczając Płowiaka, który z powrotem runął na grzbiet i wystawił brzuch.

Śnieżywóróg rzucił okiem na przyjaciela. Już miał gotową kąśliwą uwagę pod jego adresem, ale ugryzł się w język.

– Pogadajmy – zaproponował Deszczyłis i zerknął na bok.

Śnieżywóróg skrzywił gębę, ale skinął głową.

– Popilnujesz psa? – zapytał dziewczynę.

– Popilnuję – odparła Niebołan.

Odeszli kawalek na tyle, żeby Niebołan ich nie słyszała, a jednocześnie Deszczyłis nie stracił jej z oka.

– No, miał ozorem – ponaglił Śnieżywóróg.

Swoboda przyjaciela, jego przytyk i to, że zachowywał się, jak gdyby nigdy nic, ogromnie ucieszyły Deszczyłisa. Dobrze było wiedzieć, że w tym całym chaosie, który wywrócił życie jego i całych Widłok, jest jeszcze coś, co ostało się takie, jakim było zawsze.

Klepnął przyjaźnie przyjaciela w ramię.

– Brak mi było twego babskiego gędzenia! – rzekł.

– Uważaj! Bo kopa w dupę ci zasadzę! – Przyjaciel nie pozostawał dłużny.

– Śmiało! Moja rzyć twarda jak z kamienia, a twoje kulasy wątłe jak gałązki! Jeszcze je sobie połamiesz!

– Boję się raczej, że jak w otwór trafię, to mnie wciągnie!

Deszczyłis poddał się. Nie miał pod ręką żadnej kąśliwej riposty.

– Dzięki, że mi wtedy pomogłeś, pod Totemem. Szarugil nie stanąłby po mojej stronie tak sam z siebie.

– Nie zrobiłby tego też, gdyby mu się to nie opłacało. W gruncie rzeczy wiele nie ryzykował. Wystarczył rzut oka na ciebie i młodszego knura, żeby wiedzieć, kto wygra. Jego śmierć była mu całkiem na rękę. Ciekaw jestem tylko, czy przewidział, że starszy knur się na ciebie rzuci. Upiekłeś dla Szarugila dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Nie chciałem! – zaprotestował Deszczyłis podnosząc głos. – Ja jeno swego broniłem!

– Nie przeczę. Chcę tylko, żebyś zrozumiał, że ten, co knurów zastąpił, jest znacznie od nich mądrzejszy, ale chodzi mu o to samo. Gdybyś sam się wtedy wodzem mianował, przypieczętowałbyś swój los. Szarugil by ci tego nie zapomniał.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Nie byłbyś najgorszym wodzem.

– Szarugil będzie lepszy – burknął Deszczyłis wyraźnie zmieszany. Przecież przed chwilą przyjaciel mówił zgoła co innego.

– Może dla Widłok, ale nie dla mnie.

– Co ty gadasz?! Przecież on cię jak syna hołubi! Własną córkę ci za żonę oddaje.

– Raczej wmusza! Nikt się mnie nie pytał, czy się zgadzam! On i starucha ubzdurali sobie to małżeństwo! Jak dla mnie mogliby szczeznąć razem z tą głupią dziewuchą. Najlepiej jakby się potopili. Nie trzeba by było ich grzebać w ziemi.

I gderliwość Śnieżyroga też była tam, gdzie zawsze. Z wysokości przestworzy, bezlitośnie i bezwzględnie, fajdała na całe Widłoki niczym gołębie i inne ptactwo.

– Co tak buszujesz oczami w trawie jak mucha w gównie? – Wyszczrzył zęby Śnieżyród. – Mów, po co żeś przyszedł, zanim zima przyjdzie!

– Zaraz to ja cię w dupę kopnę – pogroził serdecznie Deszczylis.

– Mówże wreszcie!

– Jutro z rana wybieram się pod Kotlasy. Zabieram matkę Bazigrada, rodziców i żonę Dziegciółka na mogiłę. Nie chcę jej brać. – Oczami wskazał na Niebołan. – Nie mam jej z kim zostawić, więc...

– Przyrowadź ją skoro świt nad rzekę. Przynajmniej będzie miał kto psa popilnować.

– Dzięki – odetchnął Deszczylis. Cokolwiek robił, o cokolwiek nie prosił a związek miało z Niebołan, wiązało się z ogromnym ciężarem. Przyjaciel szybko zdjął mu go z pleców.

– Stań obok mnie! – rozkazał Śnieżyród.

– Po co?

– Stawaj, nie gadaj. Nie tu, po lewej.

Deszczylis ustawił się jak przyjaciel mu kazał. Śnieżyród podskoczył, zgiął nogę w kopanie i piętą kopną Deszczylisa w zadek.

– To za pomoc.

– Uczciwa wymiana – przyznał Deszczylis.

– Znaj moją łaskawość, kmiecie.

– Dobrze, że cię mam – stwierdził Deszczylis. – Jesteś jak zrzędlina, obleśna żona, której nigdy nie potrzebowałem.

– Gdyby mnie ktokolwiek lubił, lepiej dobierałbym sobie przyjaciół.

– Już mi to mówiłeś, przed zdobyciem Kotlasów, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Jak wiele się od tego czasu wydarzyło? Kawał życia minął w jedno lato, które jeszcze nie dobiegło końca. Oby teraz nastąpiło trochę spokoju.

– Gadasz jak baba.

Deszczylis kopnął piętą przyjaciela w zadek.

– Uważaj! – przestrzegł go Śnieżyróg. – Wyświadczę ci przysługę, więc mam cię w garści! Ja mogę kopać to woli, tobie nie wolno!

– Jeszcze bym pomyślał, że z czystej dobroci mi pomagasz!

– Masz mnie za porządnego człowieka?! Za taką zniewagę to powinienem cię różgą obić!

Uśmiechali się z głupich żartów jak za dawnego życia, które skończyło się z napaścią Stalookich na Widłoki.

– Idziemy, bo chyba ktoś tu chce z tobą zostać sam na sam – rzekł Deszczylis.

– Co?

– Udawaj, że nie widzisz.

Przyjaciel wskazał oczami na Piórosen. Dziewczyna przyglądała im się z oddali, spacerując w kółko.

– Dzień za dobrze się zaczął – stwierdził Śnieżyróg i kopnął przyjaciela piętą.

– Za co?

– A tak, żebym sobie humor poprawił.

– Córka wodza to zrobi! Nie będziemy wam przeszkadzać!

– Obyś w gówna wdepnął po drodze!

– Bywaj!

Deszczylis wraz z dziewczyną wrócili do osady. Pies odprowadził ich kawałek. Potem zajął się przysłą żoną swego pana. Razem przyszli do Śnieżyroga.

– Witaj – powiedziała nieśmiało Piórosen.

– Witaj – odparł uprzejmie, ale bez entuzjazmu. – Twój ojciec chce mnie zobaczyć?

– Nie – odparła chowając ręce za plecy.

Była wyraźnie speszona. Nie miał zamiaru ulżyć jej skrepowaniu.

– Wiesz, tak patrzyłam na twoją dmuchawę...

– Na co?

– Tak z matulą nazywamy narzędzie do rozpalania, które zrobiłeś. Patrzyłam na nie i nie mogłam dojść, czemu wiatr ogień wznieca. Myślałam, że może ty będziesz wiedział.

Zmrużył oczy. Poczł szacunek do przebiegłości Szarugila. Dobrze poinstruował córkę.

– Nie wiem.

– A jak myślisz? – Nie dała za wygraną. Speszenie szybko jej przeszło. Przypominała małe dziecko, które wreszcie wyczuło równowagę i większość swych kroków nie kończy już siadaniem na pupie, tylko radośnie idzie przed siebie.

Udał, że połknął przynętę.

– Pewnie o tarcie chodzi. Jak rozpalasz ogień, to trzesz krzesiwem.

– Ale wiatr to nie jest taki... to nie rzecz!

– A co?

– Tego nie wiem! Tyś bystry. Myślałam, że mi powiesz...

– I ja jestem bezradny wobec niektórych pytań. Lepiej zapytaj druidów.

– Oni wiedzą, że wiatr jest dziełem Czwórki, nie zaś czym jest i dlaczego ogień wznieca.

Czuł, że znowu daje się wciągnąć. Nie mógł się jednak oprzeć. Pytanie naprawdę go ciekawiło. Przeklął Szarugila i jego przebiegłość.

– Co innego ogień wznieca? – zapytał.

– Tłuszcz zwierzęcy!

– Owszem, ale trudno uwierzyć, że powietrze składa się z tłuszczu.

– Zatem z czego?

– Nie wiem! Ludzie nim oddychają i żyć bez niego nie mogą jak ryba bez wody... Ale przecież powietrze to nie ciecz...

– Powiesz mi kiedy indziej – rzekła z serdecznym uśmiechem. – Muszę biec do matuli!

Obróciła się na pięcie aż podfrunął do góry spód jej sukni, ukazując przy tym białe łydki. Zwinnym jak wiewiórka krokiem wróciła do osady.

Płowiak i ją odprowadził niemal pod samą Paszczę. Śnieżyróg, choć wiedział, że to błąd, patrzył na dziewczynę, zanim zniknęła za wrotami bramy. Był zły, że dał się wciągnąć.

– Woda, ciecz, tłuszcz, powietrze... Co je wszystkie łączy?

Przynajmniej miał się nad czym głowić.

MOGIŁA

Lato chłodem przywitało nowy dzień. Dach ogromnego świata górujący nad maleńką łodzią okrył się płótnem chmur. Słoneczne oko wyzierało przez dziury w szarobiałym materiale, wleczonym po niebie przez ospały wiatr, który po drodze mierzwił powierzchnię rzeki, wplatał palce w bujny las i trawę na polanach, przesuwał kurz i drobne kamienie.

Chłupot wiosła zanurzających się w szerokich wodach Sierpicy towarzyszył cichej zadumie. Milczeli wszyscy: Chmurzytraw, Olchoskra, Szałwiżar, Burzylas i Deszczylis, siłą muskułów pchający łódź po rzece. Nikt nawet głośnym westchnieniem nie naruszył cichej powagi, która prowadziła orszak myśli ku sprawom wiecznym.

Ostatnim razem Deszczylis wiosłował w większej łodzi i płynął ku Kotlasom z pobratymcami, których mogiłę odwiedzi. Płynął wtedy w nieznane. Wiedział tylko, że musi przeżyć, albowiem na jego barkach odpowiedzialność za matkę i siostry spoczywa. To wspomnienie użądliło go jak osa. Tamten Deszczylis różnił się od obecnego jak upał od oberwania chmury. Choć przecież ciągle był ten sam, jak niebo, z którego leje się i żar, i rzęsista ulewa.

Matki nie chciał więcej znać, za to sióstr było mu zwyczajnie żal. Pewnie będą winić Niebołan. Utwierdzone przez matkę sączącą im truciznę do uszu, znienawidzą ją za to, że zabrała im ukochanego brata. Dziewczyna Pogórców zawsze niezgodę między nimi siać będzie, choć niczemu nie winna. Nie ona

przecież do Widłok zawitała, tylko on ją wziął ze sobą. Nie z własnej woli matkę i syna ze sobą poróżniła. I nie ona chciała, aby o nią przelano krew przed Totemem.

Dobrze, że zostawił ją pod opieką Śnieżyroga. Nie chciał, żeby po tym wszystkim, co przeszła, musiała jeszcze oglądać zgliszcza dawnego życia. Miejsce, w którym przyszła na świat i dorastała, w którym zakłete są wspomnienia rodzicieli, przyjaciół i życia będącego dla Deszczyłisa tajemnicą, do jakiej nie chciał się zbliżyć w obawie, że otworzy głębokie rany w dziewczynie... Wszystko to pochłonął ogień i zamienił w czarne, śmierzzące zgliszcza.

Im bliżej byli celu podróży, tym większe ogarniało go przygnębienie. Powinien być jak igła sosny, a czuł się jak wąty liść... Poczłł wstyd. Przecież nie o sobie, jeno o poległych towarzyszach dumać powinien. Dziękować im za wspólne chwile, wspierać ich rodziny, a nie grzęznąć w samym sobie jak w bagnie.

- Daleko jeszcze? – zapytał Chmurzytraw
- Słucham? – Deszczyłis ocknął się jak ze snu.
- Jak daleko jeszcze?

Deszczyłis rozejrzał się po brzegu. Dojrzał krzywą sosnę, wystającą ponad inne drzewa, zgiętą u wierzchołka niby złamany patyk. Gdy płynął zdobywać Kotlasy, Iglinów ją wypatrył i stwierdził, że jak złamany fajfus wygląda. Bazigrad upomniał go by nie bluźnił, albowiem to przecież święte drzewo. Małomówny Dziegciółuk o dziwo zabrał głos: „Krzywa, ale ciągle stoi i szyszki rodzi”.

– Zaraz będziemy na miejscu – powiedział Deszczyłis. – Widzicie tą krzywą sosnę, co ponad inne drzewa wystaje? – Skinieniem głowy wskazał kierunek. – Jak nią miniemy... No w każdym razie niedaleko.

Chmurzytraw zadowolil się odpowiedzią i zamilkł.

- Gdzie ich pochowałeś? – zapytała Burzylas.
- Na polanie nad rzeką, między drzewami. Tam razem budowaliśmy wieżę, dzięki którym zdobyliśmy osadę.
- Co się z nimi stało? – zapytał Chmurzytraw.

– Z wieżami? Zniszczyliśmy na wypadek, jakby kto na miejsce Pogórców przyszedł.

– Znaczy na miejsce Sumów?

– Ta.

Chmurzytraw mruknął, choć co to znaczyć miało nikt na łodzi nie wiedział.

– Śnieżyróg wpadł na pomysł, ale nie tylko jemu chwała się należy – rzekł Deszczylis. – Bazigrad pomógł objaśnić, jak ją zbudować i piętra zrobić. Dziegciołek wskazał, że mokre skóry trzeba do niej przybić, jakby Pogórcy podpalonymi strzałami ją zasypali.

– To po to te skóry wojowie przyplłynęli – powiedziała nieśmiało Olchoskra.

– Nie inaczej! I ci, co je wygarbowali też swój udział w zwycięstwie mają, choć nigdy pewnie nie pomyśleli, jak pomocna może okazać się ich praca. Dziw jak to wiele rzeczy, o których nawet człowiek nie pomyśli, przyczynia się do... W każdym razie Bazigrad i Dziegciołek przysługę nie mniejszą Iglasom oddali, niż ci co zdobyli Kotlasy orężem.

Chmurzytraw znów coś mruknął, cokolwiek to znaczyć miało. Kobiety zaś zdawały się pocieszone słowami Deszczylisa. Wspomnienie zasług bliskich oczyściło otwarte rany z brudu. Dobrze było wiedzieć, że Bazigrad i Dziegciołek nie zginęli na marne.

Mogila była bardzo prosta. W miarę równo usypany, niewielki kopiec otaczał krąg niewielkich kamieni. Na samym jego szczycie zaś leżały trzy.

– Ładnie żeś to zrobił – powiedziała Burzylas.

– Staralem się jak mogłem – mruknął Deszczylis. Obiecał sobie, że po zwycięstwie wbije miecz w mogiłę, ale zapomniał. Teraz było mu wstyd.

– I te kamienie wokół – dodała Szakwiżar. – Widać żeś nie szczędził starań. Na pewno są ci wdzięczni tam, w Niewyśnionej Krainie.

Olchoskra przetarła oczy z uśmiechem. Nawet Chmurzytraw zdawał się doceniać pracę Śnieżyroga. Kiwał głową przytakując słowom synowej.

– Trzeba by przybyć na Równonoc albo Przesilenie – rzekła Burzylas.

– Możesz na mnie liczyć – dodał Deszczylis bez wahania.

– Przemów – rzekł Chmurzytraw do żony.

Olchoskra wyrecytowała słowa, jakie druidzi zwykli mawiać, gdy przed Totemem ogłaszano śmierć jednego z Igłasów.

– My tu na ziemi słonymi łzami żegnamy bliskich, albowiem wielką stratą są dla nas. Tak czynimy, bo jedynie świat doczesny znamy i jego miarą życie i śmierć mierzymy. Zaś w Niewyśnionej Krainie, gdzie wszystko zostaje Igłasom ukazane i wyjaśnione, koniec ziemski jest jedynie początkiem nowego. Co jawi się w świecie doczesnym jako śmierć, jest jedynie furtką do wiecznego, gdzie śmierć nie ma wstępu, więc nikt umrzeć nie może. Chwała Czwórcę za to, że przyjęła lud Igłasów do Niewyśnionej Krainy!

– Chwała Czwórcę! – powtórzyła reszta.

– Myślmy, że człek przegranym jest, gdy umiera, albowiem serce w nas bije i, choć niejasną, przyszłość przed sobą widzimy, w której martwi już się nie znajdują. Nie podzielą się z nami jadłem, nie zaśpiewają z nami na uczcie, nie zasieją z nami zboża ani nie przywitają na świecie swych synów, córek, bratanków, siostrzeńców i wnuków. Złudne jest to myślenie, albowiem ponownie sprawy wieczne doczesną miarą mierzymy. Dopiero gdy sami przekroczymy próg Niewyśnionej Krainy i dołączymy do bliskich, wtedy zrozumiemy. Chwała Czwórcę za to, że śmierci do Niewyśnionej Krainy wstępu wzbronila.

– Chwała Czwórcę!

– Prośmy naszych bliskich, aby z Niewyśnionej Krainy czuwali nad nami. Aby w myślach i pamięci naszej objawili swą troskę. Niechaj złapią nas za ramię, gdy zbłądzimy. Niechaj pogrożą palcem, gdy niegodnie czynić nam przyjdzie. Niech schylą się nad nami i poklepią po plecach, gdy smutek nas ogarnie. Chwała Czwórcę za to, że bliskich naszych do Niewyśnionej Krainy przyjęła.

– Chwała Czwórcę!

Olchoskra skończyła. Położyła na mogile sosnową gałązkę.

Mąż objął ją i drżącymi ustami pocałował w czoło. Szałwiżar i Burzylas otwały dla siebie ramiona. Bliscy poległych uściskali się każdy z każdym.

– Dziękuję, żeś nas tu przywiózł – rzekła Szałwiżar.

– Niech cię Czwórka pomyślnością wynagrodzi – dodała Olchoskra.

Chmurzyraw uścisnął dłoń Deszczylisa. W oczach starca widać było wdzięczność. Usta mu drżały. Język nie był w stanie sklecić słów.

Burzylas objęła Deszczylisa i ucałowała w czoło, niczym matka syna. Olchoskra uczyniła to samo. I Szałwiżar otworzyła przed nim swe ramiona. Schylił się. Obszedł z nią jak z jajkiem.

– Może pokazać wam, gdzieśmy wieże budowali? – zapytał nieśmiało.

– Pokaż – odparła Burzylas.

Zaprowadził ich pod kretowisko, przy którym Śnieżyróg wyjawił im swój fortel.

– Tu Śnieżyróg kucnął i nam tłumaczył. – Obszedł kopiec i ustawił się naprzeciwko. – Tu stał Bazigrad, a obok niego Dziegciółuk. Iglinów był tu. – Obszedł ponownie i zatrzymał się w pół drogi między pozycjami Śnieżyroga i Bazigrada. – Tam drzewa ścinaliśmy. – Wskazał palcem pnie. – A dalej to nasz obóz stał i Totem. Widłosiew oddał ziemię we władanie Czwórcie. Bazigrad, Dziegciółuk i Iglinów na swojej ziemi leżą.

Zaprowadził ich pod Totem. Unosił się dumnie ponad głowy. Przedstawiał uproszczone znaki Kwitnej, Skwara, Słoty i Zimnego. Naprzeciw niego, w oddali, stały zgliszcza Kotlasów. Bóstwa patrzyły na wrażą osadę, która padła im do nóg.

Podeszli pod Totem. Pokłonili się Czwórcie.

NAD STRUMIENIEM

Niebołan bawiła się z psem. Śnieżyróg mógł jej się lepiej przyjrzeć. Nie dziwił się swemu przyjacielowi. Dziewczyna była nad wyraz urodziwa. Nawet Wilczybrzask nie była tak piękna. Złote i gęste jak żar lejący się z nieba włosy, niczym dwa wodospady, poprzez skronie, spływały na ramiona. Skóra barwy miodu mieniła się w słońcu jak dojrzałe owoce, w których chciało się zanurzyć zęby. Zielone jak trawa w szczerym słońcu i liście na wiosnę oczy, zapraszały w swą głęboką toń niczym chłodna rzeka w ogromny upał. Twarz miała żywą jak zakwitła łąka, na której kwiaty otwierały się na słońce i zaloty pszczoł i motyli. Tak też wzrok Śnieżyroga fruwał wokół jej oczu, spijał nektar dziewczęcego uśmiechu, który bez wysiłku skruszyłby nawet najbardziej zatwardziałe serce, niczym grudkę suchej, sypkiej ziemi.

Zazdrościł Deszczylisowi. Żałował, że sam sobie branki z Kotlasów nie wziął. Skrzywił gębę. I tak nie mógł sobie na to pozwolić. Wszystko przez Szarugila. Jego istnienie coraz bardziej uwierało młodzieńca, nawet jak nie znajdował się w obecności wodza. Łudził się nadzieją, że Szarugil przecież nie najmłodszy, a zimy bywają mroźne i srogie. Niech zdechnie i zabierze ze sobą swego pomiotu.

Płowiak jak zwykle dawał się rozpieszczać, a gdy dziewczynie znudziło się czochranie jego sierści, a Śnieżyróg nie wykazywał ochoty, aby ją zastąpić, włączył się wokoło i pilnował ich oboje.

– Deszczylis mówił, żeś bardzo mądry – powiedziała.

Śnieżyróg uśmiechnął się pobłaźliwie. Miał ochotę na kąśliwą uwagę na temat przyjaciela, ale ugryzł się w język. Nie chciał, żeby coś jeszcze sobie pomyślała.

– Widziałam ten no... młyn! W życiu bym nie pomyślała, że żarna może woda pchać!

– Prędzej czy później ktoś by to wymyślił.

– Myślisz?

– Wystarczy potrzeba i bystry łeb.

– Deszczylis mówił, że razem byliście u źródeł potoku. Chce mnie tam zabrać. Ponoć po drodze jest bardzo ładny wodospad?

Śnieżyróg przypomniał sobie, jak wielce rozczarowany owym wodospadem był jego przyjaciel. Widać Deszczylis musiał odkryć w nim piękno, którego nie raczył dostrzec ostatnim razem. Piękno dzielenia się swymi wspomnieniami z Niebołan.

– Niewielki, aczkolwiek urokliwy – rzekł Śnieżyróg z satysfakcją.

– Jak wygląda źródło?

– Nie powiedział ci?

– Nie.

– W takim razie musisz poczekać, aż cię tam zabierze.

– Nie powiesz mi? – Zrobiła minę małej dziewczynki, która siłą wielkich, smutnych oczek, stara się złamać żelazną wolę ojca. Wyglądała jak mały kotek. Chciało się ją przytulać i głaskać.

– Nie.

– Dlaczego?

– Deszczylis już pewnie sobie obmyślił, że sam ci pokaże. Jak się dowie, że ci wszystko wyjawiał, jeszcze się na mnie obrazi. A wtedy nie będę mógł go kopnąć w dupę.

Zrobiła minę, jakby zobaczyła czerwie pożerające padlinę.

– Myślałam żeście przyjaciele?

– I to najlepsi!

– Więc dlaczego...

- Właśnie dlatego! Baby się przytulają, chłopcy kopią w dupę.
- Drwisz sobie ze mnie – rzekła głosem małej, naburmuszonej dziewczynki.
- Mówię jak jest. Nie widziałem, żeby baby z czułości wymieniały się kuksańcami.

Mruknęła przytakująco, choć ciągle trochę była naburmuszona. Wyglądała przeuroczo z przymrużonymi oczami i lekko nadętymi policzkami.

- Przypominasz bobra – rzekła do Śnieżyroga.
- Kogo?
- Bobra.
- A któż to taki?
- Zwierz.
- Jaki zwierz?
- Nie ma u was bobrów? – Rozwarła powieki na ościerz.

Śnieżyróg utonął w zieleni jej oczu. Poszedł na dno jak ciężki głaz.

– Słyszysz? – głos dziewczynki wyciągnął go na brzeg świata. – Nie ma u was bobrów? – Odwróciła się, żeby spojrzeć na psa buszującego nosem w trawie.

– Nie wiem, co to takiego.

– To taki zwierz... Wygląda jak wielka, ogromna wiewiórka, tylko że zamiast długiego ogona ma krótki, całkiem płaski i bez sierści. Tylne łapy ma trochę jak kaczka. To takie coś, co kaczka ma między palcami, to on ma takie samo... Bóbr głównie buduje tamy na wodzie. Robi się staw, a na jego środku robi gniazdo... Z daleka wygląda, jakby uwił je ogromny ptak.

– A co on je? – zapytał zafascynowany Śnieżyróg.

– Drzewa i liście.

– On jaja znosi?

– Chyba nie.

– Dziwne, skoro łapy ma jak kaczka.

– Ale tylko tylnie! Reszta ciała wygląda jak wielka wiewiórka! Nie wierzysz mi?

– Ciężko mi sobie wyobrazić tego bobra.

– Mówię prawdę!

– Wierzę ci. Głowie jednak ciężko sobie wyobrazić coś, czego nigdy wcześniej oczy nie widziały.

– Płowiak! – zawołała.

Czworonóg w mig do niej przybiegł. Nadstawił łeb. Położył się na grzbiecie. Sapaniem i piskiem obwieścił jak bardzo podoba mu się drapanie po brzuchu.

– Jaki ty śliczny jesteś! – zwróciła się do psa. Zbliżyła ku niemu twarz. Polizała ją po nosie. Pisnęła i się zaśmiała.

Zazdrość wzbierała w Śnieżyrogu. Najbardziej z powodu tego, że Deszczylis sam sobie wziął Niebołan i siłą bronił, gdy ten ohydny knur chciał mu ją odebrać. Jemu zaś Szarugil i babka podyktowali, z kim życie dzielić będzie.

Przypomniawszy sobie pytanie córki wodza. (Córka wodza, pomiot, ona, ta, ewentualnie obelga kpiąca z jej wyglądu bądź niewielkiego rozumu – w ten sposób odnosił się do niej w myślach. Nidy po imieniu). Dlaczego wiatr wznieca ogień? Żałował, że w ogóle marnował na nie myśli.

Zamarzył mu się domek na drzewie w głębokim lesie i życie, w którym nikt nie dyktuje jego losu.

– Nad czym myślisz? – zapytała.

– Nad tym, jak by to było być wiewiórką. Skakać sobie po drzewach i wspinać się na nie z łatwością.

– Nie lepiej ptakiem? Oglądałbyś ziemię z wysoka i wznosił się ponad chmury? Raz mi się śniło, że latałam i... Latałam razem z sokołami – dokończyła smutnym głosem. Schyliła głowę. Złote sploty zasłoniły jej twarz niczym gałęzie wierzby. Drobną dłoń głaskała psa czule i powoli, jakby chciała go pocieszyć.

– Najlepiej bobrem, skoro mówisz, że jestem do niego podobny.

Przytaknęła jękiem. Widać musiało jej się przypomnieć coś z dawnego życia, schowanego za wysokimi murami, które padły przed fortem Śnieżyroga. Tak podejrzewał.

Wieże, które niejako wymyślił za karę, a przynajmniej tak to odczuwał, zmiążdżyły cudzy świat. Mało go to obchodziło. W końcu Sumy to obcy. Teraz jednak miał do czynienia z jedną z nich. I traktował ją jak swoją. Wspomnienie wież zaczęło go drażnić jak natrętny giez, szukający kawałka skóry do ugryzienia.

– Deszczyliś wkrótce powinien wrócić – zagadnął, byleby co rzec. Przed odpłynięciem przyjaciel poinstruował go, aby nic dziewczynie o celu podróży nie mówić. Nie musiał tłumaczyć dlaczego. Śnieżyróg od razu się domyślił.

– No – wyszeptała ukryta za gałęziami złotych włosów. Pociągnęła nosem. – Wiem, dokąd popłynął.

– Jak tak będziesz płakać, jeszcze gotów pomyśleć, że krzywdę uczyniłem. Wtedy raczej nie będzie chciał oglądać mojej gęby, a ty nie pogłaszczesz sobie tego psa.

Jeszcze niżej pochyliła głowę. Skuliła się jak jeż. Całkiem skryła twarz za wodospadem złotych włosów. Jej oddech łamał się jak suche patyki pod nogami.

Płowiak zaskamlał.

– Widzisz? Temu głupkowi też jest smutno.

Przetarła oczy. Uspokoiła się. Twarz wyszła z ukrycia. Była nieco czerwona, podobnie jak i oczy. Burza przeszła, ale wciąż po niej było mokro.

– Czemu go głupim nazywasz?

– Dobry z niego stróż, za to we łbie nie ma za wiele. – Zbliżył się i zapukał palcem tuż nad oczami psa. – Słyszysz? Nic tam nie ma.

– Pies swój rozum ma!

– Może i tak... w każdym razie ja go u Płowiaka nie uświadczylem.

– Boś jak bóbr, to i psa nie zrozumiesz!

Śnieżyróg zmrużył oczy. Próbował sobie wyobrazić to dziwne zwierzę, co wygląda jak wielka wiewiórka, za to tyle łapy ma jak kaczką.

– To musi być niezły cudak.

– Głodnyś? – zapytała wieczorem babka, gdy Śnieżyróg przekroczył próg.

Poczuł smażoną rybę.

– Zjem.

Sam z siebie nigdy gęby do babki nie otwierał, jeśli niczego nie potrzebował. Gdy o cokolwiek zapytała, odpowiadał zdawkowo. Przetraçał nogi dłuższej rozmowie, nim ta zdążyła się rozpędzić. Wiedział, że babce z tym źle i milczenie wnuka ją boli. Tym większą satysfakcję sprawiały mu jej beznadziejne próby nawiązania kontaktu.

Czasem jednak ulegał i dawał się wciągnąć w rozmowę. Potem był na siebie wściekły. Karcił się i przeklinał.

Dała mu smażoną rybę, z której wcześniej wyjęła kręgosłup i większość ości. Mały kawałek dała Płowiakowi. Pies wsunął raz dwa.

– Ludzie mówili, że z branką Deszczyliisa nad wodą siedziałeś.

Ludzie niech zamkną gęby i się cieszą, że dzięki mnie im się lepiej wiedzie – powiedziały myśli, zaś usta pozostały zamknięte niczym bramy Widłok nocą. – Niewdzięczne gnidy!

– Smakuje? – zapytała serdecznie.

– Dobra.

– To się cieszę... Ja wiem, że przyjacielowi pomoc chciałeś. Słyszałam, że Deszczylis rodziny Dziegociołuka i Bazigrada na mogiłę zabrał. Ludzie to zawsze jednak przeinaczyć mogą. Powinieneś o tym porozmawiać z Piórosen. Lepiej niech się nie przejmują przeinaczonymi plotkami.

Niech się nimi udławi i zdechnie – znów odparł w myślach. Nie miał zamiaru nieprzymuszony otwierać gęby do babki.

Najedzony pies zapragnął bliskiego kontaktu ze swą panią. Gdy usiadła na stołku, położył pysk na jej udach. Spojrzał na nią niewinnie jak szczenię. Staruszka nie mogła mu się oprzeć.

– Deszczylis chwalebnie postąpił, że ich tam zabrał. Prawy jest jak ojciec... Jeno uparty. Niedobrze tak z matką w niezgodzie żyć.

Jak głupia, to niech cierpi – odrzekł w myślach. Jastrzębibeż była mu zupełnie obojętna, jak prawie wszyscy.

– Jak myślisz, pogodzą się?

Wzruszył ramionami.

– Dobrze dla syna chciała, ale... No cóż, Czwórka postanowiła inaczej.

Skończył rybę. Napił się wody z wiadra.

– Gdzieś idziesz? – zapytała babka widząc, że wnuk zbiera się do wyjścia.

– Przejść się.

Pies zwietrzył, co się święci, bo od razu stanął przed drzwiami.

– Weź psa.

– Wezmę.

– Idź do Piórosen.

Prędeż mnie szlag trafi! – powiedziały myśli, usta zaś wydały z siebie mruknięcie, które nie wiadomo co znaczyć miało.

Szedł przez osadę z miną wilka, który nie jadł od dwóch dni. Ponury nastrój Śnieżyroga docierał do pobratymców jak fale do brzegu. Podmywał chęć rozmowy bądź głaskania psa, pochłoniętego zapachami ludzi i jadła z chat.

Szedł bez celu, pogrążony w przekleństwach ciskanych w babkę, wodza i jego córkę. Niedaleko Totemu dojrzał Wilczybrzask ze swym nowym mężem.

Wcale nie była taka ładna, jak mu się wpierw wydawało. Mógłby sobie ją jeszcze poużywać, ale w sumie, to niech ten głupi druid ją sobie weźmie.

Wszedł po drabinie na mury, nie zwracając uwagi na skamlenie psa, który pozostał na dole. Oparł się o blanki i bezmyślnie patrzył w wody Sierpicy, oświetlane czerwienią zachodzącego słońca. Myślał o domku na drzewie.

Czuł ulgę.

NOWY POTOK

Śnieżywóróg szedł przez las w towarzystwie psa. Rozglądał się i podziwiał. W tym miejscu jeszcze nie był i mniemał, że pewnie żaden z Igłasów stopy tu nie postawił. Schodził wysokim, stromym brzegiem w dół między wysokimi bukami. Rosły w równych niemalże odstępach, zostawiając sobie nawzajem mnóstwo przestrzeni. Ślizgał się po liściach, które jeszcze od zeszłej jesieni zalegały na ziemi. Tracił równowagę. Machał rękami. Ładował na tyłku. Wstawał z uśmiechem i szedł dalej.

Po przeciwnej stronie znajdował się drugi, bliźniaczo podobny brzeg, utopiony w wielkim stawie brunatnych liści, spod którego, niczym przebiśniegi, wyłaniały się drzewa i krzewy.

Śnieżywóróg od razu pomyślał o potoku, gdy tylko ujrzał drugi brzeg. Gnany przekonaniem, że oto odkrył nowy strumień, gotów był i na tyłku zjechać na sam dół. Nie mylił się. Obydwa strome wzniesienia przedzielał płytki, szeroki na dwie ludzkie stopy potok.

Kucnął. Zanurzył palce w zimnej wodzie. Nachylił się jak zwierz i napił. Zamknął oczy. Wsłuchiwał się w melodię strumienia. Niczego więcej mu nie było trzeba.

Sapanie psa sprowadziło go na ziemię.

– Zamknij pysk! – skarcił Płowiaka.

Przeszedł się w górę strumienia aż napotkał na wielki, ciemny głaz wystający z brzegu, porośnięty zielonym mchem. Przyjrzał mu się z każdej strony. Zastanowił

się, skąd się biorą takie głazy w ziemi. Druidzi mówili, że to dzieło Czwórki, jak i cały świat. Śnieżyrog chciał jednak znać szczegóły. Nieraz zamęczał ich pytaniami, będąc jeszcze dzieckiem, co na ogół kończyło się besztaniem, skargą u babki albo laniem.

– Wszystkie leśne strumienie mają takie wysokie brzegi? – zapytał sam siebie. – Ile w ogóle ich jest na świecie? I jaki on wielki? – Wszystko to interesowało go bardziej niż codzienne życie w Widłokach.

Wolał siedzieć w lesie. Tu nie tylko mógł dumać nad tym, dlaczego klon ma liście rozłożyste i spiczaste, a dąb zaokrąglone i kształtem przypominające gruszkę. Przede wszystkim zaznawał w lesie błogiego spokoju. Stary bór, w którym każde drzewo musiało być starsze nawet od jego baki, był lepszym towarzyszem niż ludzie. W jego gąszczu czuł jakby jakaś niewidzialna siła wszystkie troski, zmartwienia i gniew nimi powodowany, uprzątnęła niczym miotła brud. Mógłby przysiąc, że gdy tylko przekraczał bramę lasu, którą stanowiły dąb z miłorzębem rosnące naprzeciw siebie, zmieniał się jego duch. Gdy porównał siebie w borze ze Śnieżyrogiem w Widłokach, zdawało mu się, że to dwaj obcy ludzie. W lesie czuł się bliższy sam sobie.

– Powinienem podziękować tej dziewczce, że mnie do lasu wygnała – zakpił sam z siebie.

W istocie. Drugim, nie mniej istotnym powodem przeprowadzki z nad strumienia do lasu, była chęć ucieczki przed córką wodza. Następnym był fakt, że odkąd Deszczylis zamieszkał z Niebołan, nie widywali się tak często, jak jeszcze na wiosnę tego samego czterocyklu. Nie miał jednak przyjacielowi tego za złe. Cieszył się, że chociaż jeden z nich żyje po swojemu.

Zazdrościł mu jedynie, że ten wziął to, co chciał nie oglądając się na innych. Marzył o tym samym, choć zdawał sobie sprawę, że nie był ani tak silny, ani tak odważny. Nieraz się za to ganił. Nieraz wyobrażał sobie, jak staje przed Totemem i oświadcza wszem i wobec, że córki Szarugila nie chce i za żonę nie weźmie. Jednak gdy tylko próbował myśl przekuć w czyn, zawsze kończyło się zaniechaniem. Ruszał w stronę Totemu z zadartą głową i wypiętą piersią do przodu.

W połowie drogi kark giął się pod ciężarem wątpliwości. Pierś nie chciała iść na czele. Plecy zwijały się w kłębek. Przechodził obok okazji. I tak było co dzień. I co dzień łudził się, że jutro będzie inaczej.

Przeskoczył przez skromny strumień. Wdrapywał się w górę brzegu jeszcze bardziej stromeego niż ten, po którym zszedł. Płowiakowi spodobał się ten pomysł. Ruszył w górę jak wystrzelony z procy.

Pokonanie stromej ściany wymagało nie lada skupienia. Głowa, zamiast grzęznąć w ponurych myślach niczym w bagnie, wyszukiwała krzewy, za które mógł się złapać i oceniała grunt pod nogami. Ciało, zamiast przybierać postać z wspomnień nieudolności, garbić się i wlec w po ziemi jak ciągnięty trup, dostosowywało pozycję do stromeego podejścia. Schylało się, aby łatwiej mogło zapanować nad własnym ciężarem. Łapało za korzenie i drzewa, stawiało stopy na wystających z brzegu kamieniach.

Gdy stanął na szczycie, po uciążliwych zmaganiach z własną bezsilnością nie było śladu. W lesie mógł ochłonać, nie kalać oczu ludzkimi gębami, a cieszyć je widokiem drzew, skał i wszystkich kolorów starego boru. Zamiast gładzenia o rzeczach, które nic go nie obchodzą, słuchał dziecięcia bijącego dziobem o drzewo, śpiewu wilgi, słowika i jarzębatki.

Czuł się inny. Zmienił siebie jak ubranie. W niczym nie przypominał sobie Śnieżyroga, z jakim obcował na co dzień. Jak to możliwe, że może nim być, a jednocześnie obserwować go jak kogoś innego? Jak to jest, że ów Śnieżyróg może przeobrażać się w różne osoby? Szedł przed siebie i głowił się dla czystej przyjemności. Zatapiał umysł w pytaniach jak zęby w soczystym, rumianym mięsie z różna.

Czuł się lekki. Przynależby, że zamiast kości miał pióra.

Było to to samo uczucie, jakie towarzyszyło mu, gdy wymyślił koło młyńskie; gdy razem z Deszczylisem dotarli do źródeł potoku; gdy pierwszy raz z bliska przyjrzał się łodziom Stalookich. Doświadczenie czegoś nowego, świeżego i najistotniejszego w świecie.

Poczuł, jak go coś drapie po czole. Odszkoczył jak przestraszony kot. Straciwszy zupełnie poczucie czasu, siebie i świata dookoła, zawadził głową o cienką gałązkę.

Przyjrzał się, gdzie wylazł. Miejsce nie różniło się specjalnie od innych części lasu. Poza tym, że było tu znacznie ciemniej. Strzecha koron drzew niemal całkiem zakrywała cieniem ściółkę. W pobliżu nie było psa. Nie słyszał też, aby swoim zwyczajem buszował gdzieś w krzakach.

– Płowiak! – zawołał, a potem zagwizdał. Powtórzył ze trzy razy, zanim usłyszał czworonoga. Psina przybiegła. Usiadła na tyłku. Sapała z wywalonym jęzorem. Patrzyła na Śnieżyroga uradowana.

Pogłaskał czworonoga.

– Trudno mieć do ciebie pretensje, żeś głupi...

Słowa te zjawily się same, jakby ktoś inny wypowiedział je za niego. Dały mu do myślenia. W sumie to dlaczego tak na siłę chce upodobnić się do Deszczyliisa? Jego domeną jest głowa, nie zaś odwaga i siła. To tak jakby lis miał pretensje do siebie o to, że nie jest niedźwiedziem.

Deszczyliis dla Niebołan poświęcił swą matkę i siostry, to i Śnieżyróg też wyrzec się paru rzeczy może, aby popłynąć z nurtem Sierpicy. Przecież nie złamie się jak gałązka, gdy poślubi córkę Szarugila. To, że głupia, to nawet i dobrze. Płowiak też do bystrych nie należy, ale gdy trzeba, to się słucha. Gorzej, gdyby była równie przebiegła jak ojciec.

Ożeni się córką wodza, zbrzuchaci ją, a potem wypłynie. A gdy to się stanie, śmiesznymi wydadzą mu się chwile gniewu i marzenia o domku na drzewie... Jak wypłynie, wszystko się odmieni.

*

Wrócił do Widłok w dobrym humorze. Nawet życzliwszym okiem patrzył na pobratymców, a i ucho nie drażnił już tak mocno ich ciągły bełkot. Uśmiechał

się do nich, pozdrawiał i zatrzymywał, aby przez chwilę pogadać.

W domu, oprócz babki, zastał Szarugila. Przywitał się z nim wielce serdecznie. Po jego surowej gębie domyślił się jednak, że wódz nie jest w najlepszym humorze.

– Gdzieś był? – zapytał.

– W lesie.

– Czyżbyś zmienił miejsce dumania?

– Nie, tak mnie jakoś naszło, żeby iść do lasu.

– Piórosen cię szukała – wtrąciła się babka.

Wnuk spojrział na nią jakby zaskoczony faktem, że staruszka potrafi mówić ludzkim głosem.

– W zimie zostaniecie zaślubieni – rzekł Szarugil. – Warto, abyście spędzili ze sobą więcej czasu.

– Jutro odwiedzę ją z samego rana – odparł Śnieżyróg z uśmiechem.

Szarugil zmrużył oczy.

– Coś ty taki... taki wesoły, że aż do siebie niepodobny?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Aż taki ze mnie ponurak?

Szarugil nie wiedział, czy młodzieniec ma szczęśliwy dzień, czy zwyczajnie sobie kpi.

– Słyszałem, że ostatnio nad strumieniem towarzyszyła ci branka Deszczyliśa – rzekł surowo.

– Deszczyliśa mnie poprosił, to mu pomogłem. Zabrał pod Kotlasy rodziny Bazigrada i Dziegciółka. Chwalebny uczynek – dbać o rodziny poległych współplemieńców! Nie chciał wziąć dziewczyny. Wolał oszczędzić jej widoków spalonej osady.

– Chwali się, że przyjacielowi z pomocą przychodzisz, ale ktoś może źle odebrać twoją pomoc...

– Kto?! – oburzył się Śnieżyróg. – Dzięki mnie ludzie mąkę na chleb mają łatwiej niż przedtem, moim fortem Kotlasy zdobyto i ktoś jeszcze śmie mnie brać

na języki?! Ludzie to jednak gnidy! Żeby z pomocy okazanej przyjacielowi...

– Piórosen – rzekł wódz surowo. Nie wyglądał, jakby dał się nabrać na wybuch młodzieńczego gniewu.

Śnieżyróg złapał się za głowę. Udał zdziwienie najlepiej jak mógł. W środku miał ochotę pęknąć ze śmiechu.

– Nie pomyślałem.

– A powinienes – wódz rzekł surowo i dobitnie.

– Mówiłam ci, żebyś to zrobił – zbeształa go babka. – A ty wolałeś łązić gdzie nie wiadomo za...

– Już do niej idę! – rzekł z zapałem, jaki Szarugil uświadczył na jego twarzy, gdy pod Kotlasami młodzieniec zachwycał się łodziami Stalookich.

– Czekaj! – Szarugil zatrzymał młodzieńca, gdy ten stanął przy drzwiach. – Teraz jest zajęta. Matce pomaga. Przyjdiesz jutro z rana.

Śnieżyróg kiwnął głową.

– Potem popłyniesz ze mną na drugi brzeg Sierpicy. Pomożesz mi wybrać dobre miejsce na nową osadę.

– Dobrze – odparł młodzieniec z wymuszonym uśmiechem.

DRUGI BRZEG

Powiniem ci powiedzieć o tym wcześniej. – Śnieżyróg zakończył tłumaczenie się swej przyszłej żonie z czasu spędzonego z branką Deszczylisha.

O dziwo przyjęła jego wyjaśnienia, jakby tłumaczył się ze zwykłej błahostki. Właściwie słowem nie wspomniała o Niebołan. Być może bursztynowy wisiołek, który wręczyła mu babka i kazała dać Piórosen, zrobił swoje.

Siedzieli przed chatą jej rodziców, na widoku całego plemienia, aby wszem i wobec jawnym było, że przyzwoitości w niczym nie uchybiają.

– A odpowiedź znalazłeś? – zapytała.

– Jaką odpowiedź?

– Dlaczego wiatr ogień wznieca?

– Nie.

– Szkoda... Taki jesteś bystry. Myślałam, że znajdziesz.

Przebiegle prowadziła rozmowę. Ojciec musiał ją poinstruować. Tak przynajmniej mniemał Śnieżyróg.

– I jam jest bezradny wobec niektórych pytań – rzekł chytrze.

– Szkoda.

– Niestety odpowiedź może na zawsze pozostać tajemnicą. – Zasmuciły go nieco własne słowa. Fakt, że cokolwiek mogło skrywać przed nim swe prawdziwe oblicze, którego nigdy nie odgadnie, napawało go poczuciem beznadziei.

– Zezliło cię? – zapytała wyraźnie przejęta. Przypomniała mu w tej chwili jego babkę, gdy chleb z pajęczyną przyłożyła mu do rozciętej łydki.

– Niby czemu?

– Taką minę dziwną masz, jakby co ci zalało za skórę...

– Nie lubię nie wiedzieć.

– Chciałbyś wiedzieć wszystko?

Czuł, że znowu daje się wciągnąć. I znowu był z tego powodu na siebie zły. Szarugil naprawdę musiał córkę dobrze przyuczyć.

– Nie wiem, ile to jest wszystko. Świat więcej tajemnic skrywać może niż jest drzew w lesie. Nie wiem, czy by człowiekowi starczyło życia, aby wdrapać się na wszystkie... A ty czego chcesz?

– Przynieść chlubę rodzicielom, mieć dobrego męża, zdrowe dzieci, wychować je na porządnych ludzi, na starość patrzeć na dorastające wnuki i zostawić im lepsze Widłoki niż te, w których dorastałam – wyrzekła bez zajknięcia. – I chciałabym być jeszcze zasłużyć sobie na ludzki szacunek jak twoja babka.

– Czyli jesteś jak każdy w osadzie.

Spojrzała na niego krzywo. Pierwszy raz, odkąd zostali zeswatani, widział jej gniew.

– Niby co w tym złego?! – uniosła głos.

– Nic. Powiedziałem tylko... To jak stwierdzić, że jastrząb ma zakrzywiony dziób i lata w przestworzach. Dobro i zło nie mają z tym nic wspólnego.

Słowa przyszłego męża nie wydały się jej przekonać. Założyła ręce na siebie. Policzki jej spulchniały.

– Gdyby wszyscy byli takimi dziwolągami jak ty, to już dawno byśmy wymarli! – burknęła pod nosem.

Uśmiechnął się jak do ulubionych wspomnień. Dziwoląg. Spodobało mu się to określenie jego osoby. Po przyszłej żonie nie spodziewał się niczego, poza tym, że małżeństwo z Piórosen pomoże mu w wymarzonej wyprawie. Rad był wielce, gdy odkrył, że z dziewczki jest dodatkowy pożytek.

– Co się śmiejesz?

– Podoba mi się to, że nie ugryzłaś się w język.

Z policzków dziewczyny zeszło trochę powietrza.

– Mówisz tak tylko po to, żeby mnie udobruchać.

– Dobrze wiedzieć, że można cię udobruchać. Dobrze, że nie jesteś zawzięta i uparta jędrza.

Policzki powędrowały się ku ciemnym oczom dziewczyny. Podniósł je uśmiech. Drobne palce powędrowały do bursztynowego wisiorka. Pocierały kciukiem i palcem wskazującym o złotobrazową kulkę zastygłej żywicy.

Przynajmniej nie dąsała się zbyt długo. No i jakoś Śnieżyróg mógł wysiedzieć w jej towarzystwie. Takie rzeczy mogły się okazać przydatne we wspólnym życiu.

– Wydajesz się bardziej pewna siebie, niż gdy rozmawialiśmy ostatnim razem.

– Na początku zawsze jest najtrudniej i się człowiek trochę boi... Jak się przyzwyczai, to zwawiej mu idzie. Ty też nie jesteś taki... Taki dziwoląg jak wtedy.

– Źle ci było w moim towarzystwie?

– I to jak! – palnęła i złapała się za usta. Powiedziała za dużo. Poczzerwieniała ze wstydu. Widać nie była zadowolona z rozmiarów swej szczerości. – Przepraszam.

– Nie chowam urazy.

Zapanowało milczenie. Spojrzała na przyszłego męża i odwróciła wzrok. Przypominała mu mysz wyściubiającą nos ze swej nory, aby upewnić się, czy kota nie ma w pobliżu.

Odchrząknęła. Bawiła się wisiorkiem.

– Mówże co – rzekła zniecierpliwiona.

– A o czym?

– Wszystko jedno.

Pod stopami walały się zbrązowiałe, wyschnięte igły modrzewiu. W powietrzu czuć było coś jak jaja węża. Śnieżyróg zastanowił się, co by było, gdyby tak Szarugil niechcący nadepnął na żmiję. Uśmiechnął się do tej wizji. Patrzył z zaciekawieniem, gdzie wódz stąpa.

– Tam! – Szarugil wskazał prześwit między drzewami, przez które wlewał się wodospad słonecznych promieni.

Zaszli na miejsce. Osłonili oczy od światła. Stali na wysokim, gęsto porośniętym drzewami wzgórzu, na drugim brzegu rzeki. Rozciągał się przed nimi widok na śmiesznie małe Widłoki.

– I co myślisz? – zapytał wódz.

– Trochę daleko.

– To wzgórze jest najbliższe Widłokom.

– Nie lepiej zbudować przy brzegu rzeki? Tak łatwiej będzie o kontakt między osadami.

– Za to z góry łatwiej zagrożenie wypatrzeć.

– Tu wszędzie dokoła ciemny bór. Jakby wróg jaki szedł, to i tak się nie dojrzy. Za to osadę na gołym wzgórzu od razu wypatrzy.

– Ale łatwo jej nie zdobędzie.

– Na wykarczowanie tego wzgórza jednego czterocyklu nie starczy.

– Mamy czas. Nie zapominaj, że teraz to nasza ziemia.

Deszczylis schował obie ręce za plecy. Zmrużył oczy.

– Ja bym budował nad brzegiem.

– Przekonaj mnie do tego – rzekł Szarugil pobłażliwie.

– Łatwiejszy kontakt między osadami.

– To już mówiłeś.

– Można by przekopać fosę dookoła osady i zalać ją wodą z rzeki. Wtedy nikt nawet nie pomyśli o ataku. Wpierw będzie musiał przepłynąć przez wodę, a wtedy nasi łucznicy ustrzelą go jak sarnę.

Szarugil zmarszczył czoło. Widać było, że jego rozum stara się sobie wyobrazić obraz narysowany słowami młodzieńca.

– A jak się ludzie dostaną do lasu albo pól?

– Zrobi się kładkę w jednym miejscu. Najlepiej taką, żeby tylko jeden wóz mógł przez nią przejechać. Jakby nie dało się jej wyciągnąć na brzeg, wtedy atak w jednym miejscu się skupi, a wrogowie znowuż będą łatwym celem dla łuczników.

– Skąd ty bierzesz te pomysły? – zapytał osłupiały Szarugil po chwili milczenia.

Śnieżyróg wzruszył ramionami.

– Z głowy – odparł zadowolony. Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Miał nadzieję, że to koniec i będzie mógł schować się w lesie, gdy wrócą do Widłok.

– Po naszych przodkach została ta osada – rzekł wódz po chwili. – Teraz nam przyjdzie zostawić po sobie coś dla potomnych.

– Dlatego chcesz nowej osady?

– Też – odparł zapatrzony w Widłoki. – Trzeba się jakoś odwdzięczyć plemieniu, nie uważasz?

Śnieżyróg przewrócił oczami.

– Rybak łowiący ryby, myśliwy przynoszący zwierzynę, woj strzegący osady, baby zbierające grzyby i szyjące ubrania – wszyscy oni to robili po to, żebyś mógł sobie siedzieć nad wodą, dumać i wymyślać.

– Robili to dla siebie – odparł Śnieżyróg.

– Tak, dla siebie i dla swego potomstwa. Mój ojciec tak robił, ja i twoja babka, która gotowa jest przeczołgać się przez gniazdo żmij, żeby ci choć trochę nieba przychylić. I oni wszyscy rozumieli, że najlepiej będzie się ich synom i córkom wiodło, gdy wszyscy w zgodzie ze sobą pracować będą. Dlatego nie ma tu chat osobnymi murami oddzielonych. Są jedne Widłoki i jedna palisada je otacza.

Robiąc coś dla innych, robisz to dla siebie. I ciebie też się to tyczy. Wiezę żeś obmyślił, żeby okryć się chwałą...

– Wymyśliłem, bo mi kazałeś.

– Doprawdy tylko dlatego?

– Deszczyliś walczył. Nie chciałem, żeby skończył jak jego ojciec.

– Widzisz? Robiłeś coś dla drugiego człowieka, dla kogoś, na kim ci zależy.

Oprócz niego skorzystali inni na twym dziele. Czwórka wie, ile pobratymczych dusz zawitałoby do Niewyśnionej Krainy, gdyby nie ty! I teraz słusznie ludzie z szacunkiem na ciebie patrzą i bohaterem nazywają. Robiąc coś dla innych, zrobiłeś i dla siebie.

Śnieżyróg miał ochotę ziewnąć.

PROŚBA

Siapi – rzekł druid Miodołość i zaparł drzwi.

– Deszcz się przyda – odparła jego żona. – Ziemia ostatnio sucha jak gałąź odcięta od drzewa.

Mąż usiadł na stołku. Żona nabrała zupy z kotła do drewnianej miski. Burzykos ożywił się w kącie rozochocony zapachem stawy.

– Już ci daję – powiedziała Wilczybrzask.

– Ja to zrobię – odparł Miodołość.

– Nie musisz.

Nie usłuchał. Uśmiechnął się. Zmrużył oczy. Kiwnął głową. Wziął miskę i zajął się karmieniem Burzykosa. Nabrał zupy na drewnianą łyżkę. Podmuchał i podsunął uradowanemu niedołodze pod usta.

– Siapi, ludzie w domach siedzą to i nic się takiego nie wydarzy...

– Do czego zmierzasz? – zapytał mąż.

– Ostatnio wydarzyło się więcej niż trzeba – rzekła wyraźnie poruszona. – Aż mi się po nocach wódcz z synem śnili! Widziałam ich przez ściany, jakby belek nie było a strzecha na samym powietrzu się opierała. Dudnili w drzwi i pytali, czy kto jest w domu.

Mąż uśmiechnął się pod nosem. Już ze trzy razy opowiedziała mu ten sam sen. Jednak wysłuchał go nie mniej uważnie niż za pierwszym razem.

– Żeby tylko ich duchy tu nie przyszły.

– Wątpię, żeby Czwórka kazała im się tułać po tym świecie bez ciała – odparł spokojnie.

– To czemu mi się to śniło?

– Boś ich śmierć widziała. Jak Prawdzirak zmarł, to i też mi się we śnie ukazał.

– Może to jaki znak?

– Bo ja wiem? Po co Czwórka miałyby do snu znak zsyłać jak niebo całe i świat ma we władaniu?

– To po co w ogóle nam się cokolwiek śni?

Mąż wzruszył ramionami.

– Ktoś prędzej czy później się dowie. Ludzie nie wiedzieli, skąd potok wypływa, dopóki Deszczylis ze Śnieżyrogiem do jego źródeł nie dotarli.

Burzykos zjadł wszystko. Miodołość wytarł mu lnianą chustą. Wziął stołek i przysiadł się do żony.

– Coś taka markotna? – zapytał obejmując ją ramieniem.

– Czas niepewny, to i baba się boi...

– Najgorsze za Widłokami! Teraz będzie tylko lepiej.

– Myślisz?

– Mój dziad zwykł mawiać: „Nie patrz zbyt długo za siebie ani w górę głowy nie zadzieraj. Wzroku też pod nogi nie wlepij. Patrz przed siebie, bo inaczej jeszcze łbem o gałąź zawadzisz”. Ponura pogoda to i ponure myśli człowieka nachodzą. Pogoda się zmienia, myśli też. Nie ma co się do nich przywiązywać powrozem. – Potrząsnął jej ramieniem jakby chciał strącić z żony ponure myśli niczym jabłko.

Uśmiechnęła się.

– No! I już przed siebie patrzysz! Całkiem nietrudne, co? Ze zniwami daliśmy sobie radę jak woje poszli na Kotlasy, to i teraz nie położymy się plackiem. Jak...

– Ktoś idzie.

Przez łagodny deszcz szeleszczący na strzechach i ubitej ziemi dało się usłyszeć szybkie, zdecydowane kroki. Ustały po chwili. Zastąpiło je pukanie do

drzwi.

– Jest tam kto? – zapytał donośny męski głos.

– A kogo to niesie? – zawołał Miodołość.

– Deszczylisa! Przepraszam, że tak nachodzę! Sprawę mam do ciebie, druidzie!

Wilczybrzask zbladła jakby pijawki wysączyły z niej całą krew. Spojrzała błagalnie na męża. Jej oczy prosiły, aby nie otwierał.

– Nie bój się – szepnął jej do ucha.

Wziął nóż i wsunął go za pas na plecach.

– Już idę! – uprzedził gościa.

Otworzył drzwi. Deszczylis pokłonił mu się z szacunkiem. Ręce trzymał złożone przed sobą. Przybrał pokorną minę, niczym urwis odpowiadający przed ojcem za swoje postęпки.

– Słucham.

– W cztery oczy chciałem porozmawiać.

– Zaraz wracam – rzekł Miodołość odwracając się do żony. Wyszedł z chaty. Zamknął drzwi. – Mów. Byle nie za długo, żebyśmy nie zmarzli na deszczu – dodał żartobliwym tonem.

Deszczylis zmienił postawę. Ręce swobodnie zwisały po bokach. Plecy wyprostowały się jak włócznia mierząca w niebo. Oczy przybrały nieugięty wyraz.

– Chcę wziąć za żonę moją... Niebołan, takie imię nosi, takie jej nadałem. Chcę wziąć ją za żonę przed obliczem Czwórki! Proszę cię, abys przewodniczył obrzędowi.

Siąpiący deszcz nagle stał się głośny jak świerszcze podczas zapadającego zmroku. Kałuże chlpały pokarm z nieba jak nieokrzese dziecko zupę. Słomiana sierść dachów, głaskana przez deszcz, szeleściła jak jesienne liście pod nogami.

Nieugięte oczy Deszczylisa mierzyły do druida jak ramię oszczepem. Spokojny oddech z każdym wdechem nabierał ciężaru. Zmieniał się w sapanie byka.

– Jaka jest twoja odpowiedź? – zapytał hardo.

– Muszę zapytać wielkiego druida – Miodołość odparł spokojnie.

– Czemu?! Prawo Czwórki nie zabrania brać żony spoza plemienia! A ona już nasze imię nosi!

– Prawo Czwórki w ogóle o czymś takim nie mówi.

– No właśnie!

– Zatem słuszność twojej prośby jest sprawą otwartą. Nie wiem, co o niej sądzić.

– I dlatego potrzebujesz rady Widłosiewa?!

– Nie. Jestem mu winien posłuszeństwo jako wielkiemu druidowi. Samowola w tej kwestii mogłaby oznaczać wystąpienie przeciw Prawu Czwórki.

– Wymówki! Boisz się wprost odmówić?! Obaj dobrze wiemy, że Widłosiew nigdy się nie zgodzi! Widziałeś, jak jątrzył przed Totemem, gdy Szarugil wodzostwo obejmował?!

– Choćbym stał ramię w ramię z twoją sprawą, i tak musiałbym wpierw zapytać wielkiego druida. Prawa Czwórki nie można używać jak koszuli i przywdziewać wedle uznania.

Deszczylis zacisnął pięści. Wiedział, że druid ma rację.

– Zapomnij! Znajdę kogo innego! Kogoś, kto nie jest tchórzem! A jak trzeba będzie, to sami ślub weźmiemy przed obliczem Czwórki!

– Błuźnisz. Czwórka po twojej stronie opowiedziała się przed Totemem. Nie dawaj Jej powodów do odebrania ci łaski.

– Zapomnij! – warknął. – Jeśli komukolwiek zdradzisz, com ci powiedział, zabiję! – Odszedł w deszcz. Zdawać by się mogło, że Deszczylis nie stawia kroków, tylko depcze zaskrońce.

Miodołość odetchnął. Podziękował Czwórcę za deszcz. Ludzie siedzieli w domach i nie było nikogo, kto stanąłby rozsierdzonemu Deszczylisowi na drodze.

Wilczybrzask podsłuchiwała. Gdy otworzył drzwi, zastał ją w progu całą roztrzęsioną. Objął żonę. Trzymał blisko przy sobie, dopóki jej ciało nie przestało drżeć.

Usiedli.

– Powołuje się na Prawo Czwórki a grozi Jej słudze! – syknęła gniewnie. – Jego buta nie zna granic! Wpierw przez obcą dziewczkę krew rozlewa, potem jeszcze...

– Nie mów nikomu.

– Jeszcze mi życie miłe!

– Powiedział to w gniewie.

– W gniewie też zabił!

– To co innego. Ja mu branki odebrać nie chcę.

– A bo to jemu powód potrzebny? Zabił dwa razy, to i jeszcze...

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Spokojnie – rzekł czule. – Nie ma go tu. Poszedł sobie.

– Ale wciąż w Widłokach siedzi! A póki tak jest, póty spokoju...

– Uspokój się! – podniósł głos.

Usłuchała.

– Nie wiadomo, co Widłosiew postanowi.

– Powiesz mu?!

– Muszę.

– Nie słyszałeś, czym ci groził?!

– Wielki druid zwoła wszystkich i przekaże, co czynić należy i jakiej odpowiedzi udzielić.

– Przecież...

– Ufam Czwórcę i wierzę, że tak uczynić należy! Deszczylis jakoś to będzie musiał przeboleć. Wszystkich nas nie zabije!

– A kto go tam wie?! On uparty! Tak zwyczajnie sprawy nie zostawi!

– Pewnie i nie... Jeszcze wsparcia u Śnieżyroga poszuka, a ten Szarugilowi co szepnie.

– Same nieszczęścia tylko Widłoki przychodzą! Najazd, rozlew bratniej krwi! I temu się jeszcze...

– Z gorszymi rzeczami naszym przodkom zmagać się przychodziło i zdzierzyli, albowiem byli jak igły sosny, a nie wątłe liście!

– Wnuk Dębisroki stanie za nim, choćby i na przekór całemu plemieniu! Nic dobrego z tego nie wyjdzie!

Objął żonę ręką.

– Nie bój się. Nieszczęściom należy stawić czoło jak igły zimie. Zresztą nie wiadomo, co Deszczylis postanowi, gdy ochłonie. Młodość się zrywa jak wiatr. Czasu upłynąć musi sporo, zanim człek stałym się stanie jak nurt rzeki.

*

– Z czym przychodzisz? – zapytał sędziwy Widłosiew swego gościa, druida Miodołośia. – Siadaj! Widzę, że nie byle co musi cię trapić, bo minę masz nietęgą.

Miodołoś potwierdził mrugnięciem oczu. Nie byli sami. Oprócz nich w chacie, od której cztery ściany i dach odgradzały od rześistego deszczu, siedział Zieloryś. Spośród wszystkich druidów, on cieszył się największym zaufaniem Widłosiewa. Wszyscy w Widłokach powszechnie wiedzieli, że kiedyś zajmie jego miejsce.

– Mówże śmiało! – ponaglił wielki druid z uśmiechem.

– Deszczylis był u mnie przed chwilą. Chce swą brankę pojąć za żonę przed obliczem Czwórki. Powiedziałem mu, że wpierw muszę się ciebie poradzić.

– Całe szczęście, że nie przyszedł prosić z toporem – rzekł uszczypliwie Widłosiew.

Nie tego spodziewał się Miodołoś. Myślał, że wielki druid wybuchnie gniewem. Ten zaś przyjął jego wieści nad wyraz spokojnie.

– Mówił, że w Prawie Czwórki nie ma nic o tym, że nie można obcej brać za żonę.

– Owszem – odezwał się Zieloryś. – Ale nie ma też nic o tym, że można. Na dwojako sprawę widzieć wolno.

– Właśnie dlatego przyszedłem po radę! Prawdę mówiąc, sam już zdążyłem trzy razy zmienić zdanie, zanim próg tej chaty przestąpiłem. Chciałem odmówić, albowiem przez tą dziewczkę wiele złego się stało. Z drugiej zaś Deszczylis miał po swojej stronie Prawo Czwórki, a nim winniśmy się kierować, nie zaś naszymi pobudkami.

Z powagi na twarzy Widłosiewa niewiele dało się odgadnąć.

– Nie sądzisz, wielki druidzie, że tu o szczerść rozchodzić się powinno? – zapytał Zieloryś. – Jeśli dziewczka szczerze serce swe przed Czwórką otworzy, to czy powinniśmy jej stać na przeszkodzie?

Głowa Widłosiewa przechyliła się w lewo, potem w prawo.

– Czegoś takiego u nas jeszcze nie było – rzekł.

– Ona obca, aczkolwiek to dziewczka, więc krwi Igłasów nie przelała – rzekł Zieloryś. – Nie prosiła się między nas, jeno Deszczylis ją przywiódł. Nie prosiła, żeby krew się przez nią pod Totemem przelała. Może i dlatego też Czwórka krzywdy jej nie uczyniła? Wszak gdyby jakakolwiek wina po jej stronie leżała, już dawno spotkałaby ją sroga kara, nie sądzicie?

Miodołość spojrział na wielkiego druida. Starzec zdawał się dokładnie ważyć słowa swego ulubionego ucznia.

– Na pierwszy rzut oka twe słowa słuszne się wydają – przemówił Widłosiew. – Aczkolwiek pamiętaj, że Czwórka ma czas wyrzucić swą zemstę. A ta objawić się może niespodziewanie.

– Jeśli jednak dziewczka szczerze Czwórkę chce przyjąć, wtedy żadna krzywda spotkać jej nie powinna. Kwitna, Skwar, Słota i Zimny wiarę i posłuszeństwo w pierwszej kolejności rozpatrują. Tak przecież nauki druidów głoszą.

– Jak zatem szczerść jej sprawdzić? – zapytał Widłosiew. – Jeśli nas oszuka, wtedy cośmy za słudzy Czwórki? Wtedy nas ukarać powinna za to, żeśmy lisa do kurnika wpuścili!

– Jest sposób! – odezwał się Miodołość.

SAMA I WE DWOJE

Deszczylis, jesteś tam? – zapytał męski głos po tym, jak pukanie do drzwi nie spotkało się z odzewem. – To ja, Miodołoś! Przyszedłem z wielkim druidem i Zielorysiem.

Deszczylis wrócił zagniewany. Nic nie mówił. Próbował zachowywać się jak zawsze. Po jednym spojrzeniu wiedziała, że udaje. Coś musiało się stać. Wszedł. Powiedział, że wróci za chwilę.

Została sama. Nie pierwszy raz, aczkolwiek do tej pory nikt obcy nie dobijał się do chaty. Drzwi oddzielały ją od świata, do którego bała się wejść bez Deszczylisa. Z nim była bezpieczna. Nikt nie śmiał mu spojrzeć w oczy ani stanąć na drodze. Mogła się złapać jego ramienia i iść razem z nim bez obaw. Nie musiała unikać wrogich spojrzeń. To one uciekały przed nią.

Obce ściany i sufit stawały się swojskie. Przestała myśleć o chacie jak o miejscu, gdzie śpi. W myślach zaczęła nazywać ją naszą. Przyzwyczaiała się do niej równie szybko jak do tego, że należy do Deszczylisa.

Dla niej przelał krew. Obronił przed bydłętami, które wyciągnęły po nią łapska i chciały oddać synowi wodza. Sprzeciwił się własnej matce. Położył trupem dwóch ludzi. Porzucił rodzinny dom. Wziął ją ze sobą. Opiekował się jak ranną sarną.

Poznał ją ze swym nieco cudacznym przyjacielem i jego prześlicznym, przeuroczym psem. Zostawił ją pod jego opieką, a Śnieżyróg – choć się go trochę obawiała – okazał się godnym zaufania.

– Jesteś tam? – męski głos zapytał ponownie i uderzył kilka razy w drzwi.

Cofnęła się pod ścianę. Osunęła na podłogę. Objęła nogi. Czoło oparła o kolana. Cudzy głos zdawał się ją osaczać, jak wtedy gdy w Kotlasach, ukryta w chacie czekała...

Nie! Tego już nie ma! To sen, z którego dawno się obudziła. Ma na imię Niebołan, żyje razem Deszczylisem. On chroni ją i...

– Więc gdzie teraz jest? – szepnęła do siebie. – Obiecałeś, że będziesz mnie bronił! Więc gdzie teraz jesteś!?

– Deszczylis?!

– Nie ma go! – krzyknęła tak głośno, że niemal sama się przelękała własnego głosu.

– A to zaczekamy – odparł ten sam głos po chwili.

Ulżyło jej. Oparła potylicę o ścianę. Jakże cudownie było usłyszeć błogą ciszę, w której szeptała jedynie mżawka. Strach, co okrążył ją jak chmara komarów w lesie, uciekł przez zakamarki. Zastąpiło go rozdrażnienie. Nie byłoby kłopotów, gdyby Deszczylis nigdzie nie poszedł. Czarne myśli nie przyssałyby się do niej jak pijawka. Nie musiałyby się bać.

Nerwowo tupiała nogą.

– No przyjdźże wreszcie! – szepciem żądała i prosiła jednocześnie.

Trochę jednak musiała poczekać, zanim się zjawił. Wpierw od tupania rozboleła ją noga, a głowa od grózb, próśb i żądań. Była święcie przekonana, że to najgorszy moment, odkąd tu przybyła. Winą za to obarczyła Deszczylisa.

Gdy jego matka chciała ją oddać synowi wodza, nie do końca wiedziała, co się dzieje. Była w rozpacz po utracie życia, jakie do tej pory znała. Teraz było gorzej. Wtedy nie miała nic, dziś miała nadzieję – a ta zachwiała się od zwykłego pukania w drzwi, gdy została sama. Bez Deszczylisa jej los był równie pewny jak stąpanie po pękającym lodzie.

Wszedł razem z trzema mężczyznami do chaty. Wszyscy byli ubrani tak samo – w jasne szaty, kończące się pod kolanami, spod których wystawały portki.

Najstarszy z nich, siwy i nieco przygarbiony, wspierał się na kosturze. Każdemu na chwilę przyćmiło rozum, gdy dobrze jej się przyjrzeni.

Uczepiła się ramienia Deszczylisa. Niemal schowała się za nim jak zawstydzone dziecko.

– Wybacz, dziewczyno – odezwał się najwyższy z nich. – Mam nadzieję, że cię nie przestraszyliśmy?

– Nie – odparła szybko. Nie patrzyła w jego stronę. Przycisnęła skroń mocniej do ramienia Deszczylisa.

– Mam na imię Zieloryś – przedstawił się najwyższy z druidów. – Ów sędziwy mąż to Widłosiew, wielki druid, który nam wszystkim przewodzi. Ten zaś mężczyzna to Miodołość.

– Jestem Niebołan.

– Piękne imię.

– Deszczylis mi nadał.

– Czemu zawdzięczamy waszą wizytę? – zapytał wywołany z imienia.

– Twojej chęci poślubienia Niebołan – odparł Zieloryś.

Dziewczyna odkleiła skroń od ramienia Deszczylisa. Spojrzała na niego zaskoczona. Policzki zarumieniły mu się jak mięso na rożnie.

– Chwali ci się, że traktujesz Niebołan jak niewiastę należy i za żonę chcesz ją pojąć. Prawo Czwórki nie zdaje się stać na przeszkodzie. Szkopuł jednak w tym, dziewczyno, że wpierw musisz Czwórkę przyjąć.

Zrównała spojrzenie z druidem. Oniemiał jak Deszczylis w chacie w Kotlasach, Śnieżyróg nad strumieniem i każdy, kto dobrze jej się przyjrzał.

– Jak ma się to odbyć? – zapytał Deszczylis poirytowanym tonem. Nie uszło jego uwadze wrażenie, jakie na Zielorysiu zrobiła Niebołan.

– Zechcesz wyjaśnić, wielki druidzie? – zapytał ulubiony uczeń wielkiego druida i odkleił swój łapczywy wzrok od dziewczyny.

– Jeśli chcesz Czwórkę przyjąć, nie będziemy stać ci na przeszkodzie – rzekł Widłosiew. – Wpierw jednak musimy wiedzieć, że twa chęć jest szczerą.

Pośrednikami Czwórki jesteśmy i naszym obowiązkiem jest strzec dusz, które do niej należą. Nie możemy, ot tak, każdego przyjąć w nasze grono.

– Jak ma udowodnić swoją szczerłość? – zapytał Deszczylis.

– Przysięgą przed Totemem na oczach plemienia. Po tym nie widzę przeszkód, aby Miodołość nie mógł udzielić wam ślubu.

Wywołany z imienia skinął głową.

– Kiedy to ma się odbyć? – zapytał Deszczylis.

– Dziś pada to i nienajlepsza pogoda na zbieranie ludzi przed Totemem – rzekł Zieloryś. – Poczekajmy do jutra. Słońce wstanie to przyjdziemy do was.

– Będziemy gotowi! – zadeklarował Deszczylis z podekscytowaniem.

– Zatem wszystko mamy wyjaśnione – rzekł Zieloryś. – Zostawimy was samych.

– Dziękuję, że przyszliście – rzekł serdecznie Deszczylis. Pokłonił się każdemu z druidów. Najniżej przed Miodołościem.

Zostali sami.

Stała ze splecionymi dłońmi przed sobą. Twarz barwy jasnego miodu pokrywał czerwony jak mak cień radości. Zamrużyła oczy. Otworzyła je i wymierzyła w Deszczylisa. Złowiła jego wzrok jak rybę w sieć.

– Nie rzucasz słów na wiatr – powiedziała.

Radość biła od Deszczylisa jak ciepło od rozgrzanego żelaza. Stopiłby najgrubszy lód, gdyby tylko przyłożył do niego policzek.

Złapał ją w talii i z łatwością podniósł wysoko. Zapiszczała. Sprowadził ją na ziemię. Przeleciał nosem jak ptak nad złotymi łanami jej włosów. Wciągnął w nozdrza ciepły zapach rumianku i pokrzyw.

– Czemu ten ma nam ślubu udzielić? – zapytała.

– Miodołość? Albowiem jego prosiłem.

– Czemu zo... czemu wyszedłeś, ledwo wróciłeś?

– Nie chciałem, abyś widziała mnie rozgniewanego. Ojciec pouczał mnie, abym wściekłości nie przynosił ze sobą do domu. Lepiej iść lasu, połamać gałęzie,

przekleństwa i gniew powierzyć drzewom, niż złość przynieść do chaty, aby kto bliski przypadkiem stał się jej ofiarą.

– Czemuś był rozgniewany?

– Miodołość nie zgodził się od razu. Rzekł mi, że wpierw musi się poradzić wielkiego druida. Spodziewałem się, że Widłosiew odmówi... Żle go oceniłem.

– Ci mężczyźni... Oni to opiekują się synem...

– Tak.

– Nie boisz się?

– Prawo Czwórki stało po mojej stronie. Jeśli Sianokarp dorośnie i będzie chciał się mścić, stanę z nim do walki.

– Zabijesz go?

– Nie wiem! Nie będę się teraz martwił o takie rzeczy!

– Ale...

– Nie pytaj mnie o to! – podniósł głos.

Oczy otworzyły się jak kwiaty w szczere południe. Rosa wyszła na wyszła na powierzchnię kielichów. Powieki dziewczyny capnęły wzrok Deszczyliisa jak lis zająca.

Pociągnęła nosem. Dwa kręgi zieleni spikowały w dół jak jastrząb za kurą. Różowe wargi niemal schowały się do ust.

– Przepraszam, że się martwię. Bez ciebie jestem tu zupełnie sama. Boję się o ciebie, o siebie i...

Objął i pogłaskał po głowie. Czołem spoczęła na jego obojczyku. Dłonie splotła wokół torsu przyszłego męża.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął jej do ucha. – Obiecałem cię chronić i tak będzie. Wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

– Wiem... Twe słowa poprzedzają czyn jak błyskawica grom. Jeny innych... Znaczą twoich pobratymców się boję.

– Oni boją się mnie! Zresztą jutro sami się przekonają, że z Woli Czwórki tutaj jesteś.

- No tak jutro...
- Będę przy tobie. Nie ma czego się bać.
- A jak Czwórka mnie nie zechce?
- Uwierz mi, zechce. Nie mam co do tego wątpliwości. Inaczej nie postawiłaby cię na mojej drodze.

PRÓBA SZCZEROŚCI

Nazajutrz rano Zieloryś przyszedł po Niebołan i Deszczylisa. Druid wytłumaczył dziewczynie, na czym cały obrzęd będzie polegał. Przeprosił też, że wczoraj od razu wszystkiego nie wytłumaczył. Deszczylis zapewnił, że nie mają mu tego za złe. Niebołan przytaknęła.

Była cała roztrzęsiona ledwo otworzyła oczy, nie mogła usiedzieć na miejscu ani powstrzymać się od obgryzania paznokci, ale Deszczylis wszystkiemu zaradził. Wciągał ją w rozmowę, opowiadał o najbardziej upokarzających chwilach z czasów, jak był małym dzieckiem, wymieniał najzabawniejsze historie sąsiedzkich waśni, przypadki najgłupszych ludzi w plemienu i słowem wszystko, co tylko przyszło mu do głowy, a prowadziło do śmiechu. Nie dał jej okazji martwić się zbyt długo. Odganiał strach jak watahę wilków pochodnią.

Dopiero gdy stanęła pod Totemem, wokół którego zgromadził się tłum obcych, może nawet nienawidzących ją ludzi, którzy zabijali jej braci, gwałcili siostry, brali współplemieńców w niewolę, dotarło do niej, że jest jedynie branką. Strach położył lodowate dłonie na jej ramionach. Czuła się jak złapany zwierz w drewnianej klatce ze wszystkich stron szturchany kijami.

Deszczylis ścisnął jej dłoń aż zabolęło. Uśmiechnął się. Przypomniał, że jest przy niej. Na tłum swych pobratymców spojrzął jak wilk na obcą watahę, co zbliża się do jego terenu.

Przemówił wielki druid.

– Ludzie! Zwołałem was tutaj, albowiem nasz pobratymiec, Deszczylis, chce tę oto niewiastę pojąć za żonę przed Obliczem Czwórki.

Szepty i szmery rozeszły się po tłumie jak fale po powierzchni stawu. Ludzie spoglądali ku wodzowi, obok którego stał Śnieżyróg. Szarugil przyglądał się druidowi ze spokojem skał, co czasy starsze od ludzi pamiętają. Młodzieniec zaś nie krył podejrzliwości. Miał ślinę w gębie, jakby przygotowywał się do splunięcia.

– Każde z was różnie zapatrywać się na to może, ale niech nie zapomina, że nasze zapatrywania nie stoją ponad Prawem Czwórki! Ono decyduje, czego się wystrzegać i jak czynić należy! Kwitna, Skwar, Słota i Zimny dali nam Prawo, z którego wszystkie nasze obyczaje wypływają jak ze źródła. One stanowią koryto, przez które płynie nasza rzeka życia. Kto przeciw Prawu występuje, tego sroga kara spotyka, choćby był druidem czy wodzem.

Cisza przykryła lud niczym śnieg ziemię w srogi mróz. Igłasi zastygli w miejscu niczym skuci lodem. Każdy czekał, co wielki druid powie.

– Deszczylis nadał tej oto niewiaście nasze imię. Dziewczyna zwie się Niebołan i Czwórkę chce przyjąć. Niejeden z was dziwić się może, dlaczego obcą w nasze grono przyjąć ma, ale niech pamięta, że o tym decyduje Czwórka! Ona to sprowadziła tu tę niewiastę! Ona stanęła po stronie Deszczylisa, gdy bronił Niebołan! I tylko Czwórka ma prawo decydować, czy dziewczyna jedną z nas, czy nie!

Wola tłumu zdawała się wpłynąć w koryto wyrzeźbione słowami wielkiego druida. Nikt głosu nie zabrał, nikt się nie sprzeciwił, a i szepty były ciche jak mysz przemykająca obok śpiącego kota.

– Każdy z was, moi pobratymcy, powinien zapytać sam siebie: czy gdy kto między obcymi się urodzi, a pozna wspaniałość Czwórkę i szczerze pragnie Ją przyjąć, żyć podług Jej nauk i wiernie służyć Kwitnej, Skwarowi, Słocie i Zimmemu, to czy ktokolwiek ma prawo stanąć między nim a Czwórką? – Zrobił pauzę, aby przyjrzeć się zadumie pobratymców. – Pewnie każdy z was się

zastanawia, skąd wiedzieć mamy, czy aby na pewno zamiary niewiasty są szczerze? Chwała, mądrość i zaradność Czwórki i w takich sytuacjach się objawia! Niebołan przysięgnie na Totem wierność Kwitnej, Skwarowi, Słocie i Zimnemu, a Czwórka ją ze szczerości osądzi!

Lud cisnął się bliżej Totemu. Każdy chciał widzieć jak najlepiej, co zaraz nastąpi. Czy Czwórka dziewczkę ukaże? Czy z jasnego nieba oszczepem piorunu ciśnie w obcą i spopieli ją na proch? Czy ziemia się pod nią zapadnie, a potem zamknie jak niedźwiedzia paszcza i przepołowi niewiastę? Czy też nic się nie stanie. Co by miało nie być, tłum chciał widzieć. Skradał się bliżej jak kot do nieopatrnie zostawionego mięsa.

Niebołan rozglądała się zdeorientowana. Wszystko jawiło jej się jak sen, w którym ptaki fruwały po ziemi a ryby pływają w niebie.

Deszczylis ścisnął jej dłoń.

– Pamiętaj, że Czwórka w twojej obronie stanęła i dała mi zwycięstwo! – szepnął. – Bądź zdecydowana! Nie wahaj się! Lud ugnie kark przed siłą! Wierzę w ciebie!

– Stań przed Totemem – rozkazał wielki druid.

Jak wyjaśnił jej Zieloryś, jedną rękę położyła na sercu, drugą na Totemie.

– Czy przysięgasz, że szczerze pragniesz Czwórkę przyjąć i wiernie Jej służyć? Tłum wstrzymał oddech.

– Przysięgam na Totem, że szczerze pragnę Czwórkę przyjąć i wiernie jej służyć! – zagrzmiała tak, aby nie tylko całe Widłoki, ale i ptaki nad osadą, ryby w Sierpicy, wiatr, chmury i słońce ją usłyszały. – Niech Kwitna, Skwar, Słota i Zimny rozliczą mnie z mego słowa!

Wszystko się zatrzymało. Rzeka czasu, co młyn wydarzeń napędza, jakby przestała łać wodę w koło. Lud zastygł jak w zatopiony żywicy. Świat umilkł wkoło.

Nic się nie stało. Niebo było takie same. Totem dalej stał na miejscu. Ziemia nawet nie drgnęła.

– Czwórka objawiła swą Wolę! – zakrzyknął Widłosiew. – Sami widzicie, że Niebołan między grono swych sług przyjęła!

Deszczylis spojrzął po tłumie. Z zaczepnym uśmieszkiem szukał między nim śmiałków, którzy by śmieli się sprzeciwić. Głowy były przed nim pokłony. Jedna zaś śmiała mu się w twarz. Śnieżyróg, bo któżby inny, cieszył gębę do swego przyjaciela. Głupawy uśmiech, niczym pszczoła z kwiatka na kwiatek, powędrował ze Śnieżyroga na Deszczylisa.

Szarugil wyszedł z tłumy i stanął obok wielkiego druida.

– Słyszeliście i widzieliście! – przemówił. – Wolą Czwórki dziewczyna jest jedną z nas!

– Hańba! – krzyknął głos w tłumie. Lud rozstał się. Odskoczył od źródła zarzutu jak baby na widok myszy.

Dłonie Deszczylisa poczuły ochotę łamać ludzkie ręce i nogi jak patyki. Palce świerzbiły, żeby zacisnąć się na grdyce i wytargać ją z szyi jak krzew z korzeniami. Dojrzał, kto śmiał sprzeciwić się Woli Czwórki. Z chęcią udusiłby matkę.

– Hańba! – powtórzyła Jastrzębibeż. – Jej pobratymcy niewolnikami naszymi są, a wy ją chcecie między nas przyjąć?! Czemu ich zatem jednymi z nas nie...

– Zamilcz, kobieto! – wrzasnął Widłosiew. – Zamilcz, póki Czwórka cierpliwa! Zamilcz i zdaj sobie sprawę, że przeciw Jej Woli występujesz! Gdyby Czwórka niewolników łaską obdarzyć chciała, to nie pozwoliłaby by ich wziąć w niewolę! Dziewczynę zaś uratowała, ramieniem Deszczylisa ochroniła, a i teraz chce w grono swych sług przyjąć! Zwykły gniew prawdę ci przesłania! Nie zapominaj, że prawda z Woli Czwórki płynie, a nie z twego żalu! – Wziął kilka głębokich wdechów. Zasapał się od krzyku, a i w gardzieli czuł, że głos pruje mu się jak sucha szmata. – Zamilcz, zanim Czwókra straci cierpliwość. – Dodał już spokojnie, niemal jakby żałował kobiety.

Jastrzębibeż padła na kolana. Zaciskała zęby, jakby przegryźć skałę chciała. W zaciśniętych pięściach zgniatała niewidzialne kamienie. Zamknięte oczy krwawiły słonymi łzami.

Dębisroka kucnęła nad kobietą i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Chodźmy stąd – rzekła. Ujęła starymi dłońmi jej twarz. Jastrzębi bez otworzyła oczy. – Chodźmy stąd – powtórzyła.

Odeszły w ciszy, odprowadzone spojrzzeniami pobratymców.

Widłosiew wziął wdech, aby na dobre zamknąć sprawę.

– Czy ktoś ma coś jeszcze do powiedzenia? – uprzedził go Szarugil.

Odpowiedziała mu cisza.

– Zatem Deszczylis może poślubić dziewczynę jak jedną z naszych. Kto się sprzeciwi, temu biada, albowiem przeciw Woli Czwórki wystąpi! – Wziął Deszczylisa i Niebołan za ręce. Splótł ich dłonie na oczach tłumu.

– Zaczekaj wodzu! – zawołał Widłosiew.

– A czemuż to?!

– Wpierw muszę Niebołan pobłogosławić sosnową gałązką.

– Ależ owszem! – przyznał wódz. – Czyń jak należy!

Wielki druid zatoczył koło sosnową gałązką wokół twarzy Niebołan. Gest ten odzwierciedlał panowanie Czwórki nad ziemią, w nieprzerwanym kręgu czterocykli.

– Niech żyją Deszczylis i Niebołan! – zakrzyknął Śnieżyróg ile sił w płucach.

– Nie żyją Deszczylis i Niebołan! – powtórzył za nim nieśmiały okrzyk w tłumie. Zadźwięczał niczym pierwsze krople deszczu. Po nich przyszła ulewa.

ŚLUB

Orszak pięciu osób posuwał się niespiesznie drogą wiodącą do Sosnowego Kręgu. Zbliżająca się uroczystość, jaka miała zajść w świętym miejscu, nakazywała zadumę i ciszę. Druidzi nauczali, że w drodze do ślubu słowa powinny milczeć, aby łatwiej człowiekowi było usłyszeć Czwórkę. Kwitna, Skwar, Słota i Zimny ludzkie myśli mieli natchnąć swą mądrością podczas obrzędów zmieniających mężczyznę w męża, a kobietę w żonę.

Druid Miodołość prowadził orszak. Dumął nad Wolą Czwórki, która losy Igłasów wiedzie niepojętymi dla niego ścieżkami. Wspomnił, że szedł do Widłosiewa o poradę, co ma Deszczylisowi odpowiedzieć. Choć sam nie był pewien, i przechylał się ze strony na stronę jak człek na jednej nodze stojący, raczej za odmową był gotów się opowiedzieć. Tego samego spodziewał się po wielkim druidzie. On zaś ze swym ulubionym uczniem objawili mu zgoła inne rozwiązanie. Decyzję pozostawili tym, którzy władni byli jej dokonać – Czwórcę. Bóstwa postanowiły. Zastosował się do Ich Woli jak na wiernego sługę przystało.

Za nim, po prawicy druida, szedł Deszczylis. Dziękował w myślach Czwórcę za łaskę życia, choćby było naznaczone trudami. Śmierć ojca, towarzyszy, zdrada matki i obrona swego pod Totemem musiały być częścią większego ładu, którego nie jest sobie w stanie wyobrazić. Wszystko zrozumie dopiero w Niewyśnionej Krainie. W to wierzył.

Podobnie jak podczas pierwszej warty, gdy stał się mężczyzną w oczach plemienia i Czwórki, miał to dziwne przekonanie, że wszystko potoczyło się tak,

jak powinno. Nawet najgorsze chwile, jak wyciąganie topora z głowy martwego ojca czy Dziegciółuk umierający na jego oczach, musiały się stać, albowiem doprowadziły go to tej chwili, w której na zawsze połączy swe życie z Niebołan. Taka była Wola Czwórki.

Kwitna, Skwar, Słota i Zimny postawili na jego drodze przepiękną dziewczynę z obcego plemienia. Pokazał, że jest jej godzien. Bronił przed plugawymi łapskami Białokura. Obiecał, że weźmie ją za żonę i dotrzymał słowa. Był z siebie dumny. Wierzył, że spoglądający na niego z Niewyśnionej Krainy ojciec, napęła się dumą na widok syna niczym dzban najśłodszym miodem.

Po lewicy szła Niebołan. Serce dudniło w jej żebra niczym dzięciół. Z ekscytacji, nie ze strachu jak to było za pierwszym razem, gdy ujrzała Deszczylisha. Wtedy jawił jej się jak plugawy zwierz, który chce ją wziąć gwałtem. Nie z trwogi przed nieznanym, gdy zabrał ją do osady Igłasów. Nie ze strachu przed druidami pukającymi do drzwi, gdy zostawił ją samą.

Te rzeczy już dawno odpłynęły w przeszłość i znikły za horyzontem rzeki. Podobnie jak życie w Kotlasach, którego całkiem się wyrzekła. Nie chciała go pamiętać i rozdrapywać ran głębokich do kości. Wyobraziła sobie, że wspomnienia z dawnego życia schowała w wielkim dole, i przykryła je ciężkim głazem. Czasem wyciągały po nią swe lodowate dłonie. Łapały za nogę. Wciskała je z powrotem w ciemny dół. Inaczej by oszalała.

Wyrzekła się dawnego życia, braci i sióstr zabitych pod Kotlasami, jak i tych wziętych w niewolę, którzy teraz w pocie czoła pracowali na Igłasów. Należała do Deszczylisha. On dał jej imię – Niebołan. I od tego momentu zaczyna się historia jej życia.

Bogowie Igłasów, przepotężna Czwórka, która dała im zwycięstwo, wzięła ją pod opiekę. Jak inaczej wytłumaczyć miała to, że nie skończyła zgwałcona i zabita w Kotlasach, jak stało się to z innymi? Jak wytłumaczyć, że pierwszy odnalazł ją Deszczylish, mężczyzna silny i dobry? Jak wytłumaczyć to, że w jej obronie trupem położył wodza oraz jego syna i nikt nie śmiał podnieść na niego ręki? Jak wreszcie

wytłumaczyć to, że gdy pod Totemem wierność Czwórce przysięgała, nawet jedna chmura na niebie się nie pojawiła? I jak to się stało, że teraz poślubi Deszczylica?

Czwórka otoczyła ją opieką. Okazała dobroć. Dała nadzieję na pomyślne jutro. Przyjęła dziewczynę w grono Igłasów.

Dziękowała Kwitnej, Skwarowi, Słocie i Zimnemu za wszystko aż łyzy ciekły jej po licach koloru miodu. Przyrzekała wierność i posłuszeństwo.

Na jej drodze Czwórka postawiła mężczyznę o sile i odwadze niedźwiedzia, łagodnego zaś jak gołąb. On ją uratował. W ciemnym lesie wykarczował przed nią drogę, którą słońce zalało rzeką światła. Czy mogło ją spotkać większe szczęście, po tym jak pod zgliszczami legło jej dawne życie?

Za Deszczylisem szedł jego przyjaciel. Ręce trzymał złączone za plecami. Uśmiechał się zawadiacko i marzył. Widział, jak płynie rzeką w nieznane, jak dociera do końca świata. Łódź Stalookich zatrzymuje się na krawędzi stworzenia, aby mógł spojrzeć, gdzie wpada woda ze strumieni i rzek. Wydziera światu następną tajemnicę wraz z korzeniami.

Zastanawiał się też, jak jego ślub będzie wyglądał. Sama uroczystość w zimie się odbędzie, to i szybciej pójdzie, bo nikomu na mrozie nie będzie chciało się stać zbyt długo. Nie będzie tak źle. W dodatku to tylko cena, jaką przyjdzie mu zapłacić za to, czego naprawdę pragnie.

Był w bardzo dobrym humorze. Od tego dnia, w którym w lesie odkrył nowy potok, zmienił swe podejście do wodza i jego córki. Wcześniej nie chciał nawet o nich myśleć – uwłaczało to zwyczajnie jego bystrej głowie. Teraz zaś używał jej, aby znaleźć jak najprostszy sposób na poradzenie sobie z Szarugilem i jego pomiotem. Jak najprościej znieść przebywanie z nimi, aby nie zasnąć z nudów? Jak najlepiej udawać, że go cokolwiek obchodzą? Zdziwiony był, z jaką łatwością pomysły same przychodziły mu do głowy.

– W sumie to nawet dobrze myśleć o nieprzyjemnych rzeczach – szepnął do siebie. – Wtedy istnieje spora szansa, że wpadnie się na sposób, aby nim zaradzić. – Uśmiechnął się zawadiacko i wypiął pierś do przodu.

Jedyne, co go martwiło, to fakt, że Deszczylis może stać się narzędziem w sporze Szarugila z Widłosiewem. Od wydarzeń przed Totemem ludzie bali się go niemal jak Czwórki. I dlatego wódz z wielkim druidem wydzielali sobie jego przychylność z rąk. Cwani druidzi nawet zamknęli wdowę po Białokurze w chacie, gdy Niebołan składała przysięgę pod Totemem. Ponoć rzucała się i darła pysk jak opętana. Lepiej niech chowa Sianokarpia na mściciela, głupia jędza.

Po lewicy Śnieżyroga szła Burzylas. Zaduma wycisnęła łzy z jej oczu, które nie drogę do Sosnowego Kręgu widziały, a grób syna. Choć radowała się szczęściem młodych, choć cieszyła się, że mężczyzna, który pomścił jej syna, i dziewczyna, przez którą czynu się dopuścił, wynagrodzeni zostają przez Czwórkę; ból po stracie Bazigrada nie dał o sobie zapomnieć. Ukochany syn, jedna jedyna rodzina, jaką miała na tym świecie, odszedł do Niewyśnionej Krainy przed nią. Nie tak powinno być. To on matkę pochować powinien, a ona wcześniej jego dzieci powinna wziąć na ręce.

Uśmiechała się, gdy kto spojrzał na nią. Nie chciała psuć uroczystości swoim żalem. Cieszyła się, że Niebołan ją poprosiła, aby zaplotła dziewczynie warkocz i przełożyła go przez prawe ramię. Mówiła, że pośród Pogórców panował obyczaj, że pannie młodej zawsze taki warkocz plotła kobieta, która sama mężatką była.

Po dotarciu na polanę Śnieżyróg i Burzylas zostali za obrębem strzelistych drzew. Podczas zaślubin w Kręgu przebywać mogła jedynie młoda para i druid, który pośredniczył między Czwórką a przyszłym małżeństwem.

Kobieta ocierała łzy. Prosiła Czwórkę by strzegła oboje, dała im zdrowe dzieci i godziwe życie. Młodzieniec zaś z dziarskim uśmiechem przyglądał się przyjacielowi. Był rad z jego szczęścia.

Druid stanął twarzą przed Totemem.

– Chwała Czwórcze! – zadeklarował.

– Chwała Czwórcze – powtórzyli za nim przyszli małżonkowie.

– Usłyszcie mnie, Kwitno, Skwarze, Słoto i Zimny! Oto stoją przed Wami Deszczylis i Niebołan. Oto proszą Was, abyście ich małżeństwo pobłogosławili.

Deszczylis i Niebołan złączyli dłonie i zwrócili się ku sobie. Druid zatoczył sosnową gałązką krąg wokół ich głów.

– Jak Kwitna złączyła się ze Skwarem, jak Słota złączyła się z Zimnym, jak kobieta i mężczyzna na ich podobieństwo się łączą, tak niechaj teraz wy, Deszczylisie i Niebołan, stańcie się mężem i żoną.

PŁOWIAK

Lato powoli ustępowało miejsca jesieni niczym słońce, które z zenitu turla się w dół ku zachodowi. Dni wciąż były ciepłe, lecz już nie tak upalne. Skwar kończył panowanie nad światem w tym czterocyklu. Przyroda wciąż była zielona od traw i drzew, biała od stokrotek i chmur, żółta od kaczeńców i czerwona od maków, jednak dało się odczuć w powietrzu ostatnie dni lata i nadchodzącą jesień.

Dzień był chłodny. Od rana mżyło. Od rana Dębisroka cierpliwie czekała pod strzechą chaty, aż przestanie padać. Z nadzieją spoglądała w niebo i prosiła Czwórkę, aby załatała niebo. Obok staruszki siedział Płowiak. Co jakich czas kładł psyk na udach swej pani i patrzył smutno.

– Aleś ty łasy na pieśczoty – mówiła Dębisroka i głaskała czworonoga. – Pójdziemy, jak przestanie.

Jeszcze przed południem jej prośby zostały wysłuchane. Wzięła kostur. Ostatnio nie mogła bez niego nigdzie iść. Nogi coraz bardziej jej ciążyły, czuła się coraz słabsza. Zdrowie ostatnio jej się pogorszyło, ale nikomu o tym nie powiedziała.

Czekał ją kawałek drogi.

Ludzie wyszli z chat jak tylko przestało padać. Pozdrawiali Dębisrokę. Kłaniali się z szacunkiem najstarszej i najmądrzejszej babie w Widłokach. Odpowiadała im uśmiech i dobrym słowem. Większość z nich znała od dziecka, a niektórym nawet pomagała przyjść na świat.

Tam chata, w której Jastrzębice mieszka. Przyjęła jej poród. Jako pierwsza wzięła dziś dojrzałą kobietę na ręce. I tak było z jej synami i córkami. Dwoje przedwcześnie zmarłych dzieci chować pomagała.

Westchnęła boleśnie. Coraz trudniej jej było oddychać. Jakby płuca się zacisnęły i coraz mniej powietrza wpuszczaly. Nikomu nie powiedziała. Nikomu nie chciała być ciężarem.

Wartownicy na bramie ukłonili jej się z szacunkiem. Zagadali, czy na grzyby nie idzie. Zagwizdali na psa. Pochwalili, jaki ładny. Pogawędzili wesoło.

Poszła w las, który znała lepiej niż ktokolwiek w Widłokach. Wiedziała o zakamarkach i skrótach, o jakich nikt nie miał pojęcia. To ją ludzie się pytali, gdy nie wiedzieli, gdzie iść trzeba na grzyby albo jak zejść w miejsce, gdzie woda śmierdząca jak zgniłe jaja płynie.

Choć dobrze go znała, całego lasu nie dane jej było przejść i poznać. A wciąż ją zaskakiwał. Zmieniał się jak i jej twarz przez lata. Piękna brzoza, w którą wpatrywała się, gdy, będąc jeszcze podlotkiem, dumiała, kto będzie jej mężem, złamała się od wichury i zwała na drogę. Chłopy porabali ją na opał. Rodziny ogrzewały dłonie drewnem, w którym zakłute były dumania Dębisroki. Buk całkiem usechł. Po burzy raz z ojcem szła i ujrzeli go rozdartego przez piorun. Dawna droga, którą szła razem z matulą na grzyby, zarosła ostrężyną i szakłakiem. Nikt nią już nie chodził. Przyroda schowała ślady dawnych czasów.

– Ciekawe, ile takich miejsc jest w lesie? – zapytała Płowiaka, który szedł trzy kroki przed nią. Rozglądał się na wszystkie strony. Obwąchiwał krzaki. Nie oddalał się za daleko. Zawsze był w zasięgu wzroku staruszki. Nie musiała go wołać ani upominać.

Zboczyła z zarośniętej drogi. Ostrożnie zeszła w dół po stromym brzegu, najeżonym iglastymi drzewami. Dawniej szła drogą od dołu i wspinała się do góry. Teraz już nie dała rady. Musiała dostosować szlak do starych nóg.

Usiadła pod wysokim modrzewiem. Stare, zmęczone plecy oparła o spękaną korę. Zamknęła na chwilę oczy.

– Tu się to stało – rzekła do psa. Zawsze późnego lata, czy wczesnej jesieni przychodziła tu z psem, aby opowiedzieć Płowiakowi o bohaterstwie jego przodka.

– Mała była ze mnie wtedy dziewczynka. Jedenaście czterocykli miałam. Wiesz, choć to przecież tak dawno temu, to jednak pamiętam tamten czas lepiej niż to, co wydarzyło się ostatniej zimy... Kolory liści jawią mi się tak żywe jak te nade mną. Moje małe rączki są tak wyraźne jak te stare, wyłobione zmarszczkami... Nie oddalaj się. Chodź do mnie.

Pies posłuchał swej pani. Usiadł obok na tylnych łapach. Staruszka pogłaskała sierść pod szyją czworonoga.

– Wtedy też była taka pogoda. Taki czas między latem a jesienią. Szliśmy z matulą na grzyby. Tu czasem można było znaleźć kanie. Smażone smakuja najlepiej. Może potem poszukam... Matula miała piękne, gęste włosy jak dojrzałe kasztany zaplecione w jeden gruby warkocz... Tak, szliśmy we dwie na grzyby razem z psem, twoim przodkiem. Też mu było na imię Płowiak. Też był dzielny, piękny i łasy na pieszczoty... Tutaj się to stało. Zaczął warczeć. Przelekliśmy się z matulą... To była niedźwiedzica z młodymi. Dlaczego nam pech taki los podrzucił? Płowiak stanął w naszej obronie. Matula chwyciła mnie za rękę. Pociągnęła za sobą. Biegłam ile sił w nogach. Raz się tylko oglądnęłam. Płowiak wydał mi się strasznie mały na tle niedźwiedzicy. Więcej go już nie widziałam...

Wytarła rękawem łzy. Zawsze na tą okazję brała ze sobą chustę. Tym razem zapomniła. A przecież jeszcze rano powtarzała sobie, że musi ją wziąć, bo na pewno będzie beczeć.

– Wróciliśmy do Widłok. Matula opowiedziała tatusiowi wszystko. Ten poszedł szukać Płowiaka z chłopami. Wrócili bez twego przodka... Bez mojego ukochanego psa, którego tuliłam i głaskałam i który zawsze mnie strzegł... Ech, oczy mi przeciekają jak dziurawa strzecha...

Wytarła się rękawem.

– Tutaj tatuś go znalazł. Tutaj go pochował... Płowiak legł na miejscu swej chwały. Tatuś po latach powiedział mi, że zastał Płowiaka w kałuży krwi. Jęczał,

jakby prosił o litość. Tatuś skrócił jego męki. Tylko tyle mógł zrobić... Zawsze płakał, gdy o tym opowiadał. Do końca życia nie mógł przeboleć, że nie udało mu się ocalić ukochanego psa, któremu zawdzięczał życie żony i córki...

Nie miała siły dalej mówić. Wpierw musiała się wypłakać. Pies wyczuł jej nastrój. Skamlał smutno.

– Płowiak zostawił po sobie szczenięta z suką podobną do niego jak dwie krople wody. Tatuś uprosił sąsiada, aby dał mu jednego... Takiego, który najbardziej przypominał mu Płowiaka. Ofiarował w zamian jado, bursztyn, łuk, broń, ale sąsiad nic nie chciał brać... Dobry człowiek z niego był... Umarł jak Śnieżyróg był mały. Żył chyba dłużej niż ja...

Ocknęła się jak ze snu.

– Zboczyłam z myśli jak ze ścieżki. Coraz częściej mi się tak zdarza... Stara już jestem... W każdym razie tatuś przyniósł szczeniaka do domu i powiedział, że od tej pory naszym obowiązkiem jest dbać o to, aby krew Płowiaka nigdy nie wygasła, albowiem dzięki niemu nasza wciąż płynie... Wypełniłam mój obowiązek.

Odepchnęła głowę psa od swych zgiętych ud. Płowy czworonóg obrócił łeb i spojrzał pytająco na staruszkę. Ujęła jego pysk. Przytuliła nos do sierści między oczami psa. Ucałowała czworonoga.

– Wszystko dzięki twemu przodkowi, mój kochany. Gdyby mnie i mamy wtedy nie ocalił... Nie byłabym kobietą, żoną, matką i babką... Gdyby nie on, nie przyprowadziłabym cię tu i nie głaskała.

Pies zaskamlał smutno widząc łzy w oczach staruszki.

– Nie wzięłabym syna i wnuka na ręce – powierzała czworonogowi swe najskrytsze myśli, o których wiedziała jedynie ona i Czwórka. – Nie odebrałabym tylu porodów... Nie pomogłabym tylu babom ani o przyszłość Śnieżyroga bym nie zadbała... Wiesz, on zrozumie. Uroda przemija, charakter zostaje. Zrozumie te słowa, gdy zobaczy, jak czas odziera Wilczybrzask z piękna, które przyciągnęła go jak nektar pszczoły. I cóżby z niej miał, a i ona z niego, poza nakarmieniem chuci?

Marniałyby jak kwiat na wyschniętej ziemi. A tak ma porządnego męża i nadzieję na bycie matką...

Znów musiała otrzeć łzy.

– Widzisz, jaką masz panią, Płowiak? Wciąż jeno beczę. – Westchnęła ciężko aż zakłuło ją w płucach. – Boli mnie, że Śnieżyróg mną gardzi, że jak martwy kamień traktuje... Wszystkiego mieć się nie da. Zniosę i to. I tak mi niewiele czasu już zostało. Ważna jest jego przyszłość. Zrobiłam, co mogłam. Czuwaj nad nim, dobrze? On cię lubi, tylko na złość mi chce zrobić. Pewnie jak jesteście sami, głaska cię i cieszy, że ma takiego psa... No, posiedzimy sobie tu jeszcze, a potem poszukamy grzybów. Tak mnie coś smak na te kanie naszedł...

Głowa, powieki, całe ciało zdawało jej się ciężkie i zmęczone. Czuła się tak jak przy zasypianiu po harówie przy żniwach. Wtedy człowiek wpada w sen jak kamień w wodę.

– Wiesz, ja się położę. Taka zmęczona jestem, w nocy jakoś spać nie mogłam. Popilnujesz mnie, dobrze?

Legła na boku, a pies przy niej. Położyła głowę na miękkim mchu.

– Jak mi tu dobrze z tobą – rzekła i wciągnęła w nozdrza zapach leśnego mchu i ściółki.

Umarła w tym samym miejscu, co jej ukochany pies.

CZEŚĆ II

WINOWAJCA

Dzień powoli otwierał sklezione nocnym snem powieki. Żrenica słońca skupiła się na Nowych Widłokach, zbudowanych na drugim brzegu Sierpicy, według pomysłu Śnieżyroga. Osada stała na sztucznej wyspie, oddzielonej od brzegu szerokim rowem, zalany wodami rzeki. Z lądem łączyła wyspę ciężka kładka z drewnianych bali, po której był w stanie przejechać jeden wóz załadowany słomą czy sianem. W ten sposób Nowe Widłoki miały dostęp do pól i lasu, pełnego łownej zwierzyny, grzybów, poziomek i innych skarbów natury. Przy przedniej zaś bramie mieścił się brzeg, rozciągający się od drewnianych murów na strzał z łuku, wokół którego, rozchwane prądem rzeki, kołysały się przycumowane łodzie.

Ledwo dzień wstał ku chwale Kwitnej, ledwo pierwsze kury zapały, ledwo ludzie otwarli drzwi i wpuścili świeże powietrze do swych domów, między Igłasami podniosła się wrzawa niczym kurz na drodze za pędzącymi końmi. Myśliwi, którzy skoro świt wybrali się na łowy, wrócili ledwo się człek obejrzał. Przyprawdzili ze sobą młokosa imieniem Zięboklon. Cała osada szukała go od kilku dni. Razem z nim zniknął jego rówieśnik, Jeżylas. Jego plemię znalazło na drugi dzień. Leżał z głową rozłupaną jak orzech. Obok niego leżał ciężki, szkarłatny od krwi kamień, do którego przykleiły się skrawki skóry i odłamki pękniętej czaszki.

Myśliwi prowadzili domniemanego winowajcę przez budzące się do życia Nowe Widłoki. Oszczepy spojrzeń wbijały się w brudnego od ziemi i kurzu,

śmierdzącego potem wyrostka. Głowa zwisała mu bezwładnie. Ślepią zaś żywcem jak u zaszczutego zwierza powłóczyły po ziemi.

Wieść rozlała się po osadzie jak woda w misce. Wypełniła Nowe Widłoki po brzegi. Wkrótce wszyscy zbiegli się pod Totem, gdzie miano przepytac Zięboklona.

Śnieżyroga nie było. Żona jego powiedziała, że jeszcze przed świtem udał się do lasu. On to, z ramienia wodza Igłasów, Szarugila, był rządcielem Nowych Widłok. Ludzie zatem udali się do jego przyjaciela, który zwykł zastępować go podczas nieobecności.

Gdy przyszli do chaty Deszczylisha, ten bawił się z synem. Liczący sobie trzy czterocylke pod igłasku, a po pogórsku trzy roki Gromiszpon siedział na torsie leżącego ojca i ścisnął jego palce wskazujące w drobnych dłoniach. Deszczylish kołysał się na podłodze, sprawiając, że syn kiwał się na boki niczym trzęsąca się łódź. Syn chichotał w najlepsze.

Zasmucił go koniec zabawy jak i fakt, że nie może iść z ojcem. Został z matką i młodszą siostrą, Tęczygruszą.

Pod Totemem czekali wszyscy. Lud, druid Miodołość, myśliwi, Zięboklon, rodziny zabitego i domniemanego winowajcy, które siłą Igłasi musieli trzymać w ryzach, aby nie ważyli się mieszać w sąd, jaki miał się w imieniu Czwórki dokonać.

– Znaleźliśmy go na leśnym gościńcu – wytłumaczył Gruszypiach, kompan Deszczylisha spod Kotlasów i zarazem jeden z myśliwych, którzy przyprowadzili wyrostka. – Ukrywał się w krzakach. Nie uciekał. Chyba czekał na okazję, żeby się poddać.

– Mówił co? – zapytał Deszczylish.

– Nic.

Domniemanemu winowajcy zaburczało w brzuchu.

– Pewnie z głodu siły mówić nie ma – rzekł Miodołość. – Dajcie mu co jeść.

– Jeszcze mordercę mamy karmić?! – zakrzyknął krewki, kobiecy głos w tłumie.

– Mordercą będzie dopiero wtedy, gdy przed obliczem Czwórki wina zostanie mu udowodniona! – przypomniał surowo druid.

Deszczylis poparł Miodołosia. Rozwiązano domniemanemu winowajcy ręce. Dano czerstwego chleba i wody.

Zięboklon wpierw rzucił się na jedzenie jak wilki na upolowaną sarnę. Potem jadł powoli. Przeżuwał czerstwy chleb. Zmiękczał go wodą. Mielł jedzenie jak krowa trawę.

– Jak zginął Jeżyłas? – Deszczylis przerwał mizerną ucztę wyrostka.

Zięboklon pokazywał wszem i wobec, że przełyka strawę.

– Pokłócili my się i rzucił się na mnie... Powalił na ziemię i dusił... Musiałem się bronić! Za kamień złapałem i... i walnąłem! Bałem się wracać, bom myślał, że nikt mi nie uwierzy... Ja się jeno broniłem!

– Gdy cię dusił, to jak się broniłeś? – zapytał Deszczylis.

– No... no, rękami!

– To jak złapałeś za kamień?

– Prawą ręką... Dojrzałem go i sięgnąłem! Lewą się broniłem!

– Przynieście kamień.

Zięboklon zastygł jak komar zaschnięty w żywicy.

Na rozkaz Deszczylisa przyniesiono pod Totem kamień, na którym zaschła krew Jeżyłasa. Rzucono go domniemanemu winowajcy pod nogi. Zięboklon wzdrygnął się jakby to była żmija.

– Podnieś go prawą ręką – rozkazał Deszczylis.

Kamień był ciut mniejszy od ludzkiej głowy. Może i mąż o niedźwiedziej posturze i sile podniósłby jedną ręką, ale nie wyrostek. Zięboklon próbował, ale nawet dobrze chwycić nie był w stanie.

Próbował. Jęczał. Pociągał nosem.

– Dlaczego głowa Jeżylasa była zmiażdżona i pęknięta, jakby kto kamieniem z góry w nią uderzył? – zapytał Deszczylis.

Zięboklon rozbeczał się, co tylko rozwścieczyło tłum. Pluli na niego i ciskali wyzwiska.

– Przed Totemem stoicie! – Miodołoś przywołał pobratymców do porządku. – Wyznaj swą winę – zwrócił się do Zięboklona. – Wszystko przemawia za tym, żeś ty zabił Jeżylasa. Zabiłeś i kłamałeś przed Totemem! Choć po trosze napraw swój błąd i wyznaj prawdę! Może Czwórka choć część winy ci odpuści!

Zięboklon jęczał i beczał jak zbite dziecko.

– Tyś go zabił? – warknął zniecierpliwiony Deszczylis.

Morderca pokiwał głową.

– O co wam poszło? Przestań ryczeć i mów! Staw czoło konsekwencjom jak mężczyzna!

– Pamiętaj, że przed Totemem mówisz! – dodał Miodołoś.

Zięboklon otarł oczy.

– Rozповідаł bezceństwa o Ostrolen! Dziewczyna dobra, porządna, chorą matką się opiekuje, a on takie świństwa, że nie godzi się powtarzać... Nie mogłem przeboleć! Powiedziałem mu, żeby wypluł słowa albo tego pożałuje! A on na złość jeszcze większe plugastwa wymyślał! Nie wytrzymałem i... gniew mnie taki ogarnął... jakbym w dzikiego zwierza się przemienił... To nie byłem ja!

Tłum zaczął rozglądać się za wymienioną z imienia dziewczyną. Ostrolen, w kołysce smukłych dłoni, schowała usta i nos. Cała się trzęsła. Widać przerażona, że w tak straszną zbrodni została wmieszana. Smutek wylewał jej się z oczu.

– Ostrolen, twego honoru broniłem! – zakrzyknął Zięboklon przez łyzy. – Wiem, żeś komu innemu obiecana, ale i tak zem cię miłowałem! – Morderca rozpaczliwie szukał w tłumie dziewczyny. Nigdzie jednak nie mógł jej dojrzeć. – Ostrolen! Ostrolen!

– Pobratymca zabiłeś! – zagrzmiała.

Słowa dziewczyny przeszły jak echo gromu. Zatkały usta wszystkim. Nowe Widłoki utonęły w ciszy gęstej jak smoła.

– Druidzie! – przemówił Deszczylis. – Jaką karę Czwórka przewiduje za zabicie własnego pobratymca?

– Śmierć.

– Przynieście pniak i topór – rozkazał Deszczylis.

Zięboklon zerwał się jak mucha przed nadciągającą ręką. Nie ubiegł nawet trzech kroków. Tłum wystąpił przeciw niemu, ale nim dostał go w swe ręce, myśliwi powalili go na ziemię. Związano mu ręce i nogi, a gdy przyniesiono pniak, sznurem przymocowano mu do niego głowę.

Deszczylis wziął topór i spojrzał na druida. Ten przemówił w imieniu Bóstw.

– Kto wbrew Prawu Czwórki występuje, temu Kwitna, Skwar, Słota i Zimny nie pozwolą ujść bezkarnie – przemówił Miodołoś. – Kto pobratymca zamorduje, ten głową odpowie. Módl się i błagaj Czwórkę, albowiem Ona jest twoją jedyną nadzieją.

Druid skinął głową Deszczylisowi. Igłas przyłożył topór do szyi skazańca. Przymierzył dwa razy. Żelaziec wdarł się w szyję jak klin. Tułów osunął się na ziemię. Wyciekła z szyi krew wsiąkła w ziemię przed Totemem.

ZWIERZ

Były dwa. Śnieżyróg obserwował je z daleka. Mrużył piwne oczy. Drapał się po łbie. Zagryzał dolną wargę. Grzebał w pamięci jak w stercie suchych, jesiennych liści. Nie mógł sobie przypomnieć nazwy zwierza, o jakim opowiadała mu raz Niebołan. Siedzieli wtedy nad strumieniem razem z psem. Został z nią na prośbę Deszczyliisa, który popłynął odwiedzić grób współplemieńców razem z ich rodzinami.

– Dobrze, że psa nie zabrałem – mruknął do siebie. – Jeszcze by spłoszył tego... No jak ona to nazwała? Zapytam, gdy wrócę.

Zapścił się w bór głębiej niż zwykle. Znudziły mu się miejsca w lesie na drugim brzegu, w które nikt poza nim pewnie nie odkrył, jak wystająca ze stromego brzegu pionowa skała czy modrzewie wynurzające się ze stawu paproci. Je już znał. Chciał czegoś nowego. Tak trafił na niewielki potok dzielący bór na dwoje. Co dziwne jego wielkość nie odpowiadała wysokości brzegów wrytych przez wodę. Pomyślał, że pewnie wysycha.

Ruszył w górę strumienia jak kiedyś z Deszczylisem. Przy okazji przypomniał sobie, jak odkrył potok, gdy rozjuszony i zagubiony nie mógł się pogodzić z tym, że Szarugil i starucha podyktowali jego los. Dziś strasznie głupim się sobie wydał. Dziś wiedział, że poświęcenie się opłacało. Tej wiosny wreszcie miał wypłynąć.

Trafił na tamę. To ona zatrzymywała większość wody. Stał jak wryty. Serce podeszło mu do gardła. Skrył się między drzewami. Przekonany był, że oto trafił

na tamę zbudowaną przez obce, nieznane plemię. Zakradł się powoli, ważąc każdy krok jakby stąpał po pękającym lodzie. Wtedy je dojrzał.

Zwierz, dokładnie jak kiedyś mówiła Niebołan, wyglądał jak przerośnięta, korpulentna wiewiórka. Przednie łapy również miał jak zwierzątko ganiające po drzewach, natomiast tylne jak kaczką i do tego dziwny, płaski ogon bez sierści. Jeszcze takiego dziwoląga Śnieżyróg nie widział.

Od razu mu się spodobał.

Włości bezimiennego zwierzka stanowił staw utworzony ze zbierającej się wody. Na jego środku stało coś, co na pierwszy rzut oka przypominać mogło gniazdo wielkiego ptaka. Jednak po dłuższym przyjrzeniu się Śnieżyróg zauważył, że legowisko zwierzka wygląda bardziej jak sterta patyków i gałęzi. Jak się tam dostawał? Przecież nie od góry.

– Jakie to jest mądre zwierzę – szepnął do siebie, gdy zrozumiał. – Wpływa pod wodą. W wodzie porusza się jak ryba... Żaden wilk ani inny drapieżnik do niej nie wejdzie. Po to tamę buduje... Postępuje rozumnie jak człowiek.

Zaślepiiony zachwytem gotów był uwierzyć, że będzie się wstanie porozumieć z mądrym zwierzem. Skoro postępuje rozumnie, to czemu nie miałby myśleć? A skoro tak, to równie dobrze mógłby mówić!

Wyłonił się drugi osobnik. Podpłynął do brzegu po drugiej stronie. Wylazł na ląd i dołączył do pierwszego. Pomógł mu obgryzać gałęzie niewielkiego, stosunkowo cienkiego, zwalonego drzewa, którego pień wyglądał, jakby go ktoś zastrugał jak pal.

Śnieżyróg domyślił się, że to robota tych dziwnych stworzeń. Jak to je Niebołan nazwała? Wysilił myśli. Przypominał sobie tamten dzień, gdy siedzieli nad rzeką. Przypominał sobie jaką przepiękna dziewczyna była z Niebołan, jak bawiła się z psem, jak łkała – wszystko, tylko nie nazwę zwierzka, do którego go porównała.

Przyjrzał się dolnej końcówce zwalonego drzewa. Ona również była jak zastrugana. Z czego on musi mieć zęby, że twarde drzewo obgryza jak jabłko do

ogryzka?

Po cichutku podszedł bliżej. Lepiej mógł przyjrzeć się brzegowi niewielkiego zalewu. Z wody wystawał zastrugany pień grubego drzewa. Śnieżyróg musiałby je objąć dwiema rękami. Jedną nie dałby rady.

– Ile czasu musiałoby im to zająć? Dzień, dwa?

Podszedł pod do ostatnich, nienaruszonych drzew za którymi zaczynał się teren zwierza, wyznaczony wodą. Dwa osobniki zdawały się go nie dostrzegać, zajęte pałaszowaniem gałęzi.

Do jego uszu dotarł śpiew ptaków. Zdawało mu się, że jest tu ich więcej niż gdziekolwiek w lesie. Dlaczego? Czyżby to miało coś wspólnego z mądrym zwierzem?

Nie mógł się doczekać jak o wszystkim opowie w osadzie. Zachłysnął się tą wizją. Już dobierał słowa i gesty jakimi przekaże swe wielkie odkrycie. Widział oczyma wyobraźni rozdziawione gęby i niedowierzających pobratymców.

Palnął się w łeb.

– Lepiej nic nie mówić – powiedział do siebie. – Ludzie jeszcze się zwiódą i będą chcieli na zwierza zapolować. – Sama myśl, że owo mądre stworzenie mogłoby skończyć w żołądku jednego z tych śmierdzących ciołków, napawała go ochotą do złamania grubego kija na grzbiecie każdego mieszkańca Nowych Widłok.

Przypomniał sobie, że wielokrotnie przechodził przez ów proces. Najpierw ekscytował się odkryciem, pomysłem czy myślą i chciał go przekazać pobratymcom, a potem za to się ganił i stwierdzał, że to głupie. Nie mógł zrozumieć, czemu to się powtarza.

MIÓD

Śnieżyród dorzucił drewna do ogniska. Szorstkie różgi płomieni czyściły brzeg rzeki z brudu ciemności. Rzuciły światło na pomarszczoną powierzchnię Sierpicy. Deszczylis ugryzł kawałek suszonego mięsa i napił się miodu ze skórzanego bukłaka. Urządzili sobie ze Śnieżyrogiem ognisko za murami osady.

Podobnie jak w Widłokach na drugim brzegu rzeki, tak i tu obowiązywał obyczaj, że kto nie zdąży wrócić do osady przed zamknięciem bramy na noc, temu przyjdzie nocować poza nią. Zasada ta jednak nie obowiązywała Śnieżyroga. Tak przynajmniej uważał sam rządziel Nowych Widłok. Jak miał ochotę napić się z przyjacielem przy ognisku, to tak miało być i koniec. Deszczylis wpiers się wzbraniał, ale w końcu raz dał się namówić. Z razu zrobiły się dwa, potem trzy, aż w końcu opory stopniały jak śnieg na wiosnę. Picie nocą nad brzegiem rzeki stało się tradycją.

– Ale ten miód dobry! – pochwalił trunek Deszczylis. – Piórosen to złota baba!

– Starucha ją nauczyła – odparł Śnieżyród i sięgnął ręką po bukłak.

Przyjaciół podał go niespiesznie.

– Żał się z nim rozstawać.

– Żał się nim dzielić. Znaj moją łaskę.

Deszczylis parsknął z wyższością.

– Gdyby mnie ktokolwiek lubił...

– ...lepiej dobierałbym sobie przyjaciół – Śnieżyróg dokończył ich ulubione powiedzenie.

– Kiedy żeś to powiedział? Zaraz po naradzie pod Kotlasami?

– Wtedy to my się pokłócili. To było później, po szturmie.

– A może i tak... Trochę wody w Sierpicy od tego czasu upłynęło...

– Pięć років temu.

– Mówisz jak Niebołan.

– Przecież od niej się to wzięło. Jak i ten zwyczaj, że w dzień ślubu panna młoda prosi mężatkę, żeby jej warkocz zaplotła.

– Ludzie się do niej przyzwyczaili...

– A mieli wybór? Kto by śmiał przeciw tobie wystąpić? A i jak przed Totemem przysięgę złożyła, to już przesądziło sprawę.

– Czwórka ją przyjęła w nasze grono.

Śnieżyróg uśmiechnął się chytrze pod nosem. Skosztował wyrobu swej żony. Pokiwał głową z uznaniem. Na coś się przydała.

– Gdybyś nie hasał po lesie jak jelonek, to by cię widowisko pod Totemem nie ominęło! – zagadał Deszczylis.

Śnieżyróg wzruszył ramionami.

– A bo to urąbywania łba nie widziałem? – Ziewnął. Pociągnął łyka. – O dwie gęby do wykarmienia mniej.

– Chyba jedną!

– A Jerzylas?

– A, no tak – zgodził się Deszczylis i sięgnął ręką po miód.

– Tylko się nie przyssij jak do cycków żony!

Deszczylis cisnął gromami z oczu. Oświetlona płowymi językami ogniska gęba jawiła się jako wcielenie gniewu. Wyszczrzył zęby. Wydał usta. Naśladował ssanie piersi.

Przyjaciół spojrział na niego z litością, jaką sędziwy i bystry mąż okazuje wioskowemu głupkowi.

– Żeby się tak o dziewczuchę pokłócić – wrócił do egzekucji Deszczylis.

– Pierdoła zadużyła się w dzierlatce. Tamten drugi chciał mu dopiec i zabawić się jego kosztem. Pierdoła ubzduriała sobie bohaterstwo i broniła honoru swej wymarzonej dzierlatki, która wkrótce wyjdzie za mąż za innego. Sam nie wiem, kto w tej historii jest głupszy.

– Aleś to podsumował...

– A nie jest tak? W dodatku pierdoła tak bardzo chciała chronić dobre imię swej dzierlatki, że tylko kłopotów jej teraz przysporzyła. Każda zazdrosna o jej urodę maciora już tam pewnie za plecami Ostrolen tarza jej imię w błocie. W naszym swojskim grajdołku wszystko po staremu!

– Żeby tylko Płowymechowi się nie odwidziało żenić z Ostrolen – rzekł Deszczylis, patrząc smętnie w ognisko.

– Powiedziałem mu to samo! – wzburzył się Śnieżyrog. – Jeszcze mi będą porządnego draba przed wyprawą martwić!

– Można powiedzieć Miodołosowi, żeby zwołał lud pod Totem i rzekł co trzeba.

– Dobry pomysł! – przyznał Śnieżyrog. Zapukał w głowę przyjaciela. – Jednak nie samo powietrze ci czerep wypełnia!

– Jak ci zaraz kopa w dupę zasadzę...

– Słuchaj no... od samopoczucia mej dupy wiele zależy. – Przepił słowa miodem. – Obecnie jest jej wygodnie i nie narzeka. Gdy ją co zaboli, to może się poskarżyć do rozumu. A rozum będzie musiał rozważyć jej żale, albowiem na jednym jada wozie. Rozum może uznać jej racje i dojść do wniosku, że więcej z picia z tobą szkód niż pożytku.

– Ale pierdolisz!

Śnieżyrog zarechotał a przyjaciel razem z nim.

– Coś mi się należy, za to że cię wyręczam! – rzekł Deszczylis. – Gdy ty sobie skaczesz po drzewach, obsikujesz krzaki i wąchasz mech, ja muszę zapanować nad całym tym grajdołkiem!

– Lepiej się do tego nadajesz ode mnie – stwierdził Śnieżyróg.

– Ech, nie gadaj.

– Dobry z ciebie rządziciel. I ludzie to widzą.

Deszczylis podał bukłak przyjacielowi.

– Chcesz mi gębę miodem zatkać? – rzucił kąśliwie Śnieżyróg i wypełnił usta napojem. Rozsmarował językiem smak po całej gębie. Zamruczał z zachwytem. – Zastanawiałeś się, co by było, gdybyś wtedy pod Totemem sięgnął po władzę?

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Może to i szkoda...

– Znowu zaczynasz to swoje mądrzenie?!

– Masz. – Śnieżyróg przekazał miód przyjacielowi. – W gębie ci zaschło to się robisz drażliwy.

Deszczylis napił się. Utkwił wzrok w ognisku.

– Potoczyło się jak się potoczyło – rzekł Śnieżyróg. – Źle nie jest.

– No, to nie gładź! Sam żeś mi doradzał, abym się od tego trzymał z daleka!

– Doradzałem ci, abyś nie dał się przeciągnąć druidom na swoją stronę po tym, jak ze ślubem poszli ci na rękę. Inaczej jeszcze byś skończył jak syn Białokura.

– Opętałoby mnie?

– Wierzysz w to?

– Na własne oczy widziałem! Bredził, gadał do omamów, lichy paliło go tak w gardle, że wiadrami wodę pił...

– I tak dziwnie go opętało zaraz po tym, jak stary Widłosiew raczył wyciągnąć kopyta? Potem jego mateczka poszła się topić z żalu. A teraz Zieloryś i Szarugil w strasznie dobrej komitywie żyją, choć za Widłosiewa obchodzili się z daleka!

– W dupę se wsadź swoje mądrzenie! Przyszedłem się tu napić i weselić, a nie grzebać w gównie jak mucha!

– Zauważam jedynie, że ludzie bardziej lubią spokój niż zadawanie pytań. Niektóre mogą prowadzić do nieprzyjemnych wniosków.

– Tyś też na śmierci gówniarza skorzystał! Szarugil rządzicielem w Nowych Widłokach cię uczynił i swoim następcą!

– Owszem, skorzystałem, czy chciałem, czy nie... Jak i Szarugil, bo nikt jego wodzostwa kwestionować już nie może. Jak i Zieloryś, bo syn Białokura był dla niego jak piąte koło u wozu, gdy Szarugil całkiem przeciągnął lud na swoją stronę. Jak i plemię, bo nie musi teraz niecierpliwie czekać, co to będzie, gdy chłopiec stanie się mężczyzną. Jak i ty...

Deszczylis uparcie gapił się w ogień.

– Co byś zrobił, gdyby gówniarz dorósł i chciał się zemścić?

– Nie miałby prawa do zemsty! Czwórka była po mojej stronie!

Śnieżyróg wyciągnął rękę po miód. Przyjaciel wepchnął mu go w dłoń jakby nic więcej od niego w życiu nie chciał.

– Musisz o tym głądzić?! – wzburzył się Deszczylis. – Nie możemy normalnie pogadać i się poweselić?! Od tego wszystkiego miód dziegciem smakuje!

– Udajmy, że nie było rozmowy, zgoda?

– Zgoda!

Deszczylis rzucił patyki na pożarcie płomieniom. Śnieżyróg podrapał się po nieogolonej gębie. Deszczylis przygarbił plecy, jakby mu kamień do szyi przywiązano. Śnieżyróg skrzywił gębę.

– Słyszysz?

– Co?

– Słyszysz? – powtórzył Deszczylis.

– Słyszę, jak gadasz.

– Nie to!

– A co?

Deszczylis podniósł zadek. Puścił bąka. Śnieżyróg pokręcił głową z ubolewaniem.

– Gdyby mnie ktokolwiek lubił...

– Daj się napić! – przerwał mu Deszczylis.

– Przecież jeszcze sam nie łyknąłem!

– To na co czekasz?

– Aż zmądrzejesz!

– Na to już za późno! Skoro z tobą się zaprzyjaźniłem, to nie ma już dla mnie nadziei!

Śnieżyróg napił się i podał bukłak Deszczylisowi.

– Pamiętasz, jak ostatnio napomknąłeś, że chciałbyś Gromiszpona z Różymak ożenić? – zapytał Śnieżyróg.

– Pamiętam!

– Musimy to przedyskutować! Pomysł na pierwszy rzut oka całkiem dobry, pod warunkiem, że syn twój w matkę się wda. Wtedy niech sobie moją córkę bierze. Jeśli zaś całkiem do ojca podobny...

– A wiesz, że myślę tak samo? – Deszczylis zajadłe wyszczerzył zęby. – Jak twa córka w matkę się wda, to jej syna oddam bez wahania i nieba przychylę!

– W sumie to nie wiadomo, czy ona moja...

– A po kim ma takie ślepie, jak nie po tobie?

– Od pasa w dół jest podobna do matki.

– Nie domyśliłbym się!

– Prawdę rzekłeś!

Uśmiechali się w najlepsze.

– Nie żal ci tak żony i córki zostawiać? – zapytał Deszczylis.

– Żal by mi było, gdybym nie wypłynął.

– Nie boisz się?

– Trochę. Najbardziej tego, że stanie się coś niespodziewanego i nigdzie nie popłynę.... Zabierz się ze mną! Będzie jak dawniej! Jak wtedy, gdy szliśmy do źródeł potoku!

– Nie... to nie dla mnie. Mnie już takie rzeczy nie cieszą.

– Nie tak bardzo jak żona, bachory i rządzenie w Nowych Widłokach? – Śnieżyróg uśmiechnął się złośliwie. – Wrosłeś w nasz grajdołek jak drzewo

w grunt.

– Wolę być drzewem, co stoi twardo na ziemi niż liściem niesionym przez wiatr!

– Mądrze myślisz! Przydasz się bobrom! Obgryzą cię i zrobią z ciebie tamę!

– Komu?

– Taki zwierz. Raz Niebołan o nim opowiadała. Przypomina przerośniętą wiewiórkę, tylne łapy ma jak kaczką i płaski ogon bez sierści.

– Ano tak – przyznał Deszczylis, gdy, po namyśle, z wora pamięci wygrzebał odpowiednie wspomnienie. – Mówiła coś podobnego. Jakoś wierzyć mi się w to nie chciało.

– Ale to prawda! Dzisiaj się natknąłem na dwa!

– Gdzie?

– W lesie!

– Tyle to się mogłem domyślić! Gdzie konkretnie?

– Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

– To sekret jakiś?

– Chcesz wiedzieć, to obiecuj. Uparta z ciebie menda, to wiem, że słowa dotrzymasz.

– Żeś to tak powiedział, jakbyś mi nalał miodu i jednocześnie naszczał do kubka.

– Kolor podobny. – Śnieżyrog wzruszył ramionami.

Deszczyli podniósł się, a raczej wystrzelił w górę niczym strzała wymierzona w niebo. Założył ręce na siebie.

– Przeproś miód – zażądał.

Przyjaciel ze śmiechu zapiszczał jak szczenię. Mało łzy mu nie popłynęły z oczu.

– Przeproś! – zagrzmiał Deszczylis.

Śnieżyrog wstał. Ciężar przewiny zachwiało nim jak dzieckiem, które uczy się chodzić.

– Przepraszam miód najwspanialszy za to, że ze szczynami go porównałem.

Obydwaj parsknęli głupawym, pijanym rechotem. Śmiali się jak łaskotane maluchy.

Usiedli.

– Jak to się dzieje – zaczął Śnieżyróg, gdy wreszcie im przeszło. – Jak to się dzieje, że... że człowiek jak siedzi i pije, to wszystko jest normalne? A ledwo wstanie i jest ło-ho-ho?

– I nad tym się warto głowić! A nie jakieś przerośnięte wiewiórki...

– No właśnie! Obiecuj, że nikomu nie powiesz!

– Aleś menda! Obiecuję!

– Dawaj miodu!

– Jakie to bezczelne...

– Ryby pływają w wodzie, a opowieści w miodzie!

– Całkiem niegłupie!

Śnieżyróg pociągnął łyka i otarł usta.

– Jak się idzie na miejsce, w którym jesienią kanie rosną, to trzeba iść dalej prosto. Dojdiesz do strumienia. Potem w górę i zajdziesz do tamy bobrów. Mówię ci, jakie to bydlę jest bystre! Tamę buduje, robi się rozlewsiko...

– Chyba rozlewisko?

– Zwał jak zwał! Wody tyle, że sto fajfusów nie nasika! No! I on sobie na środku tej wody buduje gniazdo. I jest bezpieczny jak my za murami osady. On po prostu myśli rozumnie!

– E! – Deszczylis strzelił dłonią po kolanie. – Gdzie ci tam zwierz myśli?!

– No to mi to wytłumacz! Człowiek korzysta z drzew, bo są pod ręką. Buduje z nich schronienie i tak dalej. Bóbr robi to samo! Jedno i drugie myśli jak tu otoczenie przeobrazić, żeby było mu łatwiej żyć!

– Tylko ci się wydaje! Czwórka rozumnie świat urządziła! I pewnie dlatego!

– Co dlatego?

– No dlatego ten zwierz rozumny ci się wydaje!

– Skoro tak, to i człowiek tylko rozumnym wydawać się może.

– E, gdzie tam!

– Czemu nie?

– No bo nie!

– Ale dlaczego?

– Bo nie i już! Ja to wiem i ty też, bo rozum masz! Czwórka nas ten... no... Żeś mi tak namącił, że sam teraz nie wiem, co miałem na myśli!

– Prawdę rzekłeś – stwierdził Śnieżyrog śmiejąc się jak głupi do sera.

– Idź ty, gnido!

– Gdzie?

– Do dupy!

Śnieżyrog podniósł się i zachwiał. Zgiął w pół. Stękał przy tym jakby potrzebę chciał ponaglić.

– Nie dam rady – stwierdził.

– Jeszcze nie widziałem takiego, co by do własnej dupy wlaź – wymamrotał Deszczylis.

– A zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego tak jest?

– Nie.

– No widzisz! Człowiek nie zastanawia się nad rzeczami, które wydają mu się oczywiste!

– Jakie to mądre – zadrwił Deszczylis.

– Widzisz, jakiego bystrego masz przyjaciela?

– No! Ale mnie szczęście w dupę kopnęło! Dajże miodu! Muszę wypić za bystrego przyjaciela. Już końcówka – stwierdził z ubolewaniem ściskając bułak.

Śnieżyrog parsknął i buńczucznie zadarł głowę. Licho wie, skąd wyciągnął drugi.

– Przygoda się jeszcze nie skończyła!

*

Kłujący ból w łydce rozbił skorupę ciemności. Leniwe powieki uchyliły rąbka otaczającego świata. Słońce chlusnęło światłem w oczy niczym pomyjami w twarz. W głowie jakby dudnił dzieciół. W gębie zaś susza.

– Wstawaj! – syknął kobiecy głos.

Rozpoznał swoją żonę. Przypomnił sobie, że żyje, ma na imię Deszczylis i że przyczyna suszy w gębie i dudnienia w głowie leży w dniu wczorajszym, a to ból w łydce w gniewie Niebołan.

Podniósł się. Zasłonił oczy od słońca. Dolegliwości się wzmogły.

– Drogi do domu zapomniałeś! – syknęła Niebołan.

Głos żony wdarł się do uszu Deszczylisa jak wbijany gwóźdź. Skrzywił gębę, jakby uderzył czołem o gałąź. Zrobił zwiad oczami. Śnieżyroga nie było w pobliżu.

Przeraził się nie na żarty. Już chciał biec i szukać przyjaciela nawet pod kamieniami, gdy przypomniał sobie, że Śnieżyrogowi zachciało się spać na łodzi.

– Nie drzyj się. – Skarcił żonę. Wstał. Zrzucił z siebie śmierdzącą lnianą koszulę.

Poszedł nad rzekę, nie zwracając uwagi na przytyki żony. Przyjaciela znalazł w pierwszej łodzi wyciągniętej na brzeg. Leżał zwinięty w kłębek jak jeź. Deszczylisa naszła ochota zrobić mu jakąś psotę, ale sumienie pogroziło palcem. Wszak to dzięki przyjacielowi tak dobrze im się wczorajsza noc udała.

Zajął się rozwiązaniem rzeczy istotnych, jakimi były poranne dolegliwości. Ukląkł nad rzeką. Zbliżył usta do wodopoju. Żłopał jak zdrożony koń.

Niebołan przydreptała za nim.

– Wiesz, jak się martwiłam! Chcesz się napić, to w osadzie! A nie nad rzeką! Jeszcze się utopisz! Nie jesteś sam! Masz rodzinę i na twoich barkach jej los spoczywa!

Z łodzi dobiegła mieszanina mruczenia i bełkotu. Śnieżyróg podniósł łeb. Rozglądał się. Jego mina świadczyła o tym, że jest bardzo rozczarowany otaczającym światem.

Niebołan przed chwilą była jeszcze pewna, że jej mąż jest tym głupszym. Teraz owo przekonanie zostało poddane ciężkiej próbie.

– Mądrzy wy jesteście?!

Deszczylis wszedł do wody na czworakach. Zanurzył łeb w zimnej toni, która nie tylko łagodziła dolegliwości odnośnie pragnienia i dudnienia w głowie, ale też tłumiła odgłosy niezadowolonej żony.

Śnieżyróg wskazał palcem na przyjaciela, jakby pokazywał krwi ślad w szczerym polu.

– A jemu co jest? – wybełkotał nieco obolały od twardego podłoża, na którym zapadł w sen.

– Głupota!

Deszczylis wydobył łeb spod wody. Łapał powietrze, jakby za chwilę miało go zabraknąć.

– Co ty robisz? – zapytał Śnieżyróg.

– Wielbię wodę!

Śnieżyróg wygramolił się z łodzi i poszedł za przykładem przyjaciela. Ulga była przeogromna.

– Ładny przykład dajecie waszym dzieciom!

– Przecie ich tu nie ma – zauważył Śnieżyróg. – To nie widzą.

– Ale ludzie widzą!

– To się pośmieją i dzień im się wesoło zacznie.

Deszczylis pokiwał głową. Dumny był z rozumowania przyjaciela.

– A jakby was co zeżarło?

– To byśmy twoich wrzasków słuchać nie musieli – odparł Śnieżyróg.

Poczerwieniała ze złości. Spojrzała gniewnie na męża.

Postawiony przed trudnym wyborem, między swoją żoną a przyjacielem, Deszczylis wybrał ucieczkę przed dylematem. Schował łeb w wodzie. Gdy go wyciągnął, Niebołan już nie było. Jedynie jej sylwetka znikąła w oddali.

– Przejdzie jej. – Machnął ręką Śnieżyróg.

– No, przejdzie... Zostało jeszcze co?

– Nie.

– To dobrze! Inaczej musielibyśmy teraz wypić! A na takim gorącu to niedobrze... Zaradne z nas chłopcy!

– Wypiję za nas wody!

Zanurzyli usta w wodopoju.

RODZINA

Wódz Szarugil odwiedził osadę na drugim brzegu, celem omówienia ze Śnieżyrogiem zbliżającej się wyprawy, a także odwiedzenia córki i ukochanej wnuczki Różymak. Mała dziewczynka lubiła być rozpieszczana przez dziadka, jako że ten chciał się z nią bawić, jakoby byli równi wiekiem, nie zważając na swe zdrowie, na którym ostatnio podupadł. Udawał dzika, niedźwiedzia, ocierał głowę o ścianę niczym jeleń porożem o drzewa.

– Każdy dziadek przy wnukach głupieje – zwykła żartobliwie komentować zachowanie ojca Piórosen. Niejednokroć upominała Szarugila, aby pamiętał o swoim wieku i zdrowiu, ale wódz za nic miał jej przestrogi.

– Przy Różymak siły mam za trzech! – oznajmiał dumnie bijąc się w pierś, ku uciesze wnuczki.

Tym razem jednak dziadek był poważny i, pomimo dąsów i prób wymuszenia na nim wspólnej zabawy przez wnuczkę, pozostawał nieugięty.

– Rozmawiam z twoim ojcem – oznajmiał chłodno. – Później się pobawimy.

Dziewczynce pozostało dokazywać z matczynych kolan. Piszcząca, gaworzyła tak głośno, jakby chciała całej osadzie przypomnieć o swoim istnieniu.

– Uspokój się! – skarcił ją ojciec. – Jak nie, to cię oddam Deszczylisowi. – Surowe spojrzenie i groźba oddania w ręce człeka, którego, nie wiedzieć czemu, bardzo się bała, wystarczyły, aby się uciszyła. Wtuliła się mocniej w matkę.

– Różymak się go boi? – zapytał zdumiony Szarugil.

– Tak – odparła Piórosen. – A najlepsze jest to, że Deszczylis o tym nie wie.

– Bardzo użyteczny z niego drab – stwierdził Śnieżyróg.

– Słyszałem. Ponoć jednego mordercę ściął.

– Zdarzyło się. Jeden wyrostek zabił drugiego, bo ten ponoć nawymyślał o dziewczce, w której się podkochał.

– Do czego to doszło? – zapytała Piórosen. – Jak ja pamiętam, takie rzeczy w Starych Widłokach się nie działy.

– Działy się, działy – rzekł ojciec. – Po prostu nie pamiętasz. Ja bym rzekł, że jak byłem młody, to więcej wyrostków kładło szyję na pień niż teraz. Ale ten miód dobry! – Zachwycił się smakiem specjału córki. – Dębisroka znalazła pojętną uczennicę!

– Prawda – przyznał Śnieżyróg.

Piórosen rumieńcem przyjęła pochwałę. Wszyscy jej powtarzali, że miodu lepszego od niej nikt zrobić nie potrafi.

– Chodźmy się przejść. – Szarugil zwrócił się do Śnieżyroga. – Muszę rozprostować stare kości, inaczej całkiem spróchnieją.

Śnieżyróg pomógł wstać wodzowi. Śmierć żony mocno odcisnęła się na zdrowiu Szarugila. Garbił się, podpierał się kosturem niczym druidzi, a przecież jeszcze niedawno prężył pierś dumnie jak dziarski młodzian. Choć upłynęło jedynie pięć czterocykli, odkąd razem byli pod Kotlasami, Śnieżyrogowi wydawało się, że widzi zupełnie innego człowieka.

– Chodźmy na mury – zaproponował wódz.

Szarugil nie chciał mówić przy córce o wyprawie. Wiedział, że nie podoba się jej ten pomysł.

– Ej! – zawołał Śnieżyróg na strażników na murach. – Pomóżcie no który!

Szarugil nieporadnie wdrapał się na szczyt drabiny. Płowymech, przyszły mąż Ostrolen, zręczny i robotny młodzian, którego Śnieżyróg darzył największym zaufaniem pośród śmiałkami wybierającymi się z nim na wyprawę, pomógł wodzowi wejść na mur.

– Dzięki ci.

– Nie ma za co – odparł młodzian z szacunkiem.

– A jest! Dobry czyn trzeba nagradzać, choćby i słowem. Kiedy to pierwszą wartę objąłeś?

– A niedawno.

– I teraz na wyprawę się wybierasz... ho, ho. Szybko pnieś się na bohatera!

Śnieżyróg wygramolił się na mur.

– Jeszcze raz chciałem podziękować – zwrócił się do niego Płowymech i mało czołem o ziemię nie zahaczył.

– Drobiazg. – Machnął ręką rządciciel Nowych Widłok. – Wracaj do swojej roboty.

Płowymech wrócił na bramę osady.

– Za co on ci tak dziękował?

– Ten wyrostek, co głowę na pniaku położył... Dziewka, w której się podkochał, żoną Płowymecha zostanie. Poprosiłem Miodołosa, aby przestrzegł przed Totemem ludzi, aby pochopnie sobie czego na jej temat nie ubzdurali. Wiesz, jak jest z ludźmi. Druid menda wygadał młodemu, że to ja za wszystkim stoję. Tak teraz kroku zrobić nie mogę, aby na jego podziękowania nie trafić.

– Mądrze postąpiłeś.

– Gospodarz musi dbać o swoje świny – rzucił beztroskim, żartobliwym tonem.

Odchrząknął. Spoważniał. Słowa roztrzaskały się na kawałki o surowe oblicze wodza.

– Powinieneś być przy ścięciu tego wyrostka – rzekł chłodno. – Co to za rządciciel, gdy go nie ma, kiedy trzeba?

Śnieżyróg pochylił głowę. Cierpliwie czekał, aż starzec skończy. Niech mu wygarnie i pouczy, jak powinien się zachowywać. I tak wszystko spłynie po nim jak po kaczce. Niech wódz wyjaśni mu, jak mądry głupiemu, na czym polega jego rola. I tak wkrótce wypłynie.

– Nie możesz wszystkiego zwać na Deszczyliśa. Jeszcze mu to w krew wejdzie i sam zachce być rządcielem.

– Deszczyliś? E tam!

Wódz spojrział na Śnieżyroga, jakby o jego przyjacielu wiedział więcej, niż on sam.

– Lepiej nie podsuwać przyjaciołom niepotrzebne pokusy.

Przeszedł kilka kroków, wspierając się kijem. Zatrzymał się między blankami. Osłonił oczy od słońca. Zacerpnął widoku rzeki, lasu i osady na drugim brzegu jak świeżej, źródlanej wody.

– Zobacz, jaki piękny widok – zwrócił się do Śnieżyroga. – Lubię się czasem z murów na Nowe Widłoki popatrzeć z myślą, że je zbudowałeś i nimi władasz.

Śnieżyródg udawał, że słucha. Spodziewał się długiej, nudnej i niepotrzebnej tyrady wodza na temat tego, co dla niego jest najważniejsze. Wpuszczał je wszystkie jednym uchem, drugim wypuszczał. Niektóre jednak słowa i powiedzenia uczepliły się jego głowy. Nazywał je pijawkami. Wypijały jego cenne myśli. A mógłby je przeznaczyć na rzeczy istotne.

– Tam w dali stoi pierwsza osada – kontynuował wywód Szarugil. – Ty drugą zbudowałeś. Mam nadzieję, że jak będziesz w moim wieku, to z tych murów spojrzysz na trzecią, którą wybuduje twój syn. Musisz mnie obdarować wnukiem, jak wrócisz!

– Jeszcze wieczorem się o niego postaram.

Szarugil prychnął śmiechem.

– Zapal godny pochwały.

– I wszystkim miły. Dziadkowi, co chce wnuka, córce, bo się z braciszka ucieszy, żonie i mężowi ze względów oczywistych...

– Dobrze, żeś nie taki chmurny i markotny jak dawniej.

– A kiedy ja taki byłem? – zapytał z przekąsem Śnieżyródg. Wyczuł, że wodza naszła ochota na dowcipkowanie, więc dał mu po temu okazję.

Szarugil zmarszczył siwe brwi i uśmiechnął się podstępnie.

– Ej, nie proś mnie abym ci przypominał.

– Mam krótką pamięć. Właściwie niewiele pamiętam z tego, co wydarzyło się, zanim weszliśmy na mur. Tak właściwie to kto ty jesteś, dobry człowieku?

Szarugil machnął ręką.

– Tę małą łódkę po co zrobiłeś? – zapytał.

– Jak będzie trzeba zejść na ląd, to się jej użyje. Nie będę ryzykował utraty dużych łodzi.

– Słusznie... Dam ci Zimnoskała do towarzystwa. Przyda ci się taki stary wyjadacz, jakby przyszło do najgorszego. Niejedno w życiu widział i korci go, aby gdzieś się ruszyć. Zazdroszczę mu. Stary psiór, a werwę ma jak szczeniak.

– Na pewno się przyda.

– Możesz na niego liczyć... Co jak spotkasz jakie obce plemię?

– Już mówiłem. Zabiorę ze sobą dary i im je ofiaruję. Przekonam, że szukamy przyjaźni, a nie podbojów.

– Jak cię wezmą za Stalookich?

– Staloocy napadają. Ja z nimi porozmawiam.

– A jak na nich trafisz?

– Wezmę ich podstępem. Zresztą skoro Stalookich tu nie było, odkąd najechali Stare Widłoki, to wątpię, aby się tu zapuszczali. Już przecież o to pytałeś.

– Martwię się to i pytam drugi i trzeci raz.

– Miło wiedzieć, że ci na mnie zależy.

– Jeśli oddanie ci mej córki o tym wcześniej nie przekonało, to chyba ogromnie się pomyliłem, gdym cię za bystrego ponad wszystkich uznał.

– Choćby całe twoje życie składało się z błędów, w tej jeden kwestii na pewno się nie pomyliłeś.

– Ma dusza właśnie zaznała niepojętej ulgi...

Śnieżyróg uklonił się z szacunkiem.

– Niech Czwórka ci sprzyja – życzył mu Szarugil. – Wszyscy będziemy się modlić o szczęśliwą podróż i powrót.

– Dziękuję.

– Płyn. Okryj się chwałą. Ofiaruj mi wnuka, zanim dołączę do mojej żony w Niewyśnionej Krainie.

– Masz pod opieką plemię i wnuczkę. Jeszcze sporo rzeczy cię tu trzyma.

– Pewnie po ojcu mam takie biadolenie. Każdej jesieni wieszczył sobie śmierć przez piętnaście czterocykli albo i więcej. Aż nawet rozczarowany był, że do Niewyśnionej Krainy go nie biorą. Widać Czwórka miała inne zamysły.

– Musiał być ciekawy człowiek – powiedział Śnieżyróg. – Szkoda, że go nie pamiętam.

– Umarł, jak byłeś mały... Nie wiem, ile Piórosen wtedy liczyła sobie czterocykli. Bidulka nie pamięta, jak dziadek ją na rękach nosił.

– Musisz się postarać, aby Różymak swojego dziadka dobrze zapamiętała!

– No właśnie! Wracajmy do niej! Obiecałem, że się z nią pobawię!

DRZEWA, NIEBO I CHMURY

Na wykarczowanej polanie porośniętej trawą, zasadzone w równych odstępach w formie kręgu, rosły młode sosny. Wiatr zrywał znajomy zapach z młodziutkich drzew i obdarowywał nim nozdrza Miodołosa, Wilczybrzask i ich syna, niesionego przez matkę na rękach. We trójkę doglądali młodych drzew. Krąg w środku był pusty. Czekał, aż drzewa wzniosą się na wysoko ponad człowieka. Wtedy miał stanąć w nim Totem.

Dzień był pogodny. Przyroda kipiała życiem i kolorami. Zielone korony drzew wokół polany drapały łaciaty od białych chmur, błękitny brzuch nieba. Do uszu dobiegał ptasi śpiew.

– Szybko rosną – rzekła Wilczybrzask.

– Jak to sosny – odparł mąż. – Wystrzelają wysoko w niebo na chwałę Czwórki. Harde i dumne jak nasz lud! Nawet mrozowi swych igieł nie oddadzą! Widzisz... O, zasnął! – stwierdził szeptem.

– Jak tylko ma o co głowę oprzeć, to od razu zasypia – Wilczybrzask odparła równie cicho.

– A i słusznie! Niech śpi jak niedźwiedź, póki jeszcze mały. Niech sobie wypocznie przed znojem i pracą.

– Nie mów tak, kiedy śpi – zażartowała żona. – Jeszcze się przejmie i obudzi.

Miodołoś pogłaskał po głowie żonę i dziecko najczulej jak potrafił. Wilczybrzask odsunęła się razem z synem.

– Dość – szepnęła rezolutnie. – Na więcej nie pozwalam.
– Ejże, duszko droga, toć on tak samo mój jak i twój.
– Póki jest mały, należy do mnie! Jak dorośnie, to go będziesz uczył być mężczyzną!

Syn wydał z siebie rozkoszne mruczenie.

– Widzisz, zgadza się ze mną! – szepnęła Wilczybrzask.
– A ja myślę, że w ten sposób chciał ci się sprzeciwić.
– Jako matka wiem lepiej! Własną piersią go wykarmiłam! Rozumiemy się bez słów!

Miodołość uznał swą porażkę. Dotknął dłonią najbliższej sosny i podstawił nos, aby chłonąć zapach świętego drzewa.

– Znaczę pamięć – wyjaśnił. – Ilekroć tu przyjdę, ilekroć poczuję zapach sosny, od razu przypomni mi się ta chwila. Sosny wystrzelą w niebo, syn nasz stanie się mężczyzną, a nam przybędzie zmarszczek i siwych włosów, ale zapach wciąż będzie ten sam. Ta chwila nigdy nie zginie. Zabierzemy ją ze sobą do Niewyśnionej Krainy.

– Chwała Czwórcce.

– Chwała Czwórcce... Za tę chwilę, za Nowe Widłoki, za dobre życie.

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek żyło mi się lepiej – odparła rozmarzona.

– Widzisz! A tak z początku się bałaś i nie chciałaś tu iść.

– Z początku to zawsze jest trudno – odparła wlepiając swe śliczne oczy w ziemię. – Trzeba czasu, żeby człowiek się przekonał.

– Też prawda. Dobrze się tu żyje... Ponoć w Starych Widłokach już tak nie jest.

– A czemu?

– Szarugil po śmierci żony na zdrowiu podupadł. Człowiek słaby, człowiek chwiejny. Łatwo go przechylić... Zieloryś ma tam coraz więcej do powiedzenia.

– O tym to już nawet baby po cichu szepczą. Ponoć chłopom odzienia wierzchniego zdejmować zabrania, aby pępków nie pokazywali. Że to niby jakoś

ma Czwórkę obrażać.

Miodołość rozłożył ręce. Prychnął. Wypuścił powietrze, jakby mu kto palcami ścisnął policzki.

– Nie wydaje mi się, żeby pępek w czymkolwiek Czwórcę uchybiał. Tylko nie mów tego głośno. To wielki druid i winien mu jestem posłuszeństwo.

– Widłosiew to on nie jest – rzekła, wpierv rozejrzawszy się dookoła.

– To nie tylko druid był, ale i dobrodziej – rzekł. – Dorównać Widłosiewowi to zadanie, któremu chyba nikt nie mógłby sprostać. Zieloryś jest inny... A i nieszczęścia się go uczepliły. Na zimę żona mu zmarła i brzemienna ponoć była... Tylko dziękować Czwórcę, że każde z naszej trójki oszczędziła.

– Chwała Czwórcę.

Syn podniósł główkę. Półzamkniętymi oczami zrobił zwiad otaczającego świata. Ujrzał ojca, matkę i gąszcz zieleni. Upewniwszy się, że wszystko jest w należyтым porządku, z powrotem położył głowę na wygrzanym ramieniu matki.

– Obudził się, żeby Czwórkę pochwalić – rzekł Miodołość. – Będzie z niego druid.

Wilczybrzask pogłaskała i ucałowała główkę syna.

– Można by go z córką Deszczyliisa ożenić – rzekł Widłosiew.

– Mówiłam o tym z Niebołan. Spodobał jej się ten pomysł, ale zaznaczyła, że wpierv nasze dzieci muszą wyrosnąć z robienia pod siebie.

– Bawią się ze sobą zgodnie, to dobry znak.

– Od tego jeszcze długa droga.

– Przeleci szybciej niż myślisz.

– I zmieni więcej niż sobie potrafisz wyobrazić. Jak spojrzę czasem wstecz, to samej siebie nie poznaję. Jakby w ogóle to był ktoś inny. Zanim Widłosiew nas wyswatał, myślałam, że nie ma już dla mnie nadziei i uschnę z ni... z Burzykosem.

– Jak wiele zawdzięczamy ludziom, którzy już nie chodzą z nami po tym świecie – zadumał się Miodołość. – Chciałbym, żeby nasz syn tak dobrze o nas myślał, jak my o Widłosiewie.

– Zadbamy o to.

Spojrzeni na siebie. Zrozumieli się bez słów.

– Dobrze zrobiłeś, żeś ludzi przestrzegł, aby głupot o Ostrolen nie gadali – rzekła Wilczybrzask.

– Śnieżyróg mnie poprosił. Mówił, że to może niepotrzebne, ale chciałby, aby Płowymech wypływał spokojny o przyszłą żonę. Coś taka zdziwiona?

– A nic... Jakoś on i interesowanie się ludźmi albo życiem osady... Jakoś to nie idzie ze sobą w parze.

– Ja też musiałem szukać oczu po ziemi i wsadzić je z powrotem na miejsce, gdy z tym do mnie przyszedł. Jakie by jego pobudki nie były, dobrze się stało.

– Owszem! Ludzie jeszcze gotowi wziąć ją na języki. Jak kto zawistny, to znajdzie pretekst.

– Czy ja wiem? Ostrolen przecie nigdy nikomu nic złego nie uczyniła.

– Ale krasawica! Niejedną boli, że chłopcy za Ostrolen się oglądają!

Miodołość pokręcił głową.

– Czasem mi się wydaje, że baby są bardziej dla siebie okrutne niż chłopcy.

– Cała ta wyprawa mi się nie podoba – zmieniła temat Wilczybrzask. – A jak jakie plemię spotkają i nam ich na głowę sprowadzą? Źle tu Śnieżyrogowi, że go nosi nie wiadomo gdzie?

– Wiesz, jaki on jest. Krnąbrny i pożyteczny. Ponoć ta wyprawa mu się marzy, odkąd ujrzał łodzie Stalookich.

– Żeby przypadkiem na nich nie trafił na tej wyprawie!

– Ci, co nas napadli, wyginęli do jednego. Ich pobratymcy nawet nie wiedzą, co się z nimi stało. Wątpię, aby tu się zjawili.

– To mnie wcale nie uspokaja! Po co kusić los?

– A po co los kusiliśmy idąc przez las na tą polanę? Na niedźwiedzia albo wilki trafić mogliśmy!

– Przecie tu ich nie ma.

– A skąd to wiesz? Bo i my i pobratymcy tędy chodzili, a żaden z początku nie wiedział, czy tu bezpiecznie. Jak nie sprawdzisz, to się nie przekonasz! A i lepiej, jeśli jakie potężne plemię gdzieś nieopodal nas się czai, dowiedzieć się o nim zawczasu, niż kiedy wejdzie na nasze ziemie.

Wilczybrzask ustąpiła, choć grymas nie zniknął z jej twarzy. Nie tylko jej nie w smak była cała ta wyprawa. Piórosen i żony tych, którzy mieli towarzyszyć Śnieżyrogowi, także nie kryły tego, co myślą. Nic jednak tym nie wskórały.

Śnieżyróg postanowił. Szarugil się zgodził.

– Szkoda chwili na takie gadanie – rzekł pojednawczo Miodołość. – Czwórka obdarzyła nas pięknym dniem. Wstyd nie uczcić go jak należy. – Spojrzał w górę. – Jak to Czwórka zmyślnie urządziła, że zieleń drzew i błękit nieba tak dobrze razem ze sobą wyglądają – zadumał się nad pięknem przyrody.

Spojrzała w tą samą stronę. Kołysała się lekko na boki w tym samym rytmie, co gęste, zielone korony drzew, drapiące błękitne niebo. Wpatrywanie się w cuda stworzone Wolą Czwórki sprawiało, że złość ulatniała się z niej jak żar z dogasającego ogniska.

DZIECI

Niebołan wciąż była zła na męża za noc spędzoną poza murami osady. Robiła, o co ją prosił, pomagała, gdy trzeba, ale odnosiła się do męża obojętnie. Unikała jego oczu, na każde pytanie odpowiadała krótko, zwięźle i chłodno. Ucinała każdą rozmowę, zanim na dobre się rozpoczęła.

Gromiszpon od razu wyczuł, że coś jest nie tak.

– Cego jesteś zła? – zapytał ją, gdy cerowała dziurę w synowskim ubraniu.

– Nie jestem.

Niezadowolony z jej odpowiedzi Gromiszpon podreptał do ojca, zajętego ostrzeniem noża.

– Nie podchodź za blisko – przestrzegł go żartobliwie Deszczylis. – Żelazo łase jest na małe dzieci.

Malec posłusznie zatrzymał się jak przed przepaścią.

– Cego ama jest zła? – zapytał ojca.

– Bo jej bardzo na wszystkich zależy.

– Ciszej! – syknęła szeptem Niebołan. – Tęczygrusza śpi!

– Widzisz? Nad snem twej siostry czuwa, nad tobą i nami wszystkimi.

Prychnęła lekceważąco, co Deszczylis uznał za dobry znak. Zaczynała reagować na jego słowa. Stąd już do pogodzenia się nie było daleko. Ostre krzewy i zarośla milczenia były już za nim.

– A jakby was co zeżarło?! – rzuciła nagle Niebołan, co tylko ucieszyło jej męża.

– Niby co? Osada wodą otoczona. Na noc kładkę się ściąga. Nic nie wlezie.

– Jeszcze się kiedyś potopicie!

– Póki co nie mamy ku temu powodów.

– A ojciec Śnieżyroga jak umarł?!

Gromiszpon spojrział pytająco na ojca.

– O to naczy?

– Przenieść się do Niewyśnionej Krainy – wyjaśnił ojciec. – Każdy tam kiedyś zajdzie. Spotkasz tam swojego dziadka, pradziadka... wszyscy ucieszą się na twój widok! Ale będzie zabawa!

– Odźmy tam teaz! – Klasnął w dłonie zadowolony malec

– Teraz tam nas nie wpuszczą. O tym, kiedy możesz wejść, decyduje Czwórka.

Gromiszpon spojrział w sufit.

– Kwilna, Kwar, Złota i Mro...

– Kwitna, Skwar, Słota i Zimny – poprawił go ojciec. – Powtórz za mną: Kwitna, Skwar, Słota i Zimny.

Gromiszpon powiedział jak najlepiej potrafił.

– Bardzo dobrze. Będziesz grzeczny, to cię tam wpuszczą. Niegrzecznych czeka kara i lichu, bagiennikom i innym maszkarom zostaną oddani.

– Gzeczny etem!

– Jesteś, jesteś. – Deszczylis odłożył nóż za siebie. Skinął ręką synowi, aby podszedł. Szepnął mu coś na ucho.

Gromiszpon podreptał do mamy, udającej bycie zajętej cerowaniem. Wszystko dokładnie obserwowała. Spojrzała na syna podejrzliwie, ale widok radosnej buzi wymusił na jej ustach uśmiech.

Syn objął jej szyję. Przytulił się i ucałował matczyny policzek.

– Apa kciał ci przekazać – wytłumaczył swój nagły przypływ czułości.

Oczy cisnęły spojrzeniem w męża jak kamieniem. Policzki zaś nabrały rumieńców.

Deszczylis pokazał synowi palcem, aby do niego przyszedł. Znow szepnął mu coś na ucho. Gromiszpon żywiłowo podbiegł do mamy, objął i zasypał całusami.

Niebołan szepnęła synowi na ucho, co Deszczylisowi powinien przekazać. Gromiszpon pociągnął ojca za ucho.

Żona uśmiechnęła się szelmowsko. Złość w jej oczach topniała niczym śnieg na wiosnę.

POŻEGNANIE

Śnieżywóróg najchętniej wypłynąłby o świcie i po kryjomu. Nie miał ochoty na ckliwe pożegnania, cisnący się tłum, błogosławieństwo wielkiego druida i płomienną przemowę wodza, którzy to chcieli urządzić sobie z jego wyprawy przedstawienie ku własnej czci.

Niemniej jednak musiał przełknąć dziegć i robić dobrą minę do złej gry, bo stało się dokładnie to, czego sobie życzył. Pocieszał się tym, że skoro już wziął Piórosen za żonę i zbudował Nowe Widłoki, to przed wymarzoną wyprawą zniesie i ten żalorny spęd. Wszystko minie ledwo się obejrzy. Odpłynie. Po osadzie, Szarugilu i Zielorysiu zostaną jedynie malejące punkty w oddali.

Żony, siostry, dzieci, rodziciele – wszyscy bliscy uwiesili się ramion śmiałków, którzy mieli wyruszyć w nieznane. Płowymech zaczerwienił się po uszy, gdy jego przyszła żona, Ostrolen, tak mocno przycisnęła go do siebie, że aż piersi niewiasty odcisnęły się na jego torsie niczym stopa na śniegu. Śmiechem i gwizdem okraszono jego zawstydzenie i ukrywanie pęczniejących portek.

– Proszę, obiecaj mi, że wrócisz mi go całego i zdrowego. – Ostrolen zwróciła się do Śnieżywora, który stał w towarzystwie swej żony z córką na rękach, Deszczyliisa i Niebołan z dziećmi. Rumiana buzia dziewczyny, mieniąca się w promieniach leniwie wynurzającego się słońca jak dojrzałe jabłko, tchnęła serdeczną ufnością.

Śnieżywóróg odwzajemnił uprzejmość dziewczyny.

– Obiecuję.

– Teraz mogę tęsknić w spokoju – rzekła, czym rozbawiła zgromadzony wokół lud.

– Będę pilnował, żeby do ciebie wzdychał.

Ukloniła się grzecznie.

– Płyną! – rzekła Niebołan i wskazała skinieniem głowy na rzekę, po której sunęły łodzie z wodzem i wielkim druidem.

Tłum wzniosł oklaski i okrzyki radości na ich cześć.

– Coś tak zmarkotniał? – rzekł Śnieżyrog do przyjaciela.

– A tak, tylko udaję smutnego – odrzekł, szczerząc zęby Deszczylis. – Nie mogę się doczekać, aż wypłyniesz. Cały miód ci wypiję!

– Pij! Rano do niego naszczałem.

– Moim miodem się rządzą? – Piórosen raczyła przypomnieć, kto ów wspaniały trunek zrobił. – Zaraz wyleję, żeby obu na złość zrobić! – dodała z szelmowską satysfakcją.

– Nie gniewaj się, niewiasto przewspaniała! – Skruszony Deszczylis uderzył się w pierś. – Ja tylko tak, w dowód uznania dla ciebie o tym miodzie wspomniałem! Jakbyś potrzebowała w czymkolwiek pomocy, zawsze możesz na mnie liczyć!

– Zwłaszcza jakby trzeba było ów miód opróżnić – wtrąciła się Niebołan.

– I żeś cały mój podstęp zepsuła! – oburzył się Deszczylis.

– Wypijemy we dwie z Niebołan – stwierdziła Piórosen.

– A czemu nie? – zgodziła się żona Deszczylisa.

– To się tak nie godzi – jęknął przyjaciel Śnieżyroga, jakby mu palce drzwi przytrzasnęły. – Z pobratymcami dzielić się trzeba...

– Jakoś żeście się ze Śnieżyrogiem z nami miodem nie dzielili! – wypomniała Piórosen. – Sami żeście pili!

Deszczylis huknął się pięścią w serce.

– Zrozumiałem swój błąd! – oznajmił.

– Jaki błąd? – zapytał mały Gromiszpon, który do tej pory siedział chico, ściskając rękę matki.

– A, taki zwykły, co w polu rośnie jak chwast – zażartował Deszczylis.

– Nie gadaj dziecku głupot! – zganiała go żona.

– Nie marudź! Przecie Gromiszpon bystry chłopiec i szybko pojmie, co żarty, a co nie!

Syn nie do końca zrozumiał, o co chodzi, natomiast zgodził się z pochwałą od ojca. Wyszczерzył ząbki. Puścił matczyną dłoń i wyciągnął maleńkie ramiona ku ojcu.

– No chodź – Deszczylis wziął dziecko na barana. – Teraz będziesz najwyższy!

Górowanie nad ludźmi na co dzień wyższymi od niego, sprawiło Gromiszponowi nie lada frajdę. Puszył się i rzucał harde spojrzenia mikrusom dookoła.

– Zróbcie miejsce – rzekł Śnieżyróg na widok zbliżającej się do brzegu łodzi z Szarugilem i Zielorysiem.

Igłasi utworzyli półkole jak przed Totemem.

Wódz wyszedł na brzeg. Wspierał się na kosturze. Towarzyszyli mu wielki druid i Ciemnowilk. Obaj promieniowali dumą i powagą.

– Gdzież to nasi śmiałkowie? – zapytał Szarugil. – Niech no się tu zbiorą! Niechaj każdy ich widzi.

Ustawili się w rzędzie jeden obok drugiego. Szarugil każdemu położył rękę na ramieniu i obdarzył ciepłym słowem. Potem zwrócił się do zgromadzonych wokół pobratymców.

– Niechaj teraz wielki druid ma głos, a każdy z nas w duchu poprosi Czwórkę o pomyślność ich wyprawy!

Zieloryś wystąpił przed szereg i zajął miejsce wodza. Przemówił do ludu.

– Nasi śmiałkowie ze Śnieżyrogiem na czele wyruszają odkrywać świat, którym Czwórka tak szcudrze nas obdarowała! Niechaj gdy odpłyną, każdy z nas żarliwą prośbą o pomyślność wspiera ich w podróży! Niechaj każdy z nas godnym takich śmiałków się okaże! Wznieśmy wszyscy oczy ku niebu, albowiem gdzieś tam, z Niewyśnionej Krainy, spogląda na nas Czwórka i nasi przodkowie. Prośmy

Czwórkę, aby równie hojnie obdarzyła drużynę Śnieżyroga pomyślnością, co Kwitna zielenią na wiosnę, Skwar ciepłem w lecie, Słota liśćmi ziemię na jesień, a Zimny śniegiem w czas zimy. Prośmy Czwórkę w zadumie!

Igłasi pochyłili głowy i w milczeniu spełnili prośbę wielkiego druida. Zieloryś sosnową gałązką zatoczył krąg wokół głowy każdego ze śmiałków.

Przyszła kolej na wodza.

– O zasługach Śnieżyroga dla plemienia wspominać nikomu nie muszę. Wierzę, że ta wyprawa przysporzy mu ich nie mniej! A nas wszystkich obdarzy pomyślnością nie mniejszą niż ta, o którą dla naszych śmiałków Czwórkę prosiliśmy!

Rozległy się wiwaty, ręce wystrzeliły w górę, niewiasty roniły łzy wyciśnięte zbliżającym się rozstaniem.

Wódz poklepał po ramieniu starego wygę, Zimnoskała, który przypłynął razem z nim ze Starych Widłok, aby wziąć udział w wyprawie.

– Sprawuj nad nimi pieczę! – rzekł.

– Najlepiej jak potrafię! – odparł Zimnoskał i zabrał się na łódź.

Machali sobie na pożegnanie. Ci na łodziach i ci na brzegu. Dziadowie rodziciele, siostry, bracia, żony, mężowie, pobratymcy i przyjaciele. Ręce migotały jak dogasające płomienie ogniska w ciemnej nocy, aż znikły z horyzontów śmiałków na łodziach i bliskich na brzegu.

Gdy Piórosen wróciła i otworzyła drzwi chaty, stary Płowiak wypadł z nich jak z płonącego domu. Psina pobiegła na złamanie karku nad rzekę. Do zmierzchu leżała ze skulonymi uszami. Skamlała w miejscu, z którego odpłynął Śnieżyróg.

CHATA

Deszcz dudnił o strzechę i suchą, stwardniałą od upałów ziemię. Kwitna zlitowała się nad Igłasami. Usłuchała ich próśb o deszcz wznoszonych przed Totemem. Przysłoniła słońce i niebo onucą ciemnych, spiętrzonych, nisko zawieszonych chmur. Burza przyszła z samego rana. Obwieściła się błyskami i grzmotami.

Deszczylis siedział na stołku i bujał zadowolonego syna na kolanie. Gromiszpon śmiał się w najlepsze i patrzył w stronę matki, jakby chciał się przed nią pochwalić swą radością.

Niebołan kołysała na rękach córkę. Tęczygrusza uspokajała się po ataku płaczu, spowodowanym huknięciem gromu, od którego cały świat zdawał się zatrzęść jak szturchnięty dzban. W małych rączkach ścisnęła matczyne palec. Twarz dziewczynki traciła czerwony kolor, a oczy przestały wylewać z siebie wodę.

– Widzisz – rzekła Niebołan do męża. – Zawsze jak jej daję swój palec, to się uspokaja.

– Tak ją nauczyłaś.

– Ja nauczyłam? Raz jej palec dałam, jak wyciągała rączki i tak już zostało.

– A to ja nie mówię tego, żeby ci co wypomnieć, tylko pochwalić. Znalazłaś sposób, żeby ją uspokoić. A ty już o najgorsze mnie podejrzewasz – dodał z szelmowskim uśmiechem. – Czy tak się godzi postępować żonie?

Zadarła nos. Fuknęła wyniośle.

Błysnęło się. Ciężki piorun rozjaśnił wnętrze chaty. Niebołan policzyła do dwunastu zanim usłyszała grom. Piorun uderzył dalej niż przedtem. Wcześniej doliczyła do dziewięciu. Był to stary sposób, którego nauczyła się jeszcze w Kotlasach, gdy należała do Pogórców. Wyparła się tamtego życia, ale niektóre nawyki i zwyczaje wciąż siedziały głęboko pod skórą.

– Dzielny! Burzy się nie boi! – Deszczylis pochwalił syna.

Gromiszpon nosił swe imię od tego, że gdy na świat przychodził była burza, a z rana ojcu jego śnił się orzeł niosący w szponach upolowaną zdobycz. Deszczylis wierzył, że to znak! Jego syn będzie wielkim bohaterem!

Chłopczyk rzeczywiście nic sobie z burzy nie robił. Wyglądał bardziej na zaciekawionego. Bo każdym błysnięciu mrugał oczami i nachylał się, jakby chciał dojrzeć źródła dziwnego światła.

– Sieci się! – rzekł, gdy zaroilo się od światła w chacie. – A telaz tłuće!

– Tak, tak – zgodził się ojciec. – Dobrze mówisz.

– A czemu?

– Ale co?

– Cemu wpierw sieci, a potem tłuće?

– O to musisz Śnieżyroga zapytać. Odpowie ci, jak wróci.

– A kiedy wóci?

– Na pewno przed zimą. Każdy przed mrozem ucieka do domu!

Gromiszpon zrobił wielkie oczy i otworzył usta. Osłupienie szybko minęło, gdyż uwagę chłopczyka zwrócił ciężki palenisko na ścianie, gdy się błysnęło.

Niebołan znowu naliczyła dwanaście.

– Piórosen da sobie radę – rzekł Deszczylis chcąc rozpocząć rozmowę z żoną. – To harda kobieta.

– Dla niej to nic nowego. Teraz, gdy Śnieżyroga nie ma, to o jedno dziecko w chacie mniej!

– No – przyznał Deszczylis. Jakkolwiek przyjaciel był mu bliski, tak jego wady cieszyły Iglasa czasem nie mniej niż zalety.

– Ale tobie pewno tęskno do picia nad rzeką.

Deszczylis oddał się marzeniom.

– Jeszcze się śmiejesz!

– Cały jestem i zdrow, więc co narzekasz?

– Żeby ci więcej do głowy nie przyszło zrobić to samo!

Deszczylis zagwizdał wesołą, beztroską melodię. Usta żony zacisnęły się jak powróż na szyi. Bynajmniej nie był to wyraz złości, a wzajemnego przekomarzania się, które oboje bardzo lubili. Gdy sobie wzajemnie dokuczali, zwykle świadczyło to o tym, że dobrze się między nimi dzieje.

– Dosyć bujania – stwierdził Deszczylis. – Ojczulka już nogi bołą.

Gromiszpon nie był usatysfakcjonowany tłumaczeniem ojca. Ledwo dotknął stopami podłogi, odwrócił się i wdrapał na kolana ojca. Deszczylis wziął go pod pachy i ponownie posadził na podłodze. Syn jednak nie dał za wygraną. Toczyli ze sobą zacięty bój i ani jeden nie chciał ustąpić.

– Sama nie wiem, które z was większe dziecko – rzekła Niebołan.

– Ja! – odparł dumnie Deszczylis. – W końcu wyższy jestem.

Niebołan obserwowała ich zabawę, rzewnie wzdychając. Gromiszpon śmiał się do rozpuku i uparcie wdrapywał na kolana ojca. Deszczylis zaś, choć posturę i mięśnie miał jak chłop, co z niedźwiedziem mógłby się brać za bary, miny stroił jak dziecko – do tego nie najmądrzejsze. Marszczył brwi i zadzierał nos palcem, przeto wyglądał jak prosiak. Wystawiał język i naciągał skórę pod oczami. Syn nie pozostawał mu dłużny. Teraz bili się na głupie miny.

Deszczylis wepchnął wskazujące i środkowe palce obu dłoni co ust, kciukami przycisnął policzki z zewnątrz i wyciągnął je do przodu. Wyglądał jak jakiś pokraczny stwór z baśni opowiadanych wnukom przez babcię i dziadków. Spojrzał na żonę. Zamrugął oczkami niczym nieśmiała dziewczica. Oblicze Niebołan pozostało niewzruszone niczym twarde skały.

Gromiszpon zadudnił małymi piąstkami o uda Deszczylisa, albowiem ojciec, skupiony na matuli, śmiał nie poświęcić mu należytej uwagi.

– Cóż chcesz? – zapytał syna.

Chłopiec wybałuszył gały i wystawił przednie zęby. Wyglądał nieco jak królik, który chce odgrywać groźną bestię. Ojciec spłoszył się i zasłonił twarz rękami niczym niewiasta dobrych obyczajów przed nieczystym widokiem.

Gromiszpon zapiszczał z radości. Zaszedł ojca z boku i straszył mrucząc przy tym najgroźniej jak potrafił.

– Wkrótce rok minie jak Burzylas odeszła do Niewyśnionej Krainy – przerwała ich igraszki Niebołan.

Deszczylis złapał syna pod pachy i posadził na kolanach. Bujał malca, co ten oczywiście zaaprobował chichotem. Gromiszpon otworzył usta i wydobył z siebie samogłoskę a.

– Trzeba odwiedzić jej grób – rzekł mąż.

OBCY

Śnieżywóróg brodził po miękkiej, sypkiej ziemi. Grzął w niej z każdym krokiem jak w bagnie. Drzewa spowite ciemnością wydawały się nieprawdziwe, a i ich obraz usypany z pojedynczych ziaren. Dziwił się, że nie zapadają się w ziemię, skoro są cięższe od niego.

Nie widział własnego ciała. Czuł ręce, nogi i głowę bezskutecznie starającą się zrozumieć otaczający go świat. Zapadł się w ziemi po uda. Nie bał się ani trochę. Był wszystkim zwyczajnie rozczarowany. Nie mógł pojąć, co tu się dzieje.

Ktoś zaczął go wołać. Głos dochodził z daleka. Coś go tłumilo, coś jak cztery ściany chaty. Zbliżał się i narastał jak deszcz zmieniający się w rzęsiłą ulewę.

– Zbudź się!

Zrozumiał słowa, rozpoznał znajomy głos, ale nie mógł go skojarzyć z twarzą. Wyszedł z bagnistej ziemi jak z wody.

– Śnieżywóróg! Zbudź się!

Otworzył oczy. Dojrzał ciemną sylwetkę. Usłyszał szum wody. Przypomniał sobie, gdzie jest. Rozpoznał Płowymecha.

– Co się dzieje? – zapytał siadając na tyłku. Przetarł oczy z resztek snu.

– Trafiliśmy na ludzi!

– Co?

– Jacyś rybacy! Tam, na brzegu! Ujrzeli nas i uciekli. Pewnie pobiegli po swoich. Zaraz może na nas się zwalić całe plemię!

– Zbudź resztę!

Śnieżyróg wstał. Przy brzegu rzeki dojrzał dwie niewielkie łodzie. W okolicy nie było widać żadnej osady. Słońce dopiero zaczęło się wynurzać spod czarnej pierzyny, więc jeszcze było ciemno. Może osadę obcych skrywały ciemności?

– Trzeba się przygotować – rzekł Zimnoskał, stając przy ramieniu Śnieżyroga.

– Na wodzie jesteśmy bezpieczni.

– To i ja wiem. Tylko co dalej?

– Rozmówię się z nimi.

– Jesteś pewien?

– Przecie wiadomo było, że prędzej czy później na kogoś trafimy. Skoro Sumy żyły niedaleko nas, to i oczywiste, że mogą być i inni. Lepiej z nimi pogadać. Inaczej jeszcze będą nas nękać przez całą drogę.

– Nasze łodzie po Stalookich. Skoro do nas dopłynęli, to pewnie i z tymi tu się zetknęli. Jeszcze nas za Stalookich wezmą!

– Nie jesteśmy najeźdźcami – rzekł spokojnie Śnieżyróg i odwrócił się do reszty załogi, która zdążyła się już obudzić. – Poczekamy na nich. Na pewno się tu zjawią kupą. Wezmę wtedy małą łódź i udam się ku nim. Reszta zostanie. Jakby wywiązała się walka, macie natychmiast odpłynąć i opowiedzieć Szarugilowi, co zaszło!

– Idę z tobą – rzekł Zimnoskał, kładąc dłoń na ramieniu Śnieżyroga.

– Zostaniesz na łodzi! Trzeba tu kogoś doświadczonego, co nie wpadnie w panikę, gdyby stało się najgorsze.

Zimnoskał mruknął na zgodę.

Czekali, wpatrując się w okoliczne drzewa nad w miarę równym brzegiem. W porównaniu z obydwoma Widłokami, które otoczone były zewsząd głównie zalesionymi, wysokimi wzgórzami, teren był dosyć płaski.

Cisza źle działała na Igłasów. Było im w niej tak wygodnie jak piskorzowi na brzegu. Śnieżyróg kazał im mówić szeptem. Sam zaś gęby nie otwierał, chyba że nie musiał. Uparcie wpatrywał się w brzeg. Zagryzał wargi.

Obcy zjawili się, gdy resztki ciemności pierzchły przed świtem. Wychylili się zza drzew. Groty włócznie i żeleźce toporów odbiły słoneczne promienie.

Śnieżyróg wstał, gdy tylko ich zobaczył. Wziął ze sobą Płowymecha i sześciu innych ludzi. Dwa razy po cztery. Po dwakroć Czwórka stać za nimi będzie. Wiedział, że to doda pobratymcom odwagi.

Nie mylił się. Widział, że policzyli, ledwo wsiedli na łódź. Najlepiej byłoby szesnastu, ale tylu by się nie zmieściło.

Wiosła zanurzają się w pofałdowanej toni. Chlupią i pluskają. Łódź pełnie po wodzie. Zbliżają się powoli. Czas zdaje się wlec jak koło młyńskie, które zaszło patykami i innym syfem z rzeki.

Obcy rosną w oczach. Igłasi widzą ich groźne miny, widoczne zza tarcz. Włócznie opierają się o ziemię. Topory zwisają żeleźcami w dół. Bezruch obcych biorą za dobry znak. Proszą Czwórkę o pomoc.

Dobijają do brzegu. Są wystawieni na łaskę obcych. Ci jednak stoją jak stali niby drzewa głęboko zakorzenione w ziemi. Baczenie obserwują. Włócznie opierają się o ziemię. Topory zwisają żeleźcami w dół.

Śnieżyróg odetchnął. Serce wciąż chciało wywarzyć żebra, ale nie podchodziło już do gardła, jak jeszcze przed chwilą. Wiedział, co ma robić jak kot zaraz po urodzeniu wie, żeby trzymać się matki.

Wychodzi powoli na ląd. Pobratymcy za nim. Tarcze trzymają przy ciele, tak żeby obcy mogli widzieć, że nie sięgają po broń.

– Nie chcemy walki – Śnieżyróg rzekł pewnie, ale nie za głośno. – Jestem Śnieżyróg z ludu Igłasów. Chcę mówić waszym dowódcą.

Między obcymi rozszedł się szmer, który zdawał się przypominać mowę Igłasów. Najwyższy z nich wystąpił przed szereg.

– Łydzie kaj wzięli? – zapytał.

– Łodzie? – Śnieżyróg odwrócił się i wskazał na statki Stalookich.

Wysoki mężczyzna skinął głową. Miał długie, jasne włosy zarzucone na bok. Lewą zaś stronę głowy całkiem wygoloną.

– Po Stalookich. Przyplłynęli pod naszą osadę pięć wiosen temu. Zaatakowali. Udało nam się ich odeprzeć.

– Wylnia gdako.

– Mów wolniej – odezwał się Płowymech. – Chyba o to mu chodzi.

Śnieżyróg powtórzył raz jeszcze, wolno i wyraźnie. Opisał też Stalookich. Mniemał, że skoro dotarli do Widłok, musieli płynąć przez te strony.

Wysoki mężczyzna porozumiał się ze swoimi. Wyprostowali się. Wygladzili groźnie zmarszone czoła.

– Gdzie płyno? – zapytał ich dowódca.

– Zobaczyć, gdzie rzeka się kończy.

– W solim wodu.

– W solim czym? – zapytał zaciekawiony Śnieżyróg.

– W solim wodu, kaj Władymory żyjo. Tam się zbiro i wszystko wokół przykrywo.

Śnieżyróg wyobraził sobie ogromny rów, na którego dnie leżały warstwy białej soli niczym śnieg w zimie. Wszystko zalewała woda. Jakoś mu to nie pasowało. Coś tu się kłóciło jak we śnie, w którym grzązł w ziemi.

– I płynąć rzeką tam dotrę? – zapytał.

– O!

Śnieżyróg przyjął to za tak.

– Wydza najszego ubaczycie – rzekł dowódca obcych. – On z wami pogdako.

– Jak wasz lud się zwie?

– He?

– My Iglasi. – Wskazał na siebie i pobratymców. – A wy?

– Gnotysze. Jam Milcek.

– Śnieżyróg. – Iglas wskazał na siebie.

GARDEŁ

Śnieżyród kazał pobratymcom zostawić łodzie na drugim brzegu i poczekać. Jeśli nie wróciliby do nich w ciągu dnia, mieli odpłynąć. Zimnoskał chciał iść razem z nim, ale Śnieżyród wytłumaczył mu, że w razie czego jego doświadczenie przyda się na miejscu.

Wziął ze sobą Płowymecha i ludzi, z którymi podpłynął do brzegu na powitanie Gnotyszy. Szli na przedzie, eskortowani przez orszak przyglądających im się z ciekawością wojów, z Milkiem na czele. Śnieżyród z nim rozmawiał. Reszta milczała. Języki Gnotyszy i Igłasów były do siebie bardzo podobne. Łatwo było się porozumieć.

Śnieżyród po drodze mógł lepiej się przyjrzeć obcym. Wszyscy mężczyźni nosili wąsy i te same fryzury, co Milcek – długie włosy zaczesane na jedną stronę, po drugiej zaś zgolone. Twarze, a zwłaszcza podbródki, mieli jakieś dziwne i kanciaste niby w drewnie ciosane. Mniemał, że podbicie Gnotyszy byłoby łatwiejsze niż Sumów. Mniemał, że jeśli obydwie plemiona się rozrosną, pewnie i do tego dojdzie.

Wioska odkrytego ludu ukryta była za zagajnikiem. Sama osada, podobnie jak Widłoki, otoczona była wysoką palisadą, co od razu zwróciło uwagę Śnieżyroga. Widać zarówno Igłasi, Sumy jak i Gnotysze doszli do tego samego sposobu obwarowania swej osady. Chaty też mieli drewniane i kryte strzechą. W sumie to trochę się Śnieżyród rozczarował. Miał cichą nadzieję na coś innego, czego jeszcze nie widział.

Kobiety Gnotyszy nie zrobiły na Śnieżyrogu lepszego wrażenia niż mężczyźni. Raczej zbite, korpulentne i równie kanciaste co i chłopcy; raziły jego oczy, zamiast je kusić. Baby, podobnie jak mężczyźni, patrzyły na Igłasów podejrzliwie.

W osadzie nie było Totemu ani niczego, co by go przypominało. Musieli przecież mieć swoich druidów i swoją Czwórkę czy jakie tam bóstwa wyznawali.

Milcek kazał się im zatrzymać i poczekać. Sam zaś poszedł do wodza.

Wokół zaczęli się zbierać ludzie. Stali w bezpiecznej odległości i przyglądali się Igłasom, jakby zobaczyli kozę z trzema rogami.

– Patrzą na nas jak na jakichś cudaków – szepnął Płowymech do Śnieżyroga.

– Spokojnie. Przekonamy do siebie wodza, to od razu nas polubią.

Trochę musieli poczekać na Milcka i piec się w nieufnych spojrzeniach Gnotyszy jak w słońcu w południe. Milczenie wojów, którzy ich pilnowali, też nie poprawiało im humorów. Gnuśnieli i mruździ do siebie. Gęby jednak im się uradowały, gdy zobaczyły Milcka. Zaprowadził ich do wodza.

Drzwi do chaty były otwarte na oścież. Do środka wdarły się słoneczne promienie i zatrzymały na przeciwnej ścianie. Wycięły świetlistą wyrwę w ciemności jaka spowijała wnętrze chaty.

Weszli. Milcek odwrócił się w lewo. Poszli za jego przykładem. Ukłonili się dokładnie jak i on. Z trudem mogli dostrzec pana tej chaty. Słońce raziło ich oczy.

Ktokolwiek stawał przed wodzem, z racji słońca wścibsko zaglądnącego do chaty, musiał mrużyć oczy i pochylać głowę. A poza tym, nie dość że cierpiał niewygodę, był wystawiony na widok wodza i ewentualnych łuczników, których przecież Gardeł mógł mieć schowanych w sieni. Sam zaś nie mógł wodzowi Gnotyszy dobrze się przyjrzeć, dopóki nie przyzwyczał oczu do słońca.

Fortel Śnieżyrogowi bardzo się spodobał. Jednak same słoneczne pieścizny, jakim poddane zostały jego patrzyły, sprawiły, że o wodzu Gnotyszy myślał równie mile, co o rozkładających się zwłokach.

– Osem Gardeł, wydz Gnotyszy – przemówiła postać z cienia.

– Śnieżyrog z ludu Igłasów.

– Wydz? – Gardel wskazał na niego palcem.

– Nie. Wysłannik.

– He?

– Guniec – odpowiedział Milcek.

– O!

Milcek trącił ramieniem Śnieżyroga.

– Gdakoj, co mosz gdakoć – rzekł.

Śnieżyrog zrobił daszek nad oczami z lewej dłoni. Milcek złapał go za rękę i odciągnął ją od czoła Igłasa. Zmarszczonymi brwiami i szybkim, przeczącym ruchem głowy dał do zrozumienia, żeby tak więcej nie robił.

– Wypłynęliśmy zobaczyć, co się kryje za ziemiami, które zamieszkujemy – rzekł Śnieżyróg mrużąc oczy. – Prosimy, abyś przepuścił nas przez swoje wody, abyśmy mogli dotrzeć dalej, do sole, solewo...

– Solego wodu – poprawił go Milcek.

– Do solego wodu.

– Po ca wam ku solim wodu? – zapytał się wódz.

Było to jedno z najdziwniejszych i najtrudniejszych pytań, jakie Śnieżyróg usłyszał. To jakby zapytać kota, czemu myszy łapie, rybę, czemu w wodnej głębinie żyje, i ptaka, czemu do nieba się wznosi. Chciał niemal od zawsze dotrzeć na koniec świata i tyle. Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Wódz nam kazał nam zbadać, gdzie rzeka się kończy... I zaoferować przyjaźń napotkanym ludom. Dlatego przywieźliśmy ze sobą dary.

Wódz Gnotyszy zarechotał gardłowo. Dźwięk był dziwny i nieludzki. Śnieżyróg prędeż pomyślałby, że w tej ciemności siedzi jak stwór odgłosami przypominający żabę w gotującej się wodzie. Igłasowi zjeżyła się skóra na karku.

Milcek przyjrzał się darom od Igłasów. Pośród skór i brązowo-złotego kamienia, co nie był jak kamień, znajdowała się jeszcze dziwna gliniana rzecz w kształcie gruszki. Ona wzbudziła największe zainteresowanie Gnotysza.

– To do rozpalania ognia – wyjaśnił Śnieżyróg.

– Ak? – zapytał wódz.

– Kaj palenisko? – zapytał pewien, że słusznie odgaduje ichniejszy odpowiednik słowa „gdzie”.

Szepty rozległy się w głębi chaty. Widać za wodzem znajdował się jeszcze ktoś.

– Wnyra – mruknął wódz.

Milcek zamknął drzwi chaty. Oczy Igłasów wreszcie odpoczęły. Gdy przyzwyczały się do ciemności, spostrzegły czterech mężczyzn za wodzem. Dwóch z nich, potężnymi łapskami trzymało kłoc drewna, o które Gardeł opierał plecy.

Sam zaś wódz nie był tak imponujący. Stary, siwy, suchy, z czubkiem głowy gładkim jak żołądź, przeto zasłaniał go resztą tego, co zostało z włosów na boku.

Śnieżyróg zbyt długo mu się nie przyglądał. Dojrzał palenisko po lewicy wodza. Zademonstrował, na czym polega jego dzieło.

Gnotysze rozdziawiali gęby z wrażenia. Śnieżyróg uśmiechnął się do siebie. Gdy wpadł na pomysł dmuchawy, nie przypuszczał, że kiedyś może mu się przydać w ten sposób.

– Łydzie na kurwi wszach nabyli, to mocni – odezwał się Gardeł. – Lichych za druhów Gnotysze nie łapną. Igłaki na druhów się zdają.

Śnieżyróg pokłonił się. Płowymech i reszta zrobili to samo.

– Do solim wodu gunieca lza. Inakszy Władymory nie pusząją. Milcek!

– O!

– Guniec ydzies.

– O!

ŻONA I PANNA

Stary Płowiak, gdy tylko Piórosen z rana otworzyła drzwi chaty, natychmiast biegł nad brzeg rzeki. Większość dnia spędzał na przesiadywaniu w miejscu, z którego odpłynął jego pan.

Szczekał na zamkniętą bramę, stawiając przy tym całą osadę, zwierzęta i ludzi, na nogi. W ten oto sposób Płowiak wymusił na wartownikach otwieranie bramy skoro świt, zanim jeszcze on sam się obudził. Droga nad rzekę stała przed nim otworem.

Psina leżała z pyskiem na trawie i oklapniętymi uszami. Smutno patrzyła przed siebie. Ludzie pocieszali czworonoga. Głaskali. Czochrali sierść. Dawali jeść. Każdy rozczulał się nad starym Płowiakiem i chwalił, jaki to z niego wspaniały pies. Czworonóg nie narzekał na samotność.

Piórosen wzięła córkę na ręce i poszła odwiedzić tęskniącego Płowiaka. Wzięła ze sobą młodszego psa, również imieniem Płowiak, podobnego do ojca jak liście na tej samej gałęzi. Codzienny trud związany z wychowaniem dziecka nie pozwalał jej tęsknić tak intensywnie, jak robił to pies.

Stary Płowiak nie był sam. Bawił się z Ostrolen. Lizał krasawicę po gładkiej twarzy. Dziewczyna siedziała na trawie i pozwalała się adorować czworonogowi. Zamknęła oczy. Rękami na przemian głaskała psi pysk i szyję, i studziła zapał czworonoga w okazywaniu afektu.

– Płowiak! – Piórosen zawołała na psa. – Przestań napastować biedną dziewczynę!

– O, witaj! – zawołała Ostrolen słowiczym głosem.

– Zostaw! – Piórosen pogroziła palcem.

– Nic mi się nie dzieje – zapewniła krasawica.

– Widzę, że znudziło mu się już tęsknienie za Śnieżyrogiem i teraz baby obłapia.

Ostrolen niewinnie zachichotała. Młodszy Płowiak postanowił nie być gorszy i również adorował dziewczynę.

– Dziwne – rzekła Piórosen. – Zazwyczaj leży i smutno wzdycha.

– To mądry pies. Pewnie wyczuł, że i ja tęsknię. Pewnie chce mnie pocieszyć.

– Może – przyznała Piórosen. – Wy kiedy jak mąż i żona z Płowymechem żyć będziecie?

– W lato.

– Pewnie do lata wrócą.

– Piękniej złożyć by się nie mogło.

– W istocie...

Ostrolen podniosła się i otrzepała szatę z trawy.

– Mogę ją potrzymać? – zapytała.

– Pójdiesz na ręce do Ostrolen? – Piórosen zwróciła się do córeczki.

Różymak wtuliła się mocniej w matkę.

– Wstydzisz się? Przecież...

– Nie szkodzi! – zapewniła Ostrolen z serdecznym uśmiechem. – Mądra, że się mamy trzyma. Taka wążka kruszynka wymaga opieki, a któż jej nie zapewni najlepiej jak własna matula?

– A jak twoja?

Krasawica smutno nakryła duże oczy rzęsami.

– Dalej chorowita.

– Rzadko ją widuje.

– Bidulka sił nie ma. – Krasawica bezradnie rozłożyła ręce. – Jeszcze dobrała sobie do głowy głupot i wciąż plecie, że wkrótce przyjdzie jej odejść do Niewyśnionej Krainy! Ja jej mówię, że powinna ucześcić się życia jak kleszcz ludzkiej skóry! Niech chociaż pierwszego wnuka dożyje!

Piórosen przypomniała sobie własną matkę. Jej na szczęście dane było wziąć Różymak na ręce, nim umarła. A potem Dębisrokę. Staruszka robiła ubranka dla prawnuczki, której nie dożyła. Zaślubiny Śnieżyroga i Piórosen oglądała już z Niewyśnionej Krainy.

– Widzę, że niepotrzebnie zasmucam – rzekła Ostrolen.

– Nie, nic się nie stało – zapewniła Piórosen. – Tak mi się tylko... Starą Dębisrokę sobie przypominałam.

– Ja ją ledwo pamiętam. – Krasawica uniosła oczy ku spiczastym brwiom. – Widzę tylko siwą, przygarbioną staruszkę podpierającą się kijem, jak przechodzi przez Stare Widłoki. Każdy kłaniał jej się jak wielkiemu druidowi. Tak... i ty jej towarzyszyłeś! – Pogłaskała starego Płowiaka. Ujęła jego pysk i potarła swym noskiem o zimne nozdrza czworonoga. Stary Płowiak odsunął łeb i parsknął. Otrzepał się, jakby wyszedł z wody.

– Za cuda go miała...

– I pomyśleć, że gdyby nie przodek Płowiaka, nie byłoby ani naszego rządziela, ani ciebie, kruszynko... Człowiekowi niełatwo pojąć Wolę Czwórki.

– Trzeba Jej zawierzyć... Co? – zapytała córeczkę, która szepnęła jej na ucho. – Zachowuj się! – skarciła Różymak. – Psy bawią się z kim chcą!

– Ja ci ich nie zabiorę, kruszynko – rzekła Ostrolen, w mig domyślając się, że Różymak jest zazdrosna o psa. – Chciałam być zwyczajnie dla Płowiaka miłą, jak i on dla mnie.

– Widzisz? Nie można być takim samolubem! Płowiaka nie ubędzie, jeśli Ostrolen go pogłaska.

– Ubedyje!

– Uspokój się! – zganiła ją surowo Piórosen. – Musisz przeszkadzać matuli, gdy rozmawia?

Różymak się rozbeczała. Matka postawiła ją na ziemi. Zignorowała wyciągnięte ręce córeczki.

– Wezmę cię na ręce jak przestaniesz beczeć! – przestrzegła Różymak płaczącą jakby zaraz miał się skończyć świat.

– Przepraszam. – Krasawica pokornie pochyliła głowę. – Tylko kłopotu ci narobiłam.

– Nic z tych rzeczy! – zaprotestowała poruszona matka. – Jeszcze tego brakowało, żebyś musiała przeproszać smarkułę, że się nie stosujesz do jej zachcianek!

Różymak jeszcze głośniejsz zadeklarowała swoje niezadowolenie. Biła piąstkami o ziemię. Wyła. Zmieniła barwę twarzy na czerwień.

– Płaczem niczego nie wymusisz! – przestrzegła dziewczynkę matka. – Jak chcesz iść na ręce, to przestań beczeć!

– Pocięchy czasem bywają uciążliwe – rzekła niepewnie Ostrolen. Widać było, że w całej tej sytuacji czuje się bardzo nieswojo.

– I to jeszcze jak! Najlepiej w ogóle nie zwracać na nią uwagi. Wyryczy się, wykrzyczy i za chwilę zapomni, po co był cały ten bek!

– A nie ciężko tak ci?

– Ciężko, ale innego wyjścia nie ma! Inaczej nauczy się i przyzwyczai, że wszystko może płaczem wymusić! Na grzyby się wybierasz? – zapytała, widząc koszyk, do którego młodszy Płowiak wściubił pysk i dokładnie obwąchał wnętrze.

– Nazbierać poziomek i borówek... Na grzybach to ja się nie znam. Jak raz przyniosłam, to wszystkie były trujące... No, jedynie kanię rozpoznam, ale ta dopiero na jesień się pojawi.

– Mój mąż uwielbia smażone kanie.

– Naprawdę?

– Tak. Czemu robisz taką minę?

– Nasz rządziciel taki... Nie wygląda na takiego, którego zadowolają rzeczy proste.

– To tylko pozory! Chłop jak chłop, tylko trochę dziwołąg.

Ostrolen zmarszczyła brwi, jakby usłyszała coś niestosownego.

– Czy to tak godzi się żonie mówić o mężu? – zapytała.

Piórosen zrobiła wielkie oczy. Zaraz potem się zaśmiała.

– Oj, dziewczyno, życie we dwoje to nie tylko wzdychanie i picie sobie z dzióbków. To też pogodzenie się z wadami i ułożenie spraw między sobą, aby owe wady nie zawadzały. Sama wkrótce zrozumiesz.

Krasawica pochyliła głowę.

– Masz rację – przyznała wreszcie. – Młoda jestem i nie wiem, jak wygląda proste życie we dwoje. Przepraszam.

– Nie szkodzi... Co? Już ci przeszło? – zapytała córeczkę.

Różymak umilkła. Wycierała piąstkami czerwone oczka.

– Chcesz na ręce?

– Kce.

– To bądź grzeczna.

Dziecko pokiwało smutną główką. Wyciągnęło rączki ku Piórosen. Po chwili piskłę znalazło się w gnieździe matczynych ramion.

– Pójdę już – rzekła Ostrolen.

– Obyś nazbierała cały koszyk!

– Dziękuję. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy – zwróciła się do Różymak. – Życzę ci braciszka, kruszynko. Mam nadzieję, że rodziciele cię nim obdarują, gdy nasz rządziciel wróci.

Odeszła w podskokach, nucąc cikliwą melodię swym słowiczym głosem.

PIES

Do chaty Deszczyliisa przyszła wściekła matka z płaczącym synkiem, ugryzionym przez psa. Na przedramieniu chłopczyka imieniem Modrzekrop zęby zwierzęcia zostawiły sześć otworów, z których wyciekała krew. Winą obarczała czworonoga imieniem Łyko. Domagała się sądu przed Totemem i uśmiercenia psa.

Zwołał ludzi. Poprosił druida, aby ten przewodził osądowi.

– Czy ktoś z dorosłych widział, jak bawiły się dzieci? – zapytał Miodołoś. Według wściekłej matki, jej syn bawił się razem z innymi i Łykiem, kiedy pies, zupełnie niespodziewanie, nagle go ugryzł.

Mężczyzna, który pierwszy dotarł na miejsce całego zajścia i psa odciągnął, wzruszył ramionami.

– Jeno jak go ugryzł widziałem. Co było wcześniej, to nie wiem. Czwórka mi świadkiem!

Pozostało zapytać dzieci. Razem z ugryzionym była ich piątka – trzech chłopców i dwie dziewczynki. Wszyscy mniej więcej liczyły sobie siedem, osiem czterocykli. Zaprowadzono je przed Totem. Miny miały smutne i poważne, jakby spodziewały się lania.

Miodołoś kucnął i zrównał się wysokością oczu. Uśmiechnął się życzliwie.

– Czwórka na was patrzy – rzekł serdecznie. – Powiecie prawdę, a poczujecie, jakby każde z Bóstw pogłaskało was po głowie. Prawda Czwórce miła. Powiedzcie

mi, jak to było? Ty pierwsza – zwrócił się do dziewczynki o włosach jak dojrzałe kasztany.

Dziecko schowało wargi do buzi. Spoglądało ukradkiem spod opuszczonej głowy.

– Nie bój się, mała krasawico – rzekł druid. – Prawdę powiesz, a Czwórka i rodziciele dumni z ciebie będą.

– No... Bawiliśmy się i... i... I wtedy go ugryzł.

– Czy Modrzekrop zaczepiał psa?

Dziewczynka pokręciła głową.

Jeden z chłopców się rozbeczał. Do niego należał pies.

– Ona kłamie!

– Poczekaj na swoją kolej – cierpliwie upomniął go Miodołość. – Taki dzielny z ciebie chłopiec i becysz?

Reszta dzieci potwierdziła wersję dziewczynki. Chłopczyk, do którego należał pies, ryczał i zarzekał się, że kłamią. Miodołość kucnął nad nim.

– Wiem, że psa lubisz i chronić go chcesz. Mężczyzna chroni tych, którzy są dla niego ważni. Dzielny z ciebie chłopiec. Jednak ważniejsza od psa, ciebie i mnie jest Wola Czwórki. A ona nakazuje mówić prawdę. Zrozumiesz, jak dorośniesz. Zabierzcie dzieci!

Matki wzięły swe smutne pociechy za ręce. Odprowadziły je do domów.

– Psa trzeba zabić! – rzuciła wściekła matka. – Raz ugryzł, to zrobi to i drugi!

Podniosła się wrzawa.

– Jak mamy spokojnie dzieci po osadzie puszczać, skoro taki pies grasuje!

– Jak pies dziki, to trzeba się go pozbyć!

Mężczyzna, do którego należał nieszczęsny Łyko, wyszedł przed Totem ze swym czworonogiem.

– Znam prawa, które między nami obowiązują! – wrzasnął. – Nie musicie mi przypominać! – Spojrzał na Miodołosia i Deszczylicę. – Sam to zrobię!

Kiwnęli mu głowami na zgodę.

Kucnął. Objął psa lewą ręką i przytulił. Łyko zapiszczał i oblizwał pana po uchu.
Ten wyciągnął nóż z za pasa. Wbił go psu w kark.

STARE WIDŁOKI

Lódź na Sierpicy wywołała poruszenie. Nie była to żadna z tych, w które niedawno wypłynęły w nieznane. W ogóle wcześniej takiej Igłasi nie widzieli. Zawitała do Starych Widłok.

Deszczylis nie mógł wytrzymać niewiedzy. Skrzyknął kilku chłopów. Wsiedli na łódź i popłynęli ku Starym Widłokom. Zeskoczył na brzeg zwinnie jak jelen. Nawet dobrze nie przyjrzał się obcej łodzi, tylko od razu pobiegł do osady.

Na bramie stróżował Świerszczyzab, druh spod Kotlasów i nieszczęśnik, któremu na rozkaz Białokura przyszło odebrać Deszczylisowi brankę Pogórców.

- Hej! – zawołał Deszczylis i pomachał ręką. – Co tu się wyprawia?
- Gości mamy! Śnieżyróg ich tu przywiódł.
- Wrócił?!
- Nie, ale przysłał Głazochmura z nimi jako przewodnika.
- Co to za ludzie?
- Gnotysze, tak się zwą. Uśmiejesz się, jak ich zobaczysz i usłyszysz!
- Dzięki!

Pobiegł przyjrzeć się owym Gnotykom, czy jak ich tam zwano. Po drodze zdał sobie sprawę, że od czasu pamiętnych wydarzeń przed Totemem nie zamienił ze Świerszczyzabem ani jednego słowa. Dziś zaś otworzyli do siebie gęby jak gdyby nigdy nic. Zupełnie zwyczajnie znów stali się pobratymcami.

– Czas wiele zmienia – szepnął do siebie. – W sumie to porządny człek, tylko Białokur mu rozkazał...

Machnął ręką. Nie ma po co wracać do tamtych wydarzeń. Niech się Świerszczyżebowi wiedzie jak najlepiej!

Dołączył do zbiegowiska przy chacie Szarugila. Gdyby nie pilnujący jej zbrojni, ciekawski tłum wlaźby do środka. Deszczylis obszedł zbieraninę. W ludzkim gąszczu starał się wypatrzyć znajomą twarz, która by mu dokładnie objaśniła, kto tu przybył i w jakim celu.

I się stało. Zrządzenie losu, czy Wola Czwórki, na bardziej znajomą twarz nie mógł trafić. Znał ją jeszcze jako małe, pucułowate niemowlę, które nosił na rękach, kładł do snu i wpatrywał się w rozkoszne maleństwo jak w niepojęte cuda.

Była to starsza z jego sióstr, Chmurzysosna. Choć odkąd opuścił dom „tej kobiety” (jak zwykł mówić o swej matce), dziewczynę widywał jedynie przelotnie, a odkąd przeniósł się na drugi brzeg prawie wcale, rozpoznał ją od razu. Ominął go okres, gdy z dziecka stała się podlotkiem i wreszcie kobietą. Śliczna, młodziutka, aczkolwiek dorosła i podobna do ojca buzia, którą pamiętał jako małą dziewczynkę, trzasnęła go w oczy niczym solidny kułak w pysk. Zamroczyło go, jakby porządnie oberwał, gdy tylko ich spojrzenia stanęły naprzeciw siebie.

Stał przez chwilę niezdecydowany. Ugrzązł w osłupieniu i zachwycie. Siostra odzwierciedlała jego postawę niczym powierzchnia stawu przeglądającą się w nim niewiastę. Aż wreszcie się stało. Mrugnęły oczy, usta wygięły się w łuk. Uśmiech Chmurzysosny był jak wyciągnięcie ręki.

Podszedł do siostry. Nie musiał nic mówić. Było podobnie jak z druhem spod Kotlasów. Dawne minęło. Znów byli rodzeństwem i kochali się jak brat i siostra.

Złapał ją za ramię. Przyciągnął do siebie. Uściskał.

– Nie tak mocno – wydusiła z siebie, wyslizgując się z ramion brata.

– Wybacz – rzekł wzruszony tym nagłym szczęściem, które Czwórka rzuciła mu pod nogi jak ślepej kurze ziarno. – Z radości jeszcze bym cię udusił... Aleś wyładniała, siostrzyczko!

– Dziękuję. – Dygnęła energicznie.

– Jak ci się wiedzie?

– Jestem mężatką – rzekła niczym dumna, przechwalająca się dziewczynka.

– Kto jest... szczęśliwcem? – Powstrzymał stary nawyk przekomarzania się z siostrą, który nagle zbudził się niczym niedźwiedź z zimowego snu. „Pechowiec” – to słowo cisnęło mu się na usta, ale nie pozwolił mu wynurzyć się z gęby. Wydawało mu się niewłaściwe i niegodne tej chwili.

Dobrze wiedział o zamążpójściu siostry. Choć osady dzieliła rzeka, wieści między nimi przelatywały jak ptaki. Nic jednak nie mówił. Niech siostra się pochwali.

– Dębignat – rzekła promieniejąc szczęściem życiem i animuszem niczym słodkie szczenię.

Deszczyliś pamiętał go jako młodego, wesołego smarkacza, nad wyraz odpowiedzialnego na swój wiek. Ojciec Dębignata poległ podczas nieudanego szturm pod Kotlasami. Był szanowanym i odpowiedzialnym człowiekiem o zamiłowaniu do dowcipkowania. Syn był kubek w kubek do niego podobny.

– Z matką Dębignata żyjecie?

– Zmarła zaraz przed tym jak mąż i żona żyć zaczęliśmy.

– Czyli od zimy? – pochwalił się, że pamięta, kiedy siostra się urodziła i że w właśnie za ostatniego panowania Zimnego nad światem szesnasty czterocykl wkroczyła, po czym stała się kobietą.

– Tak.

– Ile Dębignat od ciebie starszy?

– Dwa czterocykle.

– E, to niewiele.

– Znamy się od dawna – wtrąciła siostra, podkreślając ostatnie dwa słowa. Mówienie o swym małżeństwie widać bardzo ją cieszyło. – Od dawna wiedzieliśmy, że mężem i żoną się staniemy. To i przyzwyczailiśmy się do siebie przez ten czas.

Zupełnie zapomniał, jak wyglądało małżeństwo w jego własnym plemienu. On ożenił się inaczej. Ojciec i ta kobieta nie wybrali mu małżonki, nie poznał jej, nie oswoił się z myślą, że będą mężem i żoną, ani nie przygotował się razem z nią na wspólne życie we dwoje. Poczuł jakąś dziwną nostalgię i żal, że nie poszedł ścieżką swych pobratymców.

Szybko jednak rzucił ją za siebie. Czymże był chwilowy żal wobec szczęścia i dwójki dzieci?

– A faktycznie... A, no tak! Przecież tu przypląnąłem, aby się wywiedzieć, kto to taki do Starych Widłok zawitał. Ludzi na drugim brzegu ciekawość skręca jak głód. Wiesz może co?

– Właściwie nic. Dopiero co tu przyszedłem. Ponoć jakieś wysłannictwo do plemienia, które Śnieżyróg spotkał przybyło. Dębignat by się lepiej wywiedział, ale on na polowanie poszedł.

– Aha...

Zaskrzypiały drzwi chaty. Wyłonili się z niej wódz, wielki druid, Ciemnowilk i zgraja obcych, ze śmiesznie wygolonymi lewymi bokami głowy i długimi włosami zaczesanymi w prawo.

– Wspaniały to dzień dla Igłasów – obwieścił Szarugil. – Śnieżyróg w swej podróży napotkał plemię Gnotyszy, którzy przyplnęli ofiarować nam swą przyjaźń!

– Chwała Czwórcę! – zakrzyknął Zieloryś i wzniosł oczy i otwartą dłoń ku niebu.

– Chwała! – zakrzyknął tłum.

– Dzisiaj wydamy ucztę na cześć Gnotyszy – kontynuował Szarugil słabym głosem. – Ugościmy ich, jak oni naszego Śnieżyroga!

Plemię wiwatem okrasiało jego słowa.

– Niech żyje Gardeł, wódz naszych nowych przyjaciół!

– Niech żyje!

Deszczyliśa rozpierała duma z przyjaciela. Z chęcią trzasnąłby go otwartą dłonią w plecy i powiedział kilka kąśliwych uwag.

Objął siostrę w talii. Uniósł i zakręcił w powietrzu.

– Same dobre rzeczy mnie tu spotykają, odkąd przy płynąłem – stwierdził dziarsko.

– Może zajrzysz do nas do chaty? Tam pogadamy.

– Owszem! Tylko ludziom nad rzeką dam znać, żeby przekazali w Nowych Widłokach dobrą nowinę! Powiem im, żeby później po mnie przy płynęli. Zaczekaj tu, dobrze?

Kiwnęła głową.

Uporał się raz dwa i ani zdążyła się obejrzeć, znowu był z powrotem. Miała wrażenie, że czas zrobił jakieś dziwne czary i przeszłość z przyszłością się poplątała, bo choć starsza jest, nagle poczuła się znowu małą dziewczynką, którą dziarski, pełen werwy brat zwykł nosić na barana.

Zasiedli w chacie. Chmurzysosna chciała poczęstować wszystkim, co tylko miała, ale zadowolili się zwykłą wodą.

– Może chociaż suszonej ryby zjesz? – nalegała.

– Naprawdę nie trzeba! Z rana się najadłem jak wilk upolowaną sarną! Boje się, że portki trzasną!

– A twój mąż gdzie?

– Na polowaniu. Przecie ci mówiłam!

– A, no tak... W sumie, skoro tu jestem, to jeszcze grób ojca odwiedzę.

Chmurzysosna zmarkotniała.

– Piorun dąb złamał – rzekła.

Deszczyliś syknął, jakby go kto młotkiem w palce u stóp uderzył.

– Wtedy, co ostatnio ta wielka burza była, co tak trzasnęło z nieba, że aż ziemia zachwiała się w posadach, wtedy to się stało. Z Dębignatem poszliśmy odwiedzić tatusia i dziadka, a tu dąb złamany... Żeby się tylko z tego jakie nieszczęście nie zrobiło.

– Nawet tak nie mów! – skarcił siostrę Deszczylis. – Piorun gdzieś trafić musi, akurat teraz się złożyło...

– A jak to gniew ojca i dziadów?

– Przecież jakby nas ukarać chcieli, to by w twoją bądź moją chatę piorun trafił. Zresztą za co mieliby nas karać? Niby czym zawiniliśmy? – Nagle przypomniała mu się matka. Pewien był, że jeśli Czwórka lub ojciec cisnęli piorunem w dąb, to pewnie z jej powodu.

– Nie wiem, ale się boję! – rzekła Chmurzysosna.

– Czwórka wróciła nas sobie – uspokoił siostrę. – Musi być po naszej stronie!

– Mam nadzieję...

– Miej wiarę! – Chciał za wszelką cenę pocieszyć siostrę, rozwiać wszystkie wątpliwości. Matczyna zdrada odebrała im wspólne lata, chciał temu jakoś zadośćuczynić. Chciał znów być bratem, na którym siostra może polegać.

– Właśnie to dobrze się składa, że się spotkaliśmy... To chyba jakieś zrządzenie Czwórki, bo myśleliśmy z Dębignatem, aby zamieszkać na drugim brzegu...

– Miejsce się znajdzie! – zadeklarował buńczucznie. – Jak będzie trzeba, to się nową chatę raz dwa postawi i już! – Mina mu nieco zrzędła. W uniesieniu spowodowanym odkryciem na nowo własnej siostry, zapomniał o Niebołan. – Mam żonę i dwójkę dzieci.

– Słyszałam – odparła, wyczuwając napięcie w głosie brata.

– No tak... Ludzkiego gadania nawet rzeka nie zatrzyma.

– Chcę ich poznać.

– Ucieszą się – rzekł łagodnie.

– Ja też!

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A czemu was do Nowych Widłok ciągnie? – zapytał.

– U was ponoć jest lepiej...

Niewiele to mówiło, ale więcej nie pytał. Podejrzewał, że chęć przenosin siostry z mężem na drugi brzeg ma coś wspólnego z „tą kobietą”. Dla niego zawsze

była pierwszą podejrzaną.

*

Dąb wyglądał, jakby go ścięto pod skosem. Zaostrzony kikut trzonu mierzył w niebo, korona zaś marniała na trawie. Liście zaczęły tracić zieleni. Usychały i nabierały brązowej barwy.

Kucnął nad drzewem. Pogłaskał korę jak małe dziecko. Naszło go poczucie beznadziei i tego, że już się nie odstanie. Nawet jeśli zbierze ludzi i z powrotem posadzą koronę na trzonie i zespolą je razem mocnym sznurem, liście nie nabiorą zieleni, a części złamanego drzewa nie połączą się jak rana opatrywana chlebem i pajęczyną. Nie odstanie się. Dąb, który, jak mniemał, będzie stał tu zawsze, póki żyje, a i jeszcze długo po tym jak umrze, nie wróci na swoje miejsce.

Dumne, rozłożyste gałęzie, na które z trudem się wspinał będąc chłopcem i wskakiwał zręcznie jak wiewiórka, gdy wszedł w wiek wyrostka, już nikogo gościć nie będą. Nie posadzi na nich Gromiszpona, gdy dorośnie. A przecież miał nadzieję, że syn po nim kreskę na dębie natnie.

Chciało mu się wyć jak wilk.

Znalazł jednak małe pocieszenie. Piorun złamał drzewo nad wyrytymi kreskami po pradziadzie, dziadzie i ojcu. Same zaś znaki pozostały nienaruszone.

– Nie śmiał ich tknąć – pocieszył się szeptem Deszczylis. Widok ocalonych kresek przyniósł mu ulgę.

MORZE

Odstawili wiosła. Rozłożyli żagle. Płynęli w ciszy. Śnieżyróg rozejrzał się po swych ludziach. Byli ponurzy, jakby przymierali głodem. Nawet Płowymech, który ślepo zdawał się podążać za nim, unikał jego wzroku. Śnieżyróg wiedział, że wszystko się zmieni, gdy tylko ukazą im się pierwsi ludzie z plemienia Władymorów, jak to określali ich zaprzyjaźnieni Gnotysze.

Podszedł na dziób, gdzie siedział ich guniec, Milcek. Zastukał palcami po ramieniu mężczyzny. Ten wzdrygnął się jak piskorz wyrzucony na brzeg.

– Oiwa mnie cykasz?! – oburzył się Gnotysz.

„Czemu mnie straszysz”, zrozumiał Śnieżyrog. Im dłużej przebywał z guniecem, tym szybciej podłapywał mowę jego plemienia. Właściwie to od początku rozumieli się bez większego trudu. Ich języki nie były od siebie tak odległe, jak mowa Igłasów i Stalookich. Z ich gdakania nie potrafiłby wyłowić pojedynczego słowa, a co dopiero cokolwiek zrozumieć. Dlaczego tak było? Co sprawia, że mowa jednych obcych jest tak bliska jego rodzimej, a innych odległa? W podróży, która miała odpowiedzieć chociaż na część nurtujących go pytań, głównie znajdował nowe.

– Kej Władymory zywią solim wodu? – zapytał.

– Morze – odparł Milcek z uśmiechem. Widać wielce rad był z tego, że Igłas mówił do niego jak pobratymiec. – Nakucili wy druhowanie z nomi, tyła utrupicie kumostwo z Władymorami.

Śnieżyróg kiwnął głową. Wolał nie mówić Milckowi z czym Igłasom kojarzy się słowo utrupić.

– Ludzie na brzegu – rzekł Płowymech.

Oczy buszowały w nadbrzeżnych zaroślach w poszukiwaniu ludzkiej sylwetki.

– Tam! – Wskazał palcem Płowymech na dwoje ludzi.

Milcek wstał i wziął w ręce poroże jelenia. Zaczął nim machać na znak, że to od Gnotyszy płyną.

Śnieżyróg przypatrywał się guniecowi, powstrzymując śmiech. Wolał mu nie mówić, z kim i czym pośród Igłasów kojarzy się jelen, a tym bardziej co to znaczy przyprawić rogi.

Wieść się rozeszła o ich obecności. Wkrótce zjawił się przedstawiciel plemienia. Młody, wysoki, szczupły, o ogorzałej twarzy, z warkoczem zaplecionym wokół skroni niczym opaska. Przywitał widać znajomego Milcka, a potem Śnieżyroga, którego guniec mu wskazał.

Zwał się Miałgur. Był bratem wodza imieniem Owar.

Milcek robił za tłumacza. Mowa Władymorów była o wiele trudniejsza do zrozumienia od tej, którą władali Gnotysze. Śnieżyróg z trudem za nią nadążał. Właściwie to tylko próbował, bo w gąszczu nieznanymi słów jego rozum czuł się jak orzeł w krecim korytarzu pod ziemią.

Całe szczęście miał Milcka. On dogadywał się, jakby mówił ze swoim. Może wyglądał głupawo i nie sprawiał wrażenia, jakby myślał nad czymś więcej, niż tylko czym by tu się podetrzeć, gdy nagle zachce mu się zostawić po sobie ślad niczym krowa w szczerym polu, ale był z niego pożytek.

– Mówiłeś mu, że wpierw morze chcę zobaczyć? – zapytał swego niezrównanego gunieca.

– O! Gdako, we z nomi faluje. Luda nie wie, co morza nie patrzył.

Popłynęli ku morzu.

Śnieżyróg bał się rozczarowania. Na ramieniu siedziało mu zwątpienie i wziąć szeptało do ucha. Nieznane po odkryciu zamiast zaprzec dech w piersiach, wzbudzi

wstręt. Popłynął nadaremno.

Morze wyrwało zwątpieniu język.

Woda była wszędzie. Obejmowała łąd niczym szerokie ramiona ojca małe dziecko. Zdawać by się mogło, że wpływa do nieba. Gdyby nie odmienne barwy ogromnej wody i dachu świata, w oddali człowiek nie odróżniłby jednego od drugiego. Zielień morza i błękit nieba stanowiły wyraźną granicę nawet w niezmierzonej dali.

– Oiwa ckliwiesz?

– Bom jaźwi! – rzekł osłupiały, jakby nie wiedział, czy śni. W Gnotyszej mowie oznaczało to „szczęśliwy”.

Władymor widać zrozumiał, bo zaśmiał się pod nosem. Śnieżyróg pomyślał, że pewnie wydał się mu równie śmieszny, co wyrostek, który pierwszy raz baby w kąpieli podglądał i rumieńce ma na twarz wyszły od tego, co zobaczył.

Spojrzał na morze, na nie kończącą się wodę, która wzburzała się i chlapała jak w bujanej misce.

*

Zeszli na łąd. Miłgur prowadził ich do wodza. Po drodze, z wzajemnością, przyglądali się miejscowym. O ile kobiety Gnotyszy nie zrobiły na Igłasach żadnego wrażenia, to na niewiasty Władymorów nie mogli się napatrzeć.

– Dlaczego starsze noszą upięte włosy, a młodsze rozpuszczone? – zapytał Śnieżyróg.

– Splecone – chłopiatu, rozfrugane – dziewa.

– Że jak? – dopytał się idący za nimi Wilgosznur.

– Rozpuszczone panna, związane mężatka – odparł Śnieżyróg.

Pobratymiec skrzywił, jakby kopa między nogi przyjął. Z bolesną miną spojrzał za siebie, aby jeszcze raz przyjrzeć się krasawicy o skórze białej jak płatki

zakwitłych jabłoni, włosach jak czarnoziem i twarzy w cudach wyrzeźbionej. Nosiła długi warkocz.

Igłás ugryzł dolną wargę. Nie mógł przeboleć.

– Prędko żeś o swej babie zapomniał! – dociął mu Gruszypiach.

– W gówno se nochal wsadź, a nie wpychaj go tam, gdzie cię nikt nie prosił!

– Odezwał się! – wtrącił się Płowymech i również skarcił Gruszypiacha. – Obydwaj wodzicie tu za babami wzrokiem jak niedźwiedź za miodem!

– Bo ładne są! – oznajmił Wilgosznur. – Ty sobie możesz wzdychać do swej młódki, ale poczekaj, aż jej cycki zwiędną! Pierwszy będziesz patrzyłami nura między młode wymiona dawał!

Gruszypiach poparł pobratymca rubasznym śmiechem.

– Zamknijcie się wszyscy – rozkazał spokojnie Śnieżyróg, jakby opowiadał o pogodzie. – Nie zapominajcie, że to nie wasze kobiety. Jak zbyt łapczywie będziecie się im przyglądać, to jeszcze któregoś z chłopów może zaswędzić ręka.

Skulili po sobie uszy.

Władymory wydały się Śnieżyrogowi lepszym ludem niżli Gnotysze. Zastanawiał się nawet, dlaczego nadmorskie plemię nie podbiło tego śmiesznego ludu. Tłumaczył to sobie tym, że widocznie jeszcze nie rozrośli się na tyle, aby potrzebować nowych terenów.

Wódz Owar, mężczyzna niewiele starszy od swego brata i równie wysoki, przyjął ich o wiele lepiej niż Gardeł. Od razu wydał ucztę na ich cześć. Nie szczędził jadła ni napitku.

Milcek powiedział Śnieżyrogowi, że to wszystko przez to, że Władymory wierzą w Przebranego Wędrowca. Bóstwo owe za ludzi się przebiera i gościnność swych wyznawców sprawdza.

Śnieżyróg niewiele pił. Czekał na nadchodzący świt. Chciał jak najszybciej iść nad morze.

ŚNIEŻYRÓG

Przechadzał się brzegiem morza (bo tak plemię Władymorów zwykło nazywać ogromną wodę zagarniającą dla siebie cały horyzont). Tutaj Sierpica kończyła swój bieg i niczym potok, do którego źródła razem z Deszczylisem dotarli, wpływała w większe skupisko. Tu też kończył się ruch wody. Morze stało, nigdzie nie płynęło. Burzyło się tylko od wiatru i obmywało piaszczysty brzeg falami przyływu. W dodatku woda była słona. Dlaczego? Za nic w świecie nie mógł pojąć. Z której strony rozum nie starałby się wgrzyźć w problem jak w jabłko, zawsze zamiast miękkiego owocu, nadziewał się na twardy kamień.

Spojrzał na fale. Jedna popychała drugą na brzeg. Pomyślał przez chwilę, że świat jest jak miska po brzegi wypełniona wodą, która przelewa się, gdy naczynie się zachwieje. Ucieszył się. Myśl wzbijała się w przestworza, ale równie szybko spadała na ostre skały. Prawda była taka, że zwyczajnie nie wiedział. I nawet nie znał rozmiarów własnej niewiedzy.

Siadł na tyłku. Gapił się w niewielką wysepkę niedaleko. Miejscowi mówili, że poza ptakami nikt na niej nie mieszka. Zamarzyło mu się ją odwiedzić i zrobić domek na drzewie jak za czasów, gdy babka z Szarugilem wyswatali go z Piórosen. Przypomniał sobie to wszystko. Skrzywił gębę ze wstrętem. Myślenie o tym wydało mu się bluźnierstwem. Przecież oto stało przed nim pytanie ważniejsze niż źródło potoku i to, gdzie Sierpica płynie, razem wzięte.

Był bezradny. Czuł wstręt do pojedynczego ziarenka piasku na plaży, chmur, nieba i każdego ze swych dzieł. Wydały mu się zabawą w kałuży, podczas gdy

za plecami jest morze.

– Po co cokolwiek robić? – mruknął.

Skulił się jak jeź. Dryfował od myśli do myśli. Wszystkie zmierzały do ponurych wniosków.

Podniósł głowę. Zmrużył oczy. Zdawało mu się, że na horyzoncie widzi jakiś kształt. Wynurzał się z oddali jakby wypływał spod wody. Wstał. Dłoń przyłożył do czoła. Okrył oczy od światła gasnącego w morzu słońca.

Kształt robił się coraz większy. Zobaczył łódkę. Rybacy zapuścili się daleko i wracali z połowu.

– Przecież na płaskim...

Łódź wynurzała się jak człowiek zza pagórka. Zatem musiała płynąć pod górę. Tylko jak to możliwe, skoro wszędzie jest równo, a woda wypełnia horyzont jak miskę?

Zmarszczył brwi. Zagryzł wargę. Gapił się i głowił. Wyciągnął jabłko z niewielkiego tobołka. Rozdziawił paszczę. Zmienił zdanie, nim zęby wbiły się w owoc.

Wstał. Rozejrzał się po mieliźnie, ale nie znalazł tam żadnych kamieni ani kamyczków. Spojrzał za siebie. Niedaleko leżało suche drzewo. Pobiegnął do niego. Wydłubał nożem drzazgę długą na pół kciuka.

Wbił ją w jabłko na sztorc. Wziął owoc w dłonie. Uniósł na wysokość oczu. Obracał między palcami. Brązowa drzazga zaczynała znikać, jakby zanurzała się w zielonoczerwonym owocu. Poruszył w przeciwną stronę. Brązowa drzazga rosła jakby wynurzała się z jabłka.

Legł na piasku. Rozłożył ręce jak orzeł, gdy wzbija się do lotu.

– Świat nie ma końca! – powtarzał raz za razem, roniąc łzy radości.

Wyciągnął rękę ku niebu. Zacisnął pięść.

Wziął świat w garść i wydarł mu jeden z sekretów. Poczłł chłodny wiatr na dłoni. Przypomniał sobie pytanie, jakie kiedyś zadała mu Piórosen: dlaczego

wiatr ogień wznieca? Wydało mu się z pozoru łatwe, ale do dzisiaj nie znalazł na nie odpowiedzi.

Uśmiechnął się nad przewrotnością tajemnic świata. Pytanie o koniec świata okazało się łatwiejsze niż to, dlaczego wiatr wznieca ogień.

ŻONA I SIOSTRA

Niebołan nie mogła sobie przypomnieć Chmurzysosny. Wiedziała, że jej mąż ma dwie siostry i jedna z nich takie właśnie nosi imię, ale okres gdy mieszkały pod jednym dachem, nie dość, że przeminął jak mgnienie oka, to jeszcze spędziła go obejmując ze strachu i rozpaczony własne kolana. Kulila się jak jeź. Żałowała wtedy, że nie ma kolców. Miała nadzieję, że umrze.

Dziś, gdy była szczęśliwą żoną i matką, tamten przykry okres jawił jej się jako konieczny trud, niczym ból, którym okupione było przyjście na świat Gromiszpona i Tęczygruszy.

Rozpacz przyćmiewa wszystko dookoła. I pewnie dlatego nie mogła sobie przypomnieć siostry męża. Nawet z rozpoznaniem jego matki miałyby problem, choć nienawidziła ją ze wszystkich sił.

Chmurzysosna była wtedy dzieckiem. Matka pewnie sączyła jej do uszu jad, który zatruewał wyobraźnię dziewczynki. Niebołan pewnie jawiła się w niej jako wstrętna, wszeteczna, obca suka, która odebrała jej brata. Musiała ją nienawidzić.

Co zasiane w umyśle dziecka, to u dorosłego głęboko zapuściło korzenie. Choć Deszczylis zapewniał ją wielokrotnie, że jego siostra nie żywi urazy, nie mogła zaznać spokoju. Widmo nienawiści zakorzenionej głęboko w siostrze Deszczylisa, zawisło nisko nad jej szczęściem jak ciemna, spiętrzona chmura.

– Czyżby to sama Czwórka miała nas dzisiaj odwiedzić? – zapytał żartobliwie Deszczylis, widząc jak żona sprawdza każdy kąt i poprawia nawet to, co nie trzeba.

Sam zaś Deszczylis mocował się z synem dwiema rękami. Krzywił się, jakby ogromny głaz chciał podnieść. Gromiszpon groźnie warczał i marszczył brwi. Ojciec nie był w stanie sprostać jego sile.

– Wygląłem! – zawołał dumnie Gromipszon.

– Za silny jesteś dla mnie – ojciec uznał jego wyższość.

– Ciszej, bo Tęczygruszę obudzicie! – syknęła Niebołan.

Deszczylis położył palec na ustach. Mrugnął oczami do syna. Gromiszpon zrobił to samo.

– Uważaj – szepnął Deszczylis. – Z mamą lepiej nie zadzierać. Strzela gniewem z oczu jak z łuku.

Jak na zawołanie cisnęła jednym prosto w męża.

– Cóż taka zła jesteś?

Odrzuciła głowę w bok. Czyż nie było to oczywiste, co ją dręczy?

– Powiedziałem jej, że jak chce być moją siostrą, to musi ciebie uznać za moją żonę. Nie bój się. Chmurzysosna nie jest już dzieckiem. Rozumie, co wtedy zaszło.

– Kiedy szło i co szło? – zapytał mały Gromiszpon.

– Licho wczoraj w nocy po strzesze – odparł ojciec. – Pytało, czy jest tu taki jaki niegrzeczny chłopiec.

– Nio ma akiego!

– A mnie mówiło, że ponoć jest tu taki jeden, co mamy nie chce słuchać...

– Nio ma!

– Powiedziałem mu, że jest tu taki...

– Nio ma!

– Taki dzielny chłopiec, który wie, jak się zachować. On będzie wiedział, że jak jego ciotka tu przyjdzie, to ją przywita jak należy i w pierwszej kolejności przedstawi swoją ukochaną mamę. Na to lichu odpowiedziało, że takiego to nie weźmie.

Gromiszpon podreptał do drzwi. Wypatrywał przez wąską szparę, czy kto nie idzie.

Niebołan odetchnęła. Mąż i syn, kamień po kamieniu, zdejmowali z jej pleców ogromny, przytłaczający ciężar.

– Ciotka i jej mąż wpierw muszą swe graty w chacie porozmieszczać – wyjaśnił synowi Deszczylis. – Nieprędko mogą przyjść. Jeszcze jak ich co najdzie...

– Nie opowiadaj mu głupot! – skarciła go Niebołan.

– Co ci po głowie chodzi, niewiasto? – zachnął się jej mąż. – Jak ich głód najdzie, to pewnie co zjedzą, zanim przyjdą.

Westchnęła. Przyłożyła dłoń do czoła.

– Sama nie wiem, z którym większy kłopot...

– Widzę, że humor ci się poprawił, bo psioczyć na mnie zaczynasz.

– Doby humor mi do tego zupełnie niepotrzebny!

– Głowa do góry! Masz dwóch wojów po swojej stronie, w tym jednego na czatach. Siadaj, co będziesz tak się krzątać bez powodu? Nie tu!

– To gdzie?

– Na kolanach. – Wskazał zamaszystym gestem na swe nogi. – Lepszego miejsca w całym świecie nie znajdziesz!

– Phi!

– Siadaj po dobroci!

Usłuchała łaskawie. Złączone dłonie położyła na swych udach.

– Pamiętasz, co mówił Miodołość, gdy udzielał nam ślubu?

– Że im mocniej zawiązany węzeł małżeński, tym trudniej go rozwiązać.

– No widzisz! Teraz się staram zacisnąć węzeł mocniej. Pomóż mi. Obejmij mą szyję.

Uniosła dłonie i założyła je na męża niczym obręcz. Przyłgnęła czołem do jego skroni. Nie wiedzieć czemu, przypomniały jej się zielone liście, przejrzone na wylot promieniami słońca, szum ciemnych drzew i wiatr, który otula ciało przyjemnym chłodem.

– Widzisz tam kogo, Gromiszpon? – zapytał szeptem syna.

– Nio! – odparł malec naśladując szept ojca.

– Jak ci się znudzi patrzeć, to przyjdź tu!

– Dobła!

– Dobry z ciebie ojciec – szepnęła do mężowskiego ucha.

– Dopiero teraz to zauważyłaś? – rzekł wielce dotkniętym tonem.

– Idź ty...

– Mogę sobie pójść... Jenó jak wstanę to tyłeczkiem bęciesz na podłogę!

Jeszcze sobie guza nabijesz...

– Dziękuję – szepnęła.

– Nadstaw ucho.

Wykręciła szyję w bok. Zamknęła oczy.

Odgarnął kilka niesfornych kosmyków, które wydostały się z zaplecionego warkocza. Zbliżył usta do ucha żony. Zasłonił je ręką.

– Kocham cię.

– Nadstaw ucho – odparła uradowana.

W ten sam sposób zakryła swe usta i ucho męża.

– Ja ciebie też.

– Pochwalam twe słowa – rzekł z ogromną łaską.

Złapała jego ucho w sidła swych zębów. Ugryzła symbolicznie.

– Idom! – szepnął zwiadowca przy drzwiach.

– Baba i chłop? – zapytał ojciec.

– Ta!

– To możesz ich wpuścić.

Malec otworzył drzwi. Stał dumnie opierając się ręką o framugę.

– Całkiem w ciebie się wdał – rzekła Niebołan, gdy opuściła ciepłe siedzisko mężowskich kolan.

– Po kim innym byłby taki chwát?

– Witaj, dzielny wojowniku – rozległ się męski głos Dębignata, męża Chmurzysosny. – Czy jak obdaruję się tym o to jabłkiem, to wpuścisz nas do

środka?

Siostra Deszczylisa pokłoniła się bardziej niż trzeba. Widać była nie mniej przejęta niż Niebołan. Żonie Deszczylisa ulżyło, gdy ujrzała swe obawy uczone Chmurzysony jak kleszcz. Jeszcze lepiej się poczuła, gdy zauważyła uderzające podobieństwo młodej kobiety do jej męża.

Malec przyjął jabłko i podreptał do rodziców się nim pochwalić. Nagle zatrzymał się jakby co strasznego zobaczył.

– To oja uochana mama – rzekł i złapał się matczynej szaty. – A to mój apa. – Wskazał na ojca.

– Zuch – stwierdził Dębignat. – Tata i mama sami by się tak dobrze nie przedstawili!

Niebołan wyciągnęła ręce ku siostrze swego męża. Ujęła jej ramiona.

– Cieszę się, że mogę cię poznać – rzekła szczerze.

– I ja też – odparła nieco speszona Chmurzysosna.

Ucałowały się po policzkach. Każdy z każdym po kolei przywitał się jak należy.

– Uściskaj ciotkę – Niebołan zwróciła się do syna, który wykorzystał fakt, iż nikt nie patrzy i zabrał się do wcinania czerwonego, soczystego jabłka.

Podreptał do przypominającej ojca niewiasty. Ucałował w nadstawiony policzek. Dał się nawet wziąć na ręce.

– Ale z ciebie krasny chłopiec – rzekła Chmurzysosna tonem ciepłym jak świeży chleb.

– Ćwicz się, ćwicz, żoneczko, żebyś wiedziała, jak swoje nosić – rzekł z przekąsem Dębignat.

Deszczylis miał przez chwilę wrażenie, że widzi zmarłego. Tak Dębignat podobny był do swego ojca. Zwłaszcza ta dowcipna gadka i mina cwane urwisa, który tylko szuka okazji do żartu były jakby wycięte i naszyte na syna, z poległego pod Kotlasami woja.

Chmurzysosna zaczerwieniła się speszona.

– A Tęczygrusza? – zapytała.

Fakt, iż znała imię jej córki, podziałał na Niebołan jak chleb na głodnego. Jeśli jeszcze oddzielała je pokrywa lodu, właśnie pękła hukem.

– Śpi – szepnął Gromiszpon, mieląc miąższ jabłka. Położył palec na ustach.

– To lepiej bądźmy cicho – szepnął Dębignat. – Jeszcze nas przegoni na cztery wiatry, gdy ją obudzimy.

Gromiszpon pokiwał głową. Z buzi wyciekło mu trochę soku. Chmurzysosna wytarła mu palcem usta.

– Pozwolisz nam ją zobaczyć? – zapytał Dębignat.

Malec kiwnął głową.

– Wskaż nam drogę.

Gromiszpon pokazał palcem.

– Oj, gdzie paluchem pokazujesz. – Mama wsparła się pod boki i pokręciła głową.

– Nic nie widzieliśmy. – Dębignat mrugnął okiem.

Poszli za wskazaniem malca do śpiącej dziewczynki.

– Oja siostrla, Tecyglupa – szepnął Gromiszpon.

– Oj, jak to twoja siostra, to nie będę z nią zadzierał – odparł Dębignat i na palcach zrobił odwrót.

Wszystko stało się tak łatwo i prosto, zupełnie inaczej niż Niebołan się spodziewała. Ludzie, których nie znała, zupełnie zwyczajnie, stali się częścią jej życia, zanim jeszcze na dobre się poznali.

Usiedli. Podzielili się chlebem i suszonym mięsem. Mały Gromiszpon od razu polubił Dębignata. Wolał się mu przechwalać niż tulić do ciotki. Deszczylis i Niebołan przecierali oczy ze zdumienia jak łatwo Dębignat spoufalił się z malcem.

– Jego wszystkie dzieci lubią – wytłumaczyła Chmurzysosna.

– To dlatego, że mamy tyle samo rozumu – odparł Dębignat.

– Aleś ty podobny do ojca – wypalił Deszczylis.

– Przynajmniej wiadomo, że moja matula porządną kobietą była.

– A ja o estem ak silny, że apę pokonam! – podniósł głos Gromiszpon, niezadowolony z braku należytej uwagi.

– Oj, jak z ciebie taki siłacz, to może zostaniesz moim przyjacielem, co? Będzie miał mnie kto bronić.

– Ta!

– Dzięki, siłaczu!

Gromiszpon zadarł głowę i wsparł się pod boki.

– Słyszałam, że Sosnowy Krąg żeście zasadzili – zagadnęła Chmurzysosna.

– Każda osoba z pierwszych rodzin, które się tu osiedliły drzewa sadziła – rzekła dumnie Niebołan.

– To my tak trochę jak pchły na psie, co? – zagadał Dębignat do żony. – Trzeba się postarać, żeby nas ludzie w osadzie przyjęli.

– Ja ię pływmluje! – oznajmił Gromiszpon i, dla podkreślenia swej decyzji, tupnął nóżką.

– A ciocię też przyjmiesz? – zapytała.

– Ta!

– Ale mamy sprzymierzeńca! – Dębignat trącił się pięścią w kolano, żeby podkreślić samozadowolenie.

Gromiszpon zachichotał z zadowolenia.

– Było się martwić? – szepnął Deszczylis do żony. – Coś taka zamyślona?

– W głowę zachodzę jak to możliwe, że taki dzik ma taką gołębicę za siostrę?

BÓBR

Przed południem w osadzie zapanowała wrzawa większa niż zazwyczaj. Ludzie łapali się za głowy, rozdziawiali gęby, wyłupiali oczy na widok dwóch stworzeń, które przynieśli myśliwi z lasu.

Futrzak z pyska przypominał wiewiórkę, tylko że rozmiarów małej świni. Przednie łapy miał jak rzeczony gryzoń, natomiast tylne z błonami jak kacza. Do tego ogon płaski jak powierzchnia stołu. Lud nadziwić się nie mógł temu cudakowi.

– To bóbr – stwierdziła Niebołan.

– Kto? – dopytała Igliśpiew, ciekawska stara baba, sąsiadka Ostrolen.

– Bóbr, tak się ten zwierz zwie. Pewnie znaleźliście go przy tamie na wodzie? – zapytała najlepiej myśliwego, Dębignata.

– Jako żywo!

– One tamy budują na wodzie. Widzicie te zęby?

Myśliwi rozdziawili paszczę martwego zwierza.

– Nimi drzewa obgryzają – wyjaśniła Niebołan. – Wokół tamy pewnie były resztki, co wyglądały jak zastrugane pale?

– Były! – przyznał osłupiały Dębignat. Nie mógł uwierzyć, że Niebołan dokładnie opisała to, co widział.

– A na środku wody gniazdo?

– Jako żywo! Skąd ty tyle o nich wiesz?

– Nie będę was zanudzać. – Machnęła ręką. – Z tylnych łap i ogona dobre mięso jest.

– Naprawdę? – Igliśpiew wytrzeszczyła małe, kaprawe, zielone ślepia. – Toż on taki cudak, że bałabym się zjeść!

– To na tobie wypróbujemy, czy trujący! – dociął babie Dębignat z prząsnym uśmiechem.

– Ja ci dam! – Zagroziła uniesioną pięścią. – Czekaj jak tylko jaką łagę znajdę!

– Ja z chęcią przyrządzę i zjem – oznajmiła Niebołan.

– No jak przyrządzisz, to z chęcią się podzielimy, co nie? – zapytał dwóch pozostałych myśliwych Dębignat.

Przytaknęli z uśmiechami od ucha do ucha.

– To do dzieła!

Zbieranina poszła za Niebołan pod jej chatę.

Przed domem Deszczylis ostrzył nóż. Nie zwracał uwagi na wrzawę. I tak się dowie, o co cały szum, choćby nawet nie chciał. A jeśli to coś poważnego, to przecież od razu do niego przybiegną.

Gromiszpon przyglądał się pracy ojca. Tęczygrusza siedziała na tyłeczku i bawiła się słomianą lalką. Deszczylis co chwilę rzucał na nią okiem.

– Przed chatą rozpal ogień – doszedł jego uszu głos z nadchodzącej zgrai.

– Przyrządź tak, aby wszyscy widzieli! – dodał babski.

– Patrz, co my upolowali! – rzekł Dębignat, który jako pierwszy zjawił się przed chatą.

– Co to za... – urwał w połowie zdania. Dziwnie znajomy wydał się mu ów zwierz. Jakby kiedyś coś podobnego widział. Przypomniawszy sobie, że kiedyś o czymś takim opowiadała mu żona, a niedawno Śnieżyróg, gdy pili nad rzeką.

– Bóbr! – odezwała się Igliśpiew. – Twoja baba mówi, że wie, jak z tego strawę zrobić.

– Naostrzyłeś? – zapytała Niebołan męża.

Podwinął rękaw lnianej koszuli. Wykręcił rękę i znalazł niezgolony fragment skóry, na którym ostatnio nie sprawdzał ostrza. Dłoń położył na swym obojczyku i nadstawił łokieć. Przejechał nożem po włosach. Ostrze przeszło przez nie jak kosa przez trawę. Wytarł nóż. Podał go żonie bez słowa.

– Coś się stało? – W mig odgadła z twarzy męża jego nastrój.

– Nic takiego.

Wiedziała, że kłamie. Zwyczajnie nie chciał mówić przy ludziach. Nie wiedziała tylko dlaczego.

– Zjesz?

– Spróbuję.

Przyglądał się temu, jak Niebołan zwinnie skóruje zwierza. Nie mógł się pozbyć myśli, że coś jest nie tak. Cieszył się, że Śnieżyróg tego nie widzi. Pewnie dostałby szalu i przepędził wszystkim kijem, a potem zaszył się w lesie na dzień albo dwa.

Z chęcią by się napił z przyjacielem nad rzeką.

Potrawa z bobra naprawdę mu smakowała. Nie pomogła mu się jednak pozbyć tego dziwnego uczucia, że coś jest nie tak.

POWRÓT

Płyną! – zakrzyknął nad rzeką rybak, który wypatrył w oddali łódzie przemierzające wody Sierpicy. – Płyną! – wieść rozeszła się jak echo po dolinie. Znad brzegu zawędrowała pod bramę Nowych Widłok. Z murów rozlała się na osadę. W mig każdy wiedział, że oto wracają śmiałkowie, co odkryli nowe plemiona.

Ludzkie morwie opuściło swój kopiec i wyszło nad brzeg. Porzuciło codzienny znój i pobiegło ku wydarzeniu, jakie zdarza się może i raz na całe życie. Zniecierpliwione, wypatrywało bliskich. Dzieci wyciągały ręce w kierunku rosnących w oczach łodzi, na których płynęli ich ojcowie. Trzymające je na rękach żony od wzruszenia zraszały oczy. Ich śladem poszli rodziciele, rodzeństwo, przyjaciele i reszta pobratymców, którzy swoim bliskich między śmiałkami nie mieli, ale porwał ich nastrój chwili jak jesienny wiatr złotoczerwone liście.

Deszczylis, gdy tylko usłyszał wieści, wystrzelił z chaty jak z łuku. Pobiegł do Piórosen. Żona przyjaciela, która wpierw zmarszczoną brwią przywitała wtargnięcie Deszczylisa do chaty jak wichury i śnieżycy, nie musiała nawet pytać. Po jego gębie poznała, że Śnieżyróg wrócił. Oczy błysnęły jej jak piorun ciśnięty w ziemię.

Zrozumieli się bez słów.

– Już idę – rzekła uradowana.

Kobieta wzięła gaworzącą córeczkę na ręce.

– Chodźmy – rzekła cała rumiana.

Poszli nad rzekę. Nie zamienili ze sobą słowa, oboje po brzegi wypełnieni radością i oczekiwaniem. Tłum rozstępował się przed nimi jak topniejący śnieg przed wiosną. Każdy robił miejsce dla żony Śnieżyroga i jego przyjaciela.

Ludzie machali rękami i wznosili radosne okrzyki. Deszczylisowi przypomniało się zwycięstwo nad Stalookimi i szczęście, od którego człowiekowi wydawało się, że stoi na chmurach.

Zbliżyli się na tyle, że już uwidzieć dało się twarze współplemieńców i ich szczęśliwe, choć zatroskane miny. Bliscy wyciągali w ich stronę ręce, jakby chcieli złapać za łodzie i siłą przyciągnąć je do brzegu.

Wrócili smutni i poważni niczym dziecko, które wie, że czeka go lanie. Lud szybko pojął, co przyćmiło szczęście z powrotu do domu. Wystarczyło policzyć śmiałków. Wróciło mniej niż wypłynęło.

– Śnieżyróg gdzie? – zapytał Deszczylis.

Płowymech i reszta opuścili głowy.

– Czemu milczycie?! – warknął zaniepokojony Deszczylis.

– A Zimnoskał? – zapytał ktoś w tłumie.

– Wilgosznur?

– Gruszypiach?

Zaniepokojeni bliscy skoczyli ku śmiałkom jak drapieżniki ku rannej zwierzynie. Karki powracających ugięły się pod ciężarem bólu pobratymców jak gałęzie od ciężkiego śniegu.

Płowymech chlipnął nosem.

– Zginęli na morzu – wydusił z siebie.

– Gdzie zginęli?! – dopytał się Deszczylis.

– Na morzu...

– To taka wielka słona woda, co cały horyzont pochłania – przerwał Płowymechowi jeden ze śmiałków.

Ten rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Słona woda? – rozszedł się szmer po tłumie. Lud przypomniał sobie pogłoski rozpowiadane przez Głazochmura, co z obcymi przypłynął.

– Gnotysze nie mówili? – zapytał Płowymech. – Wszak mieli się tu zjawić i z wodzem...

– Byli! – zagrzemiał Deszczylis. – Mów dalej!

– Utopili się wszyscy, gdy sztorm na wodzie nas zastał...

– Co?! Kto was zastał?!

– Sztorm. Tak Władymory, plemię, co nad wielką wodą żyje, nazywa burzę na morzu. Fale wysokie były jak drzewa... Woda wdzieriała się do łodzi jak bestia do zajęcej nory. Porwała ich. Rzucaliśmy linę na pomoc, ale...

– To po coście w burzę wypływali?! – syknęła Piórosen przez łyzy. – Patrz mi w oczy!

Płowymech zwiesił głowę.

– Na wielkiej wodzie nas zastała – odpowiedział. – Przecież nikt by się nie pchał na szalejące...

– To po coście płynęli nie wiadomo... – Urwała w połowie zdania, bo zdała sobie sprawę, że dobrze zna odpowiedź, choć nie chce jej usłyszeć.

– Taki rozkaz był.

Cisza przygniotła nastrój do ziemi jak ciężki głaz. Przerzywały ją westchnienia, pochłipywanie, ocieranie łez. Bliscy nieśmiało zaczęli podchodzić do swych synów, mężów, ojców i braci. Przytulili się do całych i zdrowych.

– Czemuś go nie uratował?! – syknęła Piórosen.

Płowymech milczał, smagany rozpaczą kobiety. Nieśmiało rozglądał się w poszukiwaniu Ostrolen. Dojrzał ją w tłumie we łzach. Widać bała się wtrącić między niego a Deszczylisa i Piórosen.

NOWY ŁAD

Piórosen obrała jabłko i pokroiła je na osiem części. Karmiła nim córeczkę. Różymak, z rozkosznym uśmiechem na malutkiej buzi, zajadała się mięszem soczystego owocu. Jej matka trzymała się dobrze. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Deszczylis. Z drugiej strony sine wory pod oczami świadczyły o nieprzespanej nocy.

– Ciamkaj, ciamkaj – zachęciła córkę Piórosen.

„Podziwiam cię” – to chciał jej powiedzieć, ale słowa te wydały mu się nie na miejscu. Gdy tylko dyskretnie nawiązywał do śmierci jej męża, zupełnie go ignorowała.

– Dobrze się trzymasz – spróbował chwiejnym tonem, którego natychmiast pożałował.

– Łzami dziecka nie nakarmię – zabrzmiała sucha odpowiedź.

– Jeśli czegoś ci trzeba...

– Wiem, że mogę na ciebie liczyć.

– Zawsze.

– Zachowuj się normalnie – rzekła serdecznie, uśmiechając się przy tym do córki. – Dzieci nie są głupie, od razu wyczuwają, że coś jest nie tak.

– Płowiak nad rzeką?

– A gdzieżby indziej?

– Drugiego takiego psa się nigdzie nie znajdzie. – Cokolwiek nie powiedział, wydawało mu się to głupie i nieodpowiednie. Milczenia znieść nie mógł.

– Dobrze, że młody tego nie słyszy, bo by się zrobił zazdrosny.

– On też nad rzeką?

– Czort wie, gdzie polazł... Wiem, że chcesz być pomocny, ale na razie nic mi nie trzeba – rzekła ciepło. – Wypłakałam się na ojcowskim ramieniu.

– No tak...

– Nie miej mi tego za złe, ale przyjdź innym razem.

Uśmiechnął się smutno. Wiedział, że miała rację. Pomachał ręką Różymak na pożegnanie.

Poszedł nad rzekę. Przysiadł się do starego Płowiaka, czekającego na powrót swego pana. Psina leżała na brzuchu z pyskiem położonym na trawie i oklapniętymi uszami. Czworonóg zwrócił smutne oczy na Deszczyliśa, gdy ten zasiadł obok z bukłakiem miodu. Spojrzenie Płowiaka ścisnęło Iglasowi flaki i wytłoczyło wodę z oczu.

Pogłaskał psa po głowie.

– Z chęcią bym się z tobą napił, wiesz? – szepnął do Płowiaka. – Powspominamy razem Śnieżyroga, co? Lepiej od nas chyba nikt go nie znał. – Obejrzał się za siebie, czy przypadkiem nikt go nie słyszy. Każdy by zrozumiał, a i nikt nie śmiałby mu wypomnieć gadania do psa jak do człowieka, ale mimo wszystko było mu głupio.

Pociągnął łyka. Wypłukał usta miodem. Rozsmarował wspaniały smak po całej gębie.

– Wiesz, to mnie strasznie wszystko dziwi. Po tym, jak ojciec zginął, było podobnie... I jak Dębisroks odeszła... No i z moja drużyna pod Kotlasami. Jakoś tak nie mogę pojąć, że to wszystko – las, rzeka, osada i lud... że to istnieje jak gdyby nigdy nic. Dlaczego świat choć na chwilę nie pęknie jak kij złamany na pół? Niech uczci pamięć po nich jak należy...

Pies zapiszczał. Odwrócił się na plecy i wyeksponował brzuch. Głaskanie głowy rozochociło łasego na pieszczoty czworonoga. Deszczylis przetarł oczy i spełnił zachciankę Płowiaka.

– Popatrz, nawet ty zapomniałeś na chwilę – rzekł i poczochnął mocniej psa, co czworonóg skwitował radosnym piszczaniem. – Ludzie oddają hołd i żyją dalej. Nie sposób przecież całe dni wspominać i rozpaczać. – Pociągnął łyka. – Sam już nie wiem... Tak się waham i chwieję, bo mi brak tego... Jak go znam, to teraz się ze mnie śmieje tam, w Niewyśnionej Krainie...

Płowiak podniósł się i polizał Deszczylisa po gębie.

– Już mnie tak nie pocieszaj! – rzekł odchylając głowę od psich pieszczot. – Siadaj! No siadaj!

Pies usłuchał i przycupnął na tylnych łapach.

– Ze mną będzie lepiej. Rano się obudzę. Zajmę się tym, co trzeba. Jestem igłą sosny. – Objął psa ręką. – Tylko teraz tak mi jakoś... Sam widzisz, że bzdury plotę. Jak by się kto temu przysłuchał...

Pies rozdziawił paszczę. Wywalił jęzor. Sapał radośnie.

– Gdzie patrzysz? – zapytał Deszczylis po tym jak wziął następny łyk. – Co żeś uwidział? Drugi brzeg? Ano jest tam... Tam żeśmy się obaj urodzili w Starych Widłokach. Ty, ja i Śnieżyróg. I razem żeśmy szli do źródeł potoku... Jego to zawsze takie rzeczy interesowały. Nie myślał jak zwyczajny człowiek. Jemu w głowie było tylko to, co innemu w ogóle by do niej nie przyszło... I gdzie go to zaprowadziło? – Przetarł oczy, pociągnął łyka. – Płowymech mówił, że jak Śnieżyróg morze zobaczył, to jakby sama Czwórka mu się ukazała. Musiał być szczęśliwy...

Pies rozdziawił paszczę i ziewnął.

– Sen cię morzy? Stróżujesz tu od rana dzielnie. Odpoczynek ci się należy... jak psu kość! – Zaśmiał się i napił miodu. – Może i ja też pójdę. Dzieci trzeba położyć spać i żonę przytulić. Niech ze mnie mają jakiś pożytek... jak Śnieżyróg miał z ciebie... Może i nie zawsze potrafił cię docenić. Był dziwoląg i tyle...

Westchnął ciężko. Poczekał, aż smutek skapnie z niego jak resztki deszczu z mokrych drzew. Wstał i zrobił kilka kroków. Pies spojrzał na niego pytająco.

– Chodź. Trzeba wracać do domu. Piórosen da ci jeść. No chodź. – Klepnął dłonią trzy razy po udzie.

Płowiak usłuchał. Szli w czerwonożółtych promieniach gasnącego w rzece słońca. Chwila jawiła się Deszczylisowi jako podniosła i jedyna w swoim rodzaju. Ryła w jego pamięci jak nóż w korze martwego dębu, obok którego spoczęli pradziad, dziad i ojciec.

Przypomniały mu się, jak wracali we trójkę ze źródeł potoku. Słońce rumieniło się tak samo i lud, po całym dniu, zbierał się w osadzie. Wtedy zagadał z Ptasikwiatem. Oj, jaka to była porządna dziewczucha. I tak straszny był jej koniec.

Zjeżył mu się kark od wspomnienia jej zwłok. Mogła być czyjąś żoną, czyjąś matką i babką. Mogła nawet na stare lata być kimś takim jak Dębisroka... Jakże babuli teraz brakuje w osadzie. Jakże by się teraz przydała.

Odprowadził psa do domu. Nie zajrzał do Piórosen. Nie chciał. Odpychało go od tej myśli jak dziecko od ognia, po tym jak już raz się oparzyło. Piórosen po swojemu zносиła utratę męża. Nie ma co na siłę jej się narzucać.

Tak... wracali we trójkę ze źródeł potoku. Życie rozpieszczało ich chwilą jak on Płowiaka. Kto by pomyślał, że już wkrótce wszystko miało zmienić się nie do poznania? Stracił ojca, towarzyszy, okrył się chwałą, na zabój zakochał się w dziewczynie Pogórców, bronił jej jak na mężczyznę przystało, trupem położył wodza i jego syna, wziął ją za żonę, dała mu wspaniałe dzieci... i zawsze po swojej stronie miał Śnieżyroga.

– Gdyby mnie ktokolwiek lubił, lepiej dobierałbym sobie przyjaciół – szepnął do siebie. To zaczepne powiedzonko na pozór było przytykiem, ale z czasem Deszczylisowi jawiło się jak klepanie po plecach, jak głaskanie psa, jak przytulenie własnego dziecka.

Zatrzymał się przed chatą. Chciał się uspokoić. Zostawić smutek po przyjacielu za progiem i wejść do środka jako mąż i ojciec. Nie udało się. Przed chatą czekała

Niebołan. Siedziała na stołku i plotła warkocz. Błaha rzecz, a koła niczym śpiew leśnych ptaków, deszcz stukający o strzechę, trzaski domowego ogniska.

Zbliżył się po cichu. Musiała być zanurzona w myślach po uszy.

– Dzieci śpią? – zapytał.

Wzdrygnęła się jak spłoszony kot. Złapała za serce.

– Aleś mnie przestraszył!

– Nie trzeba było bujać w obłokach! Wybaczę ci, jeśli myślałaś o mnie.

– Phi.

– Co to ma być? Przykładna żona uwiesiłaby mi się szyi!

Spojrzała na męża jakby wmawiał jej, że ryby pływają po niebie, a ptaki latają w wodzie.

– Myślałam, że upijesz się i zaśniesz nad rzeką – rzekła chłodno.

– A jednak o mnie myślałaś! Sama się przyznałaś!

Uśmiechnęła się jak matka nad ukochanym urwisem.

– Widzę, że jesteś w dobrym nastroju.

– Pogadałem sobie do psa i mi przeszło. – Rzucił bukłak na bok. Złapał żonę za przedramię. Szarpnął. Stanęła na nogi. Usiadł na stołku a Niebołan posadził na kolanach.

– Stołek się złamie!

– Gdzie tam! Sam go robiłem!

– Właśnie dlatego się boję!

Objął żonę w pasie. Przyłożył policzek do jej pleców.

– Cieszę się, że cię mam – szepnął.

– Ja też – odparła tym samym tonem.

Siedzieli w ciszy. Dzielili chwile między sobą.

– Chodźmy do chaty – rzekła. – Jeszcze mi tu zaśniesz.

Zamruczał jak rozczarowany kot.

– Mi tu dobrze.

- To sobie siedź, tylko mnie puść!
- Wiesz, ile to kosztuje wysiłku?
- Wiesz, ile bólu kosztuje ugryzienie moich zębów?
- Na własnego męża nastajesz, zmijo wszeteczna?

Złapała za nadgarstki zamkniętą wokół jej pasa obręcz męzowskich rąk. Podniosła do swoich ust. Puścił w porę, zanim białe zęby zatrzasnęły się z hukiem.

Wyprostowała się dumna ze swego oswobodzenia.

- Chodź do chaty.
- Mi tu dobrze.
- Chodź, pogadać musimy.
- O czym?
- Wejdiesz, to się dowiesz.
- Aleś ty złośliwa i przebiegła!
- I wyrozumiała ponad miarę – odparła zniecierpliwiona.

Deszczyliś zmarszczył brwi, ale usłuchał.

Dzieci grzecznie spały. Przyjrzał im się z rozczuloną miną.

– Zastanawiałeś się, co dalej? – zapytała szeptem.

– Ale z czym?

– Z tobą! Byłeś prawą ręką Śnieżyroga. Powinieneś po nim zostać rządcielem!

– Musisz o tym teraz?

– A kiedy? Igły sosny nie tęsknią za słonecznym latem, gdy zbliża się siarczasty mróz! Czas nie zwolni biegu tylko dlatego, że jesteś w żałobie po przyjacielu!

Westchnął zrezygnowany. Czuł, jakby żona pamięć o przyjacielu, którą starannie, wspomnienie z wspomnieniem, nawlekał jak jarzębinę na korale, rozerwała i rzuciła na podłogę.

– Powinieneś się ogłosić rządcielem! Lud pójdzie za tobą!

Pożałował, że wrócił.

– Czemu nic nie mówisz?

– Wspominałem przyjaciela – odparł zrezygowany. – Ostatnie, na co teraz mam ochotę, to rozdziarać szaty po nim.

– Jak nie będziesz walczył o swoje, to wydrą ci je z rąk! – syknęła. – Już raz broniłeś swego przed Totemem!

– Nie możesz z tym poczekać do rana? Musisz teraz krew mi zatruwać?

– Myślisz, że Śnieżyróg chciałby, aby kto inny po nim przejął władanie w Nowych Widłokach? Wszak sam mówił, że się lepiej niż on do tego nadajesz!

Gromiszpon zamruczał przez sen. Oboje równocześnie spojrzeli w kierunku syna. Mlasnął i nie wydawał z siebie więcej dźwięków.

– Ogłoś się rządzicielem z samego rana! – szepnęła Niebołan.

Deszczylis zagryzł zęby i przełknął gorzką ślinę.

– Szarugil kochał go jak swego syna – rzekł po chwili. – Uszanuje jego decyzję. Różymak będzie...

– Jesteś pewien?! – wcięła mu się w słowo.

Złapał ją za rękę. Palce zacisnęły się na ramieniu Niebołan jak szczęki drapieżnika rozrywającego mięso. Pisnęła z bólu. Położył jej palec na ustach.

– Ani słowa więcej – szepnął.

Pokornie pokiwała głową. Wyglądała jak mała dziewczynka, która stara się uchronić przed laniem. Wiedziała, że więcej nic nie wskóra, a może jedynie sobie zaszkodzić.

Wyszedł z chaty. Podniósł bukłak z ziemi. Poszedł nad rzekę. Żałował, że nie został z psem do białego rana.

PRZYSZŁOŚĆ

Wilczybrzask odetchnęła z ulgą. Syn zasnął. Deszcz przyszedł jej z pomocą. Zawsze łatwo zapadał w sen, gdy płaczące niebo przygrywało mu do snu na słomianej strzesze.

Miodołość zaglądnął żonie przez ramię.

– Śpi – stwierdził szeptem.

– Śpi.

– Jakże dobrze jest być dzieckiem i słodko spać sobie pod strzechą, gdy matula czuwa nad twym snem...

Wyobraźnia Wilczybrzask powędrowała ścieżką wytyczoną przez mężowskie słowa. Rozmarzyła się. Ujęła rączkę syna między kciuk i palec wskazujący.

– Nie kuś losu – zganił ją Miodołość. – Jeszcze się obudzi!

– Mam wprawę.

– No... Jak drwał sto drzew zetnie, to wie, jak rąbać. Jak matka sto razy nad snem dziecka czuwa...

Położył jej ręce na ramionach. Przechyliła głowę na bok. Wtuliła policzek w dłoń męża.

Śpiący w kącie Burzykos puścił bąka.

Skrzywili się i zaśmiali po cichutku. Miny im zrzedły, gdy nozdrza zaczął szturmować zapach.

– Fuj! – Zatkąła nos Wilczybrzask. – Po czym mu tak dupsko grzmoci? – Zamachała dłonią przed nosem.

– Nie psuj chwili!

– Już zepsuta, nie czujesz? Śmierdzi jak zapartek!

Złapał nos żony między palce.

– Już lepiej?

Zdjęła mężowskie kleszcze z nosa.

– Wytrzymam. Cóż innego zrobię?

– Cicho. Ktoś idzie?

– No.

Miodołość podszedł do drzwi, zanim gość zdążył w nie zapukać. Był pewien, że to kobieta.

– Miodołosiu jesteście tam?

Rozpoznał głos Niebołan. Otworzył drzwi.

Kobieta zdjęła znad głowy szmatę, którą chroniła włosy przed deszczem. Pokłoniła się.

Zaprosił ją gestem dłoni do środka.

– Wyjdiesz na chwilę? – poprosiła. Przy okazji ukradkiem zaglądnęła do środka i skinęła głową żonie druida.

– Twój mąż też raz przyszedł do mnie jak padało – rzekł, zamykając za sobą drzwi.

– Dobrze znam tę piękną historię – odparła serdecznym szeptem. – Opowiadał mi ją po stokroć.

Słowa nie mówiły wiele, ale serdeczne usposobienie i nadmierne ciepło bijące od prześlicznej twarzy Niebłan utwierdziły druida w przekonaniu, że kobieta nie przysłała z byle błąhostką.

– W czym rzecz? – bezwiednie przeszedł na szept.

– Masz przyjaciół pośród druidów w Starych Widłokach, prawda?

– Prawda.

Rozglądnęła się na boki.

– Nie mówili przypadkiem, kogo Szarugil myśli uczynić rządcielem w naszej osadzie? – zapytała hardo.

Uśmiechnął się przyjaźnie. Jego też martwiła przyszłość osady.

– Na razie jest w głębokiej żałobie. Zieloryś ponoć pilnuje go jak zazdrosny pies.

Zmrużone oczy Niebołan otwarły się od słów druida. Poczowała pewny grunt pod nogami.

– Mógłbyś się wywiedzieć?

Miodołość rozprostował plecy.

– Widzę, że mamy zbieżne podejrzenia – szepnął.

Rozejrzała się wkoło.

– Nie ma się co bać – rzekł Miodołość. – Każdy w Nowych Widłokach zadowolony z rządcielem. Nie marzy im się nowy.

Odetchnęła z ulgą.

– Jemu o tym powiedz! – Wzburzyła się, jednak nie na tyle, aby porzucić bezpieczny szept. – On wciąż pogrążony w żałobie po Śnieżyrogu! Głowę ma zamgloną wspomnieniami przyjaciela, a bieg wydarzeń nie zwolni i nie poczeka! Proszę cię, porozmawiaj z nim! Wytlumacz mu, jak sprawy stoją!

– Miałem to zrobić.

Przetarła czoło.

– Stokrotne dzięki! Widać myślisz naprzód bardziej niż ja! Niepotrzebnie cię nagabuję!

Druid uśmiechnął się wyrozumiale.

– To całkiem zrozumiałe, a nawet, śmiem twierdzić, chwalebne, że jako żona martwisz się o przyszłość męża.

– Żeby jeszcze on się o nią tak martwił!

– Postaram się go przekonać.

– Tylko nie teraz! Za chwilę albo zaraz po obiedzie... Jeszcze będzie myślał, że cię namówiłam!

– Utwierdziłaś mnie w przekonaniu – odparł zrećźnie. – To zupełnie co innego.

– Lepszego druida Nowe Widłoki mieć nie mogły!

Druid przyjął komplement ze szczerym ukłonem.

– Przyjdę po obiedzie.

– Jeszcze raz ci dziękuję! Do rychłego zobaczenia!

– Do rychłego!

Rozłożyła zwiniętą chustę i schowała pod nią głowę. Czmychnęła zwinnie jak wiewiórka.

– Baby i pozory – westchnął do siebie Miodołoś.

– Czego chciała? – zapytała Wilczybrzask męża, gdy ten zamknął za sobą drzwi chaty. Przeczowała, że to nic dobrego.

– Uprzedziła moje zamiary – rzekł ponuro Miodołoś.

– Jakie zamiary?

Usiadł na stołku.

– Żywot plemienia toczy się według swojskiego, dobrze znanego porządku – przemówił. – Człowiek wstaje, dziękuje Czwórcę za dar życia, idzie polować, łowić ryby, wypasać krowy, zajmuje się dziećmi i każdym rodzajem codziennego trudu. W Przesilenia i Równonocę się raduje i chwali Czwórkę, jesienią sieje oziminę, srogą zimę przeczeka, na wiosnę rwie się do życia razem z przyrodą, latem zaś zabiera się do żniw... Jednak od czasu do czasu zdarza się, że Czwórka tym porządkiem wstrząśnie. Tak było, gdy najechali nas Staloocy. Potem przyszedł czas wojny Sumami i wreszcie śmierć wodza pod Totemem. Deszczylis zachwiał porządkiem silniej niż najeźdźcy. Szarugil zaś go przywrócił. Ze śmiercią Śnieżyroga przyszedł kolejny wstrząs.

Mruknęła potakująco.

– W Starych Widłokach niewesoło. Nie tylko siostra Deszczylisa, ale i więcej ludzi na drugi brzeg do nas się garnie. Szarugil stary i zdrowia najlepszego już nie

ma. Zieloryś rządzi w osadzie.

– I wymyśla głupoty jak to z pępkim – zaszydziła Wilczybrzask.

– Piórosen teraz wolna – stwierdził ponuro Miodołość. – A Zielorysiowi żona w zimie zmarła...

– Myślisz, że...

– Jeśli weźmie ją sobie za żonę, to niejako stanie się dziedzicem Szarugila i po nim wodzostwo weźmie. Piórosen u nas siedzi. Jakby się tu sprowadził, zostałby rządcielem. Do śmierci Szarugila władałby Nowymi Widłokami, a potem został wodzem.

– Zająłby tu twoje miejsce.

– I Deszczyliśa...

– A kto w Starych Widłokach by rządził, Ciemnowilk?

– Są w dobrej komitywie... jak brzuch i jego pępek – zaszydził jadownicie Miodołość. – Stare Widłoki to już nie to samo, co kiedyś. Dobre czasy umarły razem z Widłosiewem.

Wilczybrzask mruknęła potakująco.

– Dobry człowiek był – rzekła.

– Lepszego nie znałem. Niestety jednak był zbyt łatwowierny. Mądrość uwidział tam, gdzie drzemała zwykła przebiegłość.

PORADA

Miodołość przyszedł zgodnie z zapowiedzią. W chacie zastał ponurą atmosferę. Rozpoznał ją po jednym spojrzeniu i stęchłej, niewygodnej ciszy. Niebołan siedziała przy ścianie. Trzymała córkę na rękach. Syn przyglądał się siostrzyczce z zaciekawieniem. Deszczylis, który otworzył mu drzwi, wyglądał, jakby obudzono go ze snu. Ani razu nie spojrzał na żonę, a i ona unikała patrzenia w kierunku męża. Mur zimnej ciszy oddzielał dwie gorące głowy, z których parowały gniew, uraza i niewypowiedziane słowa.

– Może lepiej pomówmy na zewnątrz? – zaproponował druid.

Deszczylis spojrzał na niego podejrzliwie.

– Tyś mnie raz prosił, żebym wyszedł przed chatę w deszcz – przypomniał z uśmiechem Miodołość. – Czas odwzajemnić przysługę.

– Niech ci będzie.

– Ładną kałużę przed drzwiami macie – zagadał wesoło Miodołość.

– Do rzeczy – ponaglił go Deszczylis.

– Wiem, że to może nie najlepsza pora – rzekł na tyle głośno, by Niebołan mogła go usłyszeć. Był pewien, że przystawiła ucho do ściany. – Śmierć przyjaciela jeszcze świeżo w twoim sercu tkwi, ale...

– Do rzeczy – powtórzył Deszczylis. Nie był zły, raczej przytłoczony. Wyglądał, jakby się z czymś zmagał. Przypominał głaz na stromym pagórku smagany wiatrem z obydwu stron. Nie wiedział, w którą się potoczyć.

– Powinieneś ogłosić się rządcielem – rzekł stanowczo druid. – Ty byłeś prawą ręką Śnieżyroga, a właściwie prawdziwym rządcielem, bo twój przyjaciel zajęty był dumanie o sprawach, których pewnie żaden z nas nie pojmie. Ciebie wyznaczył na swoje zastępstwo, gdy wypłynął.

– Sugerujesz, że ktoś chce zająć moje miejsce?

– Stare Widłoki to już nie to samo! Zastanawiałeś się, dlaczego twoja siostra i inni tak garną się do nas? Wypytaj się Dębignata. Zobaczysz, co ci powie. Szarugil to silny charakter, ale bez zdrowego ciała na niewiele się on zda! Zieloryś tam władzę prawdziwą sprawuje, jako i ty tutaj!

Deszczylis przypomniał sobie rozmowę ze Śnieżyrogiem przy miodzie. Przyjaciel złośliwie drwił z komitywy wodza z wielkim druidem, a także wydarzeń, które ją poprzedziły. Teraz wydały mu się prawdziwe jak deszcz moczący Nowe Widłoki. A on sam sobie żałośnie głupi.

– Piórosen jest bez męża, a Zieloryś bez żony – rzekł powoli i dobitnie druid. Każde słowo brzmiało jak uderzenie kowalskiego młota.

Nie musiał więcej nic mówić. Proste stwierdzenie rozproszyło wątpliwości jak pochodnia ciemność.

– Jak córkę wodza weźmie za żonę...

– Wtedy tutaj będzie rządcielem! – dokończył za niego Miodołoś. – A jak Szarugil odejdzie do Niewyśnionej Krainy, co pewnie, biorąc pod uwagę jego zdrowie, odległe nie jest, zostanie wodzem.

Deszczylis spojrzał w stronę Totemu.

– Pada – rzekł ponuro.

– Przestanie... A i zresztą jak zwołasz lud, to przyjdzie. Pójdzie za tobą. Nie omieszkaj mu przypomnieć, że już raz Czwórka pod Totemem stanęła po twojej stronie!

Deszczylis patrzył smutno w wielką kałużę zaraz za strzechą. Obraz szarego, bezkształtnego odbitego na niej nieba, rozmazywały fale wzburzone kroplami. Przypomniała mu się rozmowa ze Śnieżyrogiem pod Kotlasami, zaraz

po nieudanym szturmie. Przyjaciół miał rację. Gorzko się o tym przekonał. Teraz czuł się podobnie.

– Poczekajmy, aż przestanie lać. Będzie lepiej wyglądać w oczach ludzi, jeśli zwołam ich, gdy zaświeci słońce.

Miodołość mruknął przytakująco, zupełnie jak jego żona.

– Zjawisz się w odpowiedniej chwili. Dziękować Czwórce za deszcz. Kto wie, może nie bez celu nam go zesłała?

– A jak prędko padać nie przestanie?

Druid potarł dłonią podbródek.

– Mamy być jak igły sosny – rzekł. – One robią, co do nich należy czy to słońce, deszcz czy siarczasty mróz. Każdej próbie podołają. Ty już jednej podołałeś. I to takiej, w której pewnie każdy by stchórzył.

– Gdyby nie bezmyślna chuć Białokura... kto wie?

– Różne rzeczy gubią człowieka. Pycha bywa jedną z nich. Gdyby nie myślał, że stoi ponad Prawem Czwórki, nie ważyłby się zagarnąć twej kobiety. Chyba rzeczywiście Czwórka ją między nas zesłała. Bez niej kto wie, gdzie byśmy dzisiaj byli? O tobie można powiedzieć to samo.

– I o Śnieżyrogu, i Dębisroce, i o pewnym druidzie, który wypomnił mi, że wyciągnąłem go z chaty w deszcz.

– Jeden lud tworzymy – odparł Miodołość udając, że nie słyszał ostatnich słów pobratymca. – Jesteśmy jak to ognisko. Każdy patyków przynosi, ktoś suchego siana, smołówki i krzesiwa. Jeśli każdy do ognia dorzuca, ten nie zgaśnie i ogrzać się przy nim można albo upiec mięso. Gdyby każdy patyk osobno rozpalić, szybko by zgasł i żaden byłby z niego pożytek.

– Mądrze mówisz – rzekł Deszczylis poruszony słowami druida.

– Jakiś pożytek ze mnie być musi – zażartował Miodołość.

Deszczylis spojrział na kałużę. Krople słabiej zniekształcały odbity obraz bezkształtnego nieba.

– Dobry znak – rzekł druid.

- Myślisz, że Zieloryś przekona Szarugila, aby ten dał mu Piórosen za żonę?
- Szarugil chory i słaby. Słabych łatwiej przekonać.

Deszczylis pokiwał smutno głową, zapatrzony w kałużę.

– Bierność to najgorsza przewina – rzekł, wspominając rozmowę ze Śnieżyrogiem pod Kotlasami i mogiłę pobratymców poległych podczas szturm. Odwiedził ją, jak co wiosnę. Sierpem skosił trawę i przetał kamienie wokół. Dumał tam nad swym błędem, a mimo to znowu go popełnił.

– Dla Zielorysia to pępek – zaszydził druid.

– Co?

– Zakazuje chłopom pępek pokazywać, że niby to obraza Czwórki!

– Pępek?

– Ponoć się nim brzydzi. Głosy chodziły, że jak wnuczkę Widłosiewa brał, to wcześniej kazał jej brzuch szmatą przewiązać, żeby jej pępka nie oglądać.

Deszczylis prychnął i pokręcił głową.

– Druidzi plotkują jak baby – skarcił pobratymca. – A ja myślałem, że wy to sprawach wiecznych między sobą rozprawiacie...

Miodołość wzruszył ramionami.

– Żeby czuwać nad sprawami ducha naszych współplemieńców, musimy wiedzieć, co się między nimi dzieje!

– Dzięki ci wielkie! – przemówił po chwili Deszczylis. – Łudziłem się, że jakoś to będzie, ale wiedziałem, że coś zrobić będę musiał... To trochę jakbym szedł po omacku przez ciemny wąwóz. Przyniosłeś mi pochodnię.

– Ho-ho, żeby mnie własna żona chwaliła tak jak ty...

– Baby narzekają jak czegoś chcą.

– Dobre baby chcą dobrze.

Deszczylis patrzył na odbite w kałuży niebo, zniekształcane słabym deszczem. Był pewien, że Niebołan podsłuchuje.

– Całe szczęście mi się taka trafiła – rzekł szczerze.

RZĄDZICIEL

Niebo wyżymało się z wody. Wciąż było bezkształtne i monotonne, ale nie spadła z niego więcej żadna kropla. Porywy wiatru roznosiły chłód po deszczu, od którego jeżyły się karki i gęsia skórka wyrastała na skórze.

Zgromadzony pod Totemem lud oczekiwał słów Deszczylisa i Miodołośia, którzy ich tu zwołali. Domysły szeptem ryły korytarze między zgromadzonym ludem, który uwiesił swe spojrzenie u szyi pobratymców

Udźwignęli je. Rządziciel i druid dumnie patrzyli na własny lud.

– Pobratymcy! – zawołał Deszczylis. – Nasz rządziciel, wielki dobroczyńca nas wszystkich, który życie nasze ułatwił jak nikt inny, mój ukochany przyjaciel, odszedł do Niewyśnionej Krainy. Niechaj pamięć o nim nigdy nie zaginie!

Pobratymcy opuścili głowy w zadumie. Miodołość kiwał głową zadowolony. Wyuczył Deszczylisa przemowy, gdy obaj czekali aż deszcz przestanie padać.

– Zanim wypłynął na swą wielką wyprawę, na mych barkach zostawił czuwanie nad wami, pobratymcy! Zanim wypłynął i nawiązał przyjaźń z Gnotyszami i Władymorami, rozmówił się ze mną o tym, aby nasze dzieci, jego córka Różymak i mój syn, Gromiszpon, stworzyli razem rodzinę.

– Niech żyją! – zakrzyknął Miodołość i wzniosł druidzi kostur w górę.

– Niech żyją! – powtórzył za nim tłum.

– Żeby uczcić jego pamięć i wolę, biorę Czwórkę i was wszystkich, moi pobratymcy, na świadków i przyrzekam spełnić jego wolę!

- Chwała! – zakrzyknął druid.
- Chwała! – powtórzył lud.
- Z jego woli ogłaszam się rządcielem w Nowych Widłokach!
- Chwała! – zakrzyknął druid.
- Chwała! – ryknął poruszony tłum.

Serce Deszczylisha taranowało żebra. Burza wrzawy, okrzyków radości i gwizdów na wiwat wylała się z osady jak wrzątek z wypełnionego po brzegi kociołka. Pływał w niej jak ryba.

– Czyli nic się nie zmieni! – palnął ktoś w tłumie, a pobratymcy natychmiast się zaśmiali.

– Tak! – zakrzyknął Deszczylis. – Będziemy się rządzić jak od samego początku, gdy tu przybyliśmy, gdy zbudowaliśmy naszymi rękami Nowe Widłoki!

- Chwała! – krzyknął druid.
- Chwała! – powtórzył lud.
- Niech żyje Deszczylis!
- Niech żyje!

Druid podniósł kostur w górę. Pobratymcy zamilkli.

– Wszyscy żeśmy ze Starych Widłok wyszli – przemówił Miodołoś. – Tu dopiero dzieci nasze się urodziły. Każdy z nas pamięta, gdy Deszczylis bronił swej przyszłej żony i Prawa Czwórki! – Zamilkł. Zaczekał na odpowiedź tłumy.

Utonął we wrzątku pobratymczych głosów.

– Kwitna, Skwar, Słota i Zimny po jego stanęli stronie! – zakrzyknął i uderzył kosturem o ziemię.

Wrzątek tłumy kipiał i bulgotał niczym woda w kotle.

– Wierzę, że i tym razem Czwórka sprzyja naszemu rządcielowi!

Pijany wyjątkowością chwili lud, chlusnął wrzawą jak woda w stawie, w którą ciśnięto ogromny głaz. Wzniosła się ponad mury i okoliczne drzewa.

- Niech żyje Deszczylis! – wносиły się okrzyki.
- Niech żyje rządciel!

– Chwała Czwórcę!

– Chwała!

*

Zastał żonę przed chatą. Na jednej prawej ręce trzymała Tęczygruszę, a palce prawej dłoni splótła z paluszkami Gromiszpona. Zmierzała powoli do chaty. Zaplecione w warkocz, złote jak dojrzała pszenica włosy, przewieszane przez prawe ramię, ukazywały kawałek białego karku.

– Niebołan! – zawołał za nią.

Odwróciła się. Duma w jej oczach uderzyła jak żar upału, gdy wyjdzie się z cienia. Wydała mu się piękniejsza niż zwykle.

– Odprowadź dzieci do mojej siostry – rzekł.

Przypominał suche na wiór siano, które z utęsknieniem czeka na jedną iskrę. Ta zjawiała się, gdy tylko poczuł ciepły szept żony na uchu.

– Już idę – powiedziała.

Łeb stanął w płomieniach. Poczuł, jakby od karku w dół przejechały mu ptasie szpony. Żądza złapała go jak jastrząb zdobycz i poniosła wysoko w przestworza. Przedzierał się przez obłoki wspomnień ciała Niebołan. W dłoniach i ustach czuł jej miękkie piersi. Na policzku, jej gorący policzek, sapiący w jednym rytmie. Na biodrach jej nogi, które przyciskają go do niej z całych sił.

Wrócił do chaty. Łapał wdech, jakby miał zaraz wyzionąć ducha.

Świat rozstał się przed żądzą. Wyżłobiła w nim dziurę. Wcisnęła swe smukłe dłonie. Rozdarła połączenie świata. Wciągnęła głowę Deszczyłisa jak pod wodę.

Wróciła. Rzucili się na nią. Wpił usta w jej usta. Pociągnął ją za sobą w głębiny żądz.

*

Dyszała ciężko. Rozkosz przetoczyła się przez nią jak ogromna kula śniegu, łamiąca drzewa na swej drodze. Oczy jeszcze miała przyprószone od jej puchu. Patrzyła w sufit, dopóki śnieg na rzęsach nie stopniał.

Obróciła się ku mężowi. Wpatrywał się w sufit, jakby ukazała mu się na nim Niewyśniona Kraina.

Przylgnęła czołem do jego podbródka. Głaskała go kciukiem po ogolonej skórze. Jego ojciec ostrzył kamienie do golenia i ponoć nie miał w tym sobie równych. Deszczylis kontynuował jego fach. I zawsze gębę miał gładką jak ptasie pióro.

Objął ją ramieniem.

– Miałaś rację – szepnął.

– Mimo wszystko nie powinnam tak... Mogłam wybrać lepszą chwilę.

– Byłaś u Miodołosia?

Mruknęła niewinnie jak dziecko, które wstydzi się tego, co zrobiło.

– Dobrze zrobiłaś. Jak to powiedziałaś? Igły sosny nie wzdychają do lata, gdy zbliża się siarczysty mróz?

– Tak mi się powiedziało...

– Dobrze ci się powiedziało. Ktoś mi musi przypomnieć, że mam być jak igły sosny, a nie wątle liście.

– Nie mówmy już o tym, dobrze? Wzięłaś, co twoje. Lud jest zadowolony. A ja dumna i szczęśliwa! – dodała szeptem.

– Jeśli każda niezgoda między nami ma się tak kończyć...

Zachichotała jak mała dziewczynka.

– Jak to dobrze, że Chmurzysosna się tu sprowadziła. Nigdy nie przypuszczałem, że to małe, śliczne stworzenie, które nosiłem na rękach, gdy było małe, tak ogromną przysługę mi wyświadczy.

– Czwórka dobrym życiem nas tu obdarzyła – szepnęła. – A tobie pieczę nad nim... Myślisz, że... Stare Widłoki pogodzą się z wolą ludu?

– Dowiemy się wkrótce. Chcę najlepszego, przygotowany jestem na najgorsze.

– Wierzę w siebie – szepnęła. – Jesteś igłą sosny.

ODPOWIEDŹ

Zapach siana zawiercił w nosie Deszczyliisa, wywołując na jego twarzy uśmiech. Obejrzał się przez ramię i zobaczył starca, układającego niewielką kopkę wyschniętej na wiór trawy, aby wnuk mógł sobie po niej poskakać. Chłopczyk chichotał rytmicznie niczym dziecko drążący w drzewie, gdy lądował tyłkiem na miękkim sianie. Starzec zaś, wsparty o krótki kij, zagrzewał wnuka do zabawy.

Deszczylis westchnął rzewnie. Życie w Nowych Wiodłokach było naprawdę dobre. Podziękował w myślach Czwórce za tę chwilę. Przypomniała mu to, co najważniejsze, a co często umyka, przesłonięte gąszczem codziennych trosk i zmagañ.

Dobry humor zdawał się udzielać także Miodołosowi, Dębignatowi i wszystkim wojom rozstawionym na murach, którzy niecierpliwie wyczekiwali powrotu wysłanników z macierzystej osady. Deszczylis posłał ich z rana, aby przed Totemem w Starych Widłokach ogłosili jego wolę.

Miejsce nie było przypadkowe. Po pierwsze, Oblicze Czwórki zawsze było świadkiem najważniejszych wydarzeń w życiu plemienia. Po drugie, w ten sposób w pamięci ludu ożywione zostałyby wspomnienia o tym, jak to Czwórka stanęła po stronie Deszczyliisa, gdy bronił swej przyszłej żony i gdy chciał, by przyjęto ją w grono Igłasów. Po trzecie, w ten sposób każdy poznałby wiadomość u źródła. Po czwarte, jeśli wierzyć słowom Miodołosa, które potwierdzał Dębignat, a także pobratymcy niedawno przybyli z macierzystej osady, dostęp do Szarugila był

znacznie utrudniony. Zawsze przed jego chatą stało dwóch strażników. Wpuszczali jedynie Zielorysia i Ciemnowilka.

Dębignat pchał się na ochotnika. Jednak Deszczylis nie chciał wystawiać na ryzyko nikogo ze swej rodziny. Płowymech też był chętny, ale jego z kolei rządziciel nie był pewien. Choć nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą, skrycie winił młodszego pobratymca za śmierć Śnieżyroga. Podobnie jak każdego, kto popłynął z jego przyjacielem w nieznane.

Wybrał Głazochmura. On jako pierwszy wrócił się z wyprawy, razem z Gnotyszami, zaprzyjaźnionym plemieniem. Przyniósł wspaniałą nowinę. Deszczylis liczył na to, iż dzisiaj będzie tak samo.

Stał wyprostowany, jakby mu kto kij za koszulę i portki wsadził. Ojciec w ten sposób zwykł go oduczać garbienia. Przypomniawszy sobie o tym, gdy prężył przed siebie tors, wpatrując się w osadę na drugim brzegu. Ukradkiem zauważył, iż pobratymcy zdają się go naśladować.

– Coś tam się drą – zauważył Dębignat.

W istocie znad drugiego brzegu Sierpicy dochodziły podniesione głosy, ale czego one dotyczyły, nie dało się wywiedzieć. Docierały do Nowych Widłok przez sito hałaśliwej rzeki.

– I tak nic z tego nie zrozumiesz – rzucił niedbale Deszczylis. – Musimy czekać.

– Właśnie tego nie lubię!

– To poczekaj, aż twoja żona będzie rodzić! – wtrącił Miodołość. – Wtedy dopiero się przekonasz!

Wojowie przytaknęli śmiechem. Kto nie usłyszał, temu zaraz przekazano słowa druida. Śmiech rozprzestrzenił się jak ogień w suchym lesie.

– Nigdy mi się tak ręce nie trzęsły! – wyznał Deszczylis, przypominając sobie narodziny pierworodnego. – Musiałem chodzić w kółko, bo jak choć na chwilę się zatrzymałem, to się bałem, że serce i flaki wysram! Tak mnie cisnęło! Lepiej nic przedtem nie jeść!

– A skąd wiedzieć, kiedy dziecko na świat przyjdzie zechce? – zapytał Miodołość.

– Trzeba gadać do brzucha i prosić o zmiłowanie! Ja tak robiłem, gdy Niebołan Tęczygruszę nosiła i ta o świecie, jeszcze przed śniadaniem na świat przysła!

Pobratymcy zaczęli dzielić się między sobą opowieściami o narodzinach własnych dzieci. Spośród wszystkich rozstawionych na murach, chyba tylko Dębignat był bezdzietny. Deszczylisowi przypomniały się przekonania ojca o tym, że żaden mężczyzna iść w bój nie powinien, dopóki potomka po sobie nie zostawi. Wydały mu się najmądrzejsze w świecie. Zwłaszcza że obok stał mąż jego siostry.

– Co im tak długo schodzi?! – rzekł zniecierpliwiony Dębignat.

– Przecie Szarugil musi się namyśleć – odezwał się Miodołość. –

– Szarugil kochał Śnieżyroga jak syna – przemówił Deszczylis. – Uszanuję jego wolę. Jestem pewien.

– Pewnie liczył, że Śnieżyrog zostawi po sobie syna, a tak... Wola Czwórki.

– Wola Czwórki – powtórzył za druidem Deszczylis.

Dębignat nachylił się przez blankę. Schował oczy pod cieniem dłoni przyłożonej do czoła.

– Wyszli.

– Kiedyś musieli – rzekł żartobliwie Deszczylis. – Jestem pewien, że przestraszyli się twojej niecierpliwości.

– Gramolą się jak kłoc na dupościsku – warknął Dębignat.

– Już nie gładź jak baba – skarcił go Miodołość.

– Widzisz naszych? – zapytał Deszczylis.

– Stąd nie dojrzę.

Deszczylis ugryzł się w wargę. Trzeba było wysłannikom wcześniej koszule zabarwić koszenilą. Z daleka czerwień łatwiej człowiek by wypatrzył. Dlaczego najlepsze pomysły przychodzą po wszystkim? Zresztą nie! Przecież mogli je im zabrać i sami nawdziać. Łatwiej byłoby wtedy podejść Nowe Widłoki.

Ziewnął przeciągle. Bynajmniej nie ze znużenia ani niewyspania. Denerwował się o wiele bardziej niż to okazywał. Natrętna myśl, że to wszystko skończy się źle,

uczepiła się go jak kleszcz skóry. Piła niepokój jak krew. Jak mógł ziewać i niepokoić się jednocześnie? Dziwne, ale przed obydwojma szturmami na Kotlasy, tym feralnym i tym zwycięskim, było podobnie.

– Płyną – podniósł głos Dębignat. – Cztery łodzie. Naszej nie widzę.

Oczy wojów skierowały się na rządziela. Ten złapał wychylonego Dębignata za ramię i wyprostował jednym ruchem.

– Weź ludzi i rób jak mówiłem – rzekł, patrząc pobratymcowi głęboko w oczy. Po jednym spojrzeniu wiedział, że może na nim polegać.

Pobratymiec dumnie walnął się pięścią w pierś.

– Będę czekał na znak.

– Idź.

Dębignat zszedł z murów po drabinie. Pobiegł jak wilk za ranną sarną.

– Cztery łodzie – mruknął Miodołość.

– Dobry pomysł – przyznał spokojnie Deszczylis. – Ciekawe, na czyj rozkaz płyną...

– Zielorysia, a czyj? – oburzył się Miodołość. Odpowiedź wydawała mu się równie oczywista jak to, że właśnie na niebie słońce przypieka. – Nie jest ich za mało na szturm?

– Za mało.

– To o co im chodzi?

– Dowiemy się, jak nam powiedzą.

Miodołość spojrzał na tylną bramę, przez którą wychodził Dębignat razem z grupą wojów.

– Myślisz, że... że będą potrzebni? Znaczący Dębignat...

– Chcę najlepszego. Jestem przygotowany na najgorsze.

– Słusznie.

Deszczylis zmrużył oczy. Nigdzie nie widział Gałazochmura i reszty. Rozkazał zamknąć przednią bramę.

Lud instynktownie poczuł, że zbliża się zagrożenie. Kobiety i dzieci pochowały się w chatach. Nawet dziadek z wnukiem zniknęli. Została po nich jedynie niewielka kopka siana.

Naszły go wątpliwości. Począwszy od roli, jaką powierzył Dębignatowi, aż po sięgnięcie po władzę. A jeszcze przed chwilą wszystkiego był pewien. Zapadał się w nie jak w bagno, z każdą myślą coraz głębiej. Dębignat miał rację. Czekanie było najgorsze.

Przypomniał sobie, że dzieje się jedynie Wola Czwórki. Zawierzył jej. Przyniosła ulgę. Podała mu dłoń i pomogła wyjść z bagna.

– Chwała Czwórcę! – zawołał.

Wojowie powtórzyli za nim.

Przybyli. Około czterdziestu. Na ich czele szedł Ciemnowilk.

Deszczylis uśmiechnął się gorzko. Jakże dziwnie Czwórka płacze ich losy. Wpierw ramię w ramię z Ciemnowilkiem zdobywali Kotlasy. Potem przyszedł jak wróg zabrać mu Niebołan. Od tej pory nie odzywali się do siebie. Nawzajem unikali wzroku, albowiem obydwaj wiedzieli, że zbyt długie patrzenie na siebie może skończyć się rozlewem krwi. Zapomnieli o sobie. Deszczylis przeprowadził się na drugi brzeg Sierpicy i Ciemnowilka prawie wcale nie widywał. W sumie w tym czterocyklu widział go czwarty raz. Pierwszy, gdy razem z wodzem i wielkim druidem przybył żegnać Śnieżyroga i śmiałków; drugi, gdy Gnotysze przypłynęli ofiarować sojusz; trzeci zaś, gdy straszną wiadomość o śmierci przyjaciela przekazał Szarugilowi.

Pobratymiec zatrzymał się po kilku krokach. Otoczyli go wojowie z tarczami.

– Gdzie moi ludzie? – zapytał surowo Deszczylis.

– Pobratymcy, użyćcie mi swych uszu! – zawołał wysłannik ile sił miał w płucach. – Mówi do was Ciemnowilk! Wysłuchajcie mnie!

– Gdzie moi ludzie?! – podniósł głos Deszczylis.

– Wysłuchajcie mnie, pobratymcy!

Deszczylis położył rękę na ramieniu stojącego tuż obok łucznika.

– Strzel im pod nogi – rozkazał.

Świsnęła strzała. Wylądowała o krok od pobratymców ze Starych Widłok.

– Następna trafi celu! – zawołał Deszczylis. – Gadaj! Gdzie Głazochmur i reszta?!

– Nie dziwię się, że o nich pytasz! – odparł hardo Ciemnowilk. – Wszak wysłałeś ich, aby zabili naszego wodza! Słuchajcie, pobratymcy! Gdy tylko Głazochmur wszedł do chaty, aby Szarugil dał mu odpowiedź na żądania tego samozwańca, Głazochmur dźgnął go nożem! Tak, nasz wódz został zamordowany! Nie zdążyłem go powstrzymać, za to mój miecz odebrał plugawcowi życie!

– Ty sukinsynu! – ryknął wściekle Deszczylis. – Ty zdrajco i kłamliwa gnido! Wyłupię ci oczy, a potem wepcham go gęby i zmuszę żebyś je przegryzł i połknął!

Ciemnowilk zaśmiał się z grózb współplemieńca. Uniósł w górę szare zawiniątko. Rozwiązał je ukazując zakrwawiony nóż.

– Tą oto zdradziecką bronią zabito naszego wodza!

– Sam go pewnie zabiłeś razem z Zielorysiem! – wrzasnął wściekle Miodołoś.

– Jak nisko upadłeś, druidzie, że ze zdrajcą, samozwańcem i mordercą trzymasz! – zawołał Ciemnowilk. – Pobratymcy! Wydajcie Deszczylisa! Niech stanie przed Totemem w Starych Widłokach i da się osą...

– Czwórka mi świadkiem, że tego nie chciałem – krzyknął Deszczylis, a od jego gniewu zdawały się drzeć mury Nowych Widłok. – Jednak swoją zdradą, oszczerstwem i zbrodnią nie pozostawiłeś mi wyboru! Odpowiesz za śmierć wodza!

Wojowie wokół Ciemnowilka ścisnęli się i schowali za tarczami w oczekiwaniu gradu strzał. Nikt jednak do nich nie mierzył.

– Wy, pobratymcy – wygłosił Deszczylis do wojów ze Starych Widłok. – Znacie mnie i moje słowo! Który się podda, temu daruję życie!

– Przynieść ją! – wrzasnął Ciemnowilk.

Na jego rozkaz przyniesiono z łodzi worek. Wyrzucono z niego dziewczynę, jeszcze dziecko. Miała zakneblowane usta, zaś pięta krępowały jej ręce i nogi.

Ciemnowilk szarpnął ja za włosy najmłodszą siostrę Deszczylisha i podstawił miecz pod szyję.

– Rękę na nas podniesiesz a ona zginie, morderco! – zakrzyknął.

Deszczylish sapał jak rozeźlony byk. W oczach miał dziką chęć mordu niczym niedźwiedzica pilnująca młodych, która widzi zbliżające się wilki.

– Wydaj mi Piórosen, a ci ją oddam! – zawołał Ciemnowilk.

– Wstydu nie masz, że na życie dziecka się porywasz?! – wrzasnął Miodołoś. – Czwórka...

– Zamknij się, nie do ciebie mówię! Deszczylish! Oddaj mi Piórosen, jeśli chcesz ocalić siostrę!

Druid złapał rządziela za ramię.

– Jeśli mu ją oddasz, Zieloryś...

Na rzece pojawiły się łódki. Wyłoniły się z zalesionego brzegu po lewicy druida. Dębignat z wojami wyszli tylną bramą. Przenieśli niewielkie łódki po cichu między drzewami nad zalesiony brzeg. Zaczekali na znak. Gdy tylko Deszczylish zakrzyknął, że Czwórka jest jego świadkiem, ruszyli.

Zajęli rzekę. Odcieśli pobratymcom ze Starych Widłok drogę ucieczki.

Ciemnowilk splunął przed siebie. Szarpnął mocniej za włosy dziewczynki.

– Odwołaj swoich ludzi albo poderżnę jej gardło! – wrzasnął do Deszczylisha.

– Ty nikczemna gnido! – wrzasnął Miodołoś.

– Każ im się wynosić z rzeki! – zdierał gardło Ciemnowilk. – Oddasz mi Piórosen, a ja oddam ci siostrę! Trzeci raz powtarzam, a ręka mi drży, gdy tracę cierpliwość!

– Jak wam nie wstyd wszystkim stać po stronie takiego niegodziwca?! – Druid nie dawał za wygraną. – Pomyślcie, co Czwórka powie, gdy staniecie przed Jej Obliczem!

– Zamknij pysk! Deszczylish! Jaka jest twoja decyzja?!

– Jeśli ona zginie, każdy z was padnie trupem na tym brzegu! – zawołał Deszczylish. – Na tym się nie skończy! Wymorduję wasze rodziny i spalę domy!

Kto się podda, temu daruję życie, a jego bliskich nie spotka żadna krzywda!
Czwórka mi świadkiem!

– Odwołaj ich!

Igłasi na murach napięli łuki. Ci na łódkach zrobili to samo. Wymierzyli w współplemieńców.

Tarcza pada na ziemię rzucona jak niepotrzebny grat. Ląduje po lewicy Ciemnowilka. Wodzi za nią wzrokiem. Czuje, jak coś obcego i zimnego wdziera się mu w kark. Wychodzi przez szyję przebijając po drodze grdykę.

Puszcza oręż i włosy dziewczynki. Wytrzeszcza oczy. Zimna stal opuszcza jego ciało. Łapie się za krwawiącą szyję. Pada na kolana. Lewą ręką podpira ciało usilnie dążące ku ziemi.

– Rzućcie broń! – rozkazuje morderca Ciemnowilka

Jego głos wydaje się Deszczylisowi dziwnie znajomy. Przez chwilę krzesi iskry w ciemnej pamięci. Płomień rozprasza mrok. To Świerszczyząb.

Deszczylis daje znak swoim, aby opuścili łuki.

Miecze, tarcze i topory padają na ziemię. Pada i zakrwawiony miecz Świerszczyząba tuż obok martwego Ciemnowilka.

– Co z resztą moich ludzi? – pyta Deszczylis.

– Żyli, gdy wypływaliśmy – odparł Świerszczyząb.

Rządziel odetchnął.

– Stanęliście po stronie Czwórki! Nikomu z was żadna krzywda się nie stanie!
Z ręką na Totemie wam to przysięgnę! Wy zaś przysięgniecie mi wierność!

WÓDZ

Dziękuję – rzekł Deszczylis do kompana spod Kotlasów. Podziękował po raz drugi. Wcześniej zrobił to pod Totemem w Nowych Widłokach i wychwalił Świerszczyzęba na oczach ludu.

Płynęli w kierunku macierzystej osady. Szare, wyblakłe niebo odcięło Sierpicę od słońca, od czego jej woda wydawała się ciemniejsza niż zwykle.

– Żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej – odparł Świerszczyząb. – Szarugil by żył.

Wcześniej, zanim wypłynęli, zanim Deszczylis przysiągł im z ręką na Totemie, że żadnemu z wojów, którzy przyплыnęli z Ciemnowilkiem żadnej krzywdy nie uczyni. Świerszczyząb zaś opowiedział ludowi, co zaszło. A przynajmniej, czego się domyślał.

W istocie Szarugil udał się do swej chaty na naradę z Ciemnowilkiem i Zielorysiem. W istocie zawołali Głazochmura do środka. Konkretnie zrobił to Ciemnowilk. Zaraz potem podniósł się krzyk. Zieloryś wybiegł z chaty krzycząc, że wodza zabito. Gdy ludzie weszli do środka, oprócz wodza, martwy leżał także Głazochmur.

Wielki druid wraz z Ciemnowilkiem oskarżyli Deszczylisa. Natychmiast kazali pojmać resztę jego wysłanników. Gdy Świerszczyząb opuszczał osadę, jeszcze żyli.

– Miodołość mawia, że ludzkie niezadowolenie zbiera się jak deszczówka w misce – rzekł Deszczylis. – Wyleje się dopiero wtedy, gdy jest za dużo.

Świerszczyzab westchnął gorzko nad słowami pobratymca, o których prawdziwości boleśnie się przekonał.

– Pamiętasz, jak przyszedłem z Ciemnowilkiem po twoją żonę? – zapytał.

– Nie chowam urazy.

– Nie o to mi chodzi... Wtedy pobiełeś Ciemnowilka. Mnie zaś oszczędziłeś. Czemu?

– Wiedziałem, że nie chciałeś tego zrobić. Widać to było po tobie.

– Byłem o jeden krok przed zbuntowaniem się. Wszystko we mnie krzyczało, żeby się sprzeciwić. Niestety tylko szeptem.

– Ważne, że dzisiaj przemówiło głośno – rzekł Deszczylis i położył dłoń na ramieniu pobratymca.

– Rychło w czas – prychnął Świerszczyzab.

– Nie zadręczaj się. Jesteś igłą sosny.

Pobratymiec uśmiechnął się smutno.

– Nie taką spiczastą i hardą jak ty – odparł.

– Cieszę się, że dzielimy jedną gałąź – odrzekł dumnie Deszczylis i uderzył się dłonią w pierś.

– Mówisz jak druid.

– Gadanie Miodołosia musiało mi się udzielić.

Zamilkli. Po raz pierwszy tego dnia Deszczylis mógł zagłębić się w ciszy. Tracił głos od ciągłego gadania i zdzierania gardła podczas zajścia z Ciemnowilkiem, a musiał go jeszcze użyć przed macierzystą osadą.

Patrzył na znajome mury, za którymi się wychował i których bronił podczas najazdu Stalookich. Szum wody i rosnące w oczach mury Starych Widłok wyrwały go z łodzi niczym twarde drzewo z długimi korzeniami z ziemi.

Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Znał Zielorysia od zawsze. Nigdy nie żywił do niego urazy. Nie pamiętał też, aby o cokolwiek pokłócił się z wielkim druidem jako dorosły mężczyzna. Szanował go i był mu wdzięczny za to, że przyczynił się do przycięcia Niebołan w grono Igłasów.

Wszystko zmieniło się wraz z okolicznościami. (Ko by pomyślał, że ślepa pogoń za marzeniem Śnieżyroga może mieć takie konsekwencje? Gdyby wrócił, wszystko byłoby inaczej... Choć martwy, Śnieżyróg musiał czuwać nad swym przyjacielem z Niewyśnionej Krainy. Deszczylis był tego pewien). Od momentu ogłoszenia się rządcielem, zaczął myśleć o wielkim druidzie jak o wrogu. W dawnych zasługach widział podstęp, fałsz i ukryte zamiary. Przywary Zielorysia nagle wyrastały jak gęsia skórka. Na samą myśl o wielkim druidzie gniew wzniecał się jak pożar od wiatru.

Dojrzał otwartą bramę główną osady.

– Paszcza jest otwarta – stwierdził.

– Widzieli z daleka, co się stało. Widzą, ile łodzi ku nim zmierza. Nikt nie będzie umierał za Zielorysia.

– Obyś miał rację. Nie chcę przelewać krwi pobratymców... Poza tą zatrutą.

Deszczylis wyteżał wzrok. Szukał swoich wysłanników. Dostrzegł ich, gdy łódź przepłynęła trzy ćwierci drogi.

– Schwyтали go – rzekł Świerszczyżab.

– Widzę.

Zieloryś klęczał ze związanymi z tyłu rękami.

– Co z nim zrobisz? – zapytał Świerszczyżab.

– Najchętniej odrąbałbym mu ręce i nogi, po czym na jego oczach nakarmił nimi świnie. Jednak nade mną jest niebo, a nad nim Czwórka. Na takie okrucieństwo pozwala jedynie wobec obcych.

– Prawda – rzekł skruszonym tonem Świerszczyżab. – Ich łatwiej zabijać niż swoich... Dziękować Czwórce, że to wszystko jak najmniejszym kosztem krwi się odbyło...

– Jeszcze się nie skończyło.

– Prawda...

Dotarli na miejsce. Łącznie osiem łodzi. Mrowie wojów rozeszło się po brzegu jak pięć czterocykli temu zgraja Stalookich, po których odziedziczyli łodzie, a wraz

z nimi wiedzę, jak je zbudować.

Wysłannicy Deszczyliisa natychmiast do nich przybiegli. Przedstawili sytuację. Opowiedzieli o wszystkim, co ich spotkało, odkąd postawili nogę w Starych Widłokach.

Do Deszczyliisa dołączyli Miodołość i Dębignat, którzy przypłynęli na osobnych łodziach. Rządzciciel wyciągnął rękę. Otworzył dłoń. Włożono w nią worek brudny na spodzie od krwi – ten sam, w którym Ciemnowilk przywiózł Cieniowodę. Deszczylis wyrzucił z niego odciętą głowę dawnego kompana. Wylądowała miękko na trawie.

Kopnął ją przed siebie.

Zieloryś ciskał się jak piskorz. Związany i zakneblowany, dokładnie tak samo jak wcześniej siostra Deszczyliisa, mógł tylko tarzać się po ziemi jak pies, którego swędzą plecy.

Na czele grupy stali druidzi. Przewodził im dosyć młody mężczyzna, w którym Deszczylis rozpoznał Wężykostura, młodszego towarzysza dziecięcych zabaw.

– To z nim byłeś w kontakcie? – zapytał Miodołosa.

– Tak.

– Niepojęta jest Wola Czwórki – rzekł, kopiąc głowę Ciemnowilka przed siebie. – Nigdy bym nie pomyślał, że ten łamaga, co wiecznie się wywracał jak bawiliśmy się w berka, tak wiele dla mnie uczyni.

– Chwała Czwórcie – rzekł druid.

– Chwała...

Podniósł głowę za włosy. Rzucił ją pod nogi pobratymców, którzy przyszli go przywitać.

– Zatknijcie ją na palu przed Totemem – przemówił. – Zwołajcie przed niego ludzi. Uprzedźcie, że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli ręki na nas nie podniesie. Świerszczyżab zaświadczy... I przynieście dla niego pniak. – Wskazał na Zielorysia. – Dębignat!

– Tak?

– Odprowadź ich.

– Jak każesz!

– Miodołość.

– Słucham?

– Osądzisz go i wydasz wyrok.

Zieloryś zaczął wiercić się, rzucać i wierzgać. Knebel w ustach tłumiał błagania. Jego słowa ginęły jak krzyk pod wodą.

– Mamy go wziąć ze sobą? – zapytał Wężykostur wskazując na wielkiego druida.

– Nie trzeba – odparł rządziciel.

Druid uklonił się i poprowadził orszak powitalny, w asyście Dębignata i pobratymców z Nowych Widłok, ku bramie macierzystej osady.

– Wleczcie go po ziemi – Deszczylis zwrócił się do pierwszych z brzegu wojów, wskazując palcem na wielkiego druida. – Niech pełźnie jak wąż.

Powlekli Zielorysia, który z całych sił starał się coś powiedzieć. Oczami szukał wzroku Deszczylisa. Ten jednak zajęty był wpatrywaniem się w znajome mury osady, w której się urodził i wychował. Była tak niepojęcie piękna, wręcz niewyśniona. Wspomnienia i uczucia w niej zawarte wzbijały się do lotu jak ptasie stado. Obsiadły go jak grubą gałąź. To samo wrażenie, które towarzyszyło mu podczas pierwszej warty, że czuje na sobie spojrzenia Czwórki jak promienie słońca na plecach w upalny dzień, wypełniło go jak rwąca rzeka koryto. Wydawało mu się, że stąpa między cudami, że przechodząc przez Paszczę, doświadcza namiastki tego, co go czeka w Niewyśnionej Krainie.

Dojrzał kobietę z chłopcem na rękę przed chatą. Oczy zmrużyły się, aby lepiej się przyjrzeć. Potwierdziły to, czego domyślił się umysł. To była Szakwizar z synem. Chłopiec, jakiego zostawił jej po sobie Dziegciółuk, musiał mieć z pięć років.

Roków? Przyjął po żonie jej sposób nazywania czterocykli. I to, jak i właściwie wszystko, co go w życiu spotkało, wydało mu się częścią wielkiej, niepojętej

rozumem całości.

Podszedł do Szałwizar.

– Cieszę się, że widzę cię w zdrowiu – rzekł.

– I ja rada jestem, żeś cały – odparła nieśmiało. – Co z Cieniowodą? Twoja matka odchodzi od zmysłów...

– Możesz powiedzieć tej kobiecie, że Cieniowoda jest cała i zdrowa. Jeszcze nie doszła do siebie. Jak wydobrzeje, sama zdecyduje, czy wrócić do... do swej matki.

– Aha – odparła, spuszczać wzrok. – Widziałam, że trawa na mogile mego męża skoszona.

– Byłem niedawno.

– Jestem ci wdzięczna, że pamiętasz.

– To mój obowiązek. Sama teraz jesteś? – zapytał, choć wiedział, że zeszłej jesieni, jedno po drugim, umarli rodziciele Dziegciółka.

– Radzę sobie.

Chłopczyk patrzył na niego nieśmiało i z ciekawością, jak to tylko dzieci potrafią. Uderzająco podobny do ojca. Aż miało się wrażenie, że Dziegciółek narodził się ponownie.

– Masz wspaniałą mamę – rzekł Deszczylis. – Opiekuj się nią, dobrze?

Malec kiwnął głową.

Życie zatoczyło cykl. Każda z pór roku powraca w niekończącym się czterocyklu. Panowanie każdego z Bóstw nad światem nastaje co wiosnę, lato, jesień i zimę. I Deszczylis wrócił w to samo miejsce, i znów stanął przed zgromadzonymi pobratymcami.

– Ciemnowilk i Zieloryś zabili wodza, po czym starali się zrzucić winę na mnie – oznajmił ludowi. – Nie mogli znieść, że wolę mego ukochanego przyjaciela Śnieżyroga wykonałem jak chciałem. Jeden już za to odpowiedział! Sprawiedliwość dopadła go z ręki Świerszczyzęba, który zdobył się na przeogromną odwagę i pierwszy sprzeciwił się plugawcowi! Chwała Świerszczyzębowi!

– Chwała! – powtórzył lud.

– Chwała i wam, którzy wypełniliście Wolę Czwórki i schwytaliście tego plugawego węża! – Wskazał na wyczerpanego, brudnego od kurzu, posiniaczonego i zadrapanego Zielorysia, czekającego na śmierć z głową przymocowaną do pniaka.

– Chwała! – zakrzyknął Miodołość. – Czwórka zaiste dumna musi być z takiego ludu!

– Znamy jego przewinę! Każdy ze zgromadzonych zaświadczyć o niej może! Druidzie, wydaj wyrok! – Deszczylis wyciągnął zza pasa swój topór.

– Kto wbrew Prawu Czwórki występuje, temu Kwitna, Skwar, Słota i Zimny nie pozwolą ujść bezkarnie – przemówił Miodołość. – Kto pobratymca zamorduje, ten głową odpowie. Błagaj Czwórkę, albowiem Ona jest twoją jedyną nadzieją.

Druid skinął głową. Deszczylis przyłożył topór do szyi skazańca, który klęczał z głową przywiązaną do pniaka. Nie przymierzał. Wzniósł ręce w górę. Rąbnął. Nawet chciał źle trafić, żeby potem poprawić, a Zielorysiowy nie zabrakło przed śmiercią bólu, ale żelaziec wdarł się w szyję jak klin. Tułów osunął się na ziemię. Wyciekła z szyi krew wsiąkła w ziemię przed Totemem. Głowa została na pniaku, przywiązana sznurem. Patrzyła w stronę Totemu.

Podniosła się wrzawa. Chlusnęła hałasem.

– Zatknąć ją na pal! – rozkazał Deszczylis. – Niechaj ogląda Oblicze Bóstw, przeciw którym zawinił!

Miodołość złapał czerep za włosy. W mig Wężykostur podał mu cienki pal zastrugany po obydwu końcach. Wbił go w ziemię tuż obok Ciemnowilka.

– Pobratymcy! – zawołał Deszczylis. – Wódz nasz odszedł do Niewyśnionej Krainy! Plemię bez wodza obyć się nie może! Nigdy nie myślałem o sprawowaniu pieczy nad wami! Jednak Czwórka miała wobec mnie inne zamiary! Jako Jej wierny sługa, przyjmę na siebie tę odpowiedzialność!

Wtedy się go bali. Teraz zaś na ich twarzach było uwielbienie.

– Miodołość od teraz będzie wielkim druidem! – oznajmił Deszczylis. – Sam już swego odpowiednika tutaj, w Starych Widłokach, wybierze! Rządcielem zaś

będzie Świerszczyząb!

ŻAŁOBNICA

Niech was szlag! – Piórosen zakłęła pod nosem.

Różymak znowu się obudziła. Dziecko nie mogło zmrużyć oka, wpięrw obudzone wrzawą z nad rzeki, gdy przy płynęli wojowie ze Starych Widłok, no i teraz, gdy Deszczylis wrócił.

Wytała mokre oczy. O śmierci ojca dowiedziała od Niebołan. Żona Deszczylisa ofiarowała się z nią zostać, ale Piórosen wolała zostać sama. Rozmowa otworzyłaby ranę, a nie chciała płakać przy dziecku. Łatwiej jej było zapanować nad sobą, gdy skupiła się na córce.

Gdy Różymak zasnęła, usiadła w kącie. Schowała twarz w dłoniach. Otworzyła ranę. Roniła łzy i przeklinała swój los. Wtedy mogła sobie pozwolić cichy płacz.

Dziecko się obudziło. Zaczęło radośnie gaworzyć. Młody Płowiak natychmiast się zainteresował Różymak. Jak zawsze cierpliwie znosił ciągnięcie za sierść.

Usłyszała kroki przed chatą. Zacisnęła pięść w gniewie. Nawet teraz nie mogła mieć chwili spokoju?

– To ja, Niebołan – rzekł głos zza drzwi. – Przynieśli twego ojca. Jest przy bramie. Idź do niego. Ja zajmę się Różymak.

Piórosen wzięła córkę na ręce.

– Niebołan się tobą zajmie – wyszeptwała głosem łamliwym jak suche gałęzie. – Pobawisz się z Gromiszponem, dobrze?

Otworzyła drzwi. Podała dziecko żonie Deszczylisa.

– Czeka przed bramą – powtórzyła kobieta.

Zgromadzony wokół ojca tłum natychmiast zrobił jej miejsce. Ojciec leżał przykryty jasnym płótnem na tragach wyścielanych sianem. Stali przy nim Deszczylis z Miodołosiem.

Odkryła twarz równie bladą, co płótno, które ją okrywało. Powieki miał naciągnięte. Przyłgnęła do zimnego ojca i wyła jak dziecko, które wywróciło się i zdarło sobie skórę do krwi.

– Głowy tych, którzy dopuścili się tej zdrady, oglądają Oblicze Czwórki w Starych Widłokach – przemówił Deszczylis.

Jego słowa nie przyniosły ulgi. Wydały jej się fałszywe i wypowiedziane na pokaz, aby lud mógł go podziwiać. Mimo wszystko jednak ostudziły ból jak zimna stal piekące miejsce po użądleniu osy.

Uniosła głowę. Przetarła oczy.

– Zanieść go do ciebie? – zapytał Deszczylis.

– Co?

– Pytam, czy go zanieść do ciebie, do chaty.

– Tak.

Czterech wojów poniosło martwego wodza.

– Rozejść się – rozkazał Deszczylis. – Będzie trzeba, to was wszystkich przed Totem zawołam.

Poszedł za Piórosen. Został w środku, gdy wojowie opuścili chatę po wniesieniu Szarugila.

– Zajmę ci tylko chwilę – rzekł do Piórosen. – Potem zostaniesz z ojcem ile tylko zechcesz. Zaczekam przed chatą. Gdy będziesz gotowa, zawołaj mnie. Zwołam lud przed Totemem i oddamy należny mu hołd.

Jego głos był twardy jak skuty lód. Nie mówił, tylko obwieszczał swoją wolę.

– Dziękuję – rzekła potulnie.

– Zadbam o ciebie i o córkę. Nigdy niczego wam nie braknie... Zanim Śnieżyróg wypłynął, rozmówił się ze mną o Gromiszpona z Różymak.

– Wiem.

– Będą mężem i żoną, gdy osiągną odpowiedni wiek.

Pokiwała głową.

– Zostawię cię samą. Nie musisz się spieszyć.

– Dziękuję.

– Muszę zadbać o was – rzekł ciepłej. – Co za przyjaciel byłby ze mnie, gdybym tego nie zrobił? – Ledwo skończył, w głowie zaświtało mu ulubione porzekadło, jakie powtarzali między sobą ze Śnieżyrogiem.

Zostawił ją samą.

Odkryła płótno. Na prawym boku, między dolnymi żebrami miał dwie obmyte dziury.

NOWY DZIEŃ

Obudził się obok żony i dzieci. Leniwie podniósł powieki, na których osiadła rosa snu. Skrzywił się, jakby smród krowiego placka podsunięto mu pod nos. Przypomniawszy sobie, że musi posłać wysłanników do Starych Widłok.

Usiadł. Rozejrzył się. W chacie panował półmrok. Świt jeszcze na dobre nie nastał. Wstał po cichu, tak żeby nikogo nie obudzić. I nagle przypomniał sobie, że już po wszystkim. Wspomnienia wczorajszego dnia przemknęły mu przed oczami jak rączy jeleni.

Przywiózł wodza, odwiedził Piórosen i wdowę po Głazochmurze, przygotował łódź dla Cieniowody, która chciała wracać do matki, był przy pochówku Szarugila w miejscu, gdzie wcześniej spoczęła jego żona. Po wszystkim legł zmęczony, jakby cały dzień nosił ciężkie głązy z rzeki. Pewnie dlatego tak wcześnie się obudził.

Założył buty i najciszej jak potrafił opuścił chatę. Przeciągnął się. Obejrzał niebo, które żywcem przypominało mu to, gdy obudził się pod Kotlasami. Po jednej stronie żarzyła się czerwien słońca, a po drugiej, na tle jaśniejącej ciemności, dało się ujrzeć blady księżyc.

Był przekonany, że to znak od Czwórki. Wtedy, pod Kotlasami, zaczął się nowy cykl jego życia, zupełnie jak pora roku. Teraz było podobnie. Podobnie było z sprawowaniem pieczy. Wcześniej robił to na warcie, przepełniony dumą i szczęściem, teraz przyjdzie mu to robić jako wodzowi.

Przechadzał się między chatami. Wymieniał imiona pobratymców, którzy w nich mieszkają. Liczył ich dzieci. Właśnie, dzieci! Postanowił iść za śladem ojcowskich przekonań i oznajmić, że od tej pory żaden bezdzietny mężczyzna, dopóki nie znajdzie potrzeba, w bój nie pójdzie, dopóki potomka po sobie nie zostawi.

W myślach już zaczął układać słowa, jakimi swą wolę objaśni. Przypomni o swych kompanach spod Kotlasów – o Bazigradzie, którego krew wygasła, i Dziegciółuku, który odszedł do Niewyśnionej Krainy nie wiedząc, że ma syna.

Zatrzymał się pod drabiną wiodącą na mur. Wcale nie miał zamiaru tu przyjść. Nogi same go tu zaprowadziły.

– Skoro tu już jestem...

Wylazł na mur. Rozejrzał się. Chłonał krajobraz rzeki, drzew, macierzystej osady i wszystkiego, co tak bardzo tu kochał, od pojedynczego źdźbła trawy, po jaśniejący dach nieba.

Tak bardzo cieszył się, że żyje. Witał nowy dzień niemalże jak narodziny własnego dziecka.

WINOWAJCZYNI

Zycie w obydwu osadach się uspokoiło, ale nie stanęło w miejscu. Liście zaczęły nabierać jesiennych kolorów zwiastując panowanie Słoty nad światem. Zmarł stary Płowiak. Piórosen pochowała go w miejscu, w którym do Niewyśnionej Krainy odeszła Dębisroka. Przypłynęli Gnotysze wymienić się dobrami. Deszczylis zapowiedział im, że wkrótce ich wodza odwiedzą jego wysłannicy, a wcześniej ugościł jak własną rodzinę. Wysłał Płowymecha, który pierwszy garnął się na ochotnika, a i przecież wcześniej u zaprzyjaźnionego plemienia był. Powrócił z dobrymi wieściami.

Życie toczyło się jak zazwyczaj. Tak było do pewnego chłodnego dnia, w którym mżyło od samego rana.

Ludzie wyszli z chat. Monotonną melodię łagodnego deszczu rozdeptał kobiecy krzyk. Ciekawość połknęła przynętę. Ludzkie oczy otwarły się na oścież niczym drzwi chat. Frunęły za wydarzeniem jak ćma za ogniem.

Kto z własnej chaty nie dojrzał, ten biegł do źródła hałasu. Zlatywali się jak wrony do padliny na ucztę.

– Puszczaj! – Ostrolen daremnie próbowała się wyrwać.

Płowymech ciągnął ją za włosy. Gniew wyrzymał mu twarz z litości. Stawiał kroki, jakby po drodze rozdeptywał robaki.

– Puszczaj!

Zatrzymał się. Szarpnął za włosy ku ziemi. Ile miał siły. Runęła na zroszoną mżawką ziemię.

– Zamknij się, suko, bo ci łeb utnę!

Ruszył. Nie zważał na do, że się nie podniosła. Włókł ją za włosy po ziemi. Wstała. Krzyczała wniebogłosy jak rozjuszona bestia albo zły duch szalejący z rozpaczy. Ludziom aż dreszcze przeszły od karku wzdłuż kręgosłupa, niczym stado pajaków.

– Zabiję cię! – zdierała gardło bez opamiętania. – Zabiję!

Szarpnął i ponownie znalazła się na ziemi. Trzasnął ją pięścią w twarz. Krew zmieszała się kurzem, brudem i łzami. Włókł dalej.

– Niech się wszyscy na ciebie napatrzą, suko!

Lud szedł za nimi w odległości pięciu, sześciu kroków. Podążał jak orszak za druidem w Święto Przesilenia. Wzywał Płowymecha, aby się opamiętał.

Zjawił się i wódz i wielki druid.

– Co to ma być?! – zapytał srogo Deszczylis.

– Zdradziła mnie! – wytłumaczył Płowymech. – W ciąży jest! Z początkiem lata jak mąż i żona żyć zaczęliśmy! Jeszcze na dobre się nie skończyło, a ona brzuchata! Niech sukinsyn, który jej dziecko zrobił, weźmie sobie i ją, i bękarta!

– Prawda to? – wódz zapytał dziewczynę.

– Prawda! – zabrała głos Igliśpiew, sąsiadka Ostrolen. – Nie raz słyszałam, jak za ścianą wymiotuje.

Deszczylis obejrzał się przez ramię. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się uciszyła.

– Niech z ręką na Totemie przysięgnie, że nie jest brzemienna – zaproponował Miodołoś.

– Właśnie! – wrzasnął Płowymech. – Niech przysięgnie!

– Przysięgniesz? – zapytał Deszczylis.

Pociągnęła nosem. Brudną, zakrwawioną twarz, schowała za gałęziami włosów.

– Odpowiedz, suko! – wrzasnął Płowymech.

– Uspokój się! – skarcił go Deszczylis. – Przysięgniesz, czy nie?

Rozplakała się jak bezradne dziecko porzucone w lesie przez matkę.

– Płacz nic tu nie pomoże! – rzekł surowo Deszczylis. – Odpowiadaj!

– Nie – wyłkała.

– Głośniej!

– Nie! – zawyła.

– Pod Totem z nią! – zakrzyknął kobiecy głos w tłumie.

– Jeżyłlas prawdę mówił!

– A głupi Zięboklon go zabił i jeszcze za nią łeb na pniaku położył!

– Cicho! – wrzasnął Deszczylis. – Zamknąć bramę! Nikt nie ma prawa opuścić osady! Pod Totemem zostanie osądzona! I lepiej, żeby ten, który zrobił jej bękarta, sam się przyznał!

– Pewnie sama nie wie kto!

– Tak was cieszy cudze nieszczęście?! – wrzasnął Miodołoś.

Pobratymcy spuścili głowy. Pokornie poszli za wodzem i wielkim druidem pod Totem. Zebrali się wszyscy. Ukradkiem rzucali sobie spojrzenia. Kobiety podejrzliwie spoglądały na własnych mężów. Mężowie wypatrywali winnego wokół siebie. Domysły i plotki przemykały się między ludem jak myszy.

Dziewczyna klęczała przed Totemem, zwrócona ku pobratymcom, schowana za potarganymi, brudnymi włosami. Stał przy niej wieli druid i wódz.

Miodołoś rozejrzał się po tłumie, srogo marszcząc brwi.

– Czy ten, kto ośmielił się zrobić jej dziecko, nie ma odwagi wziąć za to odpowiedzialności?!

Odparła mu cisza. Nikt nie wystąpił z szeregu.

– Nie dość, że jest plugawcem, to jeszcze tchórzem?!

– Co mówisz? – zapytał Deszczylis łkającą dziewczynę.

– On nie żyje – pisnęła.

– Nie żyje?

– Tak...

– Czemu od razu nie powiedziałaś?! – wrzasnął wściekły Miodołoś. – Kto to taki?! Mów!

Ostrolen przypominała zaszczutego, uwiązanego psa, który piszczy ze strachu, gdy chce się go pogłaskać.

– Mów! – zagrział wielki druid. – Milczeniem tylko pogarszasz swoją sytuację w oczach Czwórki!

– Śnieżyróg.

– Co powiedziałaś? – wrzasnął wódz i załapał dziewczynę za ramię. Szarpnął. Przyłożył jej dłoń do Totemu. – Powtórz, co powiedziałaś!

– To Śnieżyróg jest ojcem.

– Przysięgnij na Czwórkę!

– Przysięgam na Czwórkę, że to Śnieżyróg jest ojcem! – wyjęczała przez łyż.

Cisza każdemu położyła palec na ustach. Niedowierzenie rozwarło je na oścież. Cały lud oniemiał, jakby płonący lód zobaczył.

– Różgami mi ją! – rozległo się w tłumie.

– Precz z osady!

– Wygnać sukę!

– Błagam, nie! – Ostrolen uchwyciła się nogi wodza. – Błagam, mam chorą matkę! On, on... On mnie zbałamucił!

– Raczej ty jego, suko! – wrzasnęła Piórosen. Przecisnęła się na przód. – Przed kim jeszcze dupę wypięłaś?!

Ostrolen łkała bezradnie, zeszecona bólem, ponizieniem, brudem i krwią. Deszczylis wyswobodził nogę i odepchnął nią dziewczynę. Sapał jak wściekły zwierz świeżo po zaciętej walce.

– Druidzie, wydaj osąd! – wycedził przez zęby.

– Kto wbrew Prawu Czwórki występuje, temu Kwitna, Skwar, Słota i Zimny nie pozwolą ujść bezkarnie. Kto cudzołóstwa się dopuści, tego czterdzieści różg czeka. Która bękarta w swym brzuchu nosi, dla tej nie ma miejsca w plemienu! Módl się i błagaj Czwórkę, albowiem Ona jest twoją jedyną nadzieją!

Pisk Ostrolen ukłuł uszy pobratymców. Zerwała się jak spłoszony ptak. Próbowwała uciekać. Złapano ją bez trudu. Zawleczono pod Totem. Zdarto z niej

ubranie. Miodołość wymierzył jej czterdzieści różg, po których nie była w stanie się podnieść. Wywleczono ją za bramę.

Leżała na trawie przykryta brudną, zniszczoną szatą prawie pół dnia. Ludzie mijali ją obojętnie. Nie należała już do nich. Była kamieniem w polu i kurzem na drodze.

Zanim zaszło słońce, poszła się topić w rzece. Wartownicy zwołali ludzi na mury. Tłum wyszedł przed bramę. Patrzył, jak zanurza się w wodzie.

– Dobrze jej tak! – powtarzał jeden Igłas po drugim.

Rzeka zabrała jej ciało. Jej chora matka zmarła następnego dnia.

PŁOWYMECH

Naprawdę to było inaczej – szepnął do siebie, choć wyobrażał sobie, że przemawia do całego plemienia. Musiał gdzieś się wygadać, choćby do kamieni i drzew. – Naprawdę to było inaczej. Gdy wyruszyliśmy od Gnotyszy ku morzu, Śnieżyróg, ten plugawy sukinsyn...! – Urwał. Z szалу mało piany z pyska nie toczył. – On chciał, żeby Zimnoskał wrócił się z posłańcami do Starych Widłok. Ten odmówił. Zarzekał, że wypełnia rozkazy Szarugila. Popłynął zatem Głazochmur. I jemu też się nie poszczęściło... To już nas trzech. Ja przynajmniej żyję... Wszystko przez tego sukinsyna! Trzeba go było wtedy zabić!

Ocknął się. Uprzytomnił sobie, że jego szept zszedł na boczną ścieżkę.

– Po drodze do Władymorów Śnieżyróg zabił Zimnoskała. Wbił mu nóż w szyję, gdy ten siedział plecami do niego na łodzi. Ciało wrzucił do rzeki... Wszystkim nam oczy na wierzch wylazły... Jak mógł własnego pobratymca tak zamordować, sukinsyn przeklęty? Jeszcze traktował mnie niemalże jak młodszego brata! A tu skrycie, gdy nie widziałem...

Uniósł zaciśniętą pięść w powietrze. Pogroził ją wyimaginowanemu pobratymcowi. Tak bardzo żałował, że go nie zabił, że nie wydlubał mu oczu ani nie wyrwał grdyki jak chwast z ziemi.

– Kazał płynąć, to płynęliśmy. Baliśmy się. W końcu miał być następcą wodza... A i śmierć Zimnoskała miał wziąć na siebie... Gdy tylko zobaczył morze, całkiem się zmienił. Nic już go nie obchodziło. Mógł cały dzień siedzieć na plaży

i wpatrywać się w horyzont. Upatrzył sobie jedną wyspę niedaleko... Mam nadzieję, że się sukinsyn utopił!

Trzasnęła gałązka. Podskoczył, jakby usłyszał wilka, a to on nadepnął na suchy kikut drewna. Westchnął z ulgą. Dla pewności rozejrzał się trzy razy dookoła.

– Powiedział, że bierze małą łódkę i płynie dalej, a my możemy wracać... I lepiej żebyśmy po powrocie powiedzieli, że zginął podczas sztormu razem z Zimnoskałem... Sukinsyn! Dlaczego go wtedy nie udusiłem albo nie zadźgałem?! Przecież i tak dla plemienia miał nie żyć... Żeby tak własny lud zdradzić! Obyś się utopił, sukinsynu! Albo lepiej, żeby cię Stalooocy gdzieś napadli, obcięli ręce i upiekli je na ognisku! Zdrajca! Sukinsyn! A Wilgosznur i Gruszypiach nie lepsi! Ichnie baby Władymorów sobie upatrzyli i tam zostali! O swoich żonach i dzieciach zapomnieli!

Sapał. Wypluwał z siebie jad. Nie mógł ścierpieć bezkarności Śnieżyroga. Błagał Czwórkę, aby zesłała na niego jak najgorsze nieszczęście.

– Każdy z nas przysiągł, że prawdę zabierze ze sobą do Niewyśnionej Krainy. Tam Czwórka naszej przewiny rozliczy... Przysięgaliśmy na własne matki i bliskich... Ja nawet na tę sukę przysięgałem! Dobrze, że się utopiła! Oby Czwórka kazała jej iść precz sprzed bram Niewyśnionej Krainy!

Wsparł ciężką, obolałą głowę na dłoniach.

– Powinniśmy go wtedy pojmać, związać i wrócić razem z nim... Obyś trafił na Stalookich, sukinsynu! Niech cię wypatroszą! Zabijają długo i powoli!

DĄB

Wodzostwo spowszedniało jak warta. Z ogromnego uniesienia zmieniło się w rutynę. Większa władza, większe kłopoty. Tak Deszczylis tłumaczył sobie nawał spraw, które się na niego zwały. Dębignat zazdrosny był o Świerszczyżęba. Sam chciałby zostać rządcielem w Starych Widłokach. Musiał się zadowolić byciem prawą ręką wodza. Niebołan wciąż, niby ukradkiem, wspominała o Piórosen i o tym, że jakby znalazła sobie męża i urodziła syna, mogłyby być z tego kłopoty.

Otrzepał się z tych myśli jak mokry pies. Z wszystkim sobie poradzi. W końcu jest igłą sosny. Na wszystko przyjdzie czas. Nie po to tu przyszedł. Nie po to dotarł na miejsce, w którym spoczywają jego przodkowie, aby roztrząsać sprawy doczesne.

Obok starego, zniszczonego piorunem dębu, zasadził nowy.

– Dąb długo rośnie – zauważyła Niebołan.

Tęczygrusza bawiła się wiankiem zrobionym przez matkę. Gromiszpon hasał wesoło po łące.

– Jak nasze wnuki dorosną, powinien już być wyższy ode mnie...

Pierwszy raz przyprowadził tu żonę zaraz po ślubie. Złożyła należyty pokłon jego przodkom. Wiedział, że ją zaakceptowali. Nie mogli przecież sprzeciwić się Woli Czwórki. Kto wie, może oni sami ubłagali Kwitną, Skwara, Słotę i Zimnego, aby Niebołan była jego żoną?

Pomyślał też o swoim przyjacielu, który tak przewinił wobec żony, pobratymca i Czwórki, a jednocześnie zrobił tyle dobrego, począwszy od młyna po wieże oblężnicze. Obmyślił Nowe Widłoki, których kształt przyczynił się do łatwego zwycięstwa nad Zielorysiem i Ciemnowilkiem. Nawet swoje ostatnie zwycięstwo Deszczylis po części zawdzięczał przyjacielowi.

Podziękował Śnieżyrogowi, patrząc w niebo. Wierzył, że przyjaciel czuwa nad nim w Niewyśnionej Krainie. Nie umiał go potępić. Był przekonany, że jedynie Czwórka będzie umiała należycie go osądzić. Tęsknił za nim i wspomnieniami wracał do chwili, gdy razem zmierzali do źródeł potoku.

– O czym myślisz? – zapytała Niebołan.

– O ludziach, którzy oglądają nas z Niewyśnionej Krainy.

Spojrzała rozmarzonym wzrokiem w błękitne niebiosy górujące nad złotoczerwonymi lasami pod władaniem Słoty. Zbliżyła się. Splecionymi dłońmi zamknęła krąg wokół ciała swego męża. Przyłgnęła czołem do jego torsu. Objął ją ramieniem.

Cisza znalazła w nich szalas, w którym schowała się przed wesołym chichotem dzieci i bzyczeniem owadów nad kwiatami.

– Co on robi? – zapytał Deszczylis na widok Gromiszpona leżącego bokiem na trawie.

Podeszli do niego. Niebołan kucnęła nad synem.

– Ogląda mrówkę – rzekła z uśmiechem.

SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

CZĘŚĆ I

Parujący las

Źródło potoku

Wieczera

Dębisroka

Warta

Wilczybrzask

Sosnowy Krąg

Ptasikwiat

Amok

Staloocy

Narada

Ojciec

Kotlasy

Drużyna

Fortel

Wódz i syn

Szturm

Gorycz i gniew

Wieże i mury

Zwycięstwo

Mąż

Obca

Żona

Prawo Czwórki

Widłosiew

Wola Czwórki

Nowy dom

Polegli

Stara i młoda

Przysługa

Mogiła

Nad strumieniem

Nowy potok

Drugi brzeg

Prośba

Sama i we dwoje

Próba szczerości

Ślub

Płowiak

CZĘŚĆ II

Winowajca

Zwierz

Miód

Rodzina

Drzewa, niebo i chmury

Dzieci

Pożegnanie

Chata

Obcy

Gardeł

Żona i panna

Pies

Stare Widłoki

Morze

Śnieżyróg

Żona i siostra

Bóbr

Powrót

Nowy ład

Przyszłość

Porada

Rządziciel

Odpowiedź

Wódz

Żałobnica

Nowy dzień

Winowajczyni

Płowymech

Dąb

Karta redakcyjna

Redaktor prowadzący

Michał Smętek

Okladka

Ferratus

Ilustracja na okładce

Barandash Karandashich / shutterstock.com

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66695-44-3

© Copyright by Wydawnictwo Manufaktura Słów 2021

© Copyright by Kamil Czernik 2021

Wydawca

„Manufaktura Słów”

Ferratus Michał Smętek

ul. Stefana Żeromskiego 32/315

81-369 Gdynia

kontakt@manufakturaslow.pl

manufakturaslow.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek